



JEDNO
STULECIE

Tom 1



JEDNO STULECIE

Jedno stulecie

RUCH WSZECHŚWIATOWY W CIĄGU XIX-go WIEKU

— Serya I-sza —

TREŚĆ.

Wstęp. I. Kościół rzymski i prądy polityczne wieku. — II. Podział świata. — III. Nowe narody. —
IV. Kwestya socyalna w XIX-ym wieku. — V. Wychowanie. — VI. Filozofia. — VII. Literatura. —
VIII. Archeologia.

WARSZAWA

Skład Główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa

1901



2+3

Дозволено Цензурою
Варшава, 9 Февраля 1901 года.

Die 21 Novembris 1899 an.

REGI SAECULORUM IMMORTALI
HONOR ET GLORIA.

(I Tym. 1).

Leo P. P. XIII:

Dedykacya podpisana przez Ojca
Ś-go Leona XIII-go, dla umieszczenia
jej na czele dzieła.

Komitet redakcyjny „Jednego stulecia“ złożył jeden egzemplarz dzieła u stóp Ojca Ś-go, wskutek czego J. E. Kardynał Rampolla wystosował do prezesa komitetu, prałata Péchenard'a, rektora Uniwersytetu w Paryżu pismo następujące:

Illmo e Rmo Signore.

La forma, onde il Comitato francese del Solenne Omaggio al Redentore ha voluto dar gloria a Gesu, Cristo, è sembrata al Santo Padre assai opportuna e meritevole di particolare encomio. Sua Santità perciò ha accolto con vivo gradimento l'esemplare del libro pubblicato dal suddetto Comitato per offrire ai lettori la sintesi delle grandi idee che hanno dominato nel secolo XIX, e nel commettermi di ringraziarne la S. V, Illma si è compiaciuta di impartire la benedizione apostolica a tutto il prelodato Comitato da Lei presieduto, non che agli egregi editori del Siècle. Mentre godo di renderla di ciò intesa, La ringrazio dell'altra copia dell'encomiato libro a me cortesemente favorita, e colgo l'occasione per dichiararmi con sensi della più sincera stima.

di Vostra Signoria Illma.

Roma, 16 Giugno 1900.

Affmo per servirla

M. Card. Rampolla.

Najczcigodniejszy Księżu Prałacie.

Sposób, w jaki francuski komitet zawiązany dla złożenia uroczystego hołdu Odkupicielowi, postanowił uczcić Jezusa Chrystusa, podobał się bardzo Ojcu Świętemu i zasłużył na szczególną Jego pochwałę.

Jego Świętobliwość z wielką łaskawością przyjął ofiarowany sobie egzemplarz książki wydanej przez rzeczony komitet, zawierającej rozbiór wielkich idei, jakie panowały w XIX-ym stuleciu i poleciwszy mi podziękować Najczcigodniejszemu Księdzu Prałatowi, raczył udzielić Apostolskiego błogosławieństwa wszystkim członkom wzmiankowanego komitetu, którego jesteś Przewodniczącym, oraz Szanownym wydawcom „Jednego stulecia“.

Mając szczęście przesłać tę wiadomość Najczcigodniejszemu Księdzu Prałatowi, składam Mu podziękowanie i za drugi egzemplarz tejże książki, łaskawie mi dołączonej i korzystam ze sposobności, aby wyrazić Mu głębokie poważanie i szacunek, z jakim pozostaję.

M. Kard. Rampolla.

Rzym, d. 16 Czerwca 1900.

Mgr. Ludwik Péchenard

Rektor Uniwersytetu Katolickiego w Paryżu.

PRZEDMOWA OD REDAKCYI:

Prace najznakomitszych pisarzy katolickich we Francyi, zarówno duchownych, jak i świeckich, pod redakcyą grona profesorów uniwersytetów katolickich w Paryżu i Fryburgu z rektorem M-grem Ludwikiem Péchenard'em na czele, złożyły się na dzieło, które tutaj podajemy naszym czytelnikom.

Dzieło to posiada swoją szczególną doniosłość i wysoce oryginalny charakter. Nie jest ono bowiem zszeregowaniem najznamienitszych wypadków w ciągu ubiegłego wieku, ani historią XIX stulecia w ogóle, lecz odtworzeniem głównych prądów, które pod względem politycznym, socyalnym, literackim, artystycznym, naukowym i kościelnym przenikały społeczeństwa w ciągu ostatnich lat stu.

Zawiera więc ono historyozoficzny pogład na minione stulecie, opromieniony światłem katolickiem i skreślony pod jego wpływem. Czytelnik katolicki zatem zdobędzie sobie tutaj sąd miarodajny, a aczkolwiek przed oczyma jego nie stanie wiek XIX w najdrobniejszych przejawach swego rozwoju i życia, zrozumie natomiast kierujące nim czynniki i oceni według właściwej wartości jego zdobycze.

Autorowie, będąc francuzami, głównie trzymali rękę na tętnie własnego społeczeństwa, niemniej jednak wyzierali poza granice Francyi i w głównych zarysach kreślili drogi ducha ludzkiego gdzieindziej. Ten charakter przeważnie francuski niech jednak nie odstrasza polskiego czytelnika, najpierw bowiem pomimo tak potężnych wstrząśnień, Francya nie przestała być pierworodną córką Kościoła, a powtórę pod względem cywilizacyjnym kroczy ona zawsze na przodzie innych narodów. Stąd też słusznie uważać ją można za ognisko życia duchowego, z którego światło i ciepło roztacza się na cały świat, a wpływ, zarówno dodatni, jak ujemny, odnaleść można wszędzie.

Niemniej tłumacze polscy, pojedynczych prac, starali się szczególne i wytyczne cechy przejawów polskiego ducha w ciągu ubiegłego stulecia zaznaczyć w krótkich dopiskach i włączyć je do całości poglądów autorów oryginalnych. Tym sposobem polski czytelnik nie będzie kroczył po obcym gruncie i z dzieła przyswojonego naszej literaturze odniesie rzeczywisty a nadewszystko zdrowy pożytek.

REDAKCJA

Biblioteki dzieł chrześcijańskich.

TRESC.

	<i>Str.</i>
Przedmowa od redakcyi.	
Wstęp, napisał Eugeniusz-Melchior de Vogüé, członek akademii francuskiej, spolszczył † <i>K. Ruszkiewicz</i> , biskup sufragan warszawski.	1
I. Kościół rzymski i prądy polityczne wieku, napisał Jerzy Goyau, spolszczył <i>Ks. Leon Jungowski</i>	16
II. Podział świata, napisał René Pinon, spolszczył <i>Kazimierz Puffke</i>	29
III. Narody nowe, napisał wice-hrabia de Meaux, spolszczył <i>Kazimierz Puffke</i>	68
IV. Kwestya socyalna w XIX-ym wieku, napisał hr. A. de Mun, członek akademii francuskiej, spolszczył <i>Dr. Antoni Donimirski</i>	98
V. Wychowanie, napisał P. L. Péchenard, streścił i spolszczył <i>Ks. Jan Gralewski</i>	117
VI. Filozofia, napisał kanonik Juliusz Didiot, spolszczył <i>Ks. Wł. M. Dębicki</i>	138
VII. Literatura, napisał Ferdynand Brunetière, członek akademii francuskiej, spolszczył <i>Walery Gostomski</i>	184
VIII. Archeologia, napisał Paweł Allard, spolszczył <i>Ksawery Chamiec</i>	235



WSTĘP.

Złożyliśmy do grobu wielkiego zmarłego — nasz wiek. Na cmentarzu dziejowym, podobnie jak i po jego poprzednikach, niedługo grób tylko zostanie; będzie on mała przed nami na horyzoncie i zamierał, jak przed oczami podróżnika ginie piramida, znacząca koniec jednego panowania w Egipcie.

Ciekawość to, czy miłość synowska, dosyć że wszystkie nasze uczucia pragną jednogodnie poznać rzeczywisty wygląd, wszystkie rysy i całe znaczenie dziejowe wieku, w którym żyliśmy. Zbyttna bliskość odbiera pewność naszym dociekanom. Zaiste impertynencką zarozumiałością byłoby pragnąć w tej chwili wydać o nim sąd na kilku kartkach, na co zdobyć się tylko mogą dziejopisowie, którzy z odległości swym wzrokiem badać go będą. Dziś możemy tylko i pragniemy przygotować dla nich materiały, zgromadzić świadectwa, których błędy, wynikające z patrzenia zanadto bliskiego lub za bardzo stronnego, oni poprawią.

W jakich rysach nauczyciele przedstawią uczniom roku 2000 istotę wieku dziewiętnastego, jego charakter szczególny i jego wielkie zasługi? Sądźmy, że zadziwiający postęp nauk, że ich zużytkowanie do ujarznienia sił przyrody, do połączenia odległych części świata, do preistocze-

nia życia społecznego, będzie przedmiotem ich nauczania. Innych zajmą bardziej dotykane rzeczy: starcia zbrojne narodów, przewroty polityczne, przeniesienie władzy publicznej z jednych rąk w drugie i zmiany głębokie w obyczajach, dokonane pod wpływem zasad filozoficznych, przekazanych przez wiek osiemnasty. Obawiamy się, aby nie popełniono pomyłki co do istotnej zasługi XIX-go wieku, gdyż po dokładnem zbadaniu pokaże się, iż wszystkie wielkie wypadki naszych czasów, wszystkie ich wyniki zrodziły się w gabinecie uczonego, w laboratorium fizyka i przez podróże geografów.

Z tego względu wiek dziewiętnasty jest spadkobiercą i rodzonym bratem wieku szesnastego. Dziś, jak wówczas, postęp nader szybki w poznaniu wszechświata i jego praw sprostował lub gruntownie przeistoczył wiele pojęć człowieka i tem samem jego sposób życia. Wiadomo, że użycie pary i elektryczności sprowadziło nowe stosunki, spokojne lub nieprzyjemne, ludów pierwiej sobie zupełnie obcych, i że to samo spowodowało wiele potrzeb, wiele dążeń, prac, ugrupowań, a tem samem nową organizację naszych społeczeństw. Nierównie trudniej przekonać się, o ile od tej organizacji zawisły zdobycze rozumu. Jeżeli bowiem państwo demokratyczne np. potężnie popiera rozpowszechnienie się nauk, to czyni to w podobnej mniej więcej mierze, jak syn wspiera matkę, która go na świat wydała.

Zanim pójdziemy dalej, prosimy czytelnika, aby nie poszukiwał dowolnego związku między rozpowszechnieniem się nauk a wzrostem szczęścia i moralności. Zbyt to wygórowane żądanie, albowiem człowiek, pożądając szczęścia i goniąc za ideałami moralnymi, zazwyczaj gotów jest wierzyć, że każdy krok zbliża go do tych wielkich celów. Czy nasze społeczeństwo jest w istocie lepsze i moralniejsze dlatego, że uzbrojone zostało w wspaniałą rzeszę nauk i odpowiednio doń stworzyło sobie nową organizację? Czy wszystkie nowo wyrosłe potrzeby są odpowiednio zaspokojone? Pytanie zbyteczne, a w dodatku nierozwiązalne; odpowiedzi przekonywującej i stanowczej nikt dać nie może. Zdobyliśmy nowe siły, nieznane naszym przodkom... — oto

wszystko. Instynkt niezawodzący mówi nam, że to słuszny przedmiot naszej dumy. Ale te siły mogą być użyte zarówno na dobre jak na złe, ku pomnożeniu szczęścia lub niedoli. Są one pod względem moralnym obojętne, podobnie jak chleb przez nas spożywany, który może wytwarzać w nas energię do pracy lub do zbrodni. Mówią, że nauka umoralnia! Wielkie to złudzenie tegoczesne, bo przeczytanie jednej kartki dziejowej lub statystyki już je obala. Dwór Ludwika XV posiadał nierównie więcej nauki, niż jakaś wieśniaczka w Bretonii, ale czy był od niej moralniejszy? Każdy odpowie na to, co zechce; pisarze kryminaliści odpowiadają nam codziennie, w swoich sprawozdaniach porównawczych. Człowiek zarówno dziś, jak i dawniej znajduje zadowolenie i doskonałość moralną w sobie i w łasce nadprzyrodzonej. Przez nauki i ich zastosowanie stał się on królem zdolnym i potężnym, ale niekoniecznie szczęśliwym i sprawiedliwym. Nadzwyczajną wielkość naszego wieku uznać musi każdy umysł bezstronny, ale żaden rozważny nie powie, że dlatego nasz wiek od swych poprzedników jest lepszy lub więcej szczęśliwy.

Po wyjaśnieniu tego nieporozumienia łatwiej można sławić postęp naukowy XIX wieku, podziwiać dokonane przezeń oświecenie umysłów, opanowanie materii, ucywilizowanie wielu odłamów rodzaju ludzkiego, przez zbliżenie ich do europejskiego ogniska.

W następnych rozdziałach nasi współpracownicy opowiedzą rozwój i płodność odkryć, zdobycie i przyswojenie nowych dziedzin i przekształcenie dawnych przez geniusz wynalazczy, który pomnożył siły i bogactwo nasze. Sądzimy, że w tym wstępie należało przedewszystkiem uwydatnić główną przyczynę tylu zdumiewających i licznych zdobyczy.

* * *

Niedawno jeszcze większą część tych zdobyczy przypisywano rewolucji francuskiej XVIII w., doktrynom przez nią rozpowszechnionym i zmianom dokonany, które po upływie stu lat jakoby świadczą o doniosłości tego wypadku dziejowego. Łatwo zrozumiałe złudzenie narodowej miłości wła-

snej przypisywało cały rozwój ludzkości ideałom filozoficznym, którymi się zachwycali nasi ojcowie, lecz dziś ktośkolwiek zechce spojrzeć na całość wieku XIX, taki pogląd uzna za zbyt ciasny, albowiem idee przewodnie i fakta, przez nie wywołane w końcu wieku, zaprzeczają stanowczo nadziejom, które żywiono niegdyś u jego kolebki.

Francuzi z r. 1789 marzyli wzniosłe, że cały rodzaj ludzki przez wolność, braterstwo i zgodę złączy się w jedno, że wszyscy współobywatele wyzwoleni, kierując się tylko rozumem, utworzą rzeczpospolitą powszechną, bez granic i rządów. Jakoż wkrótce, dla rozpowszechnienia tego nowego Islamu, zmuszeni chwycić za broń i przyjąć z zapalem przez ludy wyzwolone, ci apostołowie — zdobywcy na wszystkich polach bitew europejskich zasiewali swe idee. I oto z tego nasienia potężnych drzew wyrosły chwasty, które oni według swego mniemania uważali za wyplenione. Było to olbrzymie rozczarowanie. „Myśmy wołali do ludów: wolność!“ Ludy, przyklaskując nam, odpowiedziały: tak, niezależność narodowa! Marzyciele humanitarni przebudzili się w wieku wybujałych idei narodowościowych.

Posłuchajmy historyka, który najjaśniej nam przedstawia mrzonki i następstwa tego kroku wstecznego. „Rewolucja francuska dziwnie uprościła kartę Europy, a zamiast powszechnej anarchii i buntów ludów przeciw królom uczyniła państwa potężniejszymi, narody zaś bardziej przywiązanymi do swych panujących... Kiedy mówiono o prawach człowieka i najwyższej władzy ludu, żaden naród nie zrozumiał człowieka w znaczeniu oderwanem (abstrakcyjnym), człowieka bez duszy i ciała, narodu idealnego bez terytorium i mieszkańców, nikt nie gonił za ukazaniem się we mgle nieuchwytniej ludzkości, za widziadłem wolności metafizycznej. Tym sposobem rewolucja, przemawiająca do całej ludzkości i nawołująca do swego ideału obywateli świata całego, w miejsce Europy względnie kosmopolitycznej z XVIII wieku postawiła Europę XIX wieku gorąco narodową, a głęboko zwaśnioną¹⁾).

¹⁾ Sorel, *l'Europe et la revolution franç.* t. I, pag. 548.

Wszystkie skutki tej reakcyi ujawniły się w całej pełni dopiero w drugiej połowie naszego wieku. Działo rewolucyjne zburzyło małe państewka feudalne, a na ich gruzach utworzyły się wielkie państwa; niedający się niczem powstrzymać ruch zespolił rozdzielone dotąd członki wielkich jednostek historycznych — Włochów, Niemców, Słowian, Anglo-Sasów. Obok wielkich ludów zbudziły się do życia maluczkie narody od morza Egejskiego do źródeł Dunaju i Mołdawy, przyszły do poznania swej odrębnej indywidualności, odnalazły zaginione swe dzieje, swój język zapomniany. Wszędzie zarysowują się i stoją naprzeciw siebie grupy narodowe; wszędzie nad oderwaną ideą ludzkości bierze górę duch rasowy.

Bądźmy atoli sprawiedliwi dla onych zbrojnych misjonarzy. Chociaż bowiem przeciw nim zwróciły się główne ich rachuby, niemniej jednak dali Europie, zroszonej ich krwią, niektóre dobrodziejstwa trwałe, jak kodeksy złagodzone, administrację zreformowaną, większą sprawiedliwość, więcej poszanowania dla osoby ludzkiej. Piękny ten spadek wszystkie ludy zawdzięczają tym szczególnym pionierom, którzy pod orłami despoty chcieli świat obdarzyć wolnością.

Dziś socjalizm międzynarodowy wszystkimi swymi siłami pragnie urzeczywistnić ideał kosmopolityczny pierwszych rewolucjonistów. Nie wyrzekło się go bynajmniej wielu demokratów i dawnych liberałów. Z drugiej strony zdaje się, że wszystkie warunki teraźniejszego życia pomagają do urzeczywistnienia tego ideału: łatwość komunikacyi i wymiany, rozwinięcie kredytu, potrzeby ekonomiczne, szybkie przenikanie wzajemnych idei i interesów, łączność całej kuli ziemskiej przez wspólną cywilizację, jednakowa wiedza, umiejętność, ten sam przemysł, te same obyczaje, ten sam ubiór... A jednak pomimo to codzienność między narodami coraz wyższe zapory, których bronią liczni żołnierze i serca, opancerzone zawistnym patryotyzmem. Te dwa prądy przejściowe stanowią cechę wieku, który usiłowały opanować. Który z nich zwycięży: czy kosmopolityzm wszystko niwelujący, czy ekskluzywizm narodowościowy? Jest to jedno z wielkich zagadnień, które

wiek XIX przekazuje swemu następcy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie wydaje się bynajmniej bliską tą chwilą, kiedy ono zostanie rozwiązane zgodnie z życzeniem współczesnych kontynuatorów Anacharsisa Cloutza, rzeźnika rodzaju ludzkiego.

* * *

Gdyby umarły w roku 1792 wrócił do życia, byłby zdumiony i rozczarowany polityką terytorjalną Europy, a bardziej jeszcze naszym stanem społecznym. Nie wątpili zgoła przywódcy rewolucyi, że znieśli wszystkie przywileje i ustalili panowanie równości. Zapomnieli w swem uniesieniu optymistycznym o prawie dziejowym, że gdy społeczeństwo wyzbywa się dawnych cech, dawnej władzy duchownej, czy doczesnej, zawsze powstaje jeden władca niezwalczony, a ze wszystkich najtwardszy i najbardziej wyrefinowany — pieniądz. On wciska się na najwyższe miejsce opróżnione, on chwyta władzę wydartą swym rywalom, on dla swej korzyści, pod niższą formą, przywraca odznaczenia i przywileje. Słuchają go wszyscy, bo on rozdaje wszystkim to, co stanowi cenę życia.

Pieniądz w biegu naszego stulecia przedziwne usługi odbierał od postępów naukowych; one mu dostarczyły tysiące nowych sposobów zarobkowania; siły przyrody, opalone przez naukę, mogły być zużytkowane tylko przy pomocy kapitałów, których potęgą skutkiem tego wzrastała olbrzymio. Narzędzia panowania pieniądzy rozwinęły się jednocześnie, — wielki przemysł, maszyny, kredyt. Duch stowarzyszania się podbił cechy robotnicze, które śpieszyły ofiarować swe ręce na użytek różnych przedsiębiorstw, kopalni, towarzystw transportowych, pracowni, fabryk. Stworzenie proletaryatu przemysłowego nie jest bezwątpienia rzeczą nową, bo w ogóle niema nic nowego pod słońcem, ale wieki poprzednie miały zaledwie słaby zarys tego zjawiska społecznego, które za dni naszych stało się ogólnem. Teoretyczna i praktyczna równość wszystkich wobec praw ogólnych i politycznych uczyniła bardziej dotkliwą i rażąca

nierówność pomiędzy ubogimi a bogatymi, nierówność w korzystaniu z przywileju tych, co mogą kupić wszystko. Nie zawsze człowiek jest wyborcą, sędzią, merem, ale zawsze szuka chleba, wygody i przyjemności. Z drugiej strony przejście władzy do rąk proletaryatu zrodziło w nim i powiększyło pokusę nowego podziału bogactw. Prostaczkom wydaje się to bardzo łatwym i zupełnie słusznym, mniej więcej w ten sam sposób, jak zajęcie majątków zdobytego kraju przez nowego władcę.

Tak więc na gruncie przygotowanym przez filozofię XVIII wieku, nauka stosowana stworzyła feudalność finansową, i między masami robotniczymi wraz z tą feudalnością wszczęła się otwarta lub ukryta walka. Ekonomicznie robotnicy zależą od tych, którzy dają im chleb, ci zaś politycznie od nich, jako od uzbrojonych w głosowanie powszechne władców.

Czyż potrzeba uprzedzać czytelnika o nienawistnem znaczeniu, jakie zwykle współcześni przywiązują do wyrazu: feudalizm? Feudalizm wskutek usług, jakie on tylko może oddać, w początkach swoich zawsze bywa usprawiedliwiony. To właśnie miało miejsce z feudalizmem kapitalistycznym, gdyż bez niego było niemożliwe to wszystko, co uświetniło nasz wiek, jak: zużytkowanie odkryć naukowych, wzrost przemysłu i ukształtowanie powierzchni kuli ziemskiej dla wygody człowieka. Wtedy, gdy nadzycia prawa feudalnego górują nad usługami, zaczyna się jego upadek. O chwili tej atoli współcześni nigdy nie mogą dobrze sądzić. Nie chcąc zastosować do naszego stanu ekonomicznego właściwej nazwy, ludzie zamykają dobrowolnie oczy na widoczne podobieństwo chwil dziejowych lub pozbywają się wyrazu dokładnie streszczającego całość faktów. Bojaźliwi odrzucają tę nazwę, jak gdyby zawierała w sobie oskarżenie. Wina to wychowawców, którzy sfalszowali historię, przedstawiając feudalizm w przeszłości, jako ohydłą formę społeczeństwa, która wszakże nie była ani gorszą od tylu innych, ani więcej niedorzeczną.

Niezależnie od sądu o korzyściach lub krzywdach demokracji współczesnej, uwięzionej w feudalizmie finanso-

wym, wszyscy obserwatorowie uznają, że w potędzie złota (pieniędzy) jest coś niestalego i niebezpiecznego, zwłaszcza, gdy nie znajduje w prawach takiej przeciwwagi, jaką stworzyły dawne ustawy. Nasz wiek przekazuje w spadku przyszłości kwestyę społeczną, jako zagadnienie, w którym się zamyka drugie, a mianowicie: czy wielki przemysł, bez którego nie pojmujemy naszej cywilizacji, będzie mógł się pomyślnie rozwijać w razie upadku feudalizmu finansowego?

* * *

Człowiek z pierwszej rewolucji zdumiałby się pewnie przechodząc od oceny faktów do idei. Duch jego czasu był przesiąknięty idealizmem, często chimerycznym wprawdzie, ale niemniej ponętnym, godnym szacunku. Pojęcia metafizyczne kierowały rękoma burzących stary świat, a budujących nowy; w jakimś upojeniu lirycznym burzoń i odbudowywano. Zmienił się przedmiot, ale nie natura tych prądów, gdy po zapale ku wolności zapałano żądzą chwały wojennej, gdy żądzę reform zastąpiła ambicya zdobyczy. Skoro szła czynu się uciszył, myśl ludzka stała się idealistyczną. Zapanowała znowu metafizyka wraz ze spekulacją filozofii zachodniej, kantowskiej, hegeliańskiej, lub też we Francji mieszanina tych wszystkich doktryn. Powiew rewolucyjny przeistoczył się w natchnienie romantyczne, i potok liryzmu uniósł wszystkie literatury europejskie. Płody wyobraźni wbrew rzeczywistości, sentymentalizm, lub namiętności wzburzone osobnika, te czynniki romantyzmu, zachwycały ludzi aż do połowy naszego wieku.

Ze zbliżeniem się do drugiej połowy wieku nastąpiła reakcja w mózгах ochłodzonych; zdyskredytowany idealizm ustąpił miejsca realizmowi, który się wkrótce ujawnił w nowych prądach myśli i w kierunkach spraw ludzkich. Rzeczywisty sprawca tego zwrotu, duch naukowy, odebrał metafizyce i liryzmowi imaginacyjnemu ster nad światem. Nauki historyczne i przyrodnicze wzrosły zdumiewająco; ich dzieła wspaniale zjednały powagę niezaprzeczoną ich me-

todom. Metody krytyczne filologa, metody doświadczalne fizyka i naturalisty stały się prawidłem dla wszystkich badań umysłowych. Filozof i mąż stanu, literat i artysta, wszyscy ulegli bezwiednie zarazie realizmu i pozytywizmu, którym się oddychało w laboratoriach i pracowniach uczonych. Ku sprawom przemysłowym zwróciły się siły najdzielniejsze. Połączenie ducha nauki z przemysłem powoli zaczęło oddziaływać na bieg spraw politycznych i wojennych. Tym wpływom uległy wymowa mówcy, namiętności dziennikarza, bohaterstwo żołnierza i podróżnika, wyobraźnia romansopisarza, dramaturga i malarza. Szlachetność, bezinteresowność i rycerska elegancya naszych pokoleń straciły na tem, ale za to zdobyliśmy chwalebny zwyczaj ważenia wszystkiego na sprawiedliwej wadze doświadczenia i rzeczywistości.

Liczne wyjątki od tego ogólnego prądu znajdują się zawsze. Idealizm na wszystkich polach, pod wszystkimi formami ma swych zagorzałych wyznawców. Ale nikt nie zaprzeczy, że wielkie prądy biegną w inną stronę. Gdziekolwiek wiek dziewiętnasty badać będziemy — w gabinecie myśliciela, czy w radzie przedsiębiorców, w biurze administratora lub w szkole głównego sztabu, w sercu Europy lub w krajach przez nią zagarniętych, wszędzie duch krytyczny i pozytywny zastąpił fantazyje osobiste naszych ojców, którzy pragnęli gwałtem świat rzeczywisty urobić według swych ideałów lub marzeń. Trudno zaprzeczyć, że ta potrzeba dokładności daje rękojmię, iż wszystko, co się robi w zakresie czynu jak i myśli, nie będzie bezwocne. Nie potrzeba, niestety, innych na to dowodów, jak ostatnie zawody naszego kraju (Francji) w wojnie i pokoju, który mniej od swych sąsiadów hołdując zasadom rzeczywistości, a przenosząc nad nie idealne dążenia, drogo przypłacił swój opór przeciw wskazaniom realistycznym, które innym zgotowały powodzenie militarne, polityczne i ekonomiczne.

* * *

Zwolennikom, równie jak przeciwnikom swym pozytywizm naukowy gotował rozczarowanie, które przera-

ziłoby encyklopedystów, gdyby mogli byli przewidzieć kres drogi, na którą skierowali umysł ludzki.

Filozofowie, ogłaszając panowanie rozumu i jego zwolnienie z pod dawniejszej kurateli, liczyli, że postęp nieograniczonej nauki zburzy wszystkie im niemiłe, dawne pojęcia teologiczne, tradycje polityczne i społeczne. Rozum, upojony swą siłą krytyczną, a gardzący wszelkimi przeszkodami, chciał zastosować ją na wszystkich polach. Zdawało się, że powodzenie usprawiedliwia jego pogardę dla przestarzałych tradycji. Rozum, jak się nazywał w końcu ubiegłego (XVIII) wieku, przewawszy się nauką w pięćdziesiąt lat później, przejął się z tego powodu dumą nadmierną. Obiecywał sobie i obiecywał nam, że zaspokoi wszelkie potrzeby ludzkie, że złagodzi wszystkie udręczenia ludzkie, że nawet zastąpi burzone przez siebie religie. Wskutek nieuniknionej reakcji, przeciwnicy, nieprzyznający tej władzy nauce, powątpiewali, niekiedy wprost odmawiali trwałości zdobyciom, na których się opierała. Z tego powodu można było ich pomówić o obojętność i niewdzięczność dla rozdawczyni dobrodziejstw niezaprzeczonych.

Niedługo atoli trwały te nieporozumienia. Nader liczne korzyści naukowe, pozwoliły wkrótce oświeconemu umysłowi zastosować zasady filozofii bardzo roztropnej i bardzo różnej od tej, jaka upoiła niektórych zarozumiałców. Skoro zdobycze pewne, lub bardzo prawdopodobne odróżniono od wątpliwych, uczeni dobrej wiary, umysły logiczne w krytyce spostrzegły próżność i zuchwalstwo systemów, zbudowanych na prędcie, opartych na badaniach płytkich. Uczeni ci odnaleźli we wnioskach analizy doświadczalnej bardzo stare pojęcia. O dziwo! te wnioski bardzo się zbliżały do prawd tradycyjnych, jeżeli ich nie stwierdzały wyraźnie. Socyolog, pozytywista, fizyolog, wszyscy bezinteresowni badacze przyrody i życia, po długim kołowaniu wracali do starych namiotów, opuszczonych na początku podróży wywiadowczej. Ponieważ używali oni niewłaściwej terminologii, można było, co prawda, pomylić się co do tożsamości ich dążeń z dawnymi dogmatykami, bo ci używali

innych wyrazów; były to niejako dwa ludy myślące to samo i o tych samych przedmiotach, lecz nierozumiejące się, bo mówiły dwoma różnymi językami.

Determinizm, — mówią nasi filozofowie, ale przycięnięci do muru wykładają go nam w ten sposób, że odrazu poznajemy dawną zasadę przyczynowości i dawne przyczyny skuteczne. Można by mniemać, że się słyszy kazuistów XVI wieku, lub jansenistów z Port-Royal, rozprawiających o łasce i przeznaczeniu. Naturaliści wymieniają dziedziczność, wybór dowolny, walkę o byt i do nich odnoszą wszystkie zjawiska życia, trwanie, upadek, doskonalenie się gatunków i jednostek. Wśród naszych społeczeństw demokratycznych Darwin stwarza doktrynę arystrykatyczną i na wskroś tradycjonalistyczną; Rénan i Taine czynią to samo na innym polu. Pozytywiści lub sceptycy, oraz ich epigonowie wymierzają najsrozsze ciosy urojeniom równości, tym dorobkom rewolucji, które się schroniły pod opiekę uczonych i wolnomyślicieli.

Czy pierwotny stan barbarzyństwa, a nawet zwierzęcość najdawniejszych ludów, grające tak wielką rolę w teoriach naszych socyologów, nie są bezwiednym zwrotem do wyjaśnienia naszych nędz, usprawiedliwionych zasadniczą nauką o grzechu pierworodnym? Wszystkie dawniejsze hipotezy Schopenhauera, jak o podstępach natury, o zasadzkach przez nią stawianych dla zachowania gatunku, dawniej zwano pokusami materii. Zbiorowa wola wszechświata jestże czem innym, jak Wirgiliuszowe *mens agit molem*? A ci, którzy szukają nazwy dla „zrządzenia niewytłomaczonego“, dziś jak i osiemnaście wieków temu, czy są dalecy od tego, co chrześcijanin zwie — Opatrznością?

Mniemamy, że nie nadeszła jeszcze godzina usystematyzowania tych wszystkich przykładów, ale wystarczy wskazać kilka, gdzie podobieństwo między pojęciami tradycyjnymi a wykładem nowoczesnej nauki jest uderzające; spotykamy je ciągle w każdym niemal rozwoju współczesnych idei, na drodze, wskazanej im przez niezależnych przewodników.

Kto chce sobie zdać sprawę z przebytej przez nas drogi, niech tylko odczyta dziś niektóre ustępy prorocze z Józefa de Maistre'a, a zwłaszcza ów sławny urywek: „W rozległej dziedzinie żyjącej przyrody panuje jawny gwałt, rodzaj przedawnionego szału, który wszystkie istoty uzbraja *in mutua funera*“ etc.¹⁾. To zdanie wydaje się napisane wczoraj przez jednego z uczniów Darwina lub Pasteura, a w 1820 r. gorszyło ono postępówców i uważane było za dowód obskurantyzmu. Ależ do średnich wieków nas zawraczas! zawołają może zapaleńcy, przerażeni wskrzeszeniem naukowem dawnych zasad, potępionych przez fałszywą wiedzę. I nie bez słuszności; roztrzásając bowiem teorye nowe o działaniu praw natury lub praw społecznych, teorye ogólnie przyjęte i ustalone, znajdziemy, że to przekład na język współczesny wniosków głębokiego filozofa, mądrego i śmiałego obrońcy niektórych tez, jakie dzisiejsi ekonomiści nazwaliby rewolucyjnymi. Zowie się on św. Tomasz z Akwinu. Wykładał ludziom trzynastego wieku doktryny, które w końcu wieku dziewiętnastego gorszą oświeconych, a interesowanych przerażają.

Tym sposobem nauka doświadczalna naszego wieku oddaje słuszność i potwierdza prawdy, zdobyte przez doświadczenie wszystkich wieków. Najważniejsze to zjawisko w dziejach rozwoju myśli. Jeżeli bowiem dla człowieka największe zagadnienie stanowi pokój i harmonia w jego duszy, to olbrzymią usługę, jaką w tym kierunku oddaje prawdziwa nauka współczesna, należy cenić daleko wyżej, niż koleje żelazne, telegrafy i telefony.

* * *

Ostatnie słowo pragniemy poświęcić pytaniu, które zawsze będzie górowało nad innymi, a mianowicie: jakie miejsce zajmowała za naszych czasów religijność? Byłaż ona mniej silna, niż w przeszłości? Czy w opowiadaniu wy-

padków współczesnych historyk mniej, niż kiedyś, przeznacza miejsca dla Kościoła, Jego ludzi i Jego dzieł?

Najlepszą na te pytanie odpowiedź dają zapasy ludzi w znacznej części wielkich państw Europy. Zajrzyjcie do głębi tych sporów, znajdziecie prawie zawsze pod rozmaitymi pozorami pojedynków doktrynalny namiętność religijnych, które już to się kryją, już też na jaw występują, niekiedy bezwiednie, ale zawsze stanowią całą doniosłość sporu. Zwróćmy tu uwagę, której dokładność każdy sprawdzić może. Kiedy nam mówią o człowieku publicznym lub prywatnym, że wyznaje taką opinię polityczną, lub należy do takiego stronnictwa, nie wiele nas oświeci podobna wskazówka, co do jego myśli i przypuszczalnych czynów, a w stu wypadkach jego zachowanie się omyli nasze przewidywania. Jeżeli natomiast nam wskażą religijne zasady tego samego człowieka, od których może się bardzo oddalił lub też je zapomniał, lub może nawet się ich wyparł— to możemy, napewno lub w przybliżeniu odgadnąć, jak się zachowa w danej okoliczności. Ktoby zaś powątpiewał o wartości tego *criterium*, prosimy, niech sam spróbuje doświadczyć; tym sposobem się przekona, że w naszej epoce moc religijna nie straciła dzielności, że jest dotąd tajnym motorem wszystkich spraw ważniejszych. Dawniej płynęła jak rzeka w otwartem korycie, dziś ginie pod ziemią w wielu miejscach, ale z tego zbiornika podziemnego tryska zawsze siła, poruszająca koła naszych maszyn na powierzchni ziemi.

Nasz wiek przeżył groźne chwile dla chrześcijaństwa; widział on zapal odrodzenia religijnego i następujące potem ostygnięcie. W pewnych chwilach można było mniemać, że najgwałtowniejsze potrzeby duszy były bliskie zaniku, przynajmniej dla części społeczeństwa wydatnej rozumem lub liczbą. Idee, które głośno i hałaśliwie przewodziły światu, w rzeczach religijnych zachowywały obojętne lub nieprzyjemne milczenie. Głowa i członki Kościoła katolickiego były szczególnie doświadczane, wskutek nowych i trudnych warunków, spowodowanych przez rewolucy europejskie, jak obalenie władzy doczesnej, tryumf partyj demokratycznych i w ogóle

¹⁾ Soirées, de S.-Petersbourg, *septième entretien*.

przeciwnych Kościołowi. Widzimy atoli, że Kościół się podniósł, że znajdował w innym państwie to, co mu się usuwało w drugim, że zyskiwał w nowym świecie, co tracił w starym, i że przygotowywał na przyszłość rodzaj konkordatu moralnego i społecznego z demokracją. Każdemu wiadomo, jak rozległy wpływ władzy duchownej w braku doczesnej ujawnił dzisiejszy Namiestnik Chrystusowy i jak wiele ten monarcha bez państwa zyskał powagi w opinii publicznej.

Kto dba przedewszystkiem o prawdę historyczną, nie może zgoła polegać na sądzie współczesnych o zagadnieniach najdonioślejszych, najbardziej palących i największego godnych poszanowania. Poczekajmy na dziejopisa, który całość wieku obejmie i bezstronnie wszystko zważy. On prawdopodobnie tak wnioskuje będzie. Kościół walczący, nie schodząc z wyżyn, na które go tyle wieków wyniosło, przeżył szczęśliwie burze dziewiętnastego wieku wobec straszliwych szturmów utrzymał swe stanowisko, postępował za ogólnym rozwojem, nie przestawał czynić wiele dobrego i więcej, niż kiedykolwiek nie przestawał zajmować, niepokoić lub zadawałniać każdego człowieka, myślącego o własnym przeznaczeniu lub wpływającego na losy innych. Kościół, odnośnie do swych interesów, swej powagi i swej chwały dzisiejszej, nie potrzebuje żałować życia łatwiejszego, mniej energicznego, mniej czystego ubiegłych stuleci, które więcej zewnętrznego okazywały mu posłuszeństwa, ale mniej dały wpływu na umysły i serca.

A teraz żegnaj biedny, zmordowany wieku. Spocznij pracowniku dobry; twoja robota różnorodna, ale wielka. Twardą była twa starość dla Francji. My cię już nie prowadzimy do grobu. Ale któż, jeśli niemy? Niewidzialna i wszechpotężna wola, która odprowadziła twych poprzedników. Możesz bardziej, niż inny zastosować do siebie piękne słowa św. Augustyna: *Vollens quo nollem perveneram* (dokąd nie chciałem, chcąc przyszedłem). Tak, przyszedłeś dokąd iść nie chciałeś, i jeśli w niniejszym zarysie naszym znajduje się coś prawdy, lepiej przyszedłeś, aniżeli zaczął iść. Nikt nie może wiedzieć, czy dałeś ziemi więcej szczęścia, ale

to fakt, że dałeś jej więcej światła. Lepiej od innych usprawiedliwiłeś pierwotny wyrok Pana, dający człowiekowi panowanie nad wszechświatem. Ponieważ wzrok twych synów z równą śmiałością badał inne gwiazdy jak i naszą planetę, wypada, byś umierał szepcząc przepiękną modlitwę staro-go Keplera, którą napisał, wodząc po raz ostatni wzrokiem po planach firmamentu: O! Ty, który przez światło przyrodzone nakazałeś nam wdychać za światłem łaski, aby nam objawić światło chwały, dziękuję Tobie, mój Stwórcu i mój Boże, za to, żeś mi pozwolił podziwiać i kochać Twoje dzieło! Teraz siłą rozumu, którego mi udzieliłeś, dokonałem pracy mego żywota; opowiedziałem ludziom chwałę Twoich dzieł, o ile umysł mój mógł pojąć Twój nieskończony majestat. Dusza moja wielbi mego Stwórcę! Przez Niego bowiem i w Nim istnieje wszystko, świat materyalny, zarówno jak i świat duchowy, wszystko co wiemy i wszystko czego jeszcze nie wiemy, albowiem wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, czegośmy nie dokonali.....¹⁾

Eugeniusz-Melchior de Vogüé
Członek Akademii francuskiej.

Spolszczył
† K. Ruszkiewicz.
Biskup sufragany warszawski.

¹⁾ Képler, *Harmonie du Monde*.

I.

Kościół rzymski i prądy polityczne wieku.

Wolność, wszechwładza ludu, i jedność albo raczej solidarność, oto trzy idee, którym hołdował wiek XIX-ty. Wyrodziły się one z ruchów, które przekształciły kartę polityczną Europy. Wynikiem ich są najróżnorodniejsze przewroty, które w wielu krajach obaliły system rządów; one to w obecnej chwili przyspieszają rozwój socjalny, który wpłynąć ma na zmianę stosunków ekonomicznych wśród ludzi. Idee te, szukając swego początku, usiłowały odnajdywać go poza świątynią... a nawet bardzo daleko od niej... stąd poszło, że przez cały ciąg wieku przechodziły mimo Kościoła z wrogiem usposobieniem i dobrowolnie przedłużały długotrwałe nieporozumienia, istniejące między nimi a Kościołem.

Kościół w XIX-ym wieku więcej, niż kiedykolwiek umiał pogodzić surowość praktyczną swych praw zwierzchniczych z głęboką pobłażliwością, nieść wysoko ponad ludzkością świetlaną pochodnię swych nauk, której nie przyćmić nie zdoła, zastosować się miłościwie do ducha i prądów politycznych różnych narodów, których umysły i dusze umiał zjednoczyć. Był on jednocześnie silnym i przenikliwym... siła jego nie osłabiała przenikliwości, a przenikliwość nie paraliżowała siły, i widziano kolejno to

krnąbrne duchy, oburzające się na jego siłę, zmuszone do poddania się mu, to znowu stronnictwa polityczne nie rade jego przenikliwości, dzięki której wylaamywał się ciągle z pod jarzma ludzkich władzań... Kościół szedł dalej swą drogą z tem silnem poczuciem bezpieczeństwa, jakie daje posiadanie prawdy — w dziedzinie pojęć odmówił wszelkich ustępstw... w dziedzinie faktów nie dozwolił prądom przejściowym, tak politycznym, jak socyalnym nadać cechy wartości bezwzględnej, ani też instytucyom zmieniającym się, lub znikającym z biegiem czasu, doniosłości dogmatu. To też Kościół obecnie silny przez straż swych ustaw wstępuje w wiek XX-ty. Będące na schyłku stulecie miało mrzonki, po których następowały rozczarowania. Kościół, nie biorąc udziału w pierwszych, nie odpowiada za drugie. Skłaniając ucho ku bezstronnym krytykom socyologii współczesnej i filozofii pozytywnej, wiek nasz pozwolił nam powątpiewać o niewzruszonosci zasad z r. 1789, na których, jak sądził, mogło się już na zawsze oprzeć społeczeństwo... Kościół zaś, który nawet w rozkwicie tych zasad nie miał dla nich uśmiechu pobłażliwości, jest dziś o tyle wspaniałomyślnym, że im oszczędza uśmiechu szyderstwa. Przemijają też one, jak stulecie, a Kościół stoi!

* * *

Wiek XIX-ty miłował namiętnie wolność, namiętnością szaloną, niepowsięgliwą, wyuzdaną. Namiętność ta trwała lat sto i trwa do dzisiaj. I wiek ten w szale swoich uniesień sądził, iż sam stworzył przedmiot swej żądz. Każda wielka namiętność ma takie złudzenia... nie chce zawdzięczać Bogu... i zdaje jej się, iż to, co miłuje, jest własnem jej dziełem. Wolność uchodziła za córę XIX-go wieku. Zapomniano o tych trzech słowach Pisma św.: *«Veritas liberabit vos»*... trzy słowa, z których wypływa, że wolność jest córką prawdy, a prawda jest wieczną. Kościół w całym ciągu ostatniego stulecia przypominał ludziom genezę i prawdziwe znaczenie pojęcia wolności. Ogłoszono Rzym za wroga wolności... mylono się. Powie-

dziano... iż pokonawszy ją, Rzym usiłował ją ochrzcić... i w tem się mylono. Kościół nie miał zamiaru ani zwalczać, ani chrzcić wolności. Nie uważał jej bowiem, jako podrzutka, przybłądę przypadkowego z początku XIX-go wieku. Kościół obchodził się z nią z szacunkiem... przywrócił jej prawo do szlachectwa i przyoblekł w stosowniejsze i wspanialsze szaty. Dwa dokumenty określają i streszczają postawę Kościoła w kwestyi pojęcia wolności i zastosowania, którego pojęcie to jest przedmiotem. Jeden zawdzięczamy Piusowi IX-mu, a drugi Leonowi XIII-mu. Pierwszy to «*Syllabus*», drugi to encyklika «*Rerum Novarum*»... a zestawienie tych dwóch dokumentów, uwydatnia filozofię polityczną i socjalną Kościoła rzymskiego.

Odosobnić jednostkę, oderwać ją od wszystkiego, co ją otacza, tak w czasie, jak i przestrzeni, uwolnić ją od przeszłości, wznieść ponad teraźniejszość... uważać ją, jako rodzaj abstrakcyi, stawiając ją poza tradycją, poza społecznością, czyli poza rzeczywistością, taka była we Francyi taktyka ducha klasycyzmu, który się stał w trzysta lat po odrodzeniu duchem rewolucyjnym. Pozostawienie jednostki sam na sam z Bogiem, prawie już jej nieznanym, oto do czego reforma ograniczyła religię. Zarozumiałe wpatwienie się w swój mózg, zmieniony w *tabulam rasam*, w nagą prawdę, oto do czego kartezyanizm doprowadził filozofię. Miliony stosunków między milionami jednostek niepodporządkowanych pod żadne prawo i pod żadną ustawę ujmującą w karby owe jednostki... i takie poszturchiwanie, uprawnione w imię wolności osobistej, oto do czego ogłoszenie „praw człowieka“ doprowadziło społeczeństwo.

W trzech dziedzinach: religijnej, filozoficznej i politycznej Kościół przeciwstawił fałszywemu pojęciu wolności indywidualnej pojęcie związku społecznego i społecznego dobra.

W dziedzinie filozoficznej Kościół, jak świadczy okólnik Piusa IX-go „*Singulari quidem*“, pochwała wysiłki prostego i zdrowego rozumu; ale jednocześnie potępia tych, którzy nadużywając rozumu (indywidualnego) nie wstydzą

się i nie lękają przeciwstawić go i przenosić nad powagę Boga samego.

W dziedzinie religijnej Kościół, jak pisze Leon XIII-ty w Encyklice „*Libertas*“, nie gani wcale naczelników rządów, którzy tolerują w państwie przeróżne wyznania, a to w celu osiągnięcia czegoś dobrego, lub uniknięcia czego złego, lecz z drugiej strony błędem byłoby stanowczo mniemanie, iż żadna religia nie może być wyniesiona jedna nad drugą, i że społeczeństwo nie ma żadnych obowiązków względem Boga, albo, chociażby je miało, może się od nich uwolnić bezkarnie.

Co do dziedziny socjalnej wreszcie, Leon XIII-ty w Encyklice «*Rerum Novarum*» obala zarozumiałą optymizm ekonomii politycznej, zwanej liberalną, która przypuszczała, że w zakresie pracy wolność umawiania się byłaby twórczynią sprawiedliwości i że każda umowa, podpisana legalnie przez obie strony interesowane, była, że tak powiem, wyższą od moralności chrześcijańskiej. Czyliż wystarcza przyzwolenie stron obydwóch—silnej i słabej, aby umowa, wynikająca z tego przyzwolenia, a zawierająca niekiedy ciężkie zobowiązania, uważana była jako sprawiedliwa? Czyż z wolności tych dwóch ludzi, z których jedna oparta na kapitale jest rzeczywista, druga zaś lękająca się widma nędzy, jest tylko pozorna, może się wytworzyć sprawiedliwość? Leon XIII-ty zaprzecza temu.

Podobnie, jak wolny rozum nie stwarza prawdy, lecz, przeciwnie, szuka jej i jej się poddaje, tak samo wolna wola nie potrafi stworzyć wolności. Sprawiedliwość i prawda istnieją dawniej, aniżeli wolność ludzka; nie tylko są one trwałe, ale i wieczne, nie subiektywne, podmiotowe, ale obiektywne... czyli przedmiotowe.

Encyklika Leona XIII-go «*Immortale Dei*», wyraża to stanowczo i dobitnie. Wolność — mówi ona, o ile jest pierwiastkiem, pomagającym człowiekowi do udoskonalenia się, powinna mieć wyłączne zastosowanie w dziedzinie prawdy i dobra; bo jakeśmy już widzieli, treść prawdy i dobra jest niewzruszona, nie może zatem zmieniać się według fantazyi pierwszego lepszego.

W imię tych samych zasad Kościół nie pochwała bynajmniej bezwzględnej wolności myśli i pisma, wolności, która rozdziela dusze i rozdrażnia; w walce zaś ekonomicznej, w imię tychże samych zasad, Kościół broni słabych przeciw nadużyciom mocnych.

Wybryki umysłu niesfornego, które dla nieoświeconych mas stają się prawdziwym uciemieniem, winny być karane przez prawo zupełnie tak, jak gwałty dokonywane na słabych. Tak mówi Leon XIII-ty w swej Encyklice «*Libertas*». Wolność intelektualna i wolność ekonomiczna powinny uznać i uszanować coś, co je przewyższa i ogranicza: a tem jest interes społeczny i prawo przyrodzone, jakie posiada sprawiedliwość i prawda w sprawowaniu najwyższej władzy w społeczeństwie. Jeden tylko Kościół, w ciągu ubiegłego stulecia, opierał się zasadom, głoszącym anarchię sumienia i rozszalałe współzawodnictwo w zdobywaniu zysków materialnych; On jeden tylko utrzymywał, że kraj, w którym umysły poddają się dobrowolnie jednej i tej samej prawdzie wiekuistej, wyżej stoi od kraju, w którym sumienia są rozdwojone różnorodnością wierzeń religijnych; On tylko powtarzał, że dla narodu najpożądanym stanem nie jest brutalna walka o życie w dziedzinie pojęć, lecz, przeciwnie, harmonia umysłowa i duchowa między obywatelami; On jeden wreszcie wypowiedział, że stan społeczeństwa, w którym ręce walczą ze sobą i usta również walczą o prawo życia, nie jest i nigdy nie będzie ostatnim wyrazem postępu, gdyż wywołuje nieludzkie starcia i sprowadza zarówno nędzę niezasłużoną, jak i niezasłużone, a skandaliczne bogacenie się. I gdy tak Kościół sam jeden powstawał przeciw słabnącej zwolna bucie filozofii i przeciw o wiele zaciętszej bucie przemysłu, nie przerażało go to osamotnienie... liczył bowiem, że fakty go usprawiedliwią... i miał słuszność!

* * *

Wiek XIX-ty miłując wolność tak, jak ją pojmował, objawiał rodzaj czci dla samowoli obywateli; stworzył

nawet teorię tej czci, i w imię jej, niektóre państwa zastosowywały swą politykę zewnętrzną do tego, co nazywały zasadą narodowości, i kierowały się w tej polityce zewnętrznej ideą wszechwładzy ludu... Nastąpiły rozczarowania... a te dwie zasady służyły nieraz do zamaskowania zamachów na prawdziwą niezależność obywateli... Pod skrzydłem narodowości przygotowała się jedność niemiecka, która odebrała Alzacyi i Lotaryngii prawo zwania się ziemią francuską... Pod skrzydłami wszechwładztwa ludu istniało w niektórych krajach prawo głosowania, które pod pozorami fałszywej demokracji ścieśniało rzekomą wszechwładzę i oligarchii zagarnąć ją pozwalało... Ale pomimo tych niespodzianek, pomimo rozczarowań nawet, wiek XIX pozostał głęboko przywiązany do tych zasad i w zdrowszym uczuciu, które zawsze dla nich zachował, przejawiała się często radość zwycięstwa i gwałtowność odwetu. Było tam bowiem i zwycięstwo i odwet; istniały one kosztem starej doktryny, którą zwano doktryną boskiego prawa królów, a do której kilka pokoleń prawników dołączyło niemożliwe do przyjęcia dodatki, obrażające zarówno godność ludów, jak i wolność Kościoła.

Monarcha na mocy owych teoryj, na poły religijnych, a na pół politycznych, czy to był Ludwik XVI, czy Napoleon I, nie odpowiadał za nic wobec swoich podwładnych; naznaczenie go przez Boga miało cechę bezwzględnej konieczności; cokolwiek zrobił, jakkolwiek winę lub nadużycie popełnił, opór przeciwko niemu uważany był za bezbożność i bluźnierstwo. Takiego zdania byli teologowie gallikańscy, prawnicy parlamentu, deputowani trzeciego stanu, monarchowie nawet sami, jak Jakób I-szy, król angielski. Rewolucya francuska wybuchła... działała ona na wielką skalę, a widząc potrzebę oddziaływania przeciw nadużyciu t. zw. teoryj prawa Boskiego, czyli przeciw nadużywaniu powagi bożej, zamierzyła wyprzec samego Boga z życia społecznego, i wszechwładza ludu, ta dziedziczka władzy królewskiej, pojawiła się, jako przeciwstawienie władzy boskiej.

Wówczas to zaczęły się piętrzyć ciągle zamieszania, jedne po drugich. Teologia gallikańska i doktryny polity-

czne parlamentów wyszły na wrogów t. zw. „ultramontanizmu“ i chętnie przybrały postawę wyzywającą względem Stolicy apostolskiej i Towarzystwa Jezusowego. Rzym je potępił, a parlamenty ze swej strony potępiły bulle rzymskie. A gdy głos ludu, owo spóźnione echo głosu papieża, podniósł się przeciw doktrynerom politycznym, na których się opierało samowładztwo królów, niesłychany fałsz zjednał sobie wiare... ogłoszono, iż Kościół katolicki jest odpowiadającym za dwa wieki absolutyzmu, którego pierwiastków zasadniczych nigdy nie pochwałał, i za zamachy, na które nieraz był wystawiony... zwycięstwo zaś odniesione nad dawnym ustrojem, poczytano za porażkę prawdy katolickiej. Pojęcie też wszechwładzy ludu przybrało natychmiast cechę antyreligijną; a podczas, gdy absolutyzm królów, nie wypierając się Boga, zakazał Mu wtrącać się w swoje sprawy, absolutyzm ludu skłaniał się do zapoznania i usuwania Boga. Pierwszy pragnąłby nieraz uważać papieża, zastępcę Chrystusowego, za swego sługę: pod rządem zaś drugiego, groziło Bogu wygnanie. Kościół rzymski traktował ten nowy absolutyzm tak, jak traktował jego poprzednika; a chcąc przemówić do ludów, dumnych z posiadania samowładztwa, odezwał się do nich tak, jak Suarez i Bellarmin odzywali się niegdyś do królów. Nie zaniechał on kosztem znikomej popularności zachować konieczne odrobinie. Jeżeli kto przez wszechwładztwo ludu rozumie jedynie tylko formę rządu, wynikającą ze wspólnej umowy ludzi pomiędzy sobą, a opierającą się na samem istnieniu tejże umowy, co do prawa i obowiązku władzy publicznej, jeżeli temuż wszechwładztwu przypisuje moc ustanawiania nienaruszalnej sprawiedliwości, a wreszcie jeżeli tejże przyznaje najwyższe pojęcie moralności, nieznoszące żadnej przewagi, gdzie wola ludu jest nieodwołalnym prawem, w takim razie Kościół przez usta Grzegorza XVI-go i Piusa IX-go potępia bez litości podobne pojęcia. Zajrzyjmy na chwilę do „Syllabusa“. Pod paragrafem 39 znajdujemy przytoczone takie orzeczenie: „Państwo, jako początek i źródło wszelkich praw, posiada prawo niezem nieograniczone“. Pod paragrafem 56 czytamy: „Prawa, odnoszące się do oby-

czajów, nie potrzebują Boskiego zatwierdzenia, i nie jest wcale koniecznym, aby prawa ludzkie stosowały się do prawa naturalnego, lub żeby od Boga brały swą moc obowiązującą“. Pod paragrafami 59 i 60 wreszcie znajdujemy: „Prawo zawiera się w fakcie materyalnym. Władza nie jest niezem innem, jak sumą sił materyalnych“. Wszystkie te orzeczenia podpadają kłątwie Piusa IX-go. Kłątwy to iście opiekuńcze, gdyż podobnie, jak niegdyś chroniły słabych od nadużyć potężnych, tak samo w wieku XIX-ym chronią one w istocie mniejszość, to jest słabych naszej epoki, od nadużyć władzy większości ludowej. Tak liczbie, jeżeli to liczba rządzi, jak i jednostce, jeśli ta panuje, Kościół stawia zapory. Każda władza ludzka, jakakolwiek ona będzie, powinna się wyrzec samowoli; tak zbiór jednostek, jak i pojedyncze indywiduum nie może według swego widzi-mię nadużywać władzy, której Bóg jest i był początkiem i którą jednocześnie Sam ogranicza.

Ale, gdyby przez władzę ludu rozumiano system rządu, przez który wszyscy obywatele najściślej złączeni byliby dopuszczeni do zawiadywania sprawami narodowemi, Kościół nie miałby temu nic do zarzucenia; odwróciłby tylko parę kart tegoż samego Suareza lub Bellarmina, aby tam znaleźć już przygotowaną apologię takiego porządku rzeczy. Suarez posuwa się nawet do wypowiedzenia następującego zapatrywania: „Jeżeli instytucję jakby naturalną nazwie się demokracją, to demokracja ta, że tak powiem, jest z prawa Bożego, gdyż „rozum naturalny“ głosi, że najwyższa polityczna potęga już z natury rzeczy wypływa z ustroju społecznego ludzkiego i że z tejże samej racyi należy ona do całego społeczeństwa“. Czyż przypuszczał ten odważny i bezstronny Jezuita, że, odpierając twierdzenie króla, pracuje zarazem nad zbudowaniem i oświeceniem późniejszej demokracji?

Boski początek władzy... ograniczenie w swobodnem jej wykonywaniu, wypływające z praw moralności i najwyższej woli Bożej..., posiadanie tejże władzy przez cały naród, który sam jeden winien decydować o sposobach

wykonywania jej i przelewania na kogo innego, oto jaką jest w swych wielkich zarysach teoria Suareza i licznej szkoły teologicznej, w kwestyi wszechwładztwa ludu. Kościół, wystawiony już na nieufność ze strony filozofów rewolucyjnych, teorię tę, uznającą w wysokim stopniu wolę ludu, wzbudził w epoce naszej, pełnej przewrotów politycznych, niechęć przeróżnych stronnictw przeciw sobie. Wszechwładztwo Boga nie dogadzało filozofom; dozwolona swoboda, z której członkowie społeczeństwa korzystali, jak z Boskiego daru, którego im Kościół nauczający bynajmniej nie zaprzeczał, nie dogodziła teraz najgodniejszym poszanowania stronnictwom. Czując dobrze, jaką siłą jest Kościół, stronnictwa te śledziły, że tak powiem, jego podstawę i ruchy. Jedni z nich, zwycięscy, żądali odeń, aby uchylił czoło przed ich potęgą, którą w swej naiwności uznawali za wieczną; inni, zwyciężeni, żądali, aby wspierał ich bezsilne niedołęstwo. Ale Kościół, pisał przed kilku laty Leon XIII do kardynała Rampolli, wiedząc, iż rzeczy ludzkie są niestałe, przystosowuje się w granicach możliwości do rozsądnych wymagań danej chwili. Bierze on w rachubę fakta i potrzeby społeczne... zdarza się, że uświęca w końcu, ze względu na pożytek społeczeństwa, wyniki przewrotów politycznych¹⁾, które go na razie dziwiły. Zarzucają mu zmienność... Jest on tak zmienny, jak historia sama... a ta rzekoma zmienność, jest to tylko w istocie hołd, oddany prawu ludów...

* * *

Jeżeli zbadamy do głębi owe dwa błędne pojęcia wolności i wszechwładztwa ludu, które poróżniły Kościół z naszym stuleciem, dojdziemy do przekonania, że obadwa wynikły z buntującej się pychy ludzkiej, tej odwiecznej nieprzyjaciółki Kościoła. Z jednej strony pycha rozumu indywidualnego lub indywidualnego bogactwa, z drugiej

¹⁾ Uznanie dla rzeczypośpolitej francuskiej.

pycha większości... obu zaś narażanie się na ucisk, a mo że i sam ucisk... i zarazem nieustanne zagrożenie życiu społeczeństwa. Otóż kończące się stulecie, pragnąc naprawić nędze społeczne, które nagromadziły się naturalnie wskutek zastosowania w życiu społeczeństwa indywidualizmu rewolucyjnego, zażądało lekarstwa od Chrystyanizmu; wznowilo ono pojęcie braterstwa... ukazując je w innej postaci; dawne braterstwo ewangeliczne przedstawione zostało światu pod inną nazwą: solidarności. Wszystkie wysiłki pewnej filozofii w ostatnich latach dążyły do przeszczepienia z nieba na ziemię latorośli idei braterstwa. Zamiast pozostać wynikiem tej nauki objawionej, że Bóg jest Stwórcą, Ojcem i Odkupicielem wszystkich ludzi, braterstwo to, przeistoczone w solidarność, zjawilo się, jako wynik empiryczny stanowiska jednostek w społeczeństwie, wzajemnego zapotrzebowywania jednych przez drugich i wzajemnego oddziaływania jednych czynności na drugie. Wyprowadzić podobny wniosek, jest to samo, co skonstatować fakt... ale fakt nie stwarza zobowiązania moralnego... prawo szacunku i miłości, które powinno wpływać na stosunki pomiędzy ludźmi, jest złączone pozornym węzłem z faktem solidarności ludzkiej, ale gdyby nie chrześcijaństwo, złączenie takie nikomuby na myśl nie przyszło; a pomimo wszystkiego węzeł ten pozostaje pozornym tylko. To też ci, którzy w imię solidarności usiłują naprawić spustoszenia, działywane w dziedzinie społecznej przez „liberalizm“, oddają mimowoli podwójny hołd Kościołowi: z jednej strony uznają złe, które Kościół już oddawna jako takie ogłosił, z drugiej zaś sposoby, którymi probują to złe naprawić, są właśnie tylko jakby podkreśleniem dawnych twierdzeń Kościoła. Nadto z biegiem stulecia rozwijała się obok Chrystyanizmu pewna doktryna, poparta faktami, której nie można było niewątpliwie podejrzewać o przychylność względem Kościoła, gdyż przybrała ona wrogą postawę wobec niego... nazywano ją pozytywizmem. A właśnie ów pozytywizm dostarczył posiłków Kościołowi. Napadał on zuchwale na wyniki socyalne zasad rewolucyjnych, nakreślił wobec całkowitego rozstroju, którym gro-

ziło zastosowanie zasad z 1789 roku, plan budowy społecznej, przywrócił w umysłach, zachwycających się ogłoszeniem praw, uznanie dla idei porządku społecznego; Comte i Pius IX-ty dopomagali sobie wzajemnie i bezwiednie. Wiek XIX-ty, dumny z wcielenia w siebie zasad Rewolucji, musiał w zaraniu znosić szyderstwo Józefa de Maistre'a, a na schyłku schylić czoło przed twierdzeniami Hipolita Taine'a; cierpkość historyka pozytywisty usprawiedliwiała cierpkość proroka ultramontańskiego.

Gdy w r. 1889 umysły, zachwycające się jeszcze z nawiąknienia ogłoszeniem praw, choć już przygnębione ciężarem swych rozczarowań, próbowały otrząsnąć się z nich, aby święcić stuletnią rocznicę nowożytną formy rządu, pojawiła się wówczas pewna ilość wydawnictw dzieł filozofów, socjologów, historyków; stuletnia [rocznica Rewolucji] odznaczyła się nawałem krytyk naukowych. Ci nawet, którym ze zwyczaju zdawało się, iż rządzą na podstawie owych zasad nieśmiertelnych, niezgadających się z samą ideą rządu, zostali przywiedzeni samą siłą rzeczy do pogwałcenia tych zasad; gdy w r. 1892 prezydent Loubet wpłynął na uchwalenie prawa przeciw wolności myśli i piśma pewnej partii anarchistów francuskich, prawo to było zastosowaniem nie ogłoszenia praw, lecz raczej „Syllabusa“, który korzystanie z pewnych swobód czyni zależnym od wymagań dobra i prawdy społecznej. Socjalizm wreszcie był reakcją systematyczną i jasno określoną przeciw szalonemu rozpasaniu wolności ekonomicznej, do której pchnęło tę ostatnią zniesienie cechów przez zgromadzenie konstytucyjne. I oto w jaki sposób Kościół, walczący przeciw fałszywemu pojęciu wolności, spotykał sprzymierzeńców często bezwiednych i niedobrowolnych, lecz, mimo to, sprzymierzeńców.

To jeszcze nie wszystko... i toby wreszcie nie wystarczyło Kościołowi. Kościół jest przede wszystkim budowniczym, a przepowiadając, o wiele naprzód, nieszczęsne następstwa fałszywych pojęć o wolności i wszechwładzy, usiłował jednocześnie przygotować podstawy przyszłego społeczeństwa. Wysiłki owe rozproszyły podejrzenia, jakie mo-

gła nasunąć bezustanna walka Kościoła przeciw niektórym bożyszczom naszego wieku. Encyklika «*Rerum Novarum*» uwieczyla dzieło. Liberalizm XIX-go stulecia potrzebował sześćdziesięciu lat, żeby przyznać pracującym prawo koalicji, a zapasnicy fałszywej idei wszechwładztwa ludu ani przypuszczali, że w dziedzinie ekonomicznej pracujący mógł posiadać, już nie mówię jakiś cień wszechwładztwa (określenie to zbyt ogólne, wyraża bowiem za wiele lub za mało), lecz ogół gwarancji prawnych, pozwalających mu osiągnąć to, co mu się słusznie należy. „Mów, a jeżeli będziesz miał liczbę, będziesz miał i siłę“. Co cztery lata powtarzano to wszechwładnemu ludowi, lecz to tak wyglądało, jak gdyby chciano położyć nacisk na szyderstwo tych słów, mówiąc do uciemionych członków tego tłumu, zwanego wszechwładnym, którego nieśmiała nędza protestowała przeciwko krzywdom ekonomicznym: „młczcie, bo siła jest gdzieindziej“. Z jednej strony wszechwładztwo raczej w teorii, niż w praktyce, z drugiej niemoc zupełna, okrutna, rzeczywista, wraz z obowiązkiem poddania się jej.

I oto podniosły się głosy, domagające się dla pracujących środków legalnych i słusznego prawa zamiany pracy na kapitał, zreformowania na podstawie tej wspólnej zamiany ustawy zawodowej i zastąpienia w ten sposób nieładu ekonomicznego porządną i rozumną organizacją robotniczą. Słowa te wychodziły z ust katolickich; znalazły one wzniosłe i niezapomniane echo w encyklice „*Rerum Novarum*“. Głosy te, podobnie jak i Kościół, domagały się olbrzymiego rozszerzenia praw niepodległości ludzkiej, rozszerzenia, którego liberalizm nigdy nie przewidział i które usiłował powstrzymać. Kościół, ten klasyczny przeciwnik „wszechwładztwa ludu“, otwierał nowe pole wpływom biedaków, uwzględniając ich pragnienia i skargi.

Przez długi czas, bo w ciągu całego stulecia, uważano Kościół, jako strudzonego wędrowca, postępującego naprzód tylko wskutek rozkazu Boskiego, lecz niezdolnego do śledzenia prądów, które go zalewały, a tem mniej do opanowania takowych. I marzono o ujrzaniu szerokiej, spokojnej i wielkiej rzeki, któraby, opuszczając swe ciche ło-

zysko i oddalając się coraz więcej od Synai, Kalwarii i Watykanu, uniosła z tryumfem wspaniałą arkę nowej ludzkości. Lecz spostrzeżono, że prądy owe wahały się nieco... to się cofały, to znów, czyniąc spustoszenie naokoło siebie, zatrzymywały się w bezowocnych i bezcelowych wirach. I wyobraźnia optymistów nie dostrzegła już tej rzeki, a pod niedającym się powstrzymać naporem całego tłumu zawiedzionych i narzekających, zdawało się, że ściany tej arki pękają... Wówczas to, po za tym zamętem, ujrzano starego wędrowca, który, nie ubiegając się nigdy o względy tego wieku, wyprzedził go jednak. I dzięki jemu właśnie, pomimo minionych katastrof i pomimo tych, które mogą jeszcze nastąpić, wiara w postęp została ocalona. Chełpiliśmy się owem wierzeniem, jak gdyby jaką nowością, a Kościół już oddawna ją uświęcił; pod mianem nadziei zrobił z niego cnotę, a z tej cnoty stworzył obowiązek.

Jerzy Goyau

spolszczył

Ks. Leon Jungowski.



II.

PODZIAŁ ŚWIATA.

Nigdy postęp materialny ludzkości nie był tak szybki, jak w wieku ubiegłym i zdaje się, że najlepiej porównać go można z biegiem szalonym tych pociągów nadzwyczajnych i parowozów pośpiesznych, które w tak zdumiewający sposób zbliżyły do siebie najodleglejsze zakątki naszej kuli ziemskiej. Działalność ras ludzkich, najbogaciej wyposażonych, była podniecana i wzrastała w stosunku, w jakim one rozporządzały środkami mniej lub więcej udoskonalonymi. Życie cywilizowane, skupione w Europie w XVIII-ym wieku, rozszerza się w stuleciu następnem na wszystkie ziemie zamieszkałe. Ludzkość dosięgła granic swego panowania; rasy europejskie stały się, w ścisłym tej nazwy znaczeniu, kosmopolityczne i wskutek tego tak samo życie ogólne, życie moralne i społeczne, jak i życie materialne uległo głębokiej zmianie. Niepodobna w krótkim zarysie wykazać przyczyn i charakteru tego ważnego nadzwyczajfaktu, ani obliczyć jego doniosłość; wystarczy przedstawić czynniki i przebiegi rozszerzania się narodów europejskich, lub pochodzących z Europy, oznaczyć udział każdego z nich w zdobywaniu świata i przedstawić niektóre z wielkich następstw tego głównego dzieła XIX-go wieku.

Począwszy od wieków starożytnych epoki cywilizacji obliczają się według powolnego niekiedy, lecz stałego postępu ludów chrześcijańskich Europy. Narody te zaludniają dzisiaj całą Amerykę i Oceanie, rozdzielają pomiędzy siebie Afrykę i spierają się o Azyę. Zdumiewający ten rozwój, przygotowywany długo przez wysiłki wszystkich wieków, zawdzięcza swe urzeczywistnienie potężnej inicjatywie jednostek. Czasy Kolumba, Gama i Korteza były jednym z tych okresów odległego promieniowania; obecnie przechodzimy inny tego rodzaju okres, którego dzieło jednak jest więcej całkowite i stanowcze.

Niektórzy z tych dawnych „odkrywców,” których najdoskonalszym typem jest Kolumb, służyli dwóm szlachetnym popędom, tak silnym za czasów Odrodzenia: zapalowi religijnemu i gorącemu pragnieniu wiedzy. Lecz niebawem u ich następców wzięła górę chęć zysku. Nastąpiła epoka „konkwistadorów.” Szukali oni w zamorskich stronach złota, cennych korzeni i awantur wojennych. W ten sposób powstało wyszukiwanie krajów świeżo odkrytych. Dziwić się zresztą nie można, że pierwsze narody zdobywcze, Hiszpanie i Portugalczycy, pragnęły wyciągać z nowych swych posiadłości zysk bezpośredni i domagały się od nich złota, coraz rzadszego w Europie, oraz korzeni, nabywanych przez Wenecyan nadzwyczaj drogo od Muzułmanów. W owych czasach kolonie nie stanowiły jeszcze miejsca zbytu wyrobów przemysłowych, ani krajów wchłaniających w siebie nadmiar ludności państwa macierzystego.

W wieku XVII-ym, w systemacie ekonomicznym Colberta, kolonie służą przede wszystkim do dostarczenia metropolii tego, czego wytworzyć nie może ona sama. Pierwszymi kolonistami Ameryki Północnej są wygnańcy religijni lub polityczni; i prawdopodobnie cofnąć się wypadnie aż do przybycia Francuzów do Kanady i do wysp Oceanu Indyjskiego, aby odkryć pierwszy przykład kolonizacji rolniczej.

Dopiero około połowy wieku XVIII-go kwestye kolonialne odgrywać zaczynają w polityce państw europejskich pierwszorzędną rolę. Ponieważ zaś królowie fran-

cuscy nie rozumieją tego objawu Francya traci swe posiadłości zamorskie. W następstwie wojny i prawem zaboru Kanada i Indye przechodzą w ręce Anglików. Stanowi to początek ich bajecznej fortuny kolonialnej.

W chwili, w której się otwiera okres wielkiej kolonizacji współczesnej, około początków wieku ubiegłego, narody europejskie dalekie są jeszcze od zagarnięcia całego zamieszkałego świata. Dzieje odkryć poprzedzają historię kolonizacji. Z Cookiem i Bougainvillem rozpoczynają się wielkie podróże, celem odkrywania nowych lądów; dalszy ich ciąg śledzić można przez cały bieg zeszłego wieku. Wszyscy ci sławni podróżnicy, począwszy od Le Pérouse'a lub Dumonta d'Urville, a skończywszy na Norden-skjöldzie lub André'e'em, wszyscy ci misjonarze chrześcijańscy, którzy często wnikali pierwsi do okolic najodleglejszych, nie są ani zdobywcami, ani poszukiwaczami złota. Ożywia ich cel daleko szlachetniejszy. Są oni pionierami Wiary, wiedzy i cywilizacji. Ich dzieło bezinteresowne, międzynarodowe lub raczej nadnarodowe, umożliwiło dopiero dzisiejszy olbrzymi rozwój kolonialny. Ich podróże były wstępem naukowym i pokojowym do tego podziału świata, który narody europejskie dokonywają przed naszymi oczyma.

Ludzkość naszego wieku wciągnęły na drogę zdobyczy kolonialnych potrzeby jej życia gospodarczego. Zdumiewający ten rozwój nie jest zresztą faktem odosobnionym w całokształcie wypadków naszych czasów. Wiąże się on ściśle z wszelkimi wysiłkami pokoleń europejskich od lat stu. Podział świata nie był wynikiem tej gorączki zdobywania, ogarniającej niekiedy narody młode lub świeżo zjednoczone, nie zależał także od tej lub owej formy rządu; widzieliśmy państwa republikańskie, lub konstytucyjne, zbijające znany aforyzm Montesquieu'sza, że „duszą monarchii jest wojna i zdobycz”. Ułatwiły ten podział, lecz nie wywołały go odkrycia geograficzne i udoskonalenia środków komunikacji. Podziwu godna ambicya cywilizowania i nawracania narodów barbarzyńskich ożywiać mogła Livingstone'a lub Lavigerie'go; nie była jednak czynni-

kiem, popychającym do zdobyczy narody kupieckie Europy dzisiejszej. Zapał apostołski rzucać mógł w świat daleki coraz to nowe zastępy misjonarzy; wzniosła jednak chęć sprowadzenia do owczarni Chrystusa nowych owieczek nie wystarcza już dzisiaj do rozbudzenia działalności rządów.

Wiek zeszyły był zbyt pozytywny i bezpośrednio praktyczny. Mając zaś na oku zysk ekonomiczny, dokładnie obliczony na teraźniejszość i na przyszłość, narody europejskie spierają się tak gwałtownie o posiadanie ziem, niezdobytych dotąd, oraz o opiekę nad ostatnimi, niezależnymi jeszcze narodami. Rozwój kolonialny jest ściśle związany z nowoczesną formą życia gospodarczego. Tajemnica podziału świata spoczywa w tych olbrzymich zakładach, w których skupia się wielki przemysł.

Węgiel i żelazo były w XIX-ym wieku dwoma głównymi czynnikami wytwórczości i bogactw. Węgiel, niezbędne narzędzie przemysłu, przyciągnął do siebie, jak do olbrzymiego ogniska, zarówno bezwładną masę przedmiotów, które przekształcał przy swym ogniu, jak i żyjące mrowisko ludzi, których ujarzmił. Ześrodkowanie przemysłowe było wynikiem nowoczesnej nauki i „węglowej” formy przemysłu. W krajach, posiadających węgiel, produkcja przemysłowa wzrosła do niesłychanych dawniej rozmiarów i przekroczyła znacznie konsumpcję, co wywołało bezwzględną, żywotną potrzebę wywozu. Wielkie kraje przemysłowe, jak Anglia, zmuszone były z konieczności szukać poza swymi granicami rynków zbytu dla wzrastającego stale w olbrzymi sposób przemysłu. Z drugiej znowu strony konsumpcja materiałów pierwotnych, potrzebnych fabrykom, domagała się dowozów, również zwiększających się bezustannie. Wynikiem podwójnej tej potrzeby wywozu i dowozu jest fakt, że narody wytwórcze stały się również narodami handlowymi, morskimi i kolonizującymi. Przykład Wielkiej Brytanii wystarczy za dowód.

Nadmiar wyrobów fabrycznych stanowił więc jeden z głównych czynników kolonizacji nowoczesnej; wychództwo było czynnikiem drugim, zresztą ściśle związanym z pierwszym. Rozwiązanie zjawisk, związanych z życiem

ludów, należy do zadań najtrudniejszych. Nagły wzrost ludności i wypływające stąd wychództwo zależą od całego szeregu przyczyn gospodarczych, fizjologicznych i psychologicznych. Biorąc na ogół twierdzić można, że najwyższy dobrobyt i najostateczniejsza nędza są zwykłymi przyczynami wychództwa. Kraje, w których bajeczny rozwój przemysłu spowodował nagły bardzo wzrost bogactw, dostarczyły wychództwu licznych, przeważnie zdrowych, bogatych i dobrze wyposażonych dla walki o byt żywiołów. W ten sposób Anglo-Sasowie rozprzestrzenili się po całym świecie, zanosząc do najodleglejszych okolic swą czynność twórczą, energię i wytrwałość swej rasy i zdobycze swej cywilizacji. Wychództwo niemieckie wzrosło przede wszystkim po tryumfach wojny z r. 1870. Wywołały je dwie przyczyny, na pozór wręcz ze sobą sprzeczne: pewność siebie, energia i siła rozszerzania się, jaką zapewniają każdej rasie powodzenia wojskowe i wreszcie dokonane zjednoczenie narodowe; z drugiej zaś strony nędza, spowodowana przesileniem rolnem i niemożliwość wyżywienia na ziemiach ubogich płodnej nadzwyczaj ludności. Wychództwo to dosięgło zresztą według wszelkiego podobieństwa swego szczytu około r. 1880. Zmniejszenie się przesilenia ekonomicznego, rozwój przemysłu i handlu spowodowały zmniejszanie się liczby Niemców, opuszczających corocznie piaszczyste okręgi Pomorza i Prus Wschodnich i Zachodnich. Od r. 1870 kilka milionów Niemców, dobrych i silnych, lecz ubogich pracowników, opuściło kraj swój rodzinny. Kolonie niemieckie, świeżo nabyte, bez wyjątku prawie nieurodzajne i niezdrowe (jeśli pominiemy płaskowzgórza Afryki Wschodniej) przyciągnęły drobną zaledwie część tych wychodźców. Ogromna większość skierowała się przez Bremę, Hamburg lub Antwerpię do Ameryki północnej i zachodniej. Wychodźcy ci niemieccy przyczynili się nie mało do rozwoju Stanów Zjednoczonych. Stanowią oni tam obecnie grupę mieszkańców, którzy zachowują swój język, swe dzienniki, swe zwyczaje i nie toną już w masie yankesów. Chicago jest miastem przeważnie niemieckim. Jeśli też ziemia niemiecka nie zajmuje

na kuli ziemskiej zbyt wielkiej przestrzeni, to język i zwyczaje niemieckie, rozpowszechnione wszędzie przez wychodźców niemieckich, austriackich i szwajcarskich, zakorzeniły się dzisiaj na wszystkich prawie wybrzeżach świata zamieszkanego.

Jak dobrobyt, tak i skrajna nędza są doradcami wychodźstwa. Proletaryusz nie przestał nigdy usprawiedliwiać swej nazwy. Tak więc, dzięki tajemniczej solidarności ubogich, siła i przyszłość ras należy się słabym i wydziedziczonym chwili obecnej. Wiek XIX-ty widział, jak nędzni dzierżawcy irlandzcy, sprzykrzywszy sobie oplakany swój żywot na ziemi obcego właściciela, a nadto wygnani przez lichwę i głód z ohydnych swych szalasów, masami emigrowali do Ameryki. Jest ich dzisiaj pięć milionów w Stanach Zjednoczonych a blisko milion w Australii. Świadczą oni przed całym światem o żywotności starego narodu celtyckiego, który mimo wieków i mimo ludzi pragnie pozostać wiernym swej Wierze religijnej i narodowej i zająć w świecie stanowisko, przynależne jego energii i jego cierpieniom. Jest to zaiste zjawisko podziwu godne, to odrodzenie się rasy starożytnej i uchodzącej za wyczerpaną, po zetknięciu się z ziemią dziewiczą i powiewem wolności. Stwierdzić jednocześnie wypada, że jeśli zastępy wychodźców anglo-saksońskich wyszły z wielkiego ogniska przemysłowego w pełnym dobrobycie, to również cała nowa ludność wytworzyła się w następstwie wielkiej historycznej zbrodni Anglii i objęła wśród innych narodów rolę krzewicielki katolicyzmu.

Nędza również wygania z ich gór lub z nizin, przesiąkniętych zabójczymi zarodkami gorączki, chłopów Apulii, Kalabryi i Sycylii. Włochy południowe padły ofiarą jednocy narodowej. Polityka wielkoświatowa i wroga Francji dokonała ruiny. Chłopi królestwa Neapolu, upadający pod brzemieniem podatków, wycieńczeni służbą wojskową, nie mogą już (a przynajmniej nie mogli do niedawna) sprzedawać swego wina do Francji; wypędzani z ubogich swych zagród przez wierzycieli i przez skarb państwowy, wloką się w pożałowania godnym stanie do portów morskich.

Oszukiwani przez obydwa biura emigracyjne, wsiadają na okręty w Genui, Livornie, Hawrze lub Antwerpii i zawijają do okolic odległych, przeważnie do Afryki południowej — gdzie spodziewają się znaleźć grunt urodzajniejszy i rząd mniej chciwy. Wychodźstwo włoskie, pokaźne co do liczby, pod względem jakości nie mało pozostawia do życzenia. Opuściwszy kraj bez wszelkich środków materialnych, wychodźcy zlewali się dawniej z proletaryatem nowej swej ojczyzny, dzisiaj jednak, dzięki swej liczbie, zachowują oni w La Plata i Buenos-Ayres swój język, swe zwyczaje i swe cechy narodowe. Włochy jednak, nie będąc wielkiem państwem wywozowym, nie mogą ciągnąć poważnych korzyści z tych swoich przyrodzonych klientów, rozrzuconych po całym świecie.

Francya nie doznała w wieku ubiegłym ani najwyższego dobrobytu, jak Anglia, ani ostatniej nędzy. Ludność jej, zwłaszcza rolnicza, dzięki wytrwałości, gospodarności i pracowitości, żyła i oszczędzała w czasach, w których srożyły się najstraszliwsze przesilenia. Ludność ta przywróciła do dawnego stanu swe winnice, zniszczone przez filokserę, i ocaliła swą drobną własność. Takt wewnętrzny nie pozwolił jej zwrócić swej energii w stronę zdobyczy zagranicznych. Ludność Francji wzrosła w stosunku bardzo nieznacznym, a co ważniejsza, krew obca zmieszała się z francuską. Francya stanowiła zwłaszcza dla Belgijczyków i Włochów kraj kolonizacji lub przynajmniej cel wychodźstwa. Przypomnieć jednak należy, że Francya dostarczyła przeszło trzecią część ludności Algerowi i Tunisowi. Wzrost był powolny, ponieważ ludność francuska składała się przeważnie z rolników. Zapewne, że kwestya ta jest zbyt powikłana, aby się rozwodzić nad nią w tem miejscu obszerniej. Sposób jednak życia gospodarczego Francji w wieku XIX-ym jest, zdaniem naszym, główną przyczyną słabego powiększania się ludności. Niektóre z naszych dawnych prowincyj górskich i granitowych, jak Bretania, kraje Baskijskie, Wyższe i Dolne Alpy, dostarczyły wychodźtwa najliczniejszych zastępów. Stanowi to cechę ogólną naszych

czasów, że kraje górskie wyludniały się przed innymi. Owerńczycy i Bretończycy zaludnili Paryż i wielkie miasta, Baskowie zaś kierują się wyłącznie ku „Amerykom“, zwłaszcza ku Ameryce południowej. Francuzi i w ogóle narody łacińskie, emigrując, żywią — w przeciwieństwie do Anglo-Sasów, pragnienie powrotu do kraju swego rodzinnego, aby spędzić tu resztę żywota i umierać w tym domku białym, otoczonym ogródkiem, który w odległych stronach nie przestawał budzić ich marzeń i podtrzymywać ich nadziei. To przywiązanie do ziemi rodzinnej jest niewątpliwie do pewnego stopnia wadą, z drugiej jednak strony i siłą. Słyszeć się daje często twierdzenie, że Francuzi nie umieją kolonizować. Sam już przykład Kanady dowodzi, że zdanie to jest błędne. Stwierdzić jednak należy, że rasa francuska w porównaniu ze swymi współzawodnikami, nie zajmuje już tego stanowiska, jakim cieszyła się ongi w świecie, gdy sama Europa Zachodnia i niektóre części Ameryki wkroczyły w obręb cywilizacji chrześcijańskiej.

Wychodźca rosyjski, chcąc zdobywać nowe ziemie, nie potrzebuje wsiadać na pokład okrętów. Od Wołgi aż do morza Japońskiego nie opuszcza on świętej Rosyi. Nie ulega jednak kwestyi, że wychodźstwo powolne, ciche i, jeśli się tak wyrazić można, organiczne wytrwałego i energicznego chłopca ruskiego ku stepom syberyjskim i dolinom nadamurskim, gdzie spotyka on klimat i warunki życia, podobne do swych rodzinnych, przekształciło już w zdumiewający sposób Azyę północną. Blisko pięć milionów Rosyan i przeszło milion Azyatów zruszczonych dokończą w niedalekiej przyszłości dzieła zamienienia Syberyi, kraju Zakaukaskiego i Turkestanu w ziemię rdzenne rosyjskie i chrześcijańskie. Zwłaszcza od otwarcia pierwszych odnog kolei syberyjskiej, wychodźstwo, ułatwione lepszą komunikacją, dosięgło liczb olbrzymich. Wszyscy prawie koloniści rekrutują się z pośród silnych chłopów wielkoruskich, którzy, zdobywszy ziemię swą rodzinną na stepie i na Mongolach, kierują swoją cierpliwą i wytrwałą

pracę ku Azyi. Od morza Kaspijskiego aż do Pekinu dokonywa się obecnie imponujące dzieło „rusyfikacji“¹⁾.

W innym miejscu mówić będziemy o narodach nowych, które z kolei zamieniają się w środowiska promieniowania cywilizacji chrześcijańskiej. Winniśmy jednak poruszyć tutaj ciekawą różnicę. Wśród narodów, których

¹⁾ Ludność polską szal emigracyjny ogarnął względnie późno. Pierwsze jego poważniejsze objawy spostrzegamy dopiero po wojnie francusko-niemieckiej i to wśród Polaków pod panowaniem pruskim. Od roku mniej więcej 1875, za przykładem Niemców, ludność polska z Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego coraz tłumniej wychodzi zaczyna za morze. Punktu kulminacyjnego dosięgło to wychodźstwo w r. 1884, w którym z dwóch wyżej wymienionych prowincyj wyemigrowało 46,666 osób, czyli 22 procent całej emigracji niemieckiej. W przybliżeniu przyjąć można, że liczba Polaków, którzy wyemigrowali w ostatnich dwudziestu kilku latach z Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego za morze, przeważnie do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, wynosi pół miliona głów. W ostatnich czasach osłabło znacznie, jak w ogóle w Niemczech, tak i w dwóch tych prowincjach, wychodźstwo zamorskie.

Nieco później, niż w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich, obudził się ruch emigracyjny wśród ludności polskiej państwa rosyjskiego. I co do tego ruchu nie posiadamy dokładnych danych. Ze statystyki amerykańskiej dowiadujemy się, że od r. 1873 do 1897 przybyło do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki ogółem 722,472 poddanych rosyjskich. Do tej sumy doliczyć jednak wypada dość znaczną w niektórych latach, a zwłaszcza w r. 1891 i 1892 emigrację do Brazylii. W ten sposób otrzymamy, jako ogólną liczbę wychodźców z państwa Rosyjskiego do Ameryki, co najmniej 800,000, z czego na Polaków przypadnie około 300,000. Nadmienić trzeba, że w wychodźstwie tem zamorskiem z Rosyi biorą wyłącznie prawie udział Polacy, Litwini, Finlandczycy, Niemcy i Żydzi. Emigracja zaś, w niektórych latach dość silna, z gubernij czysto rosyjskich kieruje się przede wszystkim do Syberyi.

Przypatrzmy się teraz pojedynczym okresom i objawom wychodźstwa zamorskiego z Królestwa Polskiego. Dane, zebrane w tym przedmiocie przez warszawski komitet statystyczny, wykazują, że wychodźstwo za morze, począwszy od r. 1894, znacznie się zmniejszyło, w porównaniu z pięcioleciem poprzedzającym. W okresie od 1889 do 1894 r. średnia liczba wychodźców, udających się z Królestwa Polskiego do Ameryki, wynosiła blisko 11,000 głów; w r. 1894 liczba ta podniosła się nawet do 17,000 osób. Od roku zaś 1894 przeciętna liczba wychodźców wynosiła rocznie zaledwie 4500.

rozwój kolonialny zmienia przed naszymi oczyma postać świata, jedne wchłaniają w siebie ludność krajową, mieszają się z nią, aby tworzyć nowe narody, inne zachowują nietkniętą czystość krwi i dumę swej rasy. Do pierw-

Co się tyczy udziału pojedynczych gubernij Królestwa Polskiego w wychodźstwie zamorskiem, to najsilniejszy ruch emigracyjny rozwinął się w okolicach graniczących z Prusami. Mianowicie w okresie od 1889 do 1894 r. liczba wychodźców z tych okolic była najznaczniejsza. Pierwsze miejsce pod względem liczby wychodźców, w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców, zajmuje w tym okresie gubernia suwalska, z której od r. 1889 do 1894 emigrowało rocznie na 1000 mieszkańców 5,42 osób, i dopiero po r. 1894 liczba ta spadła na 2,19 na 1000 mieszkańców. Drugie miejsce zajmuje gubernia plocka, w której zarówno w okresie od 1889 do 1894, jak i w okresie, poczynającym się od r. 1894, procent wychodźców nie wiele się różnił od procentu z gubernii suwalskiej. Po gubernii plockiej następuje pod względem ruchu wychodźczego gubernia łomżyńska, w której stosunek wychodźców wynosił w okresie od 1889 do 1894 r. blisko 3 osoby na 1000 mieszkańców, a w okresie następnym 0,84 na tysiąc. Miejsce czwarte zajmuje gubernia kaliska (0,44 do 1,61 na 1000), piąte gubernia warszawska (0,47 do 1,12 na 1000). Wychodźstwo z pozostałych pięciu gubernij Królestwa Polskiego było zarówno w pierwszym, jak i drugim okresie bardzo nieznaczne. Z gubernij tych tylko jedna, a mianowicie piotrkowska, graniczy na pewnej przestrzeni z Prusami. Rozwijający się jednak w tej gubernii pomyślnie przemysł powstrzymał wychodźstwo, zapewniając miejscowej ludności robotniczej korzystny zarobek. Natomiast ożywiony ruch emigracyjny w gubernii plockiej tłoczy się znacznie, niż w którejkolwiek innej okolicy Królestwa Polskiego, liczbą ludności wiejskiej bezrolnej i małorolnej.

Niepodobieństwem jest prawie obliczyć, choć w przybliżeniu tylko dokładnie, udział ludności polskiej w wychodźstwie zamorskiem z Austro-Węgier. Zresztą wychodźstwo zamorskie z Galicyi nigdy nie przybrało poważnych bardzo rozmiarów. Nawet podczas gorączki brazylijskiej liczba emigrantów galicyjskich wynosiła zaledwie 3 na 1000 mieszkańców. Przyjąć można, że w ciągu bieżącego wiaku wyemigrowało z Galicyi do Ameryki ogółem 150,000 osób pochodzenia polskiego.

Podług powyższego zestawienia ogólna liczba Polaków, którzy w ciągu wieku dziewiętnastego udali się do Ameryki, wynosi około 1,000,000, a mianowicie 500,000 z Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego, 300,000 z Królestwa Polskiego i 150,000 z Galicyi. Oczywiście, że liczba ta rościć nie może pretensyi do ścisłości. Zbliża się ona jedynie mniej lub więcej do rzeczywistości, w każdym jednak razie jest prędzej za małą, niż za wielką.

szych zaliczyć wypada wszystkie narody łacińskie (Hiszpanów, Portugalczyków, Francuzów) oraz Rosyan; do drugich — Anglo-Sasów. Cała Ameryka łacińska, Antyle hiszpańskie i Filipiny zaludnione są przez rasy kreolskie o krwi mieszanej lub przez krajowców cywilizowanych al-

Do niezbyt dawna całe prawie to wychodźstwo zamorskie pochłaniały Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, w których też spotykamy dzisiaj liczne i po części rozwijające się dość pomyślnie, zarówno umysłowo, jak materialnie, kolonie polskie. W niektórych miastach amerykańskich, że tylko wymienimy Chicago i Milwaukee, Polacy stanowią poważny procent ludności i zdobyli sobie udział w zarządach miejskich. Istnieje też w Ameryce Północnej cały legion najrozmaitszego rodzaju związków i towarzystw polskich i wychodzi kilkadziesiąt czasopism w języku polskim. W ostatnich jednak czasach pogorszyły się w Stanach Zjednoczonych, wskutek przybierającej i w tym kraju coraz groźniejsze rozmiary walki o byt, warunki dla wychodźców europejskich. Zwłaszcza miejscowa ludność robotnicza spogląda coraz niechętniejszem okiem na napływ niewygodnych, bo pracujących za niższą zapłatę, współzawodników i domaga się natarczywie zatamowania tego napływu. Projektowany też jest, a po części nawet wprowadzony już w życie, cały szereg środków prawodawczych, mających na celu ukrócenie emigracji żywiolów ubogich i niewykształconych. Do takich zaś jednostek należą, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie, wychodźcy zamorscy pochodzenia polskiego.

Po części w następstwie utrudnień, stawianych w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki wychodźcom, przedewszystkiem jednak wskutek agitacji niesumieńczych agentów, główny prąd wychodźców polskich skierował się przed kilku laty do Ameryki Południowej, a w szczególności do Brazylii. Zwłaszcza początki tej gorączki brazylijskiej były nadzwyczaj fatalne. Jedni z tych, oszukanych kłamliwemi obietnicami, wychodźców zmarnieli wkrótce po przybyciu na miejsce nowego swego pobytu, inni, utraciwszy cały dobytek, powrócili jako żebracy do ojczyzny, a nieznaczna tylko część osiedliła się w Brazylii, przeważnie w południowych stronach tego państwa, w Paranie, S-ta Catharina i San Paulo. W ostatnich latach polepszyły się podobno warunki wychodźstwa do Brazylii. Utworzyło się nawet we Lwowie specjalne Towarzystwo, zajmujące się kolonizacją niektórych okolic południowej Brazylii przy pomocy wychodźców narodowości polskiej. W każdym razie emigranci, udający się dzisiaj do Brazylii, nie są już wydani na łup bezkarny niesumieńczych agentów, lecz zasięgnąć mogą poprzednio dokładnych informacji, co do warunków przyszłej swej siedziby, w której nadto spotkają cały szereg, cieszących się po części korzystnym rozwojem, kolonij polskich.

Oprócz powyższych dwóch głównych ognisk, skupiających w sobie główny prąd polskiej emigracji zamorskiej, istnieją jeszcze kolonie polskie

bo na pół cywilizowanych. Więcej też Kubańczycy i Tagalowie filipińscy, niż armie i floty Stanów Zjednoczonych, przyczynili się do wygnania Hiszpanów z dawnych ich kolonij. Francuzi w Kanadzie mieszały się z czerwono-skórnymi, a z tego połączenia się krwi powstały owi mieszane,

w Kanadzie północnej, w Argentynie i w południowej Ameryce, a dalej mniej lub więcej znaczne garstki Polaków, rozproszone po innych częściach świata.

Od lat kilku słabnie coraz bardziej wychodźstwo zamorskie ludności polskiej i to nie tylko z Królestwa Polskiego, ale i z Prus Zachodnich i z W. Księstwa Poznańskiego i z Galicji. Tłómaczy się to po części coraz trudniejszymi warunkami bytu w okolicach zamorskich, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, pochłaniających do niedawna Iwiał część europejskiej emigracji zamorskiej, oraz smutnymi zawodami, jakie spotkały wielu wychodźców, udających się nieogłędnie, bez znajomości tamtejszych stosunków, za morze. Głównej jednak przyczyny zmniejszenia się tego wychodźstwa szukać należy w niezwykłym w ostatnich latach rozwoju przemysłu w Niemczech, a mianowicie w zachodnich prowincjach tego państwa, który zatrudnia coraz większe masy rąk ludzkich. Jednocześnie więc ze zmniejszeniem się zamorskiego, w największej liczbie wypadków, trwałego wychodźstwa wzrasta w olbrzymi sposób czasowa, zarobkowa emigracja polskiej ludności robotniczej do mniej lub więcej oddalonych okolic Niemiec.

Z samej natury rzeczy ruch ten ogarnął przedewszystkiem ludność polską pod panowaniem pruskim, w Prusach Zachodnich i W. Ks. Poznańskim, a następnie przeniósł się i na Królestwo Polskie i Galicję. Wychodźcy ci szukają zarobku albo w wielkich miastach niemieckich, przeważnie w Berlinie, albo w głównych ogniskach przemysłu, w zachodnich prowincjach Niemiec, albo wreszcie przy robotach polnych w środkowych i północnych, po części i we wschodnich okolicach niemieckich. Jakże rozmiary przybiera to wychodźstwo, o tem objaśnia nas najlepiej fakt, że w okresie od r. 1885 do 1895 z jednego tylko W. Ks. Poznańskiego przeniosło się do zachodnich prowincyj Niemiec 119,000 ludzi, że dalej, pomimo nadzwyczaj silnego przyrostu naturalnego, dzięki temu wychodźstwu, ludność wiejska Prus Zachodnich zmniejszyła się w okresie od roku 1882 do 1895 o 4,000 głów.

Wskutek tej emigracji powstały liczne osady polskie w okolicach Niemiec, w których przed niedawnym jeszcze czasem nie słyszano ani słowa polskiego. I tak, Berlin wraz z miejscowościami podmiejskimi liczy obecnie przeszło 70,000 mieszkańców narodowości polskiej. Głównym jednak ogniskiem tej emigracji są okręgi górnicze w Westfalii i prowincji Nadreńskiej. Dość powiedzieć, że dwa powiaty westfalskie Golsenkirchen i Recklingshausen mają obecnie po 20% ludności polskiej (pierwszy 30,000, drugi 28,000). Ogółem zaś liczba Polaków w dwóch tych prowincjach przekracza

którzy stali się pierwszymi pionierami cywilizacji kanadyjskiego Zachodu. Francuzi w Algerze mieszały się, jeżeli nie z Muzułmanami, to przynajmniej z Hiszpanami i Włochami. Rasa wschodnia wytwarza się, na podstawie cywilizacji francuskiej, w francuskich posiadłościach afrykańskich. Rosyanie wchłaniają w siebie nadzwyczaj szybko szczepy syberyjskie. Mieszanina ta wytwarza owe rasy napół indo-europejskie, napół fińskie, które już dzisiaj stanowią najlepsze narzędzie zdobyczy rosyjskich na dalekim Wschodzie.

Na odwrót, wszędzie gdzie się osiedlają Anglo-Sasowie i gdzie klimat pozwala im się rozmnażać, wytipiają oni ludność miejscową (Murzynów Australii, Maorisów Nowej Zelandyi, Czerwonoskórych Ameryki północnej), lub przynajmniej wystrzegają się wszelkiego mieszania się i wszelkiej styczności z tą ludnością. W Indjach np. utrzymuje się bezwzględna różnica pomiędzy zwycięzcami a zwyciężonymi. Tak więc przy kolonizacji przez narody łacińskie spostrzegamy „europeizowanie“ krajowców, a przez rasę angielską—ujarzmianie lub wytipianie. Przyszłość okaże, jaki udział w panowaniu nad światem przeznaczony jest tym rasom mieszanym lub „europeizowanym“. W każdym jednak razie wypadało poruszyć przynajmniej te dwa naturalne, a tak odmienne sposoby przebiegu kolonizacji europejskiej.

W dziejach rozprzestrzeniania się ras europejskich po świecie złoto odgrywało rolę potężnego czynnika. Z jednego dnia na drugi „gorączka złota“ przyciągała tłumy ludu do okolic przedtem jałowych i bezludnych. Rozumie się samo przez się, że w naszym wieku gorączkowej walki o byt pragnienie bogactw, dających się zdobyć od razu i bez trudu, popchnęło ludzi wykolejonych i znużonych

100,000. Potworzyły się też, zwłaszcza w Westfalii, liczne stowarzyszenia polskie, a w rdzennie niemieckim do niedawna mieście westfalskiem Bochum, wychodzi obecnie dziennik polski («Wiarus»), liczący kilka tysięcy abonentów. Nie zgrzeszymy przesadą, jeśli, jako ogólną liczbę Polaków, przebywających obecnie w okolicach niemieckich, przyjmujemy 300,000. Pochodzą oni w ogromnej większości z Prus Zachodnich, W. Ks. Poznańskiego i Szlązka, w nieznacznej części z Galicji i Królestwa Polskiego (*Dop. Tłómacza*).

w walce z życiem ku okolicom, w których wypadkiem odkryto obfite i niewyczerpane pokłady cennego kruszcza. Te zastępy ludzi, których pragnienie złota rzuciło z niewyczerpaną siłą w ziemie dziewicze, ożywiły je i użyzniły, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. „Miasta—grzyby“ powstawały wśród pustyni; koleje żelazne dowoziły do nich tłumy wychodźców; cała cywilizacja nowoczesna z jej komfortem i zdobyczami naukowymi przeniosła się jednym zamachem do tych odległych okolic. Ruch ten datuje się od r. 1848, gdy „poszukiwacze złota“ rzucili się na złote pola Kalifornii i szal spekulacji ogarnął publiczność europejską. Od r. 1850 do 1860 ludność Kalifornii podniosła się z 90,000 na 380,000 głów. W r. 1851 odkrycie złota w górach Błękitnych Australii wywołało nowy „ruch“. Ballarat, Bendigo, Melbourne stały się wielkimi miastami. Zaludnienie Australii wzrosło obecnie od 1851 do 1861 r., z 430,000 na 1,253,000 głów. Przed niezbyt dawnym czasem wychodźstwo skierowało się ku kopalniom dyamentów Kimberleya i ku żyłom złota Witwatersrandu (w Transwaalu). Miasta pobudowano w lodowatych pustyniach Alaski i Klondyki i w skwarnych stepach Australii zachodniej. Tak więc złoto, które przyciągało niegdyś ku wybrzeżom Nowego Świata okręty „konkwistadorów“, stanowi i w naszych czasach potężny czynnik, sprowadzający do krajów nieznanych mieszany tłum wychodźców. Poezya opiewała Kortezów, Pizzarów i ich towarzyszków: „Pijani marzeniem bohaterskim i brutalnym!“ Któż jednak opisze walki ukryte, straszliwe współzawodnictwo, wszelkie zbrodnie zazdrości, pożądliwości i nędzy, wszelkie zepsucie i wszelkie szaleństwa, jakie pociąga za sobą bogactwo niespodziewane lub nagły zawód? Niema nic smutniejszego nad dzieje tych wypraw do krajny złota. Być jednak może, że okropności te stanowią wykup za postęp ludzkości. Porządek i cywilizacja zajęły już miejsce bezładnej części instynktów podnieconych i namiętności rozpasanych.

Istnieją widoczne podobieństwa pomiędzy sposobami kolonizacji u pojedynczych narodów nowoczesnych, metody jednak i rozwój zmieniały się odpowiednio do potrzeb krajowych kolonizujących i położenia geograficznego okolic kolonizowanych: Charakter jest ogólny, zmiany poszczególne. Rzućmy okiem na jedne i na drugie, aby otrzymać ogólny obraz ruchu kolonialnego, nie zapominając jednak, że obrazy syntetyczne są z samej natury rzeczy niedokładne, oraz że, chcąc je upraszczać nadmiernie, narażamy się na niebezpieczeństwo wykrzywania prawdy.

Jeden jedyny wyraz rzuca na metody kolonizacji nowoczesnej światło nadzwyczaj silne. Była ona „kapitalistyczna“ czyli czynnikami jej były warunki obecnego życia ekonomicznego. W największej liczbie wypadków kolonizacja stanowiła „przedsiębiorstwo“. Kapitałiści szukali za morzami korzystnej lokacji dla swych pieniędzy, i jeżeli rządy zajęły się prawie zawsze zdobywaniem i zarządaniem, to eksploatacja, wyzyskiwanie wszelkich bogactw kolonii, była dziełem kapitałów spółkowych. Towarzystwa „Chartered“, którym rząd angielski udzielił olbrzymie przestrzenie w Afryce, są założone i kierowane na wzór wielkiego domu handlowego. Bardziej jeszcze typowy jest przykład olbrzymiego przedsiębiorstwa, jakie Belgijczycy prowadzą nad Kongiem. Sposoby reklamy kupieckiej przeniosły się do polityki kolonialnej. Anglicy odznaczają się zdolnością „lansowania“ kolonij, jak się „lansuje“ nową markę czekolady. Stanley, powróciwszy ze swych podróży, dał przykład takiej reklamy, aby uczynić modną Afrykę podzwrotnikową. Australia, przedewszystkiem zaś Afryka południowa zawdzięczają dzisiejszy swój dobrobyt w znacznej części niepohamowanej spekulacji na miny złota. Eksploatacja nowego kraju zaczyna się od ogłoszenia pożyczki. Więcej niż za pomocą broni, kolonizuje się dzisiaj przez banki i koleje żelazne. Biorąc też na ogół mniej chodzi o kolonizowanie, niż o wyciąganie w jaknajkrótszym czasie z danego kraju wszelkich bogactw, jakie są w nim

ukryte. Bank ułatwia zakładanie przedsiębiorstw przemysłowych, dostarczających ładunku okrętom, oraz domów handlowych, wywożących wytwory krajowe. Wielkie linie żelazne, przebiegające całe lądy, nie tylko zawożą kolonistów do nowych ziemi i towary ojczyście odbiorcom najbardziej oddalonym, ale zmieniają także warunki gospodarczego życia świata i drogi ogólnej wymiany. Towarzyszą one kolonizacyi, a nawet ją poprzedzają. Amerykańska „Transcontinental“ obudziła życie w odległych okolicach „Far Westu“. Nowe ogniska ludności powstały wzdłuż kolei, przebiegającej Kanadę. Kolej syberyjska ożywi niebawem Azyę rosyjską i wywoła przewrót w wymianie pomiędzy dalekim Wschodem a Europą. W Chinach Rosyanie założyli najpierw banki rusko-chińskie; następnie każde z mocarstw, walczących z sobą o wyciąganie jak największych korzyści z państwa niebieskiego, domagało się koncesyi na budowę kolei żelaznych. W Afryce Anglicy dążą wszelkimi środkami do budowy linii kolejowej z Kapu do Kairu, a we Francyi kwestya kolei przez Saharę stoi na porządku dziennym. Parowóz stał się głównym czynnikiem rozwoju kolonizacyi europejskiej, najważniejszym narzędziem eksploatacyi świata i przewodnikiem cywilizacyi.

Tak więc sposoby europejskiego rozszerzania się kolonialnego przedstawiały pewien charakter stałości. Każde jednak z wielkich mocarstw zmuszone było zmieniać zastosowanie tych sposobów, odpowiednio do warunków geograficznych i gospodarczych swego rozwoju. Należy więc, badając kolonizacyę nowoczesną, uwolnić się od wszelkiego dogmatyzmu i wystrzegać ustanawiania reguł stałych, dających się zastosować do wszystkich narodów i wszystkich klimatów. Lepiej więc starać się o poznanie przyczyn naturalnych, przyczyn doświadczalnych polityki kolonialnej poszczególnych krajów.

Jedną z nauk obecnego wieku polega na fackie, że narody, które pierwsze wskazały drogę do nowych światów, powoli zostały z nich wyparte. Rozpoczynający się już w wieku XVIII-ym upadek potęgi zamorskiej Hiszpanów i Portugalczyków dokonywa się przed naszymi oczy-

ma. Wojna kubańska stanowiła smutny epilog tej tragedyi dziejowej. Zrujnowana licznymi wojnami, wyczerpana przez złą administracyę i zatruta na wszelkich polach życia narodowego przez operetkowy parlamentaryzm Hiszpania nie miała już siły do przekształcenia swych metod kolonizacyi, ani do utrzymania pod swem panowaniem krajów zaludnionych przez nią i użyzniętych. Upierała się przy dawnych swych błędach i nie przyznawała swym koloniom ani samorządu politycznego, ani wolności handlowej. Należy zresztą zwrócić uwagę na to, że system ten monopolu nie jest sam w sobie niedorzecznością, oraz że wszystkie mocarstwa kolonialne stosowały go po kolei z korzyścią i powodzeniem; nie da się on jednak przeprowadzić przez rząd słaby i w obecnych warunkach życia ekonomicznego. Niezależnie od tego, sama natura gruntu i środków Hiszpanii nie pozwalają jej zamienić się w wielki kraj przemysłowy i handlowy. Około r. 1825 uwolniła się cała Ameryka romańska, ostatnia zaś wojna odebrała Hiszpanom Kubę, Porto-Rico i Filipiny. Z owego państwa Karola V-go, w którym „słońce nie zachodziło“, pozostały jedynie drobne, rozrzucone odłamki. Portugalia, której marynarze około końca XV-go wieku puścili się tak odważnie przez oceany, posiadała niegdyś na wszystkich prawie wybrzeżach świata, od Chin aż do Brazylii, kantory dla swego handlu i porty dla swych okrętów. W naszych jednak czasach współzawodnictwa gospodarczego, kraj ten nie ma już ani dość kapitału, ani dość kolonistów, ani dość żołnierzy i pancerników, aby utrzymać się na stanowisku wielkiego państwa kolonialnego. Siły materialnej i bogactw — nie męstwa, zabrakło ojczyźnie Serpy Pinta. W tym samym czasie, co kolonie hiszpańskie, i Brazylia odłączyła się od kraju macierzystego, „jako owoc dojrzwały odłącza się od drzewa“. Jeśli zaś przed kilku laty nie udało się Portugalii połączyć dwóch swych części posiadłości afrykańskich w jedno państwo kolonialne, to przypomnieć sobie należy, że powstrzymało ją od tego zamiaru jedynie skandaliczne nadużycie siły i pogwałcenie prawa. Jako potęgi kolonialne, Hiszpania i Portugalia nie

wchodzą już dzisiaj w rachubę. W dziejach jednak podziału świata zachować należy tym pracownikom pierwszej chwili stronę zaszczytną. Cała część świata zaludniona, narody dzikie ucywilizowane, wytworzonych więcej, niż dziesięć państw, które niewątpliwie nie znalazły dotąd swej równowagi politycznej ani pełnego rozwoju ekonomicznego, którym jednak uśmiecha się przyszłość — oto dowody siły i płodność twardych szczeptów, zamieszkujących półwysep Iberyjski.

W przeciwieństwie do kolonizacji hiszpańskiej panuje zwyczaj wysławiania „liberalnych“ praktyk Anglii, uchodzącej w oczach niektórych teoretyków za stałą i niezmienny typ państwa kolonizacyjnego. W rzeczy też samej, dzięki niesłychanym powodzeniom, Wielka Brytania stała się w wieku bieżącym królową mórz i innych światów. Czy jednak w zastosowaniu specjalnych, wybornych metod szukać należy źródła tego panowania gospodarczego, którego wynikiem a jednocześnie i czynnikiem był rozwój kolonialny Anglii? Na samym wstępie zaznaczyć wypada, że najpiękniejsze dzisiejsze kolonie angielskie zdobyte zostały „prawem mocniejszego“, nie na murzynach i na dzikich, lecz na Francji, Holandji i Hiszpanii. Dopiero po swym pojedynku z Napoleonem Anglia zagarnęła panowanie nad morzami i koloniami. Siła lądowa i morska stanowiła przez cały ciąg bieżącego wieku najskuteczniejsze narzędzie wzrostu potęgi angielskiej. Na zasadzie tego samego prawa siły, Portugalczycy ograbieni zostali w Afryce podzwrotnikowej, a Francuzów wygnano z nad brzegów Nilu. Stałość polityki zagranicznej, przewidującej, realistycznej, jedynie zajętej rozwojem narodowym, ponieważ rozwój ten był warunkiem samego życia narodowego, stanowiła jeden z głównych czynników powodzenia Wielkiej Brytanii. Same nawet namiętności rewolucyjne, tłumione u siebie i łagodzone odpowiednimi reformami, a podniecane i wyzyskiwane na stałym lądzie Europy, stały się w rękach Pitta i Palmerstona (wymieniając wyłącznie zmarłych) wybornym przyrządem do niepokojenia świata na korzyść Anglii. Angielscy mężowie stanu odznaczali się tą

najwyższą przezornością, że kierowali wszelkie siły i środki ku jednemu celowi handlu i przemysłu, a zaprzęтали jednocześnie uwagę mocarstw kontynentalnych wojnami lub targami wewnętrznymi, które zużywały ich siły i krepiły politykę. Z podziwu godnym przewidywaniem następstw i przezornością zajęte zostały punkty, panujące nad głównymi drogami morskimi; morza stały się rzeczywistą „posiadłością Albionu“, i na wszystkich wybrzeżach świata pojawił się sztandar brytański. Jedna i ta sama polityka, prowadzona przez wiek cały i obsługiwana przez pierwszorzędnych mężów stanu, niezaprzeczona przewaga na morzu, posiadanie na wszystkich morzach kuli ziemskiej wielkich ognisk handlu międzynarodowego — oto przyczyny zdumiewającego rozwoju kolonialnego Anglii. Zważyć jednak należy, że tę politykę kolonialną nakazywała i nakazuje Wielkiej Brytanii natura jej życia ekonomicznego. Wywóz wyrobów fabrycznych, a tem samem i posiadanie licznych rynków zbytu stanowi warunek istnienia Anglii przemysłowej. Tak samo położeniem gospodarczym zjednoczonych królestw tłómaczą się zjawiska nadmiernego wzrostu ludności i emigracji, poruszane już przez nas poprzednio, a dalej i tak nagły wzrost nowych państw: Australii, Kanady i in. Słyszcy się często twierdzenie, że Anglicy udają się chętnie do odległych swych posiadłości, które zaludniają, Francuzi zaś nie emigrują do swoich kolonij. Nie zwraca się jednak uwagi na to, że wielkie kolonie angielskie (Australia, Nowa-Zelandya, Kanada, Przylądek Dobrej Nadziei) są krajami o klimacie umiarkowanym, w którym Anglosasowie spotkali warunki sprzyjające ich życiu i ich rozmnażaniu się. Francuzi zaś utracili, wiadomo w jaki sposób, swe kolonie o klimacie umiarkowanym około końca XVIII-go wieku. Trzeba było sięgać po inne zdobycze i często zadawałniać się okolicami podzwrotnikowemi, zabójczemi dla europejczyka. Stawiany Francuzom zarzut organicznej niezdolności kolonizowania jest niesłuszny. Dowodzi tego powodzenie francuskiej pracy kolonialnej w Algierze i Tunisie, oraz szybkość jej postępów na Madagaskarze.

Przyroda obszarów zajętych — oto jeden jeszcze z czynników powodzenia Anglo-Sasów. Skoro się znaleźli w okolicach podzwrotnikowych, gdzie Europejczyk z trudnością żyje, a pracować nie może, jak w Indyach, Anglicy ograniczyli się na prowadzeniu handlu. Intensywność jednak życia gospodarczego metropolii szybko uczyniła korzystną tę eksploatację. Przedewszystkiem też w krajach tego rodzaju Anglicy posługiwali się chętnie systemem wielkich towarzystw akcyjnych. Wiadomo, że stara kompania indyjska rozwiązana została dopiero w r. 1858, oraz że inne towarzystwa, a mianowicie towarzystwo południowo-afrykańskie (głośna „Chartered“ Cecylja Rhodesa), towarzystwo Nigru, towarzystwo angielskie wyspy Borneo — utworzone zostały celem eksploatacji okolic podzwrotnikowych, nowozbadanych. Ustrój polityczny, ustanowiony przez Anglików w ich koloniach, ulegał również zmianom, odpowiednio do natury kraju. Nie wszędzie stosowali oni jeden i ten sam system „liberalny“, któremu ich kolonie zawdzięczać mają swój rozwój. W krajach zaludnionych w znacznej części przez Anglików lub Europejczyków, jak pojedyncze kolonie australijskie, Nowa Zelandya, Przylądek i kolonie sąsiednie, Kanada, wyspa św. Maurycego, rząd angielski przyznał swobodę polityczną i samorząd prawie nieograniczony. Przyznać trzeba, że przykład wybicia się na wolność Stanów Zjednoczonych przestrzegał dostatecznie przed niebezpieczeństwem innej polityki. Swoją drogą rozumna przezorność, więcej niż doktryna „liberalna“, nakazywała przyznać tym koloniom ustawę samorządu. Związano węzeł polityczny możliwie lekko, zgodzono się na to, że kolonie bronią swej produkcji przemysłowej za pomocą taryf celnych, stosowanych nawet do wytworów angielskich, a to w celu, aby wśród kolonistów nie powstała myśl zerwania więzów i domagania się zupełnej swobody. Wiele jednak kolonij, zwłaszcza kraje eksploatowane, są albo rządzone bezpośrednio przez urzędników kolonii, jak Indye, albo oddane towarzystwom uprzywilejowanym. Gdzieindziej jeszcze Anglia pozostawiła panowanie

księżętom krajowym, nad którymi dzierży prosty protektorat (Nepol, Birma i in.).

Tak więc rozbiór faktów dowodzi, że niema w ogóle metody kolonizacji angielskiej, poza którą istnieć jakoby nie mogą kolonie, cieszące się pomyslnym rozwojem. Wypadało uczynić to zastrzeżenie przed wykazaniem, jaki udział w dziele angielskiego rozwoju kolonizacyjnego biorą temperament i energia Anglo-Sasów. Zwyczaje życia społecznego i rodzinnego, wychowanie, przedewszystkiem zaś warunki narodowego życia gospodarczego zrobiły z Anglików obywateli świata i rzuciły ich w ogromnej liczbie do krajów nowych. Wielkie zalety energii cierpliwej, wytrwałości chłodnej i męstwa rozważnego, cechujące tę rasę, zużyte zostały w należyty sposób w życiu za morzami. Anglicy przywieźli tam także ze sobą system rządu oszczędnego, wystrzegającego się pomnażania liczby zbytecznych urzędników i wysyłania do kolonij rozbitków kraju macierzystego i niedobitków polityki. Administracya kolonij angielskich jest znakomita; urzędnicy służą koloniom, a nie kolonie urzędnikom. Przyczynia się to nie mało do powodzenia Anglo-Sasów. Ale i tutaj wystrzegać się należy przesady i nie sądzić, że cały rozwój kolonialny w Brytanii jest naturalnym wytworem energii osobistej i ukształtowania „partykularystycznego.“ Inicytywa osobista była jednym z czynników powodzenia, lecz nie wystarcza ona do wyjaśnienia go. Okoliczności i konieczności, oraz, jak się ktoś wyraził słusznie, szereg „wypadków szczęśliwych“ przyczyniły się co najmniej tyle, co ludzie do zrobienia z Anglii pierwszego mocarstwa XIX wieku.

Sposoby rozszerzania się wpływu rosyjskiego sprzeciwiają się prawie punkt za punktem metodzie kolonizacji angielskiej. Ale tak samo, jak Anglicy, i Rosyanie nie postępowali według teorii urobionej z góry i niezmiennej. Okoliczności historyczne, położenie geograficzne i warunki ziemi kolonizowanych wskazywały im sposoby, jakie stosowali. Lecz najpierw wyjaśnić wypada, co znaczy „kolonizować“. Syberya, tak samo jak Turkestan i kraj Zakaspijski, nie jest kolonią, lecz jedynie przedłużeniem

Rosji. Rząd Cesarski, symbol widoczny jedności rosyjskiej, kierował dziełem kolonizacji, a niekiedy i wprost je nakażywał. Wysyłał on do Syberyi skazańców, przestępców politycznych i sekciarzy religijnych. Jak purytanie w Stanach Zjednoczonych, tak w Rosji znaczna liczba „raskolników“ spełnia rolę pionierów cywilizacji słowiańskiej w Azji. Administracja niekiedy wywołuje ruch kolonistów, ale ona też postanawia, gdzie się osiedlić winni. Chodzi tutaj o kolonizację rolniczą. Nie jest to ludność robotników płatnych, których nadmiar opuszcza ojczyznę; nie jest to również emigracja chłopów, których nędza wygania z ich ognisk domowych. Chłop rosyjski posiada zdolność historyczną do łatwego osiedlania się wśród jednostajnych obszarów stepowych i w ogóle wiele przymiotów kolonisty. Wyrusza on ze swą religią, ze swą rodziną, swemi narzędziami. Czy się osiedla nad Donem, Wołgą, czy nad odległymi brzegami Leny, byt jego jest jeden i ten sam, a nadto pozostaje on zawsze pod prawem Cesarza. W ten sposób wzrasta z dniem każdym i ustala się owa olbrzymia potęga, którą czeka w XX wieku doniosłe posłannictwo.

Niema więc dogmatów kolonialnych. Przykład Anglików i Rosyan i odmiennosc ich sposobów postępowania dowodzi tego dostatecznie. Każdy naród może i winien posiadać swą metodę, a raczej swe metody; zmieniają się one bowiem w przestrzeni względnie do krajów kolonizowanych, a w czasie stosownie do warunków życia gospodarczego metropolii. Stosując w ten sposób swe wysiłki do przyrody swych posiadłości, Holendrzy potrafili tak znakomicie administrować i wyzyskiwać ogromne swe państwo kolonialne na oceanie Indyjskim. Kolonizacja amerykańska, lub kanadyjska w „Far Wescie“ nagięła się również do szczególnych warunków rozpoczętego dzieła. Wreszcie i Bismarck, wprowadzając Niemcy na drogę rozwoju kolonizacji, nie troszczył się wcale o jakiegokolwiek teoryje, lecz pragnął jedynie przemysłowi niemieckiemu otworzyć rynki zbytu za morzami i zdobyć kraje, do których mógł by odpłynąć nadmiar ludności rzeszy.

My, Francuzi, umieliśmy w zdumiewający sposób zdobywać nowe i bogate kolonie. Skoro jednak przyszło do wyciągania z nich odpowiednich korzyści, zbyt często traciliśmy czas na rozprawy teoretyczne, zamiast badać sumiennie każdą z naszych posiadłości, najpierw samą w sobie, a następnie w jej stosunkach do kraju macierzystego. Lubujemy się nadmiernie w jednolitości i biurokratyzmie. Ponieważ system protektoratu uwięziony został skutkiem pomyślnym w Tunisie, przeto zaszczepialiśmy go niezwłocznie, co prawda na chwilę tylko, na Madagaskarze, gdzie okazał się zgubnym. Biorąc na ogół nie jesteśmy kolonizatorami dość praktycznymi. Sława większych zdobyczy nęci nas więcej, niż rzeczywistość wielkich zysków. Zdobycze były potrzebne, obecnie nadszedł czas wyzyskać je w odpowiedni sposób. Aby jednak wytworzyć państwo kolonialne, rozwijające się pomyślnie, na to potrzeba (dowodził by tego przykład Anglii i Rosji, gdyby nie wystarczał prosty zdrowy rozum) polityki zagranicznej stałej, rozumnej, prawdziwie narodowej, finansów uporządkowanych i parlamentu pracowitego. Należy zabezpieczyć nasze kolonie przed zarzą polityków, którzy zagrażają już ruiną naszym pięknym wyspom Antylskim. Potrzeba urzędników nielicznych, lecz przyzwyczajonych do klimatu, obeznanych z językiem i zwyczajami kraju, w którym mają przebywać, kontrolowanych surowo i wspierających stale i rozumnie kolonistów i kupców. Rzeczą wreszcie jest niezbędną za pomocą wszelkich środków wzbudzać zaufanie w kapitałach francuskich, które dziś jeszcze obawiają się zbyt oddalonych przedsięwzięć. Obawa ta kapitalistów stanowi główną przyczynę powolnego naszego rozwoju kolonialnego. Bez ich współudziału wszelki zamiar wyzyskania naszego państwa kolonialnego spełźnie na niczem, lub przyczyni się jedynie do obciążenia budżetu państwowego. Nie należy zamykać oczu na błędy naszej organizacji, jednocześnie wystrzegać się trzeba wszelkiego pesymizmu. Nasze dzieło kolonialne nie chybiło celu. Przeciwnie, w Algerze i Tunisie, w Indo-Chinach, na Madagaskarze powodzenie nasze wzbudza podziw wśród cudzoziemców. Wystrzegajmy się zresztą porówny-

wań zwodniczych. Nie zapominajmy, że Francya pozostała bądź - co - bądź krajem rolników, oraz że kolonizacya nie polega wyłącznie na zapewnieniu rynków handlowi. Kolonie rolnicze rozwijają się jak grzyby, powodzenie zapewnić im może jedynie powolna praca. Rozpoczęliśmy dzieło na daleką metę, czasowi pozostawić należy troskę o jego dokonanie, a gorączka obecna rozszerzania się i eksploataowania nie powinna nas oslepić ani powstrzymywać od oceniania wyników już osiągniętych. Zdziałaliśmy wiele, a dokonali- byśmy cudów, gdyby wysiłki rodaków naszych nie parali- zowała co chwila niepewność naszej polityki wewnętrznej i niestałość naszej polityki zagranicznej. Jeśli dzieło nasze nie jest zupełne, jeśli metody nasze były do pewnego stopnia wadliwe, to przyczyn szukać należy w ogólnym zamęćcie naszego życia narodowego w wieku bieżącym.

* * *

W początkach wieku XIX obie Ameryki były pokryte już, przynajmniej na wybrzeżach, koloniami europejskimi, bądź to wolnemi, bądź też pozostającymi jeszcze pod panowaniem swych krajów macierzystych. Z wyjątkiem Gu- yany i kilku wysp Antylskich wszystkie te kolonie wywal- czyły sobie niezależność. „Dominion of Canada“ jest w grun- cie rzeczy krajem autonomicznym, który łączą z Bryta- nią więzy tak słabe, że nie można ich uważać za krę- pujące. W Ameryce dokonało się dzieło kolonizacyi we- wnętrzej. Każde z państw, zasilane przez wychodźców europejskich, odkrywało, eksploatowało i zaludniało powoli ziemie nieznanne, znajdujące się w jego granicach. Tak więc Amerykanie północni i Kanadyjczycy posuwają się aż do Pacy- fiku. Brazylijczycy są w drodze ku środkowi olbrzymiego swe- go państwa i t. d. Dzieło dobiega tym sposobem do swego kre- su. Narody, które dokonały go tak znakomicie, jak Stany Zjednoczone, zwracają obecnie na zewnątrz nadmiar swej energii, głoszą, że Ameryka nie jest już krajem kolonizacyi europejskiej, i dziwną koleją losów stają się same koloniza- torami; wypowiadają wojnę Hiszpanii i zabierają jej Kubę

i Porto-Rico. W Ameryce podział, jeśli nie zaludnienie świata, jest faktem dokonany.

To samo powiedzieć można o Oceanii. W koloniach au- stralijskich i nowo-zelandzkich dokonywa się w spokoju roz- wój organiczny. Zatargi o wyspy Karolińskie w r. 1885, świeżo o Samoę nie posiadają poważniejszego znaczenia, dowodzą jedynie, jak wielką wagę mocarstwa przywiązują do posiadania najmniejszych nawet obszarów zamorskich. Kwestye jednak wielkie, jeśli je tak nazwać można, są już załatwione.

Uwaga świata kieruje się na Azyę i Afrykę. Około r. 1800 Anglicy, spadkobiercy i grabiciele Francuzów, do- kończyli podboju Dekkanu, a Rosyane rozpoczęli ku ocea- nowi Spokojnemu ów długi pochód, który ich zawiódł w końcu aż do bram Pekinu. Cały jednak Zachód Azyi stanowił nietkniętą dziedzinę Islamu, a cały Wschód należał do rasy żółtej. Powolne cofanie się Islamu przed armiami europejskimi i stopniowe uwolnienie narodów, podległych dawniej Turcyi, łączy się ściśle z podziałem świata pomię- dzy cywilizowane narody chrześcijańskie. Współzawodni- etwo wielkich mocarstw utrzymało fikcyę nietykalności pań- stwa Otomańskiego. Francya jednak i Rosya, pierwsza w Afryce, druga w Azyi, toczyły walkę z państwem mu- zułmańskim i około połowy naszego wieku ujarzmiły dwóch bohaterów islamizmu, Abd-el-Kadera i Szamila. Zdo- były one olbrzymie przestrzenie, w których miliony ludzi wyznają wiarę w proroka.

Dzieło Rosyi w Azyi, długo przygotowywane, a uwię- czone od razu świetnem powodzeniem, stanowi jeden z naj- bardziej zdumiewających przykładów podboju i asymilacyi, jakie znają dzieje. Bez przerwy, z podziwu godną wytrwa- łością monarchowie rosyjscy odbywali ten „pochód ku Wschodowi“, który zdaje się być hasłem, odziedziczonym przez wielkie ludy chrześcijańskie. To na Kaukazie, to znów w stepach Turkestanu i śniegach Pamiru, to nad brze- gami Amuru, na pograniczu Chin, polityka i oręż rosyj- ski nie przestawały ani na chwilę posuwać się naprzód. Zatrzymani u bram Konstantynopola zawikłaniami kwestyi

wschodniej, Rosyanie szukali nad zatoką Perską i w Chinach „morza wolnego,“ którego natura i ludzie odmawiali im stale na Zachodzie. W ślad za żołnierzami postępowali koloniści, rusyfikując mieszkańców i powołując szczypty koczownicze pod sztandar Wielkiego Białego Cara. Koleje zakaukaska i syberyjska, wielkie wozy podboju, są jednocześnie niezrównanymi czynnikami dobrobytu gospodarczego. Droga żelazna, którą Annienków posunął do podnóża gór Iranu i do Ferghanu, stanowiła pierwotnie drogę strategiczną, zamieniła się jednak bardzo szybko w środek kolonizacji; a podwójne jej znaczenie, gospodarcze i polityczne, zwiększy się jeszcze z chwilą, gdy przekroczy ona granice płaskowzgórza Persyi, aby zaprowadzić parowozy rosyjskie aż do wybrzeży zatoki Perskiej. Co się tyczy owej wielkiej linii, która wkrótce będzie ukończona, i dzięki której przestrzeń oddzielającą Pekin od Europy przebyć będzie można w dwa tygodnie, to wywoła ona rewolucję podwójną. Najpierw kolej ta zamieni Syberję w ogromne ognisko uprawy zbóż i hodowli bydła, dalej zaś, co ważniejsza, przedłużona przez koleje chińskie, wniknie w samo serce krajów, produkujących herbatę, bawełnę i jedwab, i zapewni ogromnym bogactwom centrum państwa nową i daleko krótszą drogę wywozu. Ukończenie kolei syberyjskiej stanowić będzie ważną bardzo datę w dziejach gospodarczych świata.

Nieustannie to staczanie się „lodowca rosyjskiego“ ku morzom cieplejszym zawiera w sobie coś fatalistycznego, co dałoby się porównać z majestatycznymi zjawiskami sił przyrody. Z wysokości szczytów Hindukuszu i Pamiru potężna ta lawina zagraża panowaniu angielskiemu w Indyach. W Afganistanie, w Persyi, w Chinach walka rozpoczęła się pomiędzy dwoma olbrzymami. Pochód ku oceanowi Indyjskiemu, który zwolnił od chwili, gdy daleki Wschód pochłania całą uwagę Rosyi, będzie na nowo podjęty, a wówczas ujrzy, być może, świat ów sławny pojedynek pomiędzy „niedźwiedziem a wielorybem,“ przepowiadany od tak dawna przez proroków politycznych.

W rzeczy też samej od południa Anglicy dążą na spotkanie Rosyan. Dokonali oni w naszym wieku podboju Indyj i dotarli do „granic naukowych“ tego kraju, to jest do gór Himalajskich, do Pamiru i do gór Solimanu. Przekroczyli je nawet; zajęli Beludżystan i położyli swą rękę na wybrzeżu Mekranu. Opiekując się imanem Maskatu, intrygując w Persyi, wzniecali wojnę w Afganistanie, aby zagrozić drogę Słowianom. I na Wschodzie przekroczyli oni granicę półwyspu, zagarnęli Birmanię i zajęli całą część zachodnią Indo-Chin. Są oni sąsiadami Francuzów nad górnym Mekongiem, rywalami ich w Syamie i francuskimi współzawodnikami w Yun-Nan. Tak więc cały olbrzymi obwód oceanu Indyjskiego aż do grzbietu lądu azyatyckiego jest w rękę Anglików. Anglia przyniosła Indyjom jednocześnie z porządkiem politycznym i dobrobyt gospodarczy, lecz nie dokonała dzieła ich zaludnienia i asymilacji: klimat nie pozwolił na to. Tymczasem Rosyanie są u siebie i rozszerzają się, jak kropla oliwy w krajach posiadających tę samą przyrodę, co ich kraj własny. Anglicy są w Indyach i pozostaną zawsze cudzoziemcami; zagraża im w każdej chwili powstanie 150 milionów Hindusów, których trzyma w posłuszeństwie kilka tysięcy żołnierzy i urzędników.

Panowanie Francuzów w Indo-Chinach jest dziełem zbyt świeżem, aby je już dziś można ocenić należycie. Organizacja i eksploatacja tej kolonii nie są jeszcze ukończone; w każdym jednak razie dosięgnęliśmy już kresu naszych zdobyczy. Kochinchina, Kambodża, Annam, Tonkin i Laos tworzą wspaniałe państwo, które odgranicza Mekong (konwencja z d. 4 maja 1894 r.) i którego życie ekonomiczne i działalność handlową uregulują pomyślnie budujące się obecnie koleje żelazne. Stać się ono może samo w sobie dość bogatym, aby nas wynagrodzić za ofiary w ludziach i pieniądzach, złożone w jego interesie. Po za tem państwo to otwiera nam jedne z wrót państwa niebieskiego.

Posiadłości rosyjskie w Azji północnej i kraje zajęte na południu przez Anglików i Francuzów tworzą krąg olbrzymi, otaczający masę związłą i martwą państwa Chińskiego.

skiego. Pomiędzy dwoma ramionami tych kleszczy olbrzymich obraca się „kwestya dalekiego Wschodu“. Otwarcie Chin dla handlu, przyznane Europejczykom obszary, porty, koleje żelazne i kopalnie — oto najważniejszy wypadek ekonomiczny ostatnich kilku lat. Wojna z r. 1895 i niespodziewane zwycięstwo Japończyków odkryły światu i wskazały chciwości mocarstw i nieuleczalną chorobę państwa niebieskiego. Nagle więc wszystkie państwa handlowe rzuciły się ku olbrzymiemu temu rynkowi, dotychczas zaledwie do połowy otwartemu, gdzie trzy, czy cztery sta milionów ludzi zamienić się mogą w wytwórców materiałów pierwotnych i odbiorców wytworów fabrycznych. Niezwłocznie więc rozpoczęło się wyzyskiwanie Chin przez Europejczyków, Amerykanów i Japończyków.

Następnie, w dwa lata później, zamach Niemców na Kiao-Czau otworzył nową fazę kwestyi dalekiego Wschodu. Zaczęto odtąd mówić o podziale Chin, a przynajmniej o nakreśleniu w nich „sfer wpływu,“ lub eksploatacyi. Rzeczą zdaje się być pewną, że w każdym razie najlepsza część przypadnie w udziale Rosyanom. Są oni już panami całej Mandżuryi, a w Korei wpływ ich równoważy się wpływom Japonii. Zajęli i ufortyfikowali kraniec Liaotungu, stanowiącego klucz strategiczny do zatoki Peczili. Kolej ich strategiczna dosięgnie portu Artura i Pekinu. Tak samo, jak Rosyanie, lecz z mniejszą korzyścią, Anglicy i Francuzi posiadają podstawę terytoryalną do gospodarczego podboju Chin. Anglicy starają się wniknąć do Yun-Nan przez Birmanię. Muszą oni wówczas przebywać olbrzymie góry, aby dotrzeć do okolicy średnio tylko bogatej. Wybrali sobie więc inne punkty zaczepne. Z Hong-Kongu okręty ich płynąć mają w górę Si-Kiangu. W Szangaju władając ujściem Jang-tse-kiangu panują nad naturalnym odpływem najgłówniejszego ogniska produkcji chińskiej. W Wei-hei-wei wreszcie posiadają na przeciwko portu Artura i bliskiego Pekinu stanowisko strategiczne, zawieszono nieco „w powietrzu“, lecz mimo to bardzo silne.

Francya panuje w Tonkinie nad jednym z ujść w Chinach

południowych. Wtargnąć ona stamtąd może do Yun-Nan i Kuang-Si, gdzie otrzymała koncesyę na budowę kolej żelaznych. Wysilek gospodarczy Francuzów stanie się jednak dopiero wówczas prawdziwie owocnym, skoro koleje, których budowę rozpoczęto, skierują handel tych okolic do Tonkinu i dotrą pewnego dnia do wielkiej arteryi Jang-tse-Kiangu, dokąd zmierza od północy linia Pekin-Han-Kou, budowana przez syndykat francusko-belgijski. Przyszłość Francyi na dalekim Wschodzie może i winna być nadzwyczaj świetna, jeśli potrafi zrozumieć potrzeby obecne polityki i zagarnąć, dopóki czas jeszcze, swoją część.

I inne narody przybiegły ku starym, otwierającym się obecnie Chinom. Niemcy uczepiły się półwyspu Szengtung, tej Bretanii chińskiej. Zajęły one piękną zatokę Kiao-Czau i gotują się popchnąć do wnętrza kraju swe koleje żelazne. Włochy nawet mieszają się do pożądanego koncertu wielkich mocarstw. Amerykanie zagarnęli świeżo Filipiny w pobliżu wybrzeży chińskich, Japończycy pochłonęli już Formozę i przygotowują się za pomocą rozumnej i zręcznej polityki do roli, jaką im w przyszłości odegrać wypadnie na dalekim Wschodzie. Mimo jednak tych pozorów, godzina podziału Chin jeszcze nie wybiła. Nie rozbija się dowolnie państwa o 400-tu milionach mieszkańców. Zarysowują się jednak „sfery wpływów“ a raczej działalności handlowej. Rosya panuje na północy, Francya na południu, Anglia w środku, Niemcy w Szantungu. Nie wróżąc o przyszłości, wolno jednak twierdzić, że eksploatacyja i uruchomienie bogactw Chin spowoduje w świecie prawdziwy przewrót gospodarczy. Chiny staną się rynkiem olbrzymim — ostatnim wielkim rynkiem międzynarodowym, otwartym dla wyrobów przemysłu europejskiego, aż pewnego dnia, za pomocą tego ducha naśladownictwa, cechującego Chińczyków, Chiny przerabiać poczną na miejscu swe materiały surowe i wytwarzać same to wszystko, czego wymagają ich potrzeby. Oto rzeczywiście „niebezpieczeństwo żółte“ w przyszłości!! Bądź co bądź, wkroczenie Chin w obręb polityczny i gospodarczy narodów europejskich stanowi fakt najważniejszy kilku lat ostatnich.

Ze wszystkich kontynentów Afryka, mało wyposażona od przyrody, pozostała najdłużej niezbadaną. O nią też toczyły się w ostatnich czasach najzaciętsze spory, zakończone nadzwyczaj szybkim jej podziałem. Anglia, Francja, Niemcy, Portugalia, Włochy, Belgia nawet odbywały, zwłaszcza od konferencji berlińskiej (r. 1884), prawdziwe wyścigi ku tajemniczym okolicom Afryki środkowej. Dzieło badania i podboju, rozpoczęte przed wiekami, zakończyło się w przeciągu lat zaledwie dwudziestu. Pozostaje jeszcze w Afryce kilka „kwestyj“, które poróżnić mogą mocarstwa i wywołać zatargi, lecz wszędzie prawie umowy dyplomatyczne ustanowiły granicę i ograniczyły cheiwości narodów.

W dziejach podboju Afryki wypada pozostawić osobne miejsce kolonizacji francuskiej w Algerze i Tunisie. Życie krajów, położonych na północnem wybrzeżu Afryki, było zawsze związane z losami narodów południowo-europejskich. Woda łączyła je ze wszystkimi krajami na wybrzeżach morza Śródziemnego, gdy Sahara odzierała od Afryki środkowej. Rozpoczęty w r. 1830 podbój Algeru, ukończony mniej więcej w r. 1871, dopełniony został w r. 1881 ogłoszeniem protektoratu Francji nad Tunisiem. Kolonia ta nieznała tych nagłych napływów ludności, jakie miny złota przyciągały do niektórych krajów anglo-saksońskich. Mimo jednak grubych błędów, mimo braków przedsiębiorczości u Francuzów i niezręczności ich administracji, mimo dekretu Cremieux'go (ustanawiającego emancypację żydów) Algier i Tunis rozwijały się stale i pomyślnie. Jako kraj uprawny, kolonia ta wzrastać mogła jedynie powoli przez wytwarzanie się, pod opieką żołnierzy, ludności rolniczej: „ense et aratro“, jak mówił bohater legendowy wojen afrykańskich. Ludność francuska powiększa się tam dzisiaj przewyżką narodzić, czego nie widzimy już w kraju macierzystym. Liczba krajowców, zwłaszcza wśród kabylskich rolników, zwiększyła się znacznie po podboju. Na południu rozszerzanie dokonywa się powoli — zbyt powoli — ku oazom Sahary, których zajęcie jest niezbędne, celem zapewnienia pokoju w pustyni i bezpieczeństwa handlowi, od-

bywającemu się przy pomocy karawan. Bądź - co - bądź Francuzi dokonali w Algerze i Tunisie wielkiego i owocnego dzieła, przynoszącego zaszczyt ich talentowi kolonizatorskiemu a jednocześnie rządowi, które ponad wszystko stawiały potrzebę patriotyczną rozwoju kolonialnego swej ojczyzny.

Jeśli się pominie kraj Magrebu, to twierdzić można, że aż do r. 1875 Europejczycy osiedlali się wyłącznie na wybrzeżach Afryki. Prawie też nagle, pod naciskiem ówczesnych potrzeb gospodarczych, narody wytwórcze i handlujące starały się wtargnąć do wnętrza czarnego lądu. Po pierwszych podróżach Stanley'a i dzięki olbrzymiej reklamie, zorganizowanej naokoło jego imienia, Afryka stała się odrazu modną. Rozpoczął się podział, a w miarę zaostrenia się współzawodnictwa pragnienie zdobyczy stawało się gorętsze. Z większą jeszcze zaciętością niż o ziemię, walczono o drogi wodne, o rzekę Niger, Kongo, Zambesi, Nil. W krajach bowiem podzwrotnikowych mniej chodzi o podbój, niż o eksploatację, mniej o zaludnienie, niż o handel, mniej wreszcie o przestrzeń obszarów zdobytych, niż o ich położenie i wartość gospodarczą.

Od chwili, w której się obudziła gorączka podbojów, mocarstwa europejskie starały się porozumieć ze sobą, celem nałożenia hamulca na wzajemne swe pożądlivości, a jednocześnie rozwiązania zadań humanitarnych. Konferencja przeciwniewolnicza w Brukselli z r. 1876 założyła „Stowarzyszenie międzynarodowe“, mające na celu pracę nad słumieniem niewolnictwa. Niebawem jednak stowarzyszenie znikło, aby ustąpić miejsca „Komisyi badań górnego Konga“, i szybko dążenia humanitarne poszły w zapomnienie, wobec interesów handlowych. Wolne państwo Kongo zostało utworzone w rękach Belgijczyków i pod kierunkiem Leopolda II „Państwom międzynarodowe“, które winne było wykorzenie w Afryce środkowej raka niewolnictwa, stało się ogniskiem eksploatacji handlowej i przedsiębiorstwem finansowem. „Stacye szpitalne“ zamieniały się w posterunki wojskowe, a administracja starała się przedewszystkiem zagarnąć cały handel porzeczka Konga i rozszerzyć no-

we państwo aż do Wielkich Jezior i Nilu. Belgijczycy odważni i przedsiębiorczy popychali szybko swe przedsiębiorstwo i pobudowali kolej żelazną z Loango do Stanley Pool. Zapomniano wprawdzie o wytepieniu niewolnictwa, państwo Kongo zyskało jednak zasłużoną sławę „dobrego interesu“.

W r. 1884 konferencja berlińska ustanowiła formalności w sprawie posiadłości afrykańskich zajmowanych lub protegowanych. Ogłosiła ona swobodę żeglugi na rzekach afrykańskich i określiła teorię „hinterlandu“ w ten sposób, że zajęcie części wybrzeża Afryki daje prawo do panowania nad okolicami, stanowiącemi niejako przedłużenie tego wybrzeża ku wnętrzu lądu. Przepisy te były rozumne, pozostawały jednak zwykle martwą literą, gdy sprzeciwiały się interesom silniejszego. Tak „Kompania angielska Nigru“ zamknęła rzekę przed oficerami francuskimi (Mizon w r. 1891), tak dalej teoria „hinterlandu“ została przez Anglików brutalnie złamana w ich zatargu z Portugalia. Biorąc na ogół „prawo mocniejszego“ rządziło tym pośpiesznym podziałem Afryki i rozporządzało samowładnie wszelkimi krajami.

Co przedewszystkiem rzuca się w oczy na karcie Afryki, to fakt, że kolory, oznaczające posiadłości angielskie i francuskie, pokrywają większą część lądu. Francuzi przeważają na zachodzie i północy, Anglicy przeciwnie na południu i wschodzie. Tu i owdzie wielkie plamy wskazują państwo Kongo i posiadłości świeżo nabyte przez Niemców, lub pozostałe przy Portugalczykach. Francja posiadała od dawna ujście Senegalu, wysepkę Gorée, faktorye w wielkim Bassamie, w Assynii i na wybrzeżu Dahomeju. Jeśli się ze wszystkich tych punktów, rozrzuconych w szerokim półkolu wzdłuż wybrzeża Atlantyku, wkroczy do wnętrza zgodnie z teorią „hinterlandu“, to dotrze się zawsze do doliny Nigru. Dosięgnięcie też tej wielkiej arterii Afryki zachodniej powinno być celem wypraw Francuzów. Pierwszy Faidherbe, gubernator Senegalu od r. 1852 do 1865 r., zaczął powiększać i organizować tę kolonię. Ustalił on francuskie panowanie nad całym porzeczem Senegalu i rozpo-

czął przeciwko wodzom muzułmańskim, gnębiącym kraj, tę długą i sławną seryę wojen, które wzięcie do niewoli Samory'ego zakończyło tak świetnie. W r. 1883 pułkownik Borgnis-Desbordes dotarł do Bamaku nad Nigrem, w dzieśięć lat później żołnierze francuscy wkroczyli do Tombuktu; wyprawa z r. 1892 położyła kres samodzielnemu istnieniu Dahomeju. Szereg układów z Anglikami i Niemcami oddzielił posiadłości Francji od kolonii Sierra-Leone i wybrzeża Złotego, oraz od posiadłości „Royal Niger Company“ i kraju Togo. Wszystkie te układy zapewniały — przynajmniej na papierze — połączenie pojedynczych posiadłości Francji na tyłach kolonij obcych.

Pochód ku wschodowi od wybrzeża Atlantyku stanowił hasło francuskiego rozszerzania się w Afryce. Posiadanie Konga, zdobytego dla Francuzów przez Brazzę i jego następców, zapewniło pionierom wpływu francuskiego, wnioskującym aż do okolic Wielkich Jezior i górnego Nilu, drogę bezpośrednią do Ubangi. Wkroczyli oni na tę drogę z zapalem. Jedni z nich (Maistre, Gentil i in.) dotarli do jeziora Czad i dosięgli posiadłości francuskich nad Nigrem. Inni szukali celu nieskończenie ważniejszego, niż zdobycie kilku stepów lub kilku pustyń, a mianowicie pragnęli płynąć w górę rzek Ubangi i Bomu aż do ich źródeł, dotrzeć do Nilu przez Bar-el-Ghazal i tam w sercu Sudanu podać rękę wyprawom, które wyruszyły z kolonii francuskiej Dżibuti i odwiedzić kraje negusa Menelika. Umysły mężne, które powzięły ten plan, zrozumiały, że tam nad górnym Nilem rozstrzygnie się przyszłość Afryki. Sądzić było można przez chwilę, że od zatoki Gwinejskiej do zatoki Oboku Francja połączy swe posiadłości, że w ten sposób jej oficerowie pokrzyżują i wyprzedzą olbrzymie projekty Anglii. Gdyby do osiągnięcia tych wielkich planów wystarczało samo bohaterstwo, połączone z cierpliwością i rozumem, to Liotard, komendant Marchand i jego towarzysze stali w zupełności na wysokości żądania... Inaczej jednak chciała smutna polityka... Konwencja z d. 21 marca 1899 r. przyznała Anglii, pospołu z absolutnem panowaniem nad Nilem, państwo afrykańskie od Kapu do Kairu.

W każdym razie nie ulega już dzisiaj najmniejszej wątpliwości, że dzieło podboju jest ukończone. Od Algeru aż do ujścia Konga i od Saint-Louis do granic Darfuru francuskie państwo afrykańskie tworzy jedną bryłę — przynajmniej w teorii. Z drugiej strony Afryki dawne bardzo prawa Francuzów, oraz wyprawa z r. 1895 zapewniły im panowanie nad Madagaskarem. Rozumna i korzystna administracja generała Galieni'ego uspokoiła tę wielką wyspę i przygotowała ją do tego, że stać się może ogniskiem eksploatacji rolniczej i handlowej. Tak więc nadeszła chwila wyzyskiwania rozmaitych, bardzo nierównych pod względem urodzajności, części olbrzymich francuskich posiadłości zamorskich. Pierwszem dziełem, oczekującym Francuzów, jest otwarcie dróg komunikacji. Droga najkrótsza i najpraktyczniejsza na Nigrze dolnym jest w rękach Anglików, Francuzi więc muszą albo posługiwać się Senegalem, aby dotrzeć do górnego Nigru i wykończyć kolej żelazną z Kayes do Bamaku, albo płynąć w górę rzeki Volty, albo wreszcie wybudować przez Saharę, przy trudnościach niedających się być może pokonać, swą sławną kolej saharijską, której korzyści są więcej niż wątpliwe. Jeśli Francuzi potrafią wyciągnąć odpowiednie korzyści z obszarów, jakie im zdobyło bohaterstwo żołnierzy, białych i czarnych, to przyszłość ich kolonij w Afryce może być świetna. Nie należy jednak zadowalać się podbojem, trzeba badać wartość rzeczywistą każdej części posiadłości kolonialnych, szukać korzyści praktycznych i poświęcić się stanowczo, metodycznie, z rozumną przezornością nowemu zadaniu daleko twardszemu od podboju, eksploatacji i rozwojowi gospodarczemu Afryki francuskiej.

Od południa, od północy i wschodu Anglicy wtargnęli do czarnego lądu. Dokonali podbojów tych Indyj afrykańskich, potrzebnych handlowi brytańskiemu, jako rynek zbytu dla jego wywozu. Na południu mieli silny punkt oparcia w kolonii Przylądka i koloniach sąsiednich, o klimacie umiarkowanym, bogatych i zamieszkałych przez liczną ludność europejską. Pierwsza przeszkoda nasunęła się w ich pochodzie ku północy w rzeczypospolitej Bur-

skiej, zaludnionej przez potomków kolonistów holenderskich, wygnanych swojego czasu przez Wielką Brytanię z Przylądka i wtłoczonych w dolinę rzeki Oranie. Anglicy próbowali kilkakrotnie bądź to zmiażdżyć drobny i dumny ten naród, bądź też go wchłonąć w siebie. Za każdym razem zamiary ich rozbiły się o niezłomny opór tej energicznej rasy, i nie mogąc złamać przeszkody, odwrócili ją, zabezpieczając Burom ich prowincje zachodnie i przecinając im dostęp do morza. Pod silnym naciskiem Cecyla Rhodesa pochód ku Wielkim Jeziorom odbywał się w dalszym ciągu. Wobec bezsilnej Portugalii, która połączyć pragnęła swe posiadłości afrykańskie, zbyteczne były wszelkie ostrożności. Brutalne ultimatum, a po niem wymuszony układ rozdzieliły państwo afrykańskie Portugalii na dwie części, a posunęły posiadłości angielskie nad Zambezem aż do Tanganajki.

Na północy Afryki błędy rządu francuskiego pozwoliły Anglikom zająć Egipt. Pod pozorem przywrócenia porządku w Sudanie, wojska angielskie, posuwając się w górę Nilu, rozbijając armię derwiszów i zmuszając na drodze dyplomatycznej drobny oddział Marchanda do opuszczenia Faszody, dotarły w tym roku do tak zwanej prowincji podzwrotnikowej. Cała dolina Nilu stała się łupem Anglików.

Zresztą i inne wyprawy dotarły do Wielkich Jezior. W r. 1887 Stanley wyparł z nad brzegów jeziora Wiktorji Niemca Emina baszę, który uporezywie trzymał się w tej prowincji. Pozwolono zginąć Gordonowi, nie śpiesząc mu z pomocą. Zdawało się, że cały Sudan wpadnie w ręce derwiszów, aby następnie „prawem zwycięzców“ przejść w posiadanie Anglików. W r. 1891 kapitan Lugard mordował murzynów katolickich Ugandy, uchodzących za poddanych francuskich, i przyłączył bogate prowincje Wielkich Jezior do posiadłości angielskich. Odtąd posiadłości angielskie Sudanu i nad Zambezem były przedzielone już tylko długością jeziora Tanganajka, oraz krajem, gdzie pomiędzy punktem północnym tego jeziora a jeziorem Edwarda-Alberta granica niemiecka dotyka państwa Kongo. Drobna

to przeszkoda, którą usunie lada chwila porozumienie z Niemcami lub z państwem Kongo i która nie zapobiegnie wykończeniu owej sławnej linii kolejowej z Kapu do Kairu, posuniętej już od północy do Kartumu a dosięgającej od południa Buluwayo.

Tak więc Anglia zagarnęłaby panowanie nad całą Afryką wschodnią, od Aleksandryi aż do Przylądka Dobrej Nadziei, gdyby Niemcy nie założyli byli na tyłach Zanzibaru swej kolonii, Afryki wschodniej, i gdyby, co ważniejsza, dwa państwa niezależne Transwaal i Abisynia nie wznosiły się jeszcze na drodze z Kapu do Kairu, jak dwie skały, które otaczać może fala łamiąca gwałtowny jej napór. Dziwnem zrządzeniem losów Anglia spotyka na swej drodze jedynie dwa chrześcijańskie narody tuziemcze lub oddawna osiedlone, jakie mieści w sobie Afryka: Etyopię i państwo Burów, z sławnymi ich kierownikami negusem Menelikiem i prezydentem Krügerem. Upadek jednego i drugiego z tych państw zdaje się być zdecydowany. Godzinę tego upadku wskazuje niecierpliwy zegarek Chamberlaina.

Nie brak więc przy brzasku XX-go wieku zarzewia zatargów. Niepokoi świat kwestya, czy Transwaal obroni swą niezależność, czy też zostanie pochłonięty przez Anglię. Ważniejsze jeszcze jest pytanie, czy Menelik pobity zostanie przez połączone siły Anglików i Włochów, lub czy Abisynia utrzyma się przy swej niezależności i pod opieką Rosyi i Francyi stanowić będzie jedyne wielkie państwo tuziemcze w Afryce. Istnieje dalej kwestya marokańska, która zaostrić się może lada chwila. Wreszcie ostatnie słowo nie zostało jeszcze wypowiedziane w Egipcie. Nil i kanał Suezki są drogami międzynarodowemi, tak samo jak cieśnina Gibraltarska. Leży to w interesie wielkich mocarstw, aby te drogi były otwarte, nawet w razie wojny, dla handlu wszechświatowego. Bądź-co-bądź, Europejczycy wtargnęli obecnie do wszystkich części Afryki, im zaś gwałtowniejsze są ich spory, tem szybciej dokonywa się przekształcenie kraju. Niezbyt ludzka, niekiedy wprost barbarzyńska, eksploatacja dzisiejsza zapewni w końcu światu

afrykańskiemu postępowi ku cywilizacyi. Afryka wkroczyła w zakres życia cywilizowanego, w dziedzinę chrześcijaństwa. Odtąd życie jej i losy związane są ściśle z losami narodów europejskich.

* * *

Kończąc ten pobieżny opis rozszerzenia się działalności ras europejskich w tym wieku i podboju kuli ziemskiej przez europejczyków, pragnęlibyśmy przekonać, że stoimy wobec faktu olbrzymiego, którego nieobliczone następstwa, pod względem kulturalnej doniosłości, przewyższają o wiele przewroty, spowodowane w XVI-ym wieku odkryciem nowych światów. Zabłyśła jutrzienka czasów nowych.

Podział świata i rozszerzenie się ras europejskich wywołały kompletny przewrót we wszelkich warunkach życia ogólnego. Życie ekonomiczne, życie polityczne, życie społeczne, życie umysłowe całego świata przekształca się i rozszerza w miarę, jak się powiększa zakres wpływu cywilizacyi chrześcijańskiej. Niepodobieństwem jest rozwodzić się w tem miejscu obszerniej nad rewolucyą ekonomiczną, jaka się dokonała skutkiem odkrycia tyłu okolic dziewiczych i uruchomienia tyłu bogactw uspiionych dotychczas. Zaznaczyć jednak wypada, że początkowo w przewrocie tym Anglia, dzięki przewadze gospodarczej, najwybitniejszą odgrywała rolę. Pierwsza ona stosuje swe życie ekonomiczne do nowych potrzeb świata; zaniedbuje rolnictwo, aby zaopatrywać kraje nowe; przyciąga do siebie wszystkie ich materiały surowe, a zalewa je swymi wytworami fabrycznymi. Sama jedna około połowy bieżącego wieku wyposażona w narzędzia, potrzebne do zwycięskiej walki ekonomicznej, głosi przez usta Kobdena wolność handlu. Później zarysował się prąd nowy, zagrażający przesileniami. Wzmaga się współzawodnictwo. Wszystkie wielkie państwa, a przedewszystkiem kraje nowe, starają się wytwarzać same, wyrabiać wszystko, co potrzebne jest do ich życia, przerabiać u siebie swe materiały surowe. Celem swobodnego rozwoju swych źródeł przyrodzonych, państwa te zamykają swe granice za pomocą odpowiednich

ceł, budzą na nowo do życia, dla obrony swych interesów ekonomicznych, ów „kolbertyzm“, do niedawna tak wyszydzany. W ten sposób powstawać zaczyna w świecie pewien rodzaj równego poziomu. Każde państwo stara się żyć z własnych swych zasobów, wytwarzać jak najwięcej, a kupować jaknajmniej u obcych. Dokonywa się ogólna decentralizacja przemysłu i handlu, przygotowująca nowy podział bogactw i zagrażająca przekraczającemu wszelką miarę powodzeniu ekonomicznemu Wielkiej Brytanii.

Cywilizacja, tak samo jak barbarzyństwo, ma swoje okrucieństwa. Wojna jest jedną z jej narzędzi. Niszczy ona całe rasy ludzi, lub zatruwa i ogłupia je przez alkohol; miażdży je pod brzemieniem robót gorszych od niewolnictwa; pustoszy lasy odwieczne, wytopia zwierzęta żyjące w swobodzie i pozbawia uroku poetycznego kraje dzikich, oszpecając je kolejami żelaznymi, fabrykami, handlem gorączkowym. Mimo jednak wielu pozorów przeciwnych, dokonywa się postęp i rośnie dobro. W tem miejscu wskazałoby wypadało na dziwne przeciwieństwo, że narody groźnie uzbrojone do walki jutrzejszej naradzają się na kongresie uroczystym nad stałym sądem rozjemczym i marzeniem o pokoju wiecznym. W tem także miejscu podnieść należy podbój pokojowy, dokonywany z pobożną wytrwałością przez misjonarzy, przeważnie katolickich i francuskich: — misjonarze angielscy byli zbyt często narzędziami polityki i agentami handlowymi. Zliczyćby wypadało męczenników i ocenić żniwo dusz. Misjonarze również zdobywają świat dla pokojowego tryumfu Krzyża. Narody dzikie znikają lub cywilizują się. Walka o panowanie nad duszami rozgrywa się pomiędzy kilku wyznaniem. Przewidzieć już można chwilę, w której, jak niegdyś zapowiedziano, wszystkie narody świata jeśli nie przyjęły jeszcze, to w każdym razie usłyszały już Ewangelię.

Następstwa podziału świata z punktu widzenia społecznego, a mianowicie z punktu widzenia organizacji pracy, położenia robotników i wysokości płacy, stanowiłyby mogły przedmiot całego dzieła. Robotnik „złoty“, oddany na usługi kapitałów europejskich lub amerykańskich, i wy-

nikająca stąd obniżka płacy, jest jednym z zagadnień chwili bieżącej. Współzawodnictwo ogólne w produkcji gospodarczej zdaje się prowadzić nas do pewnego rodzaju względnego zrównania warunków pracy, do zrównoważenia płacy robotników. Zaczyna się wytwarzać norma ogólna, zarówno dla produkcji, jak i dla rozdziału bogactw. Okazuje się też coraz wyraźniej, że żadne prawo ochrony lub organizacji pracy nie będzie skuteczne, jeśli pozbawione jest charakteru międzynarodowego. Wszystko rozstrzyga się dzisiaj w dziedzinie życia ekonomicznego i jak praca Hindusa i Chińczyka zagraża tkaczowi w Lancashire, tak sprzęt zboża na równinie rzeki Missuri, Gangesu lub Dniepru odbija się aż na chatach chłopów francuskich.

Tak więc olbrzymia przemiana dokonywa się w świecie. Wywiera ona wpływ swój na wszelkie gałęzie działalności ludzkiej. Wypracowana przez wiek ubiegły, przygotowuje dla wieku, otwierającego swe podwoje, nowe warunki bytu. W obliczu podobnej rewolucji nie wolno wielkiemu narodowi, dbałem o jutro i zazdrośnemu o swe stanowisko w świecie, zakładać ręk w bezczynności, choćby go nawet zaprzętały inne potrzeby i pochłaniały inne troski. Polityka kolonialna stanowi jedną z konieczności chwili obecnej. Pomimo wielu błędów i zawodów, pomimo pożałowania godnego braku ciągłości w tej akcji zagranicznej, Francja posiada państwo kolonialne dość wielkie, być może za wielkie, dla swej działalności. Nadszedł obecnie czas, aby je wyzyskać. Przedewszystkiem jednak wypadałoby wziąć udział w tej trosce jutrzejszej, w tym podziale wszystkich części kuli ziemskiej, aby nie pominąć, jak to uczyniła Wenecja w XV-ym wieku, narodzin nowych czasów.


René Pinon.

Spolszczył

Kazimierz Puffke.

III.

NARODY NOWE.

dkryta przez Europę w wieku XV-ym Ameryka, począwszy od tego okresu, zapelniała się koloniami europejskimi. Około końca wieku zeszłego i w ciągu bieżącego stulecia wszystkie prawie te kolonie uwolniły się z pod panowania swych macierzystych krajów. Najpierw więc odzyskały swobodę kolonie angielskie (w r. 1776), skoro doszły do świadomości, że bronić się mogą skutecznie i same rządzić sobą; następnie kolonie hiszpańskie i portugalskie od r. 1809 do 1825, gdy wojny rewolucyjnej francuskiej i pierwszego cesarstwa, przeciąwszy ich komunikację z Hiszpanią i Portugalią, przyzwyczyły je do samodzielności. Kolonie te stały się państwami i utworzyły, a przynajmniej starają się utworzyć, narody. Odtąd otwiera się rasom europejskim nowa przyszłość, z nową ojczyzną z tamtej strony Atlantyku.

Hiszpanie byli pierwszym narodem, który niegdyś otrzymał w darze od Opatrzności, za pośrednictwem Krzysztofa Kolumba, świat nowy — wspaniałą nagrodę jego waleczności i wytrwałości w zdobywaniu na wrogu Wiary Chrystusowej kawałka świata starego. Nadużywszy jednak tego daru, tracą go obecnie. W krajach, które stały się ich własnością, szukali wyłącznie złota. Aby je zdobyć, dręczyli

bez miłosierdzia i sprawiedliwości krajowców, których winni byli cywilizować i nawracać na Wiarę św.; w następstwie jako zdumiewająca i słuszna kara, złoto w ten sposób przez nich nabyte stało się — stwierdzają to wszyscy ekonomiści — jedną z przyczyn własnego ich upadku.

Swoją drogą, uciskając okrutnie narody, które ujarzmili z takim gwałtem, Hiszpanie i ich pobratymcy Portugalczycy nie wytępiili ich jednak. Bądź to, że, w przeciwieństwie do szczepów indyjskich w Ameryce północnej, pierwotni ci mieszkańcy wielkich państw Azteków i Inkasów byli zbyt liczni i zbyt dobrze zorganizowani, aby zniknąć bez śladu, a rasy łacińskie nie wystarczały do zaludnienia zdobytych terytoriów, bądź też, że ożywieni zupełnie innym duchem apostołowie, towarzyszący zdobywcom, stawiali niejakię przeszkodę wybrykom tych ostatnich i ocalali zwyciężonych, głosząc im Ewangelię — dość, że utworzyły się narody, w których krew hiszpańska zmieszana się z indyjską. Na nieszczęście nowym tym narodom stara Europa wszczepiła więcej swe wady, niż swe cnoty: wady, które je zepsuły, zanim doszły do dojrzałości. Zdobywając niezależność, nie odrodziły się, i katolicyzm, choć panujący u nich z wyłączeniem wszelkich innych wyznań, okazał się bezskutecznym. Kościoły tych narodów, przyniesione do nich z za morze przez rządy, które nie łącząc się z herezyą, trzymały się jednak zdaleka od Rzymu; córki Kościoła rzymskiego, lecz nie przestrzegające wcale węzłów żywych ze swą matką: gałązki suche oddzielone od pnia, nie były w możności zapobiedz zepsuciu. Zepsucia tego nie ustrzegły się nawet one same. Dzisiaj, gdy znikają odległości, Rzym zwraca się ku nim, a one zwracają się ku Rzymowi. Leon XIII-ty zachęcił je do zbadania się i uporządkowania, tak samo jak niegdyś w Trydencie kościoły naszej Europy zachodniej zbadały się i uporządkowały wobec nieporządków, które otworzyły drogę protestantom. Pozostawił on zresztą ich biskupom wybór miejsca narad, i kogoż nie zdumieje wynik opatrzcnościowy dróg, otwartych parą przez oceany i lądy — ci dygnitarze Ko-

ścioła, oddaleni od Rzymu Atlantykiem i połową Europy, uznali, że Rzym stanowi najodpowiedniejsze ognisko dla wspólnych ich narad. Wiek więc obecny, zmierzający ku swemu kresowi, ujrzał trzynastu arcybiskupów i czterdziestu biskupów, przybywających z Meksyku, Brazylii, Chili, Kolumbii, Konfederacji argentyńskiej, Ekwatoru, Peru, Urugwaju, Wenezueli, Guatemali i Haity, aby się zebrać i obradować wspólnie w Watykanie. Po raz pierwszy, od jednego krańca Ameryki łacińskiej do drugiego, przyszło do porozumienia, a porozumienie to dokonało się dzięki rozwojowi Wiary katolickiej pod skrzydłem papieżstwa. Wyniknąc z tego może dla kościołów z tamtej strony Oceanu reforma, podobna do tej, która przed trzema wiekami pozwoliła zakwitnąć na nowo kościołom Zachodu. Rozmaite państwa łacińskie w Ameryce pod względem przestrzeni przewyższają dwukrotnie wielką rzeczpospolitą anglo-saksońską i pomimo daleko mniej gęstego swego zaludnienia przeciętnego liczą jednak przeszło pięćdziesiąt trzy miliony mieszkańców. Być może, że Bóg, „który uczynił narody uleczalnymi“, w rzeczy samej dokona ich uleczenia. Być może, że przeznaczeniem jest Stanów Zjednoczonych środka i południa Ameryki zrównoważyć kiedyś fortunę i powstrzymać potęgę Stanów Zjednoczonych północy. Nie naszą jest rzeczą wnikać w tajniki wieku przyszłego. Najważniejszy wypadek wieku obecnego, poza obrębem Europy, stanowiło powstanie narodu i cywilizacji anglo-saksońskiej w nowym świecie. Nad tym wypadkiem zastanowić się wypada.

* * *

W r. 1800 Stany Zjednoczone wybiły się dopiero na wolność. Po zwycięskiej wojnie, prowadzonej przy pomocy Francji przeciwko krajowi macierzystemu, Anglii, niezależność ich była uznana zaledwie od lat siedemnastu, ich konstytucja ogłoszona od lat trzynastu. Cztery Stany przyłączyły się już w tym okresie do trzynastu kolonii, które tworzyły stany pierwotne. Stany te położone były

wszystkie nad wybrzeżem Atlantyku. Od podnóża gór Alleghany aż do morza zajmowały pas ziemi, z przestrzenią dwóch milionów kilometrów kwadratowych, i liczyły sześć milionów dwieście tysięcy mieszkańców.

Przy końcu wieku Stany Zjednoczone obejmują czterdzieści pięć stanów i trzy terytoria; rozciągają się od Atlantyku do Pacyfiku, od jeziora Hurońskiego i Michigan, tego morza Śródziemnego nowego świata — do zatoki Meksykańskiej, na przestrzeni dziewięciu milionów kilometrów kwadratowych, i liczą sześćdziesiąt dwa miliony mieszkańców. Nigdy jeszcze świat nie widział podobnego wzrostu.

Stany pomnożyły się, bądź to dzieląc terytoria w miarę ich zaludniania się, bądź to kupując lub zdobywając na mocy układów obszary od innych mocarstw, bądź przyłączając do siebie kraje niezależne, bądź wreszcie zagarniając i karczując ziemie nieuprawne i dzikie, a wypierając koczujące w nich szczepy. Dwa stany jedynie zdobyte zostały przemocą na innym państwie: Nowy Meksyk i Kalifornia. Stanowią one zaledwie piątą część ogólnej przestrzeni Unii. Wzrost terytoryalny tego narodu, najszybszy jaki znają dzieje, jest jednocześnie wzrostem, do którego najmniej się przyczyniła wojna.

Państwo, w ten sposób utworzone, zaludniła Europa. Szczepy miejscowe, napotykanne przez europejczyków, z trudnością utrzymują się przy życiu wobec stałego naporu rasy wyższej, która je odepchnęła, trzymała w oddaleniu od siebie i nieledwie udusiła, zamiast podać im rękę, aby je kształcić i zbliżyć do siebie. Grzeszne to nadużycie cywilizacji, którego zaczynają już dzisiaj żałować Stany Zjednoczone i starają się, co prawda zapóźno, naprawić. Podczas gdy w Ameryce hiszpańskiej rasa indyjska rozwija się i miesza z napływową, w Ameryce anglo-saksońskiej nie ma już miejsca dla tej rasy.

Nazywam anglo-saksońską tę część nowego świata od rasy, która obecnie tam panuje. W gruncie jednak rzeczy część ta jest otwarta dla wszystkich ras europejskich, przyciągając przede wszystkim swym klimatem umiarkowanym narody środka i północy Europy. Holendrzy, Szwedzi

dzi, Flamandzycy osiedlali się w niej tu i owdzie. Francuzi zbadali ją i, posuwając się wzdłuż brzegów wielkiej rzeki, przez nich odkrytej, Missisipi, wnikają od Kanady, t. zw. „Nowej Francji“, do zatoki Meksykańskiej w poprzek przestrzeni, nazwanych przez nich od imienia ich królów „Luiziana.“ Zrównoważyli oni w tych okolicach powodzenia Anglii. Czasy jednak, gdy dwa te narody walczyły ze sobą o posiadanie nowego świata, obejmowały okres, w którym Anglia zakończywszy swą rewolucję wzrastała na siłach, a Francja upadała, zbliżając się ku swojej rewolucji. Okolice, w których zjawiliśmy się pierwsi, stały się dla nas obce. Pozostały jednak rozrzucone i rozsiane rodziny francuskie, z którymi łączą się inne, później przybyłe, a które wydają w znacznej liczbie ludzi odgrywających wybitną rolę w dziejach nowej swej ojczyzny. Później, gdy pokój ogólny, który nastąpił po wojnach Rewolucji i Cesarstwa, otworzył morza Europie, i gdy w niektórych punktach tej Europy uspokojonej ludność wzrastała szybciej, niż środki do życia, około r. 1820 wytworzył się pomiędzy dwoma lądami nieprzerwany prąd wychodźstwa. Prąd ten wzmógł się, począwszy od r. 1840, gdy para skróciła odległości i udoskonalila środki przewozowe. Ogarnął on początkowo wyłącznie prawie Irlandczyków, następnie Irlandczyków i Niemców, a dzisiaj obliczają na przeszło dwadzieścia milionów cyfrę emigrantów, bez wyjątku prawie obcych rasie anglo-saksońskiej, których Europa rzuciła na brzegi Stanów Zjednoczonych, od chwili wybicia się na wolność tego państwa. Zważyć przytem należy, że ci emigranci rozmnażają się daleko szybciej, niż wzrasta obecnie potomstwo kolonistów. „Nowa Anglia“ starzeje się, potomkowie dawnych „pielgrzymów“ i dawnych plantatorów nie są do tego stopnia płodni, co rasy świeżo przeniesione do nowej ojczyzny. Tak więc dzisiaj już większość mieszkańców Stanów Zjednoczonych nie jest angielskiego pochodzenia. Anglia jednak dała nowemu temu narodowi pierwsze pokolenie obywateli, a z nimi i przez nich swe instytucje i zwyczaje, swe prawa i obyczaje. Anglia dostarczyła jakoby formy, w której zmieszały się i zlały ze sobą pojedyncze narody, aby wytworzyć naród kosmo-

polityczny. Odlączając się od kraju macierzystego, Stany Zjednoczone przejęły się jednak jego duchem. Ich „deklaracja niezależności“ odzworowana jest na jego „deklaracji praw“, a ich oswobodziciel Waszyngton uważany być może za najpóźniejszego i najślawniejszego potomka baronów, którzy przed wielu wiekami przysięgali narodowi i kazali przysięgać na „Magna Charta“.

Istnieje jednak pomiędzy społeczeństwem angielskiem a amerykańskim różnica zasadnicza. Koloniści, przybyli do Ameryki, wyładowali wszyscy, jakby od razu, w okresie jednym i tym samym i w warunkach podobnych. Ani wieki, ani wypadki nie podporządkowywały ich jednych pod drugich. Aby uzyskać wolność, nie potrzebowali Amerykanie, jak Anglicy, opierać się o potężną arystokrację. Aby zdobyć równość nie potrzebowali oni, jak Francuzi, zwalczać hierarchii dziedzicznej. Równość cywilną i polityczną posiadali, że się tak wyrazimy, od urodzenia. Wielki socyolog Tocqueville stwierdził u nich zjawisko obce zupełnie starej Europie, a mianowicie: wytwarzanie się demokracji bez rewolucji. Przedstawił on demokrację amerykańską, jako typ państwa, ku któremu zmierzają obecnie wszystkie społeczeństwa ludzkie. Po nim inni socyologowie, Adolf du Chambrun i James Bryce, spoglądali na ten naród z innego punktu widzenia. Chwyтали oni i uwydatniali z jednej strony odmienny charakter, jaki on zawdzięcza swemu początkowi, a z drugiej cechy jego podobieństwa z krajem macierzystym.

Jedni i drudzy rozumują słusznie. Społeczeństwo najarystokratyczniejsze, jakie się utrzymało w Europie, spłodziło z tamtej strony oceanu i nacechowało swem znamięm demokrację najwyraźniejszą, najwolniejszą i najsilniejszą, jaką znał dotychczas świat cywilizowany.

* * *

Nie sama zresztą Europa dostarczyła mieszkańców Stanom Zjednoczonym. Europejczycy bowiem chwyтали murzynów w Afryce i wprowadzali ich przemocą, jako niewolni-

ków, do kraju wydartego Indyanom. Rasa niewolników wytworzyła się i utrzymała w łonie narodu wolnego. Niewolnictwo, wykorzenione od wieków ze świata chrześcijańskiego, pojawiło się na nowo wśród tych nowych państw chrześcijańskich, niesprawiedliwsze od dawnego, pod pewnymi względami więcej jeszcze ubliżające. Czerpało ono bowiem teraz swój początek z najjaskrawszego zamachu na ludzkość. Z usunięciem tej plagi narody cywilizowane wstrzymywały się aż do naszego wieku, Kościół rzymski jednak potępiał ją stale.

Tego rodzaju sprzeniewierzenie się idei ludzkiej domagało się odkupienia. Zostało ono odkupione i napiętnowane w naszym wieku. Stany Zjednoczone, odłączając się od Anglii, posiadały około siedemset tysięcy niewolników, których uwolnienie odkładano bezustannie, a każde odroczenie czyniło je trudniejszym. Bądź to za pomocą handlu, zakazywanego już w r. 1808, lecz stłumionego rzeczywiście na tej samej podstawie, co kacerstwo dopiero w r. 1820, a praktykowane potajemnie tak długo, jak długo trwało samo niewolnictwo, bądź to dzięki płodności rasy niewolniczej, ludność czarna nie przestawała wzrastać. Około połowy bieżącego wieku podniosła się ona blisko do trzech milionów dusz. Ludność ta, zamknięta w Stanach południowych, uważana była za główne ich bogactwo, i Stany owe, jakby powodowane niespokojnym i głuchym instynktem złego sumienia, wysiłały się na obronę tej własności, zanim ktokolwiek pomyślał o uwolnieniu niewolników. Pragnęły one rozszerzyć na całą Unię to, co dziwnym eufemizmem nazywano w ich dokumentach urzędowych „instytucją odrębną“. Co najmniej zaś domagały się one wprowadzenia tej instytucji do Stanów nowych, powiększających Unię, i żądały, aby nawet w Stanach, nieuznających niewolnictwa, dawana im była pomoc w ściganiu i chwytaniu zbiegłych niewolników. Po uzyskaniu tych ustępstw Stany południowe poszły dalej i żądały dla swych obywateli prawa osiedlania się pospół z tym rodzajem majątku w Stanach, które na mocy własnych swych praw i dla własnych swych obywateli nie dopuszczały niewol-

nictwa. Skoro zaś wybór przeciwnego tym żądaniom prezydenta Abrahama Lincolna przekonał ich, że odrzuca je ogromna większość ludności, Stany południowe zerwały Unię, rozdarły węzeł łączący ze Stanami nieuznającymi niewolnictwa, aby utworzyć nowy związek wyłącznie pomiędzy stanami niewolniczymi.

Czy przysługiwało im prawo do takiego kroku? Czy umowa związkowa była nierozwiązalna i czy Stany Zjednoczone nie stanowiły jednego narodu? Lub też czy każdy stan był w obrębie swych granic, niezależny i samodzielny, uprawniony do łączenia się z innymi Stanami lub odłączania się od nich? Co stanowiło właściwą ojczyznę obywatela Stanów Zjednoczonych, Unia, czy jego Stan? Kwestye te, które wywołały zatarg pomiędzy dwoma sprzecznymi z sobą patryotyzmami, obudziły w obu obozach męstwo i poświęcenie, tak, iż nie mogły być inaczej rozstrzygnięte, jak przez wojnę.

Minęło obecnie lat trzydzieści siedem, odkąd murzyni Stanów Zjednoczonych uzyskali wolność; uzyskali ją bez przygotowania. Celem utrzymania ich pod jarzmem, właściciele nie szczędzili starań, aby ich uczynić niezdolnymi do wolności. Surowe prawa zakazywały uczenia ich czytać, i w tym kraju, w którym wszystkie wyznania cieszyły się nieograniczoną swobodą, niewolno było duchownym żadnej religii głosić im Ewangelię, chyba za pozwoleniem i pod dozorem pana. Przypuszczać więc było można, że uwolnieni stronić będą od pracy i wskutek braku środków do życia, oraz wszelkiego hamulca, rasa ich szybko zmarnieje i wyginie, pozostawiając zapuszczoną i jałową ziemię, którą niegdyś użyźniała ich praca niewolnicza. Pierwsze lata, które nastąpiły po uwolnieniu, zdawały się potwierdzać te obawy. Obecnie rozwiały się one przynajmniej w części.

Ludność czarna wzrastała daleko szybciej po emancypacji, niż przed nią. W trzech ostatnich dziesiątkach lat, w których ją liczono za panowania niewolnictwa (wiadomo, że spis ludności w Stanach Zjednoczonych odbywa się co dziesięć lat) od r. 1830 do 1860, wzrosła ona na 2,113,118

dusz. W ciągu trzech dziesiątków lat, następujących po uwolnieniu, od r. 1860 do 1890 r., ta sama rasa, której już nie zasila handel niewolnikami, podniosła się na 3,028,210 dusz. W tym samym okresie czasu zaczęła się ona także garnąć do nauki. W Stanach, w których każdy, ktokolwiek poważał się uczyć niewolników, narażał się nie tylko na karę pieniężną, ale i na karę chłosty, założono dla murzynów około dwudziestu tysięcy szkół. Zawdzięczają one swe powstanie przeważnie dobrowolnej inicjatywie obywateli Stanów północnych, którzy w ten sposób usprawiedliwili i uświęcili swe zwycięstwo. Obecnie przyjąć można za pewnik, że zaledwie połowę ludności czarnej stanowią analfabeci.

Wreszcie od chwili zawarcia pokoju, rozmaite gałęzie wolnego przemysłu północy krzewić się zaczęły w okolicach przed nimi zamkniętych, aż do czasu pracy niewolniczej, i jeśli rodziny właścicieli niewolników nie podniosły się ze swego upadku, jeśli bogactwo przeniosło się do innych jednostek i zdobywa się obecnie za pomocą innych sposobów i środków, to jednak na brak jego nie mogą się uskarżać Stany południowe. Źródła ich bogactwa stały się liczniejsze i obfitsze, niż przed wojną.

Istnieje jednak plaga, której uniknąć nie zdołały te Stany, a mianowicie, zły rząd. Uwalniając późno lecz nagle murzynów, uważano za właściwe ogłosić ich za równych z białymi, a celem zabezpieczenia ich przed powrotem do panowania dawnych właścicieli, przyznać im jednocześnie z cywilnymi i politycznymi prawami. W okolicach, w których dzierżyli liczącą przewagę, równało się to powierzeniu im władzy. Otóż do wykonania tej władzy brak im było zgoła wszelkich kwalifikacyj.

Bądź więc, że biali zatrzymali tę władzę w swych rękach przemocą lub podstępem, bądź też, że murzyni probowali ją zagarnąć, dość że instytucje wyborcze i demokratyczne uległy spaceniu w dawnych Stanach niewolniczych, a spacenia tego nie udało się do dziś dnia usunąć.

Nie należy zresztą zapominać, że z brakiem wykształcenia politycznego łączył się u murzynów brak wychowania religijnego. Z rozmaitych sekt protestanckich, sami tyl-

ko metodyści i baptyści zajęli się nimi po ich emancypacji. Zapisali ich w znacznej części do swych szeregów i rekrutowali nawet wśród nich duchownych; nie zmieniali ich jednak, nie wpoili w nich nowego ducha i nowych obyczajów. Religia, nauczana przez metodystów i baptystów, obniżyła się w tej rasie pośledniej, zamiast ją podnieść.

Co się tyczy Kościoła katolickiego, to do niedawna nie wielu on liczył zwolenników wśród murzynów Stanów Zjednoczonych. Przy końcu wieku, około stu czterdziestu tysięcy zaliczało się do niego (144,186 w r. 1898). Jego duchowieństwo, wystarczające zaledwie dla wychodźców irlandzkich i niemieckich, mało się troszczyło o murzynów. Dwie kongregacje zagraniczne, jedna świeżo założona w Londynie przez kardynała Vaughana i druga, którą w naszej epoce utworzył we Francji Alzatezyk Libermann i która, nie odłączając się od swego pnia pierwotnego, wypuściła gałęź w Irlandyi—kongregacja św. Józefa i kongregacja św. Ducha, posyłają im obecnie i przygotowują misjonarzy, a nawet duchownych ich krwi.

Skoro dojdziemy do badania stosunków religijnych w Stanach Zjednoczonych, wypowiemy wielkie nadzieje, jakie katolicy żywią co do postępu Wiary w tym kraju. Aby jednak nie zawiodły te nadzieje, nie należy pozostawiać jej losowi rasy najbardziej pod każdym względem opuszczonej i upośledzonej, lecz głosić i biednym murzynom naukę Kościoła.

* * *

Tak więc po uzyskaniu swej niezależności naród Stanów Zjednoczonych przebył i pokonał przesilenie straszliwe, przebył najgroźniejszą wojnę domową, aby uwolnić się od zabójczej plagi niewolnictwa. Na innej drodze, nie za pomocą podboju, wzrosło terytorium i zaludnienie tego państwa z szybkością bezprzykładną. Zwiększyło się ono ponad wszelkie przewidywanie, nie ulegając jednak rozkładowi. Wreszcie, dokonawszy raz swego uwolnienia, naród nie znalazł już rewolucyi, nie poddał się nigdy żadnemu pa-

nu i pozostał wolny pod prawami równości. Jakiej więc przyczynie przypisać należy to powodzenie niesłychane?

Socjologowie wychwalali na wszystkie tony konstytucję Stanów Zjednoczonych, najstarszą z dzisiejszych konstytucyj pisanych, i, jeśli opierać się będziemy na doświadczeniu, najodpowiedniejszą do zabezpieczenia demokracji zarówno przed despotyzmem, jak przed anarchią. W rzeczy samej, stosując się do narodu złożonego pierwotnie z rozmaitych kolonij, ta konstytucja zachowała każdemu z członków ciała związkowego życie własne, a pomimo to wlała w całe to ciało życie wspólne. Utrzymała ona w każdym ze Stanów rząd odrębny, a celem przestrzegania interesów ogólnych ustanowiła wszędzie organa rządu centralnego. Z drugiej zaś strony, zmuszona czerpać z jednego jedyne go źródła, a mianowicie z wyborów, wszelkie rodzaje władzy — władzę prawodawczą, władzę sądową i władzę wykonawczą, rozdzieliła je starannie, wyznaczając każdej z nich dziedzinę odrębną, w której władza ta działa bez przeszkód, zapobiegając w ten sposób wszelkiemu zamętowi. Cóż jednak zdziałać mogą i znaczą prawa bez odpowiednich obyczajów? Większość narodów kontynentu amerykańskiego, od Meksyku aż do Peru i Brazylii, wybierając się na wolność i ogłaszając się republikami, naśladowała dość wiernie konstytucję Stanów Zjednoczonych, a jednak żadna z tych republik nie cieszy się taką pomyslnością, jak one, żadna nie ustrzegła się zepsucia i zamieszek rewolucyjnych. Wartość i powodzenie danej konstytucji zależą przede wszystkim od charakteru narodu, który ją sobie przyswaja i który ją u siebie stosuje.

Historycy badali wypadki, które kierowały losami wielkiej Rzeczypospolitej, i wysławiali wodzów, którzy ją przeprowadzali szczęśliwie przez wir tych wypadków: Waszyngtona i Lincolna. W rzeczy samej, w niezwykłych tych i groźnych okolicznościach, od których zależało całe jego istnienie, naród Stanów Zjednoczonych otrzymał od Opatrzności mężów stanu, dzielnie odpowiadających swemu zadaniu. W zwykłych jednak warunkach jego żywota dzieje się całkiem inaczej. W czasach spokojnych i wolnych

od niebezpieczeństwa obywatele, najbardziej godni szacunku, nie ubiegają się o zwycięstwo w głosowaniu powszechnym, i karyera polityczna nie cieszy się ani największą powagą, ani spoczywa w rękach najgodniejszych. Ci, którzy się jej poświęcają, schlebiają opinii publicznej, lecz nie kierują nią wcale. To też naród Stanów Zjednoczonych uważany jest słusznie za lepszy, niż ci, którzy nim rządzą zwykle.

W charakterze więc i zaletach samego tego narodu szukać należy tajemnicy jego powodzenia. Otóż, cofając się do jego początków, przekonamy się, że charakter ten i zalety wypływają z dwóch źródeł — z pracy i religii. Praca zapewniła mu najpierw środki do życia, a następnie bogactwo, religia wytworzyła jego obyczaje i stanęła na ich straży.

Pierwsi koloniści, którzy przybyli z Europy do Ameryki północnej, nie mieli nic wspólnego z awanturnikami kolonialnymi. Nie starali się oni o zdobywanie złota wśród niespodziewanych i najstraszliwszych niebezpieczeństw, lecz o ziemię, celem jej użyźnienia przez pracę. Walka o byt, którą oni rozpoczęli i która pociągała w dalszym ciągu wzrastające stale fale emigrantów, polegała na karczowaniu, uprawianiu, zasiewaniu i plantowaniu tej ziemi dziewiczej i dzikiej. W r. 1890 przestrzeń pól, należących do właścicieli prywatnych, obejmowała przeszło 660 milionów akrów, czyli około 250 milionów hektarów, z których około 142 miliony hektarów wziętych było pod uprawę. W pięć lat później w r. 1895 wyznaczono znów miliard z górą akrów, aby go oddać nowym właścicielom. Obecnie przestrzeń uprawna Stanów Zjednoczonych jest mniej więcej cztery razy tak wielka, jak przestrzeń uprawna Francji, a żywi ona zaledwie ludność dwa razy tak liczną, jak francuska. Przestrzeń, przeznaczona dopiero pod uprawę, która żywić będzie przyszłe pokolenie, równa się przestrzeni Rosji.

Tak więc pionierowi i rolnikowi amerykańskiemu uśmiecha się jeszcze olbrzymi zakres działalności. Zadanie, które ich czeka, jest daleko obszerniejsze, niż praca już wy-

konana, a mimo to zadanie to było w nowej ich ojczyźnie najwcześniej podjęte i najstalej spełniane. Praca rolnicza była najstarsza i do dnia dzisiejszego najowocniejsza ze wszystkich czynności, jakim się poświęciła ludność amerykańska, bogata zarówno w ludzi, jak i w środki. Na stepie lub w lesie, przez długi czas głuchym i prawie bez granic, rozmnożyła się ponad zwykłą miarę nowa rasa pracowników. W walce z przyrodą dziką, nieokielznaną, wytworzyła się i wzmocniła ta rasa, która, zdaniem Tocquevill'a, czyni z zimną krwią to, do czego zwykle podnieca ogień namiętności; poddaje się na pewien przeciąg czasu życiu dzikiemu, aby skuteczniej zwyciężyć i ucywilizować pustynię.

Pustynia ta nie była jeszcze wykarczowana i zaludniona, gdy zaczęły ją już przebiegać koleje żelazne. W przeciwieństwie do Europy, koleje żelazne Stanów Zjednoczonych były zbudowane, nie na usługi i użytek ludności już zorganizowanej, nie dla uprawy i przemysłu już ustalonego, lecz aby przyciągać te narody, aby powołać do życia ten przemysł lub tę uprawę. Pierwszą kolej żelazną zbudowano w r. 1827. W dwadzieścia lat później w r. 1847 sieć kolejowa Stanów Zjednoczonych wynosiła 14,000 kilometrów, dzisiaj długość tych kolei dosięga olbrzymiej liczby 282,000 kilometrów. W tej więc części ładu amerykańskiego przemysł przewozowy przy pomocy pary rozwinął się przed wszystkimi innymi i pierwotnie na usługi pracy rolnej. Później przyłączył się przemysł kopalniany i fabryczny. Ziemia, przeszukiwana aż do okolic podbiegunowych, dostarczała obficie hadlowi złota i srebra, które dawniej wydobywano wyłącznie w krajach podzwrotnikowych, przemysłowi naftę, zapewniającą światło jego robotnikom, żelazo do budowy i węgiel do żywienia machin. Prawie aż do końca wieku bieżącego Stany Zjednoczone zależne były od fabryk europejskich. Obecnie Europa staje się zależną od fabryk amerykańskich. U tego wzrastającego potężnie narodu wywóz wyrobów fabrycznych przewyższa coraz więcej dowóz i obecnie wprowadza naród ten w ruch 7,492,900 koni parowych, około pół miliona więcej, niż W.

Brytania, trzy miliony więcej, niż Niemcy, cztery miliony więcej, niż Francya.

Nagły ten rozwój przemysłu amerykańskiego zmienił wygląd okolicy i położenie ludności. Pierwsze zastępy wychodźców osiedliły się w znacznych odstępach od siebie po kraju i powznosiły fermy. Inne oddziały, które przybyły później, skupiły się na około kopalni i fabryk i pobudowały miasta. Obecnie spotykamy w Stanach Zjednoczonych miasto New-York, którego ludność przekracza dwa miliony głów; dwa inne, Chicago i Filadelfię, które liczą przeszło po milionie mieszkańców; dwadzieścia cztery z ludnością przeszło sto tysięcy dusz. Wśród tych miast siudem zaledwie sięga swym początkiem przeszłego wieku, wszystkie inne liczą mniej, niż sto lat, większość ich mniej, niż lat pięćdziesiąt, a powstanie lub wzrost każdego z nich wywołane zostały przez powstanie lub wzrost tej lub owej gałęzi przemysłu.

W miarę więc, jak mnożyła się ludność i rozszerzało się jej terytorium zamieszkania, chwytala się ona nowych zawodów i coraz szybciej zwiększał się jej dobrobyt. W kraju, w którym sam tylko majątek stanowi różnicę pomiędzy ludźmi, nie wstrzymywało nic zaciętej, wytrwałej, nieokielzanej pogoni za zyskiem. Pogoń ta wypowiadała często otwartą wojnę poczuciu moralności, podtrzymywała jednak i rozwijała siłę ciała i ducha. Pragnąc bezustannie wzbogacać się, a nie mogąc się wzbogacić w inny sposób, jak przez pracę, naród amerykański doszedł do bogactw, nie tracąc swego hartu.

Do chwili obecnej nie ucierpiał on również zbyt dotkliwie od innej klęski, szerzącej spustoszenie w starej Europie. Niezadowoleni i próżniacy stanowią rzadkie wyjątki w Stanach Zjednoczonych. Każdy tam pracuje, ma zaufanie do siebie samego i wroży pomyślnie o swej przyszłości. Wytworzyła się tam większa różnica majątków, niż u narodów cywilizowanych Europy, nie wywołała ona jednak tak jaskrawego jak u tych narodów przeciwieństwa pomiędzy poszczególnymi warstwami społecznymi, a to z kilku przyczyn. Najpierw więc nierówność ta nie jest

stała. W pośpiesznej gonitwie za fortuną nikt na długo nie zagrzewa jednego i tego samego miejsca. Jednostka, zarówno jak i rodzina zmienia łatwo i często swą siedzibę i zawód i, jak wskutek tego nie wytwarzają się warstwy odrębne i oddzielone ściśle od siebie, tak nie ma też warstw, któreby stale walczyły z innymi warstwami.

Poza tem bogactwo to nierówne i ruchome nie przestaje wzrastać na korzyść wszystkich i wskutek tego każdy, zajęty i zadowolony wzrostem własnego swego dobytku, mniej jest skłonny do zazdrośczenia dorobku swemu bliźniemu. Jeśli więc niema kraju, w którymby „królowie złota“ (money Kings) gromadzili tyle kapitałów, co w Ameryce, to z drugiej strony niema również społeczeństwa, gdzieby robotnicy otrzymywali płacę tak wysoką i gdzieby się spotykało tak mało nędzarzy.

Wreszcie to bogactwo, poszukiwane często z chciwością bez granic, używane bywa w dość szerokich rozmiarach dla dobra ogółu. Twórcy własnej swej fortuny i świadkowie niestałości wszelkiego powodzenia, „królowie złota“ nie noszą się wcale z myślą uwieczniania się w swem potomstwie i tem chętniej obdarzają swe miasto lub swój Stan zakładami, które noszą ich imię i przekazują ich pamięć potomności. Zakładają więc szpitale i przytulki, szkoły i uniwersytety, biblioteki i muzea. Nie ubiegając się o urzędy publiczne, nie lekceważą oni jednak obowiązku społecznego, jaki ciąży na bogactwie, i spełniają go za pomocą dzieł wyżej wymienionych.

Lecz dzieła te nie uspokoją zgubnych instynktów tłumów, skoro się te instynkta zwrócą przeciwko bogactwu. Nadejdzie chwila, prędzej czy później, w której społeczeństwo amerykańskie wskutek swego wzrostu dobiegnie do krańca swej pomysłowości i staczać się zeń zacznie, w której ustalą się majątki nabyte, a podnoszenie się płacy zwolnieje, aż w końcu się zatrzyma. Wówczas pomiędzy kapitałem a pracą ręczną, pomiędzy pracodawcami a robotnikami, lub jak mówią w Ameryce, pomiędzy „zatrudniającymi a zatrudnionymi“ wybuchnąć może zatarg, straszliwszy, niż gdziekolwiek indziej. Do podtrzymywania bowiem

tego zatargu obie strony znajdują w swobodzie i prawie stowarzyszenia się siły niebezpiecznej miary. Już dzisiaj utworzyły się takie stowarzyszenia; już dzisiaj przedstawiciele niektórych gałęzi przemysłu zorganizowali pomiędzy sobą monopole, zabezpieczające ich przed współzawodnictwem wewnętrznym, gdy wygórowane taryfy celne powstrzymują konkurencyę zagraniczną, i próbują za pomocą podwójnego tego środka regulować według swego upodobania ceny swych wyrobów. Już dzisiaj, ze swej strony, robotnicy rozmaitych zawodów łączą się ze sobą od jednego końca Unii do drugiego, aby uregulować na własną korzyść warunki i cenę pracy ludzkiej, starając się jednocześnie o zamknięcie dostępu do kraju robotnikom zagranicznym, a na wewnątrz o niedopuszczenie do pracy nikogo, kto nie wstąpi do ich szeregów. Do obecnej chwili dwa te żywioły przemysłu amerykańskiego porozumiewały się częściej ze sobą celem zwiększenia wspólnego zysku, niż zwracały się przeciwko sobie. Stowarzyszenia robotnicze „trade unions“ szczytują się, że zażegnały więcej strejków, niż ich podtrzymały. Wybuchają jednak tu i owdzie groźne bezrobocia. Świeżo zatarg, którego widownią były położone przed samemi bramami Chicago zakłady Pullmana, wyrabiające wagony, i strejk w Pittsburgu, w fabrykach żelaza, odbiły się echem aż w Europie; — wskazówka to gwałtowności i zaciętości walk przyszłych. Do zawiązania i zaostrzenia tych zatargów wewnętrznych w fabrykach zaczynają się świeżo przyczyniać skargi i zawody rolnictwa. Narażani stale na szkody, wyrządzane im przez monopole przemysłowe i taryfy celne, a nie biorąc żadnego udziału w zyskach, płynących z tego źródła, rolnicy Zachodu stowarzyszają się i występują coraz gwałtowniej przeciwko fabrykantom i ich przewadze.

Nie ulega więc kwestyi, że i społeczeństwo amerykańskie nie uniknie walki sprzecznych ze sobą interesów. Wobec nadmiernego wzrostu bogactw nie można myśleć o tem, aby doktryny przewrotu nie znalazły dostępu do tego kraju. Jeżeli usposobienie niezależne i zmysł praktyczny rasy anglo-saksońskiej mało sprzyjają rozwojowi

socjalizmu, to rasa niemiecka sprowadziła go ze sobą, a w miarę, jak się ta rasa rozrasta za Oceanem, zwiększa się też niebezpieczeństwo zarazy. Celem zapobieżenia starciom pomiędzy sprzecznymi pretensjami a interesami, w których upaść może sam przemysł, instytucja sądów rozjemczych staje się coraz niezbędniejsza. Kto jednak zasiadać będzie w tym sądzie?

Już dzisiaj biura rozjemcze czynne są w rozmaitych stanach. Kontrolują one działalność każdej gałęzi przemysłu. Skoro się wszczynają zatargi, skoro zagraża bezrobocie, biura te badają skargi im przedstawione i oznaczają warunki słusznego porozumienia się, a pomimo, że wyrok wydany przez nie, pozbawiony jest mocy prawnej, opinia publiczna, pokładająca zaufanie w kompetencji i bezstronności tych biur, przyjmuje go i zatarg w kraju, w którym opinia publiczna jest wszechwładna, w największej liczbie wypadków, uważać można za załatwiony. W kwestiach kolei żelaznych rząd związkowy ustanowił nawet, celem uregulowania handlu pomiędzy pojedynczymi stanami, komisję zaopatrzoną we władzę rzeczywistego trybunału, który rozstrzyga w sprawach taryfy przewozowej.

Czy jednak do załagodzenia wszczynających się zatargów wystarczy instytucja rozjemcza, czysto administracyjna lub sądowa? Czy raczej nie jest tutaj niezbędna powaga moralna, która uspokoi umysły, podczas gdy jednocześnie rozbrajane będą dłonie? Przedstawicielem tej powagi jest przedewszystkiem Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych, który ze wszystkich wyznań liczy najwięcej robotników. Trzymając się zdaleka od sporów politycznych, pośredniczy on bez wahania w sprawach socyalnych i w tym celu stara się z pomyslnym skutkiem wywalczyć sobie wpływy na stowarzyszenia robotnicze. Przed dwunastu laty jedno z tych stowarzyszeń, najpotężniejsze w tym okresie, a mianowicie „związek rycerzy pracy“, oskarżono przed Stolicą apostołską, jako stowarzyszenie tajne. Domagano się jego potępienia na tej samej zasadzie, co wolnomularzy, i potępienie to było bliskie, gdy udało się arcybiskupom

Stanów Zjednoczonych powstrzymać je w ostatniejch wili. W memoryale, przedstawionym w ich imieniu, pierwszy kardynał Gibbons wskazał najpierw na różnicę, istniejącą pomiędzy stowarzyszeniem utworzonym w państwie swobody i jawności, a związkami tajnymi Europy, różnicę, która powinna je zwolnić od cenzur, na jakie się narażały te związki. Zwracając się następnie do Ojca św. z prośbą, zasługującą na wysłuchanie,—kardynał błagał go, aby nie osłabiał wysiłków około polepszenia losu robotników i zakończył, streszczając w następujących słowach nadzieje pokładane w tych robotnikach przez Kościół: „W oczach całej demokracji amerykańskiej, bez różnicy wyznań, najpiękniejszy tytuł Kościoła katolickiego do szacunku, najsilniejsza gwarancja przeciwko prześladowaniu, najpewniejsza rękojmia jego prawa obywatelstwa w Stanach Zjednoczonych spoczywa na tem, że uważają go za przedstawiciela ludu“.

* * *

Kościół ten, który zjednał sobie obecnie zaszczytne imię „przyjaciela ludu“, nie odgrywał jednak roli wybitnej przy narodzeniu narodu. Nie ulega kwestyi, że na terytorjum, na którym powstały następnie Stany Zjednoczone, jak w ogóle w całym nowym świecie pojawił się on pierwszy. Celem głoszenia prawd Wiary św. szczepom indyjskim, Dominikanie, Kapucyni i Karmelici hiszpańscy wędrowali z Florydy ku północy i dotarli do gór Skalistych i Kalifornii. Jezuici francuscy przebiegali okolice pomiędzy nową Francją a rzeką Missisipi, i zanim „pielgrzymi“ angielscy zaczęli kolonizować Massachusetts, parafie Indyan chrześcijańskich utworzyły się już naokoło misyj hiszpańskich i francuskich. Gdy jednak Francja i Hiszpania ustąpiły miejsca Anglii, misye przez nie założone zniknęły, obrządek przez nie wprowadzony wygasł, a sama rasa indyjska zaczynała wymierać wypierana i pozabawiana niejako oddechu przez najazd Anglo-Sasów.

Najazd ten zawdzięcza zresztą swój początek rozterkom i prześladowaniom religijnym. Protestanci, wygnani przez innych protestantów, przeprawili się przez Atlantyk, aby spełniać w nowych siedzibach swe obrządki, i od końca XVI-go do XVII-go wieku Ameryka północna stanowiła ojczyznę chrześcijan, wygnanych z powodu swego wyznania. Każde wyznanie prześladowane założyło tam sobie przytułek, którego początkowo nie otwierało innym wyznaniom. W tych koloniach, których węzłem była wspólna Wiara, nikt nienależący do kościoła urzędowego nie otrzymywał prawa obywatelstwa. Najnaboźniejsi, rekrutujący się wśród całej gminy, „święci“, jak się nazywali, sami zarządzili jednocześnie kościołem i państwem. Prawo, oparte na Piśmie św., stało się również prawem cywilnym, i wszelkie jego przepisy, zarówno świeckiej, jak duchownej natury, posiadały moc praw obowiązujących. Skoro więc wytworzyła się nowa doktryna lub nauka, do pewnego stopnia odmienna, autor jej pospołu z wyznawcami szukał sobie nowej okolicy niezamieszkaną, aby tam rozbić swe namioty, i nowy zastęp wygnańców tworzył nową kolonię, przygotowywał nowy Stan. W ten sposób zapoczątkowana została z tamtej strony Oceanu nie wolność jeszcze, ale rozmaitość wyznań.

Swoją drogą wśród chrześcijan, którzy opuścili Anglię, aby szukać schronienia w Ameryce, była i garstka katolików. Nazwali oni przyznany im szmat ziemi od imienia swej opiekunki, córki Henryka IV-go i królowej Henryki Maryi, Marylandem, port zaś, gdzie wylądowali, od swego wodza i współwyznawcy, który przygotował ich wyjazd z ojczyzny, Baltimore. Ponieważ zaś towarzyszyli im protestanci, kraj zaś im przyznany był zaobszerny aby go zająć i uprawić mogli sami, przeto dopuścili oni w swej kolonii obok katolickiego obrządek protestancki. Protestanci rozdzieleni pomiędzy sobą, wyznawcy kościoła episkopalnego i purytanie znaleźli tam schronienie przed wzajemną nietolerancją. Katolicy więc zapoczątkowali w Marylandzie, w 1634 roku, swobodę wyznań i przestrzegając jej przez czas jakiś, nie wahali się ogłosić jej urzę-

dowo. W r. 1649 wpisali ją formalnie do praw kolonii. Nadszedł niebawem czas, gdy w samym Marylandzie katolicy utracili przewagę, co do liczby i wpływów. Wówczas protestanci, zyskawszy przewagę, odmówili katolikom swobody, którą ci przyznawali im poprzednio. Wydany został zakaz odprawiania Mszy św., z wyjątkiem we wnętrzu mieszkań; wszelki urząd publiczny i wszelkie prawa cywilne zostały odebrane tym, którzy pozostali wierni dawnej Wiary. Celem więc publicznego wyznawania tej Wiary, celem przedewszystkiem przekazania jej dzieciom, niejeden potomek dawnych kolonistów szukać był zmuszony innego przytułku. Przytułek taki znalazł się, co prawda, tuż obok w kolonii Pensylwanii, której założyciel William Penn, nie wyznając innych dogmatów, jak tylko miłość braterską, przywołał w 1681 r. chrześcijan wszystkich wyznań, przyznając im równe prawa. Dawniej jeszcze, w samym sercu Nowej Anglii, inny odszczepieniec protestantyzmu, Roger Williams, od r. 1638 otworzył również nie tylko wszystkim chrześcijanom, ale i w ogóle wszystkim ludziom, bez różnicy wyznań, miasto, które nazwał Prowidencją. Były to jednak przykłady, napotymane w niektórych odosobnionych punktach olbrzymiego terytorium, ale nie miały one licznych i chętnych naśladowców. Aby wolność sumienia i wyznania stała się prawem ogólnym Stanów Zjednoczonych, na to potrzeba było: najpierw konstytucyi związkowej, którą ogłoszono po wybiciu się na wolność, dalej zmian w prawodawstwie specjalnem każdego stanu, które rozpoczęły się przy końcu ubiegłego, a ukończyły się z biegiem obecnego wieku. Konstytucya związkowa ogłosiła w r. 1788: „żadne wyznanie nie będzie nigdy uznane za jedynie uprawnione do piastowania urzędów publicznych, ustanowionych przez Stany Zjednoczone“; a nieco dalej: „Kongres nie może pochwalić prawa, ustanawiającego tę, czy ową państwową religię, lub zmuszającego do zakazu wyznawania tej czy owej religii“. Było to uznanie niekompetencji kongresu związkowego, a pozostawienie każdemu Stanowi z osobna swobody prawodawstwa w sprawie religii. Zanim zaś każdy ze Stanów ogłosił się z kolei

tak samo za niekompetentny w tym przedmiocie, jak kongres, zanim we wnętrzu wszystkich stanów stopniowo usunięte zostały nierówności, ustanowione z powodu wyznania—upłynęło lat sześćdziesiąt. Pierwsza Wirginia zrzekła się nietolerancyi w r. 1784, a stan New-Jersey poszedł za jej przykładem nie pierwej, jak w 1844 r. Wolność religijna więc w tej części świata nowego jest wypadkiem wieku bieżącego, i z tego powodu należało w tem miejscu zaznaczyć jej początek i rozwój.

Pozostaje przypatrzeć się charakterowi i następstwom tego arcy-doniosłego wypadku.

Swoboda religijna w Stanach Zjednoczonych nie jest następstwem obojętności, lecz Wiary. Zapewne, że wśród polityków, którzy wystąpili z tą nowością przy końcu XVIII-go wieku, nie jeden przejął się teoryjami niedowiar-ków Europy. Aby jednak skłonić lud amerykański do jej przyjęcia, trzeba mu było przedstawić, że „skoro Najwyższy stworzył dusze wolne, to wywieranie nacisku na nie przez obawę kar doczesnych i pozbawienie praw cywilnych równa się popychaniu ich do obłudy i przyzwyczajaniu do podłości, co w istocie byłoby tępieniem religii pod pozorem jej obrony“. W rzeczy samej obywatele nowego narodu byli potomkami ludzi, którzy opuścili ojczyznę, aby zachować swą Wiarę, ponieważ zaś Wiara jednych różniła się od Wiary drugich, rzeczą było niezbędną, chcąc żyć razem we wspólnej ojczyźnie, uwolnić Wiarę od wszelkiego zetknięcia się z prawami ludzkimi. W swjej deklaracji niezależności założyciele tej ojczyzny powołali się zresztą, jako na świadka szczerości swych zamiarów, na „Najwyższego Sędziego świata“, i od owej epoki, aż do naszych czasów konstytucye odrębne każdego stanu nie zaniebdują głosić jawnie i szczerze czci, przynależnej Stwórcy, od społeczeństw ludzkich. Aby jednak spełniać swe obowiązki społeczne, naród amerykański nie liczy wyłącznie na przedstawicieli swych władz publicznych, lecz powierza przeważnie stowarzyszeniom prywatnym spełnianie tych obowiązków, a przedewszystkiem obowiązku religijnego. Stąd też obowiązek państwa w sprawie religii polega

w oczach narodu z jednej strony na szanowaniu i zapewnianiu poszanowania samodzielności wyznań, z drugiej zaś na zastosowaniu prawa cywilnego, do zasad moralnych, przyjętych przez wszystkie wyznania chrześcijańskie. Jeśli zaś okaże się, iż wobec tylu odmiennych wyznań nie łatwo jest określić ściśle te zasady, wówczas to, co zbyt rażąco wywołuje różnice, uważane jest za niezgodne z porządkiem publicznym. Tak więc wielożęństwo mormonów nie uzyskało nigdy prawa obywatelstwa w Stanach Zjednoczonych, natomiast święcenie niedzieli przestrzegane jest wszędzie, z najsurowszą ścisłością.

Dowodzi to, że potomkowie pierwszych wychodźców, zrekając się nietolerancyi swych przodków, nie pozbyli się ducha religijnego. Inni wychodźcy, którzy przybyli po nich w naszym wieku, wyznawali inną wiarę, lecz dla swej religii dochowywali tej samej wierności. Zapewne, że nie sam zamiar spełniania swych obrządków religijnych wyganiał Irlandczyków od r. 1820 z ich kraju rodzinnego, lecz konieczność szukania korzystniejszych warunków życia. Uciskani i obdzierani w ciągu długich wieków przez protestancką Anglię, przypisywali oni swą niedolę Wierze przodków. Do pewnego więc stopnia religia pozbawiła Irlandczyków ojczyzny. Liczniejsi, nędzniejsi pod każdym względem i mniej wykształceni, niż purytanie, przynieśli oni ze sobą do tego przytułku prześladowanych, starą swą Wiarę, traktowaną długo po macoszemu, a cieszącą się obecnie, dzięki ogólnemu prawu, zupełną swobodą. Szczególny to wypadek dla nowego kraju, że pierwsza fala proleraryatu, rozlewająca się z Europy po jego wybrzeżu, przybyła tam uzbrojona w Wiarę gorącą i wytrwałą, w Wiarę umocnioną długą i ciężką próbą! Ani założyciele tego narodu, pomimo wszelkich swych błędów, ani najmłodszy z jego obywateli, choć niski był poziom ich wykształcenia, nie zaszczytali mu niedowiarstwa.

Swoboda więc religijna jest wynikiem różnorodności wyznań, początkowo w równym stopniu silnych. Uzyskawszy raz siłę prawną, swoboda ta przyczyniła się do zwiększe-

nia jeszcze tej różnorodności. Niema rasy ludzkiej, któraby nie wprowadziła swego obrządku do tego narodu kosmopolitów; nawet powstały tam niektóre wyznania, których się nie spotyka nigdzieindziej. Liczą obecnie w Ameryce północnej przeszło sto czterdzieści odrębnych gmin religijnych. Czy jednak trudność wyboru pomiędzy tylu religiami nie naraziła tego narodu na pokusę obywatnia się bez wszelkiej w ogóle religii i czy nie spotkał się on na swej drodze, w miarę swego rozwoju, z niebezpieczeństwem, którego nie znał w początkach, — z niedowiarstwem? Niebezpieczeństwa tego nie uniknęły niektóre umysły wykształcone Stanów Zjednoczonych. Zręczny bardzo pisarz Emerson, próbując wtajemniczyć swych ziomków w racjonalizm, czy panteizm niemiecki, dowodził, że wszelkie sprzeczności ludzkie znikają w harmonii transcendentnej, oraz że wszystkie wyznania są jednocześnie błędne i prawdziwe: błędne, ponieważ dążą do krępowania myśli, prawdziwe, ponieważ odpowiadają instynktowi duszy, która je wyznaje. Najwymowniejszy i najwybitniejszy kaznodzieja tego stronnictwa, Channing uważał się za chrześcijanina, objąwszy urząd duchownego w sekcie, która zaprzeczała Bóstwa Jezusa Chrystusa. Do dziś dnia jednak niedowiarstwo kilku myślicieli nie zapuściło jeszcze korzeni w samym narodzie.

Zważyć zresztą trzeba, że wśród wielkiej liczby sekt niezależnych; wiele nie różni się pomiędzy sobą ani nauką, ani urządzeniami, ani obrządkami, lecz jedynie rasą lub okolicą, która je przyjęła, niekiedy postawą, jaką one zajęły w wojnie domowej, zakończonej zniesieniem niewolnictwa. Istnieje np. w ten sposób dwanaście sekt presbterykańskich, trzynaście sekt baptystów i siedemnaście sekt metodystów. Sekty metodystów łączą się z kościołem anglikańskim, czyli episkopałnym, a sekty baptystów z kościołem presbterykańskim. W gruncie rzeczy, nie uznając jeszcze wspólnej powagi, protestantyzm amerykański zmierza coraz wyraźniej do jednolitości i obecnie dzieli się właściwie na dwie tylko gałęzie, niezrastające się ze sobą, mianowicie: na sekty ewangeliczne, które wierzą w Bóstwo Je-

zusa Chrystusa, i sekty niewierzące w te Bóstwo. Pierwsze, pospołu z wiarą w Biblię, odziedziczyły mniej lub więcej bezpośrednio ciemne i ponure zasady Kalwina; drugie daleko zresztą mniej liczne, nie są już dzisiaj niczem innym, tylko szkołami moralności, obcemi wszelkim dogmatom, a mimo to zachowującemi jeszcze duchownych, zbory, kazania i w ogóle wszelkie zewnętrzne formy religii.

W takich warunkach dziwne sprawia wrażenie, że liczba jednostek, które doszedłszy do pełnoletności bywają zaliczani do rozmaitych sekt protestanckich wzrasta z roku na rok, szybciej nawet, niż samo zaludnienie. W r. 1880 liczba t. zw. „communicants“ wynosiła około dziesięciu milionów, w r. 1890 podniosła się do trzynastu lub czternastu milionów. W przeciągu więc dziesięciu lat powiększyła się więcej, niż o 42%, gdy w tym samym okresie ogólna liczba ludności wzrosła z pięćdziesięciu dwóch na sześćdziesiąt milionów, czyli wynosiła 24% do 25%. Natomiast zmniejszyła się liczba „niewiernych“ — jak nazywają w tym kraju ludzi, odrzucających wszelką religię. Zresztą nie brak wymownych dowodów, potwierdzających ten postęp Wiary. Wiadomo, np., że w Stanach Zjednoczonych źródła materialne poszczególnych wyznań stanowią składki dobrowolne ich adeptów i bądź to wskutek mnogości ich wyznań, bądź też dzięki przywiązaniu, jakim się cieszą, niema kraju, gdzieby budowle religijne wznosiły się w tak wielkiej liczbie, nie ma przedewszystkiem miasta, gdzieby się spotykało tyle kościołów i zborów, co w Nowym-Yorku. Na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych jest ich 142.000. Mogą one pomieścić przeszło 43,000,000 osób, a wartość ich obliczają obecnie na 670 milionów dolarów (przeszło 1,300 milionów rubli). W przeciągu pięciu lat, od r. 1890 do 1895 główne sekty protestanckie pobudowały: anglikanie 877 zborów; presbteryianie 1,054; baptysci 3,842; metodyści 6,412; razem przeszło dwanaście tysięcy zborów.

Tymczasem obok protestantyzmu silnej od niego wzrasta katolicyzm. Już przed sześćdziesięciu z górą laty Tocqueville zauważył nie bez zdziwienia, że „Ameryka, najdemokratyczniejsza część świata, jest jednocześnie krajem,

w którym według sprawozdań wiarogodnych, katolicyzm wykazuje największe postępy.“ Od czasów Tocqueville'a, postęp ten nie zatrzymał się ani na chwilę. Przy końcu wieku zeszłego, nazajutrz po ogłoszeniu niezależności w r. 1784 Stany Zjednoczone liczyły ogółem trzy do czterech milionów mieszkańców, około 30,000 do 40,000 katolików, czyli jednego na sto. Przy końcu wieku XIX-go, w r. 1890 liczą na sześćdziesiąt dwa miliony mieszkańców, ośm do dziesięciu milionów katolików, t. j. 7% lub 8%. Mniej liczni, niż wszystkie sekty protestanckie, razem wzięte, liczbą przewyższają oni każdą z nich z osobna. Niema stanu, do którego by nie wprowadzili swego obrządku, a w trzydziestu trzech stanach mają przewagę nad resztą ludności, mianowicie: w stanach Nowej Anglii. Ich kościoły mniej liczne, lecz obszerniejsze niż zbory protestanckie kosztowały więcej (wartość ich obliczają na 118 milionów dolarów), niż budowle religijne każdego innego wyznania, pomimo, że wzniesli je najubożsi wśród emigrantów i najpóźniej przybyli. Z roku na rok wznoszą oni zresztą nowe kościoły; w okresie od r. 1890—1895 poświęcono ich 4,655. Szybszy jeszcze jest wzrost ich hierarchii i ich duchowieństwa. W początkach wieku bieżącego mieli jednego biskupa i około trzydziestu księży, po większej części obcych narodowi, którego byli pasterzami. Przy końcu wieku Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych liczy dwunastu arcybiskupów, osiemdziesięciu biskupów i przeszło jedenaście tysięcy księży, w znacznej części Amerykanów. Wreszcie wszystkie prawie zakony religijne, jakie Kościół rzymski wydał ze swego łona w starym świecie, od pierwszych dni swego istnienia aż do naszych czasów przyjęły się w Ameryce, a niezależnie od tego powstało tam kilka kongregacyj pochodzenia czysto amerykańskiego.

Po stwierdzeniu tego postępu Wiary katolickiej, badając, jego przyczyny, przekonamy się, że wzrost ludności katolickiej wypływa bądź to z przyłączenia do Unii okolic już dawniej katolickich, bądź też z emigracyi ludów katolickich. Pomiedzy zaś tymi ludami, zajmują pierwsze i najobszerniejsze miejsce w tej nowej owczarni Kościoła rzymskiego, Irlandczycy, drugi, Niemcy, podzieleni na dwa

wyznania. Twierdzono niejednokrotnie, że potomstwo rodziców katolickich, przewyższa znacznie liczbę obecną katolików w Stanach Zjednoczonych, że więc, wbrew wzrostowi pozornemu, Kościół rzymski w tym kraju utracił wielu wiernych, którzy z urodzenia winni należeć do niego. Nie wdając się na tem miejscu w obliczenie rzekomych strat, zaznaczam, że w początkach emigracyi, wśród mnóstwa wydziedziczonych, przybywających z okolic katolickich, wielu, jeśli nie odstąpiło od Wiary swych ojców przed wyjazdem, to porzuciło ją, a przedewszystkiem nie przekazało jej swym dzieciom w nowej ojezyźnie, w której początkowo nie było możebności spełniania jej obrządku. Z drugiej jednak strony jest rzeczą pewną, że liczba tych wypadków odszczepieństwa mniej lub więcej bezwiednego, zmniejszała się w miarę, jak duchowni katolicy, wzrastając w liczbę, ustanawiali wszędzie służbę Bożą, obecnie zaś nawrócenie innowierców na Wiarę katolicką, dokonywające się niemal codziennie, zaczyna już wypełniać dawne szczyby. W jednej tylko dyecezyi Baltymorskiej, według obliczeń kardynała Gibbonsa, stwierdzono rocznie siedemset do osmiuset wypadków tego nawrócenia, w całej Unii około trzydzieści tysięcy.

Bądź jak bądź, co podziwiać należy przedewszystkiem w tym nowym Kościele, nie tyle liczbę, ile życie. Katolicy z urodzenia, czy pochodzenia, którzy przestali wierzyć, opuścili go; ci, którzy pozostali mu wierni, należą do niego w duchu i w rzeczywistości. Jeśli się teraz zapytamy, przez kogo i w jaki sposób wpojone im zostało życie chrześcijańskie, to Francya przed wszystkimi innymi narodami Europy posiada prawo do przyznawania sobie pierwszej i głównej zasługi w tem dziele owocnem. Takie zdaje się też być do dnia dzisiejszego przeznaczenie Francyi. Nie dostarcza mu kolonistów, lecz wysyła misyonarzy. Misye — oto jej prawdziwe kolonie. Przed stu laty z górą, gdy starem Kościołowi we Francyi rewolucya zagrażała zagładą, kilka jego szczątków wyrzuconych zostało na wybrzeża amerykańskie, jako szczepy nowego Kościoła. Ksiądz Cheverus, zmuszony opuścić Francję, przybył do arcybi-

skupa Carrola'a, Amerykanina z rasy i serca, który wśród narodu, świeżo uwolnionego, ustanowił w Baltymorze hierarchię kościelną. Wygnaniec ten mianowany został następnie pierwszym biskupem Bostonu. W ślad za nim inni Francuzi zajmowali inne stolice biskupie w miarę, jak je zakładano. Byli oni założycielami episkopatu amerykańskiego. W tych samych czasach, szukając przytułku przedtem samem prześladowaniem, Sulpicyanie francuscy otworzyli wielkie seminaryum w Baltymorze. Duchowieństwo więc amerykańskie miało kapłanów francuskich od samego początku najpierw w Baltymorze i Bostonie, a następnie w New-Yorku i San-Francisco za nauczycieli. Wreszcie, ponieważ sobór amerykański oświadczył, „że poświęcenie zakonne w tym kraju przyczyniła się więcej, niż wszystkie inne środki do uzyskania czci dla Kościoła u ludzi obcych naszej wierze,“ przeto dodać tu należy, iż większość zakonów żeńskich w Stanach Zjednoczonych, bierze swój początek z Francyi i chociaż zakonnice, należące do nich, są obecnie Amerykankami, to noszą one habit francuski, przestrzegają regułę francuską i uznają przełożoną francuskę.

Jeżeli poza tem ludność Stanów Zjednoczonych garnie się obecnie ku Kościołowi, od którego oddalały ją dawniej ślepe i nierozumne przesady, ku Kościołowi przyniesionemu jej przez Francję, to przypomnieć należy, że ludność ta zachowała w sobie samej pragnienie Wiary, którego inne wyznania zaspokoić nie są w stanie. Z jednej strony mnożenie się do nieskończoności różnorodnych wyznań, zniewala do szukania, a w końcu i do uznawania najwyższego trybunału, w sprawie Wiary; z drugiej strony, pomiędzy dogmatami religijnymi, jakie przekazali temu narodowi pierwsi jego założyciele, a zasadami politycznymi i społecznymi — przez nich ustanowionymi czy przygotowanymi, istnieje sprzeczność. Doktryna purytańska odmawia wolności człowiekowi, a demokracja amerykańska zapewnia ją obywatelowi; doktryna purytańska ujarzmiła naturę ludzką i trzyma ją w bezustannej zależności, demokracja amerykańska zaś czci ją, wielbi i liczy się z nią na każdym kroku. Pomiędzy temi dwiema krańcowościami pośredniczy nauka katolicka,

która określa i udoskonala wolność, nie zaprzeczając jej jednak, która uszlachetnia naturę ludzką, bez zapoznawania jej wad przyrodzonych. Wbrew też wszelkim wiekowym nieporozumieniom, nauka katolicka zdaje się odpowiadać w zupełności potrzebom duchowym wolnego i silnego narodu.

Z dwóch tych dowodów, pierwszy spotykamy przede wszystkim w mowach i pismach najwybitniejszego i najbardziej miarodajnego przedstawiciela Kościoła rzymskiego w Stanach Zjednoczonych, kardynała Gibbonsa; drugi wypowiedziany został przez dwóch mężów, którzy przebyli wszystkie doktryny, zanim poznali i przyjęli prawdę katolicką: Brownsona i Heckera. Mężów tych ich współobywatele i współwyznawcy czeżą, jako przykłady cnoty chrześcijańskiej, cudzoziemcy zaś widzą w nich wybitny typ charakteru amerykańskiego.

Amerykanom, a pomiędzy nimi szczególnie katolikom zapowiada się błoga przyszłość. Najbardziej wpływowy z ich mówców, arcybiskup Ireland, obchodząc w Baltymorze, w r. 1889, stuletnią rocznicę amerykańskiej hierarchii kościelnej, zakończył kazanie swoje następującemi słowy: „Pozostaje dla naszego Kościoła droga dłuższa do przebieżenia, niż ta, którą przeszliśmy dotychczas. Zadanie XIX-go wieku polegało na szczepieniu Wiary katolickiej w Stanach Zjednoczonych; zadanie wieku XX-go spoczywać będzie w nawróceniu na tę Wiarę całego narodu amerykańskiego.“ Tak samo w ostatniem swem dziele, zatytułowanem „Poseł Chrystusa“, kardynał Gibbons, nie przewidując może tryumfu tak zupełnego i nagłego, poleca swym kapłanom jako hasło apostołskie, okrzyk narodowy i popularny „Naprzód“ (*Go ahead!*).

Oby Kościół ten Stanów Zjednoczonych nie wstrzymał się nigdy w swym pochodzie i odbywać go mógł swobodnie przez wiek przyszły! Postęp jego napędza najwyższą radością po świecie całym tych wszystkich, którzy wiernie stoją przy prawdzie katolickiej i nigdy nie zwątpili o jej zwycięstwie tu na ziemi, którzy w wolności widzą dźwignię religii

i którzy szukają w religii i moralności straży obronnej dla demokracji.

* * *

Postęp ten jednak zależy przede wszystkim od samego i od całego społeczeństwa amerykańskiego. Niezbędny jest on zresztą dla jego życia domowego i dla jego życia publicznego.

W jego życiu domowym, obok zalet wyłuszczonych przez nas poprzednio, istnieje plaga, która wzrasta i której nie należy osłaniać. Łatwość rozwodu rozluźnia i zrywa węzły rodzinne. Zbyt często, w stosunkach pomiędzy rodzicami a dziećmi razi nas zupełna nieledwie obojętność. Rzeczą jest Kościoła, który w całej pełni zachował nierozzerwalność małżeństwa, i który stanowi dzisiaj jeszcze, zdaniem sławnego protestanta, Guizot'a, największą rękojmię jego nietykalności, ścieśnić związek małżonków, przywrócić pomiędzy rodzicami a dziećmi węzły przywiązania i szacunku.

Nadmieniliśmy już, że Kościół w Ameryce, nie biorąc nigdy udziału w sporach czysto politycznych, przygotowuje się do pośredniczenia w walkach społecznych, do zażegnania zatargów pomiędzy kapitałem a pracą. Życzyć należy, aby skutek pomyślny uwieńczył to dzieło. W ten bowiem sposób oszczędziliby nowemu światu rozterek, które zagrażają obecnie staremu!

Ponieważ zaś przy końcu tej mało wyczerpującej pracy, jako szczerzy przyjaciel Stanów Zjednoczonych, streszczam me życzenia, co do ich przyszłości, przeto pominąć mi nie wolno milczeniem jednej jeszcze ważnej bardzo sprawy. Opisuując na wstępie wzrost tego narodu, stwierdziłem, że niema drugiego narodu na kuli ziemskiej i w dziejach świata, któryby urósł tak szybko i w tak wielkich rozmiarach i to bez uciekania się do siły oręża. Stanowiło to jego oryginalność i jego sławę. Zarówno przy wybiciu się na wolność, jak i przy załatwianiu zatargu, jaki w jego łonie wywołało niewolnictwo, naród ten okazał, że umie waleczyć. Lecz zgromadziwszy olbrzymie armie, potra-

fił on także rozpuszczać je do domu i wystrzegał się zużywania swych środków i sił na wydatki i przedsięwzięcia wojskowe. Zdawało się, że stanowiło to właściwy warunek jego życia i dobrobytu; — ale otóż chwytła go dzisiaj pokusa zdobyczy i upada już pod ciężarami i krzywdami tej polityki. Nie posiadając ani zobowiązań ani tradycyj sławnych narodów Europy, zaczyna naśladować ich krwawe pożądlivości. Niech się zrzecze tych zamysłów! Niech się zatrzyma na tej zgubnej drodze! Niech się cofnie, dopóki czas jeszcze! Jest to życzenie, które żywią w Stanach Zjednoczonych najoświeceni obywatele, z którymi łączą się za granicą bezstronni wielbiciele młodych dziejów tego kraju.

Wice-hrabia de Meaux.

Spolszczył

Kazimierz Puffke.

IV.

KWESTYA SOCYALNA W XIX-ym WIEKU.

Niepodobieństwem jest streścić historię kwestyi socyalnej XIX-go wieku, w rozprawie, obejmującej kilkanaście stronnic. Sam obraz jej rozwoju w jednym tylko kraju wypełniłby tom cały.

Aby tedy odpowiedzieć myśli, przodującej niniejszej rozprawce, właściwszem nam się wyda zaznaczenie w szerokich zarysach znamienych cech ruchu socyalnego, który wiek nasz zaniepokoił i wskazanie źródeł, z których wypłynął odrazu szerokiem korytem, z wielką siłą. Wspomniemy nadto o nieporządkach jakie wywołał i pomówimy o wątpliwościach, które wznicił w umysłach ludzi, zastanawiających się nad zagadnieniami życia.

Nie było okresu w dziejach ludzkości, któraby nie zaznała ruchów socyalnych; wybuchały one w starożytności, w wiekach średnich i w nowszych czasach, — często nawet bardzo gwałtownie. Ale te rozmaite objawy bezustannego zatargu pomiędzy bogactwem a ubóstwem, pomiędzy siłą i słabością, były w dawnych wiekach tylko wypadkami w życiu narodów, mniej lub więcej długotrwałymi. Dopiero w XIX-ym wieku stały się one tłem jego historii, a kwestya, którą podnoszą w naszych czasach, góruje ponad

wszelkiemi sprawami politycznemi jako ta, od której zależy nawet przyszłość narodów.

Niewątpliwie, zmiany w mechanizmie wytwórczości przemysłowej, zarówno jak i dojście szerokich kół ludności do władzy politycznej, w znacznej mierze tłómaczą doniosłe to zjawisko. Lecz to nie wystarcza do zupełnego uzasadnienia, ani do zrozumienia, czemu przypisać, że przez cały wiek wszelkie wysiłki ludzkie pozostały bezskuteczne wobec wielkich zagadnień, jakie podniosła nowa organizacja pracy.

Przyczyny złego, trzeba szukać głębiej a jak we wszystkich wielkich kwestyach naszych czasów, należy cofnąć się aż do rewolucyi francuskiej, z końca zeszłego wieku, aby odkryć istotne przyczyny złego. Nie zapuszczając się w szczegółowe rozpatrywanie zasad, ogłoszonych przez rewolucję, można powiedzieć, że się one streszczają w podwójnym błędzie. Pierwszym z nich była sekularyzacja, czyli mówiąc utartymi dziś wyrazy: laicyzacja społeczeństwa, t. j. radykalny rozdział wszelkich jego urządzeń pomiędzy prawo Boskie, a prawo ludzkie. Drugim błędem był indywidualizm, t. j. zerwanie ogniów społecznych i rozprężenie organizmów w społeczeństwie. Ztąd powstał nowy porządek rzeczy, oparty na niezależności człowieka w jego stosunku do Boga, na bezwzględnej przewadze interesu osobistego i na nieograniczonej prawie wolności, w stosunku wzajemnym ludzi do siebie.

Istotnie, trojaki ten charakter zauważyć można w różnych przedmiotach, jakie obejmuje kwestya socyalna: w pracy, własności i zamianie, które wszystkie trzy są jak najściślej ze sobą złączone, ponieważ celem pracy jest pozyskanie własności, jej zachowanie, powiększenie lub zamiana.

Z chwilą, gdy indywidualizm, któremu pogarda praw Boskich odwagi dodaje, staje się podstawą stosunków między ludźmi, pracę uważać można jako przedmiot sam w sobie, niezależnie od tego kto ją wykonywa, a zatem wyłącznie jako wartość handlową, którą przedstawia. Praca staje się towarem, równym każdemu innemu, a skutkiem tego nie

podlega innym prawom, krom współzawodnictwa i potrzebie produkcji. Bezwzględna wolność rządzi użytkowaniem pracy, wolność panuje w używaniu do pracy mężczyzn, kobiet i dzieci, w ustanawianiu ich wynagrodzenia, normowaniu ich warunków materialnych i moralnych; wolność co do fabrykacyi, w walce pracodawców pomiędzy sobą, robotników przeciw pracodawcom, robotników pomiędzy sobą. Pracodawców i robotników nie łączy żadna organizacya społeczna, mogąca regulować wzajemne ich interesa, często ze sobą sprzeczne; każdy w kwestyi obrony swej pozostawiony jest własnym siłom. W takich oczywiście warunkach pracodawcy, skupiający w swych rękach kapitał, niezbędny dla każdego przedsiębiorstwa i każdej pracy, jako najlepiej uzbrojeni, mogą wywierać wpływ swój bez żadnych ograniczeń, krom tych, jakie im stawiać mogą ci, których wynagradzają.

Tak samo rzecz się ma z własnością: przy panowaniu indywidualizmu, traci ona charakter obowiązku społecznego, który brał początek z prawa Boskiego i stosować się musiał do dobra publicznego. Będąc najwyższem zadowoleniem osobistego interesu, zapewniona prawami wyłącznie ludzkimi, własność jest uważana przeważnie za zwykłą, mniej lub więcej korzystną, lokacyę kapitałów. Bezwzględna swoboda staje się także zasadą własności, a z ograniczeniami, które jej nakładały obowiązki społeczne, traci jeden z głównych tytułów do szacunku ludzkiego.

W tym samym czasie, wobec wzrastającego, dzięki zmianie wytwórczości, rozdziału pomiędzy kapitałem a pracą, wyrabia się potrzeba kredytu, który oddaje kapitał na użytek pracy, kosztem pewnego wynagrodzenia dla właściciela kapitału. Tym sposobem, pieniąż zyskuje przewagę we wszystkich przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych. Będąc nietylko środkiem zamiany, lecz i prawnie ustanowionym miernikiem wartości, dzięki panującej zasadzie indywidualizmu, nabywa on nieograniczoną wolność, co do formy w jakiej bywa użytkowany zależnie od interesów, pragnień i żądz. Stając się tym sposobem źródłem obfitych korzyści, jest tem ponętniejszy dla egoizmu, gdyż przedstawia

bogaćstwo ruchome, ów niezbędny warunek i środek łatwych rozkoszy.

W dziedzinie pracy pierwszym wynikiem nowych zasad było — nagle i zupełne tłumienie korporacyj rzemieślniczych, cechów, które, obok opieki nad wspólnymi interesami swych członków, dawały im pewność i bezpieczeństwo egzystencyi. Przewrót ekonomiczny, który wynikł w stanie tym rozprzężonym materialnie i moralnie, wywołał najfatalniejsze skutki: nieograniczone niczem współzawodnictwo spowodowało coraz większy wyzysk pracy mężczyzn, kobiet i dzieci, praca nocna i zaniechanie odpoczynku niedzielnego stały się niezbędnymi. Pociągnęło to za sobą rozprzężenie w życiu rodzinnem i zepsucie obyczajów. Był robotnika stał się zależnym od wahań wytwórczości; nierówność warunków bytu pomiędzy kapitalistą a pracownikiem wzrastała, zaczęło się szerzyć nowe zło, — już nie ubóstwo lecz pauperyzm, t. j. całkiem niepewny stan olbrzymiej liczby robotników, którzy, pod wpływem zmiany rynku dla wyrobów przemysłu, z dnia na dzień przez utratę pracy, lub zmniejszenie zarobku wpadali w nędzę.

Nie mniej doniosłe przewroty dotknęły z tych samych przyczyn i własność ziemską, tę główną podstawę powszechnego dobrobytu. Doktryny indywidualistyczne przygotowały rozluźnienie lub zupełne zerwanie węzłów, jakie łączyły pomiędzy sobą i z ziemią ludzi, którzy na niej pracując, z jej uprawy i z jej płodów żyli. Równocześnie państwo, we Francyi, w imię zasady sekularyzacyi społeczeństwa, zabrało dobra kościelne, a niebawem potem, skutkiem zatargów wewnętrznych, konfiskowało dobra szlachty, wytwarzając tym sposobem, przez dowolne nadania nowe tytuły własności oparte na rabunku. Tym sposobem przepadły majątki, będące własnością zbiorową, przynoszące biedakom dużo korzyści i zginęły zwyczaje, które, mimo liczne nadużycia, w dawnej organizacyi społecznej, nakładały pewne ograniczenia prawu własności; nazwano to oswobodzeniem ziemi, wystawionej też tym sposobem bardzo rychło na łup spekulacyi. Ta ostatnia niebawem obniżyła jej wartość, wystawiając plody rolne bez dostatecznej obrony na kon-

kurencyę obcą w tej samej chwili, gdy prawo o rocznych działach spadkowych rujnowało ojcowiznę, rozbijając ją na drobne części. Ztąd powstała nadmierna ruchomość, a bardzo często zupełne rozbicie ognisk rodzinnych, niestałość rodzin wiejskich, zniknięcie wielu kwitnących dawniej środowisk ludności, nareszcie wytworzenie na wsi, równego proletaryatowi przemysłowemu, rodzaju proletaryatu, który bezustanna emigracja popychała ku miastom.

Zło było niemniejsze w dziedzinie kredytu. Ponieważ starodawne przepisy Kościoła, dotyczące pożyczania na procenty, poszły w poniewierkę, zatem lichwa, nie mając a sobie hamulca, mogła znów stać się zwyczajem. Praca, zamiast znajdować w spółkach i we wzajemnym kredycie potrzebne zasoby, zmuszoną została szukać ich u posiadaczy bogactw, którzy wyzyskiwali ją nadmiernie na rzecz swoją; gdy zaś przedsiębiorstwa przemysłowe wymagały znacznych kapitałów, uciekano się po nie do towarzystw i spółek finansistów. Te znów, łakomiąc się na zyski nęcące, równocześnie zniosły odpowiedzialność przedsiębiorców, przyczyniając się do nadmiernego rozwoju produkcji, po której następowała nieunikniona reakcja, pociągająca za sobą zmniejszenie się wytwórczości, a dla robotników przymusowe bezrobocie. Wreszcie bezgraniczna swoboda spekulacji, otwierająca wrota wszelakim nadużyciom i pozwalająca, by tranzakcyje wartościami ruchomymi zamieniły się w grę hazardową, sprawiła, że handel, przemysł, rolnictwo, słowem praca i wymiana pod wszelką postacią, stały się zależnymi od kapitału, potęgi wszechwładnej i powszechnej. Potęga ta, rzecz prosta, dąży do tego, by skupiać się w rękach kilku osobników, szczęśliwszych, zręczniejszych, lub mniej skrupulatnych, a zapanowawszy nad rynkiem ekonomicznym, rządzi nim wedle własnego upodobania, miażdżąc tych, którzy usiłują stawić jej opór, nęci tłumy nadzieją szybkiego zubożenia się, nadzieją, niszczoną zbyt często niepowetowanymi katastrofami. Pracownicy zaś, oddawani są na pastwę zmian gwałtownych, odskoków od bogactwa do nędzy, co jest nieuniknione przy podobnych przedsiębiorstwach.

Państwa same, systemem pożyczek i ciągłej emisji rent, dają zły przykład. Dług publiczny dostarcza nowej karmy ażytożowi spekulantów, którzy zagarniają narodowe mienie i narażają je na ubytek poważny.

Takie jest położenie ogólne, wytworzone przez fałszywe i zgubne zasady rewolucyi.

Atoli tak gruntowna zmiana nie mogła dokonać się w jeden dzień. Gotowała się ona stopniowo, w miarę, jak pod wpływem prawodawców i doktryn reformacji zmieniało się pojęcie i forma społeczeństwa chrześcijańskiego, by ustąpić miejsca wszechpotędze państwa. To ostatnie stawało się coraz bardziej świeckiem, pochłaniało wielkie siły, które w wiekach poprzednich Kościół powołał do czynu i zorganizował, dzięki swej władzy i swemu wpływowi.

Zmiana ta przenikała stopniowo do obyczajów klas wyższych, tak, iż przy końcu XVIII-go wieku były one zupełnie gotowe do przyjęcia zasad filozofów i ekonomistów. Ci oburzali się na występki dawnych rządów i, w mniemaniu, że znaleźli na nie lekarstwo, niszczyli a obalali instytucye, zamiast je poprawiać i ulepszać; głosili nowe zasady, zamiast zwracać się do dawnych, prawdziwych a z biegiem czasu niejednokrotnie spaczonych zasad chrześcijańskich; nie rozumieli, że w ten sposób podnoszą do godności doktryny sposób postępowania, wywołujący te właśnie nadużycia, przeciwko którym chcieli walczyć.

Rewolucya, dokonana w imię tych zasad, gwałtownością swego wybuchu nadała im rozwój bardzo szybki i tem donioślejszy, że zmiany, wprowadzone dzięki nowoczesnym wynalazkom, w handlu, przemyśle i systemie zamiany, otworzyły ambicyi ludzkiej szersze pole i rozleglejsze widnokreśli. Tak więc, pod wpływem poprzedniego już wychowania, dziś jeszcze, np. we Francyi, klasy wyższe są jeszcze prawie na wskroś przesiąknięte błędami, które pojawiły się, jako zasady, w czasie rewolucyi 1789 r. Zresztą, w tym systemie swobody i bezwzględnej indywidualizmu, znalazły one ułatwienie i zadowolenie, które wzbudziły w nich przekonanie o słuszności samego systemu. Uważając za postęp rozdział społeczności świeckiej od ko-

ścielnej, klasy te dały się pociągnąć powabowi nowych zasad; zapominały często o obowiązkach i odpowiedzialności swego stanowiska, przyjmując tylko do pewnego stopnia odpowiedzialność, którą nadto uważały za ustępstwo, czynione z dobrej woli; korzystały z tolerancji Kościoła, aby uspokoić sumienie co do frymarki pieniędzmi i uważały się za zwolnione od wszelkich innych obowiązków, wobec pracowników, krom obowiązku wypłaty zarobków. Władzy wykonawczej odmawiały onetych praw, które przestały przyznawać Kościołowi, mianowicie prawa wglądania w zarządzanie własnością, w organizację pracy lub w handel wartościami.

Rzecz prosta, że przy takim nastroju ducha i obyczajów, konserwatyści musieli zaniechać wszelkiej myśli o reformie społecznej, opartej na nauce Kościoła i dążącej do poddania interesów osobistych dobru ogólnemu, lub do narzucania ograniczeń swobodzie kontraktów. Niemniej naturalnem jest, że posiadacze i kapitaliści, uważając się za obdarzonych władzą bezwzględną, nie przyznają pracownikom żadnych praw, któreby mogły ograniczyć własne ich prawo i odrzucają *a priori*, jako groźną chimere lub zgubną teorię, wszelką myśl reformy ekonomicznej, lub społecznej. Zresztą karygodne nadużycie, towarzyszące nieraz domaganiom się ludu, gwałty, popełniane w jego imieniu, dają kapitalistom na zbyt wiele pozorów do sprzeciwiania się w zasadzie wszelkim roszczeniom, do potępiania ich bez sądu, jako zabarwionych socjalizmem.

Należy jednak stwierdzić, że pomimo tych tendencyjnych niechęci, od kilku dziesiątków lat ujawnia się ewolucya w wielu umysłach, które, patrząc na wypadki, przełękły się niebezpieczeństwa, grożącego ludzkości, i zgubnych skutków obecnego systemu.

Już uczone prace p. Le Play'a, opierające się na metodzie obserwacji, zadały okropny cios temu, co on sam nazwał fałszywymi dogmatami r. 1789. Śladami Le Play'o, na podstawie nauk jego, wytworzyła się cała szkoła; badając rzeczy gruntowniej, zaznaczając i zestawiając fakty społeczne, spopularyzowała zasady swego mistrza. Obok

tych pracowitych pisarzy byli ludzie obojętni, nawet niechętni dla praw religijnych, nieposiadający żadnych uprzedzeń w sprawach politycznych i społecznych, którzy naukowo obalili legendę, utworzoną przez historyków epoki rewolucyjnej. Najznakomitszym pośród nich jest Taine. Jego dzieła o rewolucyi wykazały całą nicość rzekomych reform z r. 1789. Filozofowie, ekonomiści, profesorowie, — wielu nawet otwarcie, — wzięli rozbrat z doktrynami encyklopedystów i z tradycyjnymi zasadami szkoły, t. zw. ortodoksyjnej, w sprawie wolności pracy, handlu i własności.

Ze swej zaś strony katolicy, przez poczucie poświęcenia dla klas niezamożnych, a jednocześnie z litości dla nędzy i niebezpieczeństw grożących społeczeństwu, rzucili się w ten prąd z wielkim zapalem, podejmując pracę, natchnioną duchem Wiary, opromienioną zupełnem zaufaniem w skuteczność zasad i prac Kościoła.

Lecz niebawem pośród nich samych wynikły pewne różnice zdań. Jedni sądzą, że inicjatywa prywatna wystarcza zupełnie do dokonania reform, że winna niemi kierować jedynie miłość chrześcijańska, a widząc, jak państwo rewolucyjne przywłaszcza sobie prawo do sumienia obywateli, jak rozporządza się w rodzinie, posuwają tak daleko obawę interwencji państwowej, że ją uważają za niebezpieczną i zgubną, nawet w dziedzinie spraw społecznych, zwłaszcza w kwestyi praw i własności. Inni przeciwnie, przekonani są, że w żadnym wypadku władza publiczna nie powinna być obojętną na stosunki ludzi pomiędzy sobą, lecz obowiązana, w pewnej mierze, urządzać je, z uwzględnieniem dobra ogólnego, ułatwiając każdej jednostce dążenie do celu, zakreślonego jej przez Opatrzność. Wyznawcy takich zasad dowodzą, że w państwie rozprzężonem i zepsutem niepodobna liczyć na enoty jednostek, gwoli reformowania obyczajów i wyprowadzają stąd wniosek, że miłość chrześcijańska nie wystarcza dla dopięcia takiego celu, że obowiązki społeczne, objęte porządkiem prawnym, winny być określone ściśle obowiązującymi ustawami i że tem samem państwo sta-

nowczo ma prawo wnikać wszędzie, gdzie działalność jednostek, rodziny i stowarzyszeń jest niedostateczną.

Stąd pomiędzy katolikami często zdarza się różnica poglądów. Jednakże konieczność zreorganizowania ustrojów społecznych, potrzeba zespolenia ze sobą wszystkich, których wspólny zawód z natury rzeczy łączy, celem przeciwdziałania złemu, wynikającemu z wybujałego indywidualizmu, — zbliżyły po krótkich wahaniach katolików, zajmujących się temi sprawami. Dlatego to w ostatnich latach powstały liczne stowarzyszenia, bractwa i korporacje rzemieślnicze, a liczba ich wzrasta ciągle.

Prąd jest zresztą powszechny; konieczność działania pociąga wszystkie umysły; jest to jedno z wybitniejszych znamion końca XIX-go wieku.

Pracownicy od dawna dali dobry przykład, mimo przeszkód prawodawczych, tworząc syndykaty zawodowe. Na nieszczęście jednak zbyt często powstają one wyłącznie pomiędzy robotnikami, z myślą wytoczenia walki pracodawcom. Szybki ich rozwój wywarł tak silny nacisk, że zmusił parlament francuski do nadania swobody nowym stowarzyszeniom i do odwołania w r. 1884 prawa, wydanego w r. 1791 przeciwko wolności stowarzyszeń zawodowych. Trudno o surowsze potępienie społecznej działalności rewolucyjnej.

Katolicy skorzystali skwapliwie z takiego usposobienia rządu, aby zapewnić legalność swoim powstającym korporacjom; tak samo konserwatyści, poza obrębem celów wyznaniowych, nagłeni po prostu złym stanem spraw społecznych, zastojem handlu, nędzą rolnictwa, w stowarzyszeniach uprawnionych przez państwo szukali lekarstwa na niedomagania.

Dziś tedy, obok wzrastających korporacji, o charakterze ściśle chrześcijańskim, ruch podobny na polu czysto ekonomicznym, powołał do życia liczne syndykaty rolne, reprezentujące olbrzymie masy producentów rolnych i składnia przemysłowców i kupców do szukania w stowarzyszeniach syndykalnych także opieki dla swoich interesów.

Zatem w całym narodzie francuskim¹⁾ wbrew, zasadom indywidualistycznym, objawia się zwrot powszechny i bardzo wybitny ku organizacyi zbiorowej. Niecałe stulecie wystarczyło, by go uczynić niezbędnym, a doniosłość jego jest tem znaczniejsza, że powstał z inicjatywy samych rewolucjonistów.

Ale i tu znów następuje pewna trudność, co do pytania: jaką powinna być forma tej organizacyi, jakie są skutki i pierwiastki? Czy ma ona być wyrazem praktycznym prawdziwego porządku społecznego, opartego na wspólności praw, obowiązków i interesów, a tem samem obejmującego wszystkie żywioły życia społecznego?

Czy zatem korporacja ma być instytucją publiczną, uznaną za taką przez państwo, używającą nie tylko praw jednostki cywilnej, lecz mającą własny, z prawodawstwa wynikający byt, prawo własności, jurysdykcję zawodową i urzędową reprezentację w ciałach politycznych? Czy też, jak dowodzą inni — organizacja korporacyjna ma być jedynie sposobem ku zbliżeniu wspólnych interesów, a korporacja ma jedynie polegać na stowarzyszeniu, zawiązaniem dobrowolnie, mającym prawo do własności jedynie w granicach, przyjętych dla wszelkich stowarzyszeń tam, gdzie panuje wolność, nie roszczeniem żadnych praw do życia publicznego, tem mniej do politycznego.

Poza tą kwestyą zasadniczą nasuwa się kwestya praktycznego zastosowania. I tak np. czy państwo, lub, ściślej mówiąc, władza publiczna, nie będzie się interesowała tworzeniem korporacji, poprzestając na daniu im swobody i pozostawiając je poza tem prywatnej inicjatywie? Czy też przeciwnie, skutkiem rozprężenia się społecznego, będącego owocem długiego panowania indywidualizmu, owa władza rozporządzeniami swojemi zmusi do tworzenia korporacji i zmusi wszystkich członków danego zawodu, aby należeli do takich korporacji? Czy wreszcie nie będzie właściwem, aby władza poprzestała na popieraniu i ula-

¹⁾ Nietylko w narodzie francuskim, ale w całym świecie cywilizowanym. (Przyp. tłóm.).

twianiu ogólnymi przepisami prawodawczymi ich rozwoju, aby je wzmocniała w samym zarodku, uznając publicznie nie tylko ich istnienie, lecz nadając im przywilej, który pozwala każdemu ciału zorganizowanemu mieć własność, rządzić się samodzielnie, przybierać nowych uczestników, być reprezentowanym, wreszcie, nie zmuszając nikogo, aby należał do korporacji, nadać im jednakże taką władzę, która może być jedynie udziałem zorganizowanego ciała?

Czy już dziś, zdążając jakoby ku systemowi korporacyjnemu w dziedzinie przemysłu i w ogóle w dziedzinie pracy władza publiczna dobrze uczyni, popierając tworzenie kas ubezpieczeń: od wypadków, na wypadek choroby, od skutków starości i zmuszając pracodawców do tworzenia ich, a robotników do zawierania zabezpieczeń, któreby chroniły ich od biedy a państwo od ciężaru utrzymywania robotników w nędzy? ¹⁾

Bez względu jednakże na doniosłość tych sporów co do organizacji korporacyjnej, rozprawy powracają zawsze do głównej kwestyi, mianowicie do prawa mieszania się władzy publicznej do stosunków życia społecznego. Ta kwestya bywa przedmiotem wszystkich rozpraw, gdy chodzi o kontrakty pomiędzy pracodawcami a robotnikami, o płacę, o wykonywanie prawa własności, o poskromienie lichwy.

Doniosłość sporu tłumaczy, iż dotychczas nie rozstrzygnięto go stanowczo. Wszelako sam fakt, że potrzeby ekonomiczne przynaglają do rozpatrywania kwestyi, że w rozmaitych sferach jest ona rozstrzyganą na niekorzyść zasad liberalnych, — świadczy o reakcyi, która się dokonała

¹⁾ W Niemczech kwestya ta już kilkanaście lat temu została rozwiązana przez wprowadzenie ubezpieczenia robotników na wypadek choroby, od wypadków i zabezpieczenia im emerytury na starość. Nie mogąc się tu rozpisywać o szczegółach organizacji tych ubezpieczeń, zaznaczamy tylko, że są one przymusowe dla wszystkich robotników, że premia opłacane są przez robotników i pracodawców, przy udziale skarbu państwa, że administracja jest do pewnego stopnia autonomiczna, narodowa, lub według okręgów geograficznie określonych, jednakże z przewagą państwa w nadzorze, tak iż ubezpieczenia te za państwowe uważać należy. (*Przyp. tłum.*).

w umysłach przeciwko zasadom rewolucyi, przyjmowanym prawie bez oporu aż do drugiej połowy XIX-go wieku. Dziś już we wszystkich krajach cywilizowanych opinia publiczna domaga się jednomyślnie powrotu do systemu stowarzyszeń obowiązkowych albo dowolnych i obszernego prawodawstwa społecznego w tym duchu.

Groźby socjalizmu przyczyniły się w znacznej mierze do wywołania tej reakcyi.

W istocie, w ciągu ostatnich lat trzydziestu zrobił on postępy olbrzymie. Wyszedłszy z okresu sentymentalnych deklamacyj i mglistych utopij, socjalizm przejął się doktryną naukową, sformułowaną przez Karola Marxa, i dziś różne szkoły, mające przedstawicieli w ludziach myślących i w pisarzach wielkiej wartości, poddają pod dyskusję szerokich mas zbiór żądań mniej lub więcej radykalnych, przygotowanych, aby je wcielić do prawodawstwa. Wszystkie one dążą do nowego podziału bogactwa przemysłowego i rolnego w drodze zbiorowego posiadania ziemi, oraz narzędzi pracy. Bezwątpienia szkoły te nie zgadzają się ze sobą we wszystkich punktach. Jedne proponują przyznanie własności całej państwu, które miałoby obowiązek rozdzielania pracy i jej płodów. Inne żądają tego prawa dla zbiorowej jednostki, reprezentowanej przez korporację lub gminę. Przy ściślejszem zbadaniu tych programów, zawierają one w zastosowaniu wiele punktów niejasnych, a projektów niewykonalnych. Lecz stopniowo wyłaniają się i porządkują podstawowe myśli i poglądy, tworząc pomost do porozumienia. Lud zbiera je, jako niedalekie widoki pomysłowości i widzi z nich ewangelię swoją: t. j. że społeczeństwo, wytworzone w przyszłości na podstawach ściśle materialistycznych, spełni ideał wszechsprawiedliwości, który ongi majaczył w umysłach rewolucjonistów.

Zresztą oprócz gruntownych zmian i przewrotów w organizacji społecznej, te programy zawierają pewne reformy, ogarniając stopniowo umysły, po części może dlatego, że nadużycia systemu ekonomicznego ujawniają ich słusność i konieczność, np. w sprawie uporząd-

kowania pracy, lub też, że bieg czasu, zmiana położenia i okoliczności, czynią badanie tych spraw nieuniknionem; jak np. sprawę reformy podatkowej.

Nareszcie różne warunki bez świadomości tych, którzy je sprowadzają, torują drogę socjalizmowi. Zaliczyć do nich należy w pewnych krajach, a przedewszystkiem we Francyi, stopniowe pochłanianie przez skarb zasobów i oszczędności kraju, i bezustanne wzrastanie nowych urzędów publicznych, scentralizowanych w rękę państwa, coraz większe skupianie się wszystkich żywiołów działalności narodowej w rękę stowarzyszeń kapitalistycznych, któremi państwo każdej chwili zawładnąć może, bądź w drodze prostego rozporządzenia, bądź w drodze prawodawczej, czy też jako wierzyciel, udzielający im zaliczek. Wszystko to dzieje się pod okiem konserwatystów, którzy sami współdziałają temu, rzucając się coraz bardziej na drogę kapitalizmu.

Tak więc, podczas, gdy rewolucya socjalistyczna gotuje się w dziedzinie myśli, dokonywa się ona nieznacznie w zakresie faktów, przez naturalny skutek systemu indywidualizmu i wolności zupełnej, która rządzi wieloma społeczeństwami, od stu lat z górą.

Jeden z jej przywódców, przed laty dziesięciu, przedstawiając różne programy swego stronnictwa, mógł zakończyć swoją pracę w te słowa, którym trudno nie przyznać słuszności, dziś jeszcze oczywistszej, niż wtedy: „Jeśli ci, którzy nas czytają — pisał — wątpią o konieczności wytworzenia sobie sprawiedliwego sądu o tych sprawach, prosimy ich o zastanowienie się nad jednym: nie wiadomo, czy w r. 1788 działalność rewolucyi, nieodzownej wówczas, była przygotowana tak starannie, jak działalność rewolucyi socyalnej w r. 1888“. Niedosć odpowiadać zaprzeczeniami na te żądanie jasno określone, groźne i już pewne siebie. Należy im przeciwstawić program pozytywny, w którym samo wskazanie zła starczy dla ustanowienia zasad, streszczonych w dwu punktach głównych.

1) Organizacya systemu korporacyjnego, któryby, przez naturalne ugrupowania zbliżał żywioły, współdziałające

w jednej i tej samej czynności społecznej i tym ciałom ukonstytuowanym nadawał władzę, spoczywającą dziś przeważnie w rękę państwa.

2) Prawodawstwo, nadające kontraktowi o pracy, używaniu własności, rozporządzaniu kapitałem, przepisy, zgodne z prawem Boskiem, z pieczęcią o dobro rodziny a tem samem z pomyślnością publiczną.

Takie reformy są jedynym środkiem naprawienia krzywd, zrządzonych przez indywidualizm i oszczędzania klęsk społeczeństwu, wyrывая je z anarchii, a zarazem chroniąc od ogarniającego je socjalizmu państwowego.

Jedynie Kościół katolicki może natchnąć takie reformy i pokierować niemi, przywracając narodom pojęcie społecznego prawa chrześcijańskiego, obalone przez rewolucyę, wznawiając w umysłach filozofię Ewangelii w miejsce racjonalizmu, przekazanego przez reformy z r. 1789, w miejsce fałszywych pojęć o człowieku i społeczeństwie, wykładanych naszym ojcom w pismach Rousseau'a i w doktrynach, które nasi współcześni zaczerpnęli z Niemiec pod wpływem Kanta i Hegla.

Kościół jedynie, przez swoją moralną powagę, może obalić największy opór, stawiany wszelkim projektom reform społecznych, opór, mający swe źródło w obawie międzynarodowego współzawodnictwa.

We wszystkich krajach, takich zwłaszcza jak Francya, dotkniętych bardziej przesileniem przemysłowem, fabrykanci, dla prowadzenia walki ze współzawodnikami, zmuszeni są uciekać się do wszelkiej pomocy, którą im może udzielić obecny system kredytu i pracy. Żaden z tych fabrykantów, w obawie aby go nie zwyciężyli konkurenci, nie chce, a nawet nie może zmniejszyć środków działania, przez przyjęcie prawodawstwa, któreby zmierzało do uregulowania obowiązku pracowników, do ograniczenia produkcji, do zmniejszania handlu pieniędzmi; nie może też przyjąć, organizacyi zawodowej, któraby przyznawała robotnikowi prawo, krępujące swobodę przedsiębiorstwa.

Nawet ci, którzy, przejęci zasadami chrześcijańskimi i oceniający trzeźwo sytuację społeczną, gotowiby uznać

reformy podobne w zasadzie, tak długo uważać je będą za niemożliwe w zastosowaniu, ich współzawodnicy pozostaną od nich wolni. Rolnictwo, tak samo jak i przemysł, we Francji i w większej połowie Europy są pod ciężarem produktów Indji i Ameryki, zmuszone szukać ratunku w prawach ochronnych, a rezultatem ich jest nakładanie wysokiego podatku na towary pierwszej potrzeby. Przedstawiciele tych dwu gałęzi wytwórczości, przejęci jedynie myślą utrzymania renty gruntowej lub uchronienia jej od zniżki, zbyt często tracą z oczu ważniejsze daleko i skuteczniejsze reformy społeczne, któreby przywróciły własności ziemskiej istotny jej charakter.

A więc, niezależnie od przyczyn zasadniczych, współzawodnictwo narodów stanowi faktyczną przeszkodę dla reformy społecznej, a znaczenie tej reformy jest chyba niezaprzeczone. Narody znajdują się wobec siebie na stopie wojennej; zmuszone są szukać warunków zwycięstwa w gromadzeniu kapitałów, w bezwzględnej swobodzie produkcji, w nadużywaniu sił ludzkich, w coraz większych obostrzeniach celnych. Rzecz się ma tak samo na polu ekonomicznym, jak i politycznym. Z obu stron, kosztem ofiar wyczerpujących narody, gromadzone są ogromne środki działania, a nikt nie chce pierwszy się rozbroić.

Socjalizm w tym stanie rzeczy i w skutkach, jakie on za sobą pociąga, znajduje najsilniejsze poparcie.

Jest więc naturalnem i zrozumiałem, że w wielce światłych umysłach powstał projekt porozumienia pomiędzy rządami, celem ustanowienia, oczywiście przy pomocy pewnych rękojmi kontroli, przepisów dotyczących opieki nad robotnikami, poskramiania lichwy, przepisów, któreby obowiązywały wszystkie narody, wchodzące w porozumienie.

W czasach gdy postęp cywilizacji doprowadza do skutku tyle układów międzynarodowych, projekt taki nie jest mrzonką i dzięki złagodnieniu obyczajów, podobne układy wynikły w zakresie praw wojennych, dla zabezpieczenia chorych i rannych; wydaje się też naturalnem, by w boju

pracy takie przepisy osłaniały strony wojujące od nadużyć walki.

Lecz któż w Europie i w świecie całym zażywa dostatecznej powagi moralnej, aby podjąć inicjatywę tego pojednawczego koncertu?

Któż, jeśli nie Kościół, matka i opiekunka narodów? a w jego imieniu Namiestnik Chrystusowy, naturalny rozjemca narodów? Konferencya odbyta w Berlinie na zaproszenie cesarza niemieckiego, zaznaczyła pierwszy etap na tej drodze; jest to krok nieśmiały, ale otwierający pole na przyszłość.

Nie odejmując wielkiego znaczenia temu międzynarodowemu aktowi, ani też zasługi monarsze, który go zapoczątkował, nie powinniśmy jednak zapominać ani pierwotnej inicjatywy, podjętej przez związek szwajcarski, ani zwłaszcza publicznej zachęty, udzielonej przez Ojca Świętego pomysłowi tej konferencyi, gdy we Francji i Szwajcaryi wyszedł od pewnej liczby katolików.

Wolno przypuszczać, że gdyby uroczysta interwencya papieża mogła być wystąpić swobodnie w tej sprawie, zostałyby przyjęta przez inne państwa z mniejszą powściągliwością, niż interwencya jednego ze współzawodniczących narodów, i to dość groźnego dla swoich rywaliów.

Doświadczenie uczynione niedawno w Hadze, na drugiej konferencyi dowiodło wymownie, iż wykluczenie Stolicy apostolskiej nie ułatwia bynajmniej obrad, ani dodaje im skuteczności. Czyż stanowisko doniosłe, które papieństwo od ówieré wieku; wbrew oporowi i pomimo położeniu politycznego, zajęło w świecie całym, dzięki jedynie powadze swojej władzy moralnej, czyż nie uzasadnia ono ufności katolików i nie utwierdza ich w nadziei, że zaświta dzień, w którym pracownicy wszelakich narodowości zwrócą się do wspólnego ich Ojca, prosząc go o rozjemstwo

Tak więc z jakiegokolwiek punktu zapatrywać się będziemy na zagadnienia społeczne, pomysły rozwiązanie ich ukaże nam się jedynie na drodze przykazań i współudziału Kościoła.

Taki wynik wydaje się nam coraz prawdopodobniejszy. Kościół nie uchylał się zresztą od tych obowiązków, pomimo trudności, jakie jego pośrednictwo rozbudzało wśród obecnego społeczeństwa.

Encyklika *Rerum Novarum* sformułowało zasady, dała wskazówki i zakreśliła rozwiązanie wszystkich niemal kwestyj powyżej wyłuszczonej, zwłaszcza dotyczących stanowiska prawodawstwa wobec pracy i wobec stosunku pracodawców i robotników, wobec tworzenia i działalności stowarzyszeń korporacyjnych.

Te wskazówki powinny być dla katolików stanowczo rozstrzygającymi wobec tych zagadnień. Lecz nawet wśród katolików tłumaczenie tego ważnego dokumentu wywołuje nieporozumienia, a tembardziej nie zdołał on zakończyć rozpraw pomiędzy konserwatystami, którzy są mniej posłuszni i mniej uważający na słowa Namiestnika Chrystusowego.

W tem właśnie leży ich punkt najslabszy. Nie za wielu będzie bojowników, gdy wszyscy chrześcijanie połączą się dla zwalczania niebezpieczeństwa grożącego porządkowi społecznemu. Dopóki nie pogodzą się na tych punktach zasadniczych, dopóki nie uznają w encyklice podstaw chrześcijańskiej ekonomii społecznej, nie przyjmą na tej podstawie wspólnego programu i nie postanowią w czyn go wprowadzić, walka ich z postępem socjalizmu, będzie zgoła bezowocna.

Siła, skupienie mogą na chwilę opóźnić pochód, ale go nie wstrzymają. Socjalizm sformułował swoją doktrynę, a jeśli pomiędzy szkołami istnieją różnice, co do zastosowań, zapatrywań i okoliczności, wszystkie one zgadzają się w zasadzie filozoficznej, a tą jest: odtrącanie wszelkiej władzy religijnej, społecznej i politycznej, górującej nad człowiekiem lub nad państwem. Zgadzają się też co do ostatecznego celu, którym jest stopniowa lub brutalna, pojedyncza lub gwałtowna przemiana kapitału prywatnego na kapitał zbiorowy.

Wszystkie te szkoły ofiarowują ludowi ideał urojony, lecz nęcący tłum wydziedziczonych, — ideał reorganizacji

społecznej, w której zanikną nierówności wytworzone przez bogactwo i ubóstwo. Wszystkie wreszcie, obalając poza granicą życia nadzieje nadprzyrodzone, usiłują pociągnąć tłum obietnicą dóbr ziemskich i materialnego użycia.

Zagrożone społeczeństwo bronić się inaczej nie może, jak tylko opierając się na chrystyanizmie. Ale na fałszywej drodze są ci, którzy w chrystyanizmie szukają stróża swoich bogactw i obrońcy swoich przywilejów, którzy cierpiącym bez własnej winy warstwom społecznym w chrześcijaństwie chcą dać jedynie pociechę, wzbudzać w nich nadzieje nagrody w przyszłym życiu. Nie dostatecznym też jest wyłączenie czynienia miłosierdzia potrzebującym. Należy przyjąć doktrynę chrześcijaństwa w całości, oprócz niej organizację społeczną, zasadę sprawiedliwości, którą ono przyniosło na świat, wcielić do obyczajów, do instytucyj i do praw, któremi się społeczeństwa rządzą. Poza tem wszystko jest daremne.

Liberalizm jest potępiony w porządku społecznym i politycznym, tak jak racjonalizm w porządku metafizycznym. Te dwie doktryny, panujące długo wszechwładnie, doprowadziły — jedna przez wywołane nadużycia — do wszechwładnego rozwoju socjalizmu, druga — przez wzbudzony sceptycyzm — do obalenia wierzeń religijnych.

Rewolucja francuska, która obie te doktryny wprowadziła w życie, przyniosła takie owoce. Bez względu na uporcezywe dowodzenia niektórych liberałów, socjalizm wyłonił się, jako logiczna konsekwencja z jej zasad głównych: o sekularyzacji społeczeństwa, o absolutyzmie państwa, o nacyonalizacji dóbr duchownych i feudalnych.

Od pierwszej chwili objawił się on wśród gwałtownych przewrotów, które cechowały początek ery rewolucyjnej. Stłumiony natychmiast przez potężny geniusz Napoleona, powstrzymywany następnie przez rządy konserwatywne, nie został nigdy zduszony zupełnie; wychodził na wierzch za każdym razem, gdy władza wysuwała się im z ręki. Dziś widzimy go silnym swą organizacją, dokonywaną powoli i doktryną naukową, tworzoną stopniowo! Rozlewa się w państwie demokratycznym, jak rzeka

wzbiera coraz nowymi dopływami i po długich usiłowaniach zrywa wszelkie tamy.

Taki jest fakt główny, streszczający dzieje sprawy społecznej w XIX-ym wieku. Wobec socjalizmu, wznoszącego się na gruzach liberalnego systemu, jeden tylko Kościół się ostał i jest dość silnym, aby wystąpić z nim do walki.

Przy końcu stulecia wynika pytanie doniosłe: czy chrześcijanie będą mieli dość Wiary, dość poświęcenia i energii, aby się skupić na gruncie, który im Kościół wskazuje i z nauk jego wytworzyć program wspólnego działania i rządzenia?

Wiek XX-y na to pytanie odpowie.

A. de Mun.

Członek Akademii francuskiej.

Spolszczył

Dr. Antoni Donimirski.

V.

WYCHOWANIE.

Najszlachetniejszym posłanictwem, jakie Bóg przeznaczył człowiekowi, jest bez zaprzeczenia wychowywanie dzieci. Jeden z filozofów starożytnych utrzymywał, że większą ma wdzięczność dla nauczycieli, niż dla rodziców, bo gdy tym ostatnim życie jedynie zawdzięcza, od pierwszych przejął cały kierunek życia.

Na rodzicach przedewszystkiem ciąży obowiązek wychowywania. Jest to prawo naturalne, obowiązek poważny, wskazany przez Stwórcę i przechodzący na nich wraz z władzą rodzicielską. Żadna władza i moc ludzka nie jest w stanie odebrać im tego prawa.

Jedynie Kościół przez Boga ustanowiony, aby prowadził ludzi do ich celu ostatecznego, dzieli z rodzicami te wielkie zadanie, do którego zarówno, jak i oni został powołanym przez Opatrzność; ten Kościół bynajmniej nie pozbawia rodziców ich prawa, ani też zwalnia ich od tego obowiązku, owszem dopomaga im do wypełniania go, jako wypływającego z ich posłannictwa i władzy.

Wychowanie jest mozołną uprawą, która pozwala rozwinać się należycie istocie ludzkiej; wychowawca powinien kształcić wszystkie władze, zarówno fizyczne, umysłowe, jak i moralne dziecka, aby mu dać możność dobrego i umie-

jętnego korzystania z życia doczesnego i osiągnięcia celu ostatecznego.

Wychowanie nieodzowne jest dla jednostki, która bez niego nie potrafi rozwinąć należycie przymiotów i władz swej natury, aby w słusznej i sprawiedliwej mierze korzystać z warunków doczesnego istnienia. Nie mniejszą doniosłość posiada wychowanie dla jednostki zbiorowej, społeczeństwa, gdyż tu tkwi źródło jego przyszłości pomyślnej, lub niepomyślnej, wielkiej, albo marnej. Słusznie Leitniz nazywa wychowawców władcami przyszłości.

Różnorodne są systemy wychowawcze, różne też rodzaje owoce. Gdzież jest sprawdzian nieomylny w tej pierwszorzędnej sprawie? Należy ocenić o ile i w jaki sposób i do jakiego celu prowadzi każda z tych reguł, zważyć, o ile rezultat z osiągniętego rozwinięcia zdolności przyrodzonych w danym osobniku wiedzie do zamierzonego celu. Wychowawca przede wszystkim powinien jasno zdawać sobie sprawę, do czego dąży i co warte są środki przezeń stosowane.

Względnie do zapatrywania się na człowieka, jako na jednostkę poszczególną, czy społeczną, względnie do tego, czy przeznaczenie jego upatrywać będziemy jedynie w tem życiu, czy też w przyszłym, powstają systemy wychowawcze, już to o ciaśniejszym zakresie, mającym na celu doczesne tylko, osobiste lub zbiorowe szczęście, już też zasady rozleglejsze, przygotowujące i ogarniające szczęście człowieka w życiu pozagrobowym. Środki wychowawcze są jeszcze różnorodniejsze. Wychowawca religijny nie zaniedba pomocy boskiej, zwracać się będzie do sumienia, poczucia moralności, rozwijać uczucia szlachetne, wzmacniać wolę; starać się też nieomieszka, aby ją uczynić odporną w walce z namiętnościami, wskaże swemu wychowancom przeznaczenie nadziemskie. Wychowawca zaś racjonalistowski ograniczy się tylko do teoryj, budowanych na rozumie, wolności, nauce, sztuce lub wreszcie na sporcie.

Uderzającym faktem wpływającym z różnych, stosowanych w wieku XIX-ym systemów wychowawczych, faktem panującym nad całą sprawą, jest głęboka niezgod-

ność pomiędzy poglądami wychowawców nowoczesnych, a co zatem idzie, zasadnicza różnica w systemach wychowawczych, zalecanych przez jednych, przez drugich potępianych. Szkoła stała się widownią żywego ścierania się dwóch wręcz przeciwnych prądów: religijnego i wolnomyślnego. Jest ona areną walki prowadzonej gorączkowo, w której palmą zwycięstwa jest dziecię i młodzieniec.

Pedagogika chrześcijańska nigdy nie gardziła owocami, jakie ludzkość zbierała z drzewa piękna i dobra w tem życiu, które przygotowuje człowieka do nieśmiertelnych przeznaczeń. Wiek XVIII-ty zerwał otwarcie z tym ideałem. Jego filozofowie i pedagodzy,—angielscy, niemieccy i francuscy—obok idei szlachetnych i zasad wzniosłych tworzyli teorye, wrogie religii chrześcijańskiej, czysto naturalistyczne. Zasady te wiek XIX-ty przejął w spadku, jako dziedzictwo oplakane i zdaje się, że powziął nieszczęśliwą zaiste myśl, aby wprowadzić je w życie. W szkołach państwowych, zwłaszcza w niektórych krajach, przeprowadził je z powodzeniem, nie mógł jednak dotychczas wykorzenić dawnych zasad i metod z sumienia narodów, dzięki czemu pokolenia chrześcijańskie wzrastają w dalszym ciągu na zdrowych podstawach. Sprzeczną działalność religii i wolnomyślności chcemy wykazać, stwierdzimy ją kolejno w trzech dziś powszechnie używanych stopniach nauczania. Opisując koleje tej działalności, będziemy mieli sposobność przekonać, jak wolnomyślni w wychowaniu nie oglądali się nigdy na przyrodzone prawa rodzicielskie, zaprzeczając ich i depreczając. Jak przeciwnie religia głosiła zawsze i wszędzie świętość i nietykalność praw, przysługujących rodzicom w wychowywaniu dzieci, według swych zasad, i jak wreszcie udało się religii wywalczyć w niektórych krajach wolność nauczania i wychowywania.

* * *

Jednym z wybitniejszych objawów życia umysłowego w w. XIX-ym jest powstawanie licznych szkół początkowych, założonych celem kształcenia ludu. Ktoś ze współ-

czesnych chciał nazwać wiek nasz „wiekiem nauczania początkowego.“ Posuwając jeszcze dalej swe uznanie dla tego charakterystycznego objawu, twierdził, iż szkoła początkowa równa się „odkupieniu ludzkości“¹⁾. Wobec statystyki moralności publicznej wartość tych twierdzeń upada, nie przestaje być jednak prawdą, że początkowe nauczanie jest jedną z większych trosk naszego wieku i do dziś dnia uczyniło wielkie postępy. Kościół od soboru trydenckiego (w. XVI-ty) przesięgnął wiele szlachetnych i szczęśliwych usiłowań, celem rozpowszechnienia szkół początkowych. Świadczy o tem działalność Piotra Fourrier'a, Św. Jana de la Salle, błogosławionej de Lestonnac i tytu innych sławnych mistrzów w zakonach i zgromadzeniach religijnych, zajmujących się wyłącznie nauczaniem początkowym. W naszym wieku w każdym prawie kraju, dzięki dobroczynnemu wpływowi wolności i troskliwości władz, wzrasta ilość szkół dla dzieci z ludu, czy je nazywać będziemy ludowemi, czy też gminnemi. Liczba szkół podniosła się niezmiernie. Jeżeli ograniczając się, wskażemy jedną tylko Belgię, to zobaczymy, że od roku 1842 do 1879 ilość dziatwy uczęszczającej do szkół początkowych, zdwoiła się pod wpływem wyteżonej działalności całego społeczeństwa.

Europa pierwsza dała początek temu ruchowi. Za jej przykładem poszła Ameryka, zwłaszcza północna, a jako gorliwsza działaczka, wyprzedziła obecnie Europę. Ze szkoły publicznej chciano tam uczynić ognisko, w którym miały połączyć się różne rasy, ścierające się dotąd w Stanach Zjednoczonych. Przyjmowano więc do szkoły murzynów i resztki plemion indyjskich. W r. 1893 liczono w Stanach Zjednoczonych 168 szkół normalnych, powstałych od 1839 roku²⁾. W 1872 i 1873 roku jeden stan Kalifornia na szkoły gminne wydał z górą jedenaście milionów fran-

ków. Ameryka południowa znacznie apatyczniejsza, poszła jednak za ogólnym prądem, o czem świadczy wystawa szkolna w r. 1889 w Chicago, stwierdzająca wielki i nagły postęp szkolnictwa.

W Egipcie i Lewancie użyto szkoły początkowej, jako środka skutecznego w polityce zagranicznej. Od roku 1850 Francya, Anglia, Rosya, Niemcy, Włochy, Ameryka waleczą o lepsze na tem polu. Missye religijne, również przez szkoły wzmacniają swą działalność i zapewniają sobie przyszłość. Ludność miejscowa przyczyniała się do pomnożenia tych rozsądników europejskiej kultury, niejednokrotnie z uszczerbkiem dla swych dawnych wierzeń. Obszerne kraje indyjskie, z liczną swą ludnością, zwłaszcza po organizacyi Karola Vood'a w 1854 r., uległy przekształceniu umysłowemu i obyczajowemu w duchu ideałów powszechnych ludzkości. Japonia wreszcie i wielkie wyspy Oceanii, nie oparły się temu powszechnemu ruchowi.

Pedagogika, tak lekceważona i zaniebywana w wiekach poprzednich, stała się umiejętnością gorliwie uprawianą przez wychowawców zdających sobie sprawę ze swego wysokiego posłannictwa w społeczeństwie. Dzieła, traktujące o tej ważnej gałęzi umiejętności ludzkiej, coraz są liczniejsze; wszędzie założono czasopisma pedagogiczne, a w wielu krajach powstały specjalne kursa pedagogiczne, muzea i t. p. instytucye. Badania nad usposobieniem dziecka zużytkowały cały zapas danych statystycznych, zbieranych zwłaszcza przez amerykańskich pedagogów.

Wychowanie, począwszy od karmienia przez matkę, do pieluszek, kołyski, stało się przedmiotem nauki, coraz to bogatszej w zasoby doświadczenia. Ochroniono miliony istot ludzkich od skażenia umysłu i serca, nie zaniebując wychowania fizycznego. Zabudowania szkolne, coraz częściej wznoszone z uwzględnieniem wszystkich warunków higienicznych, nieraz nawet z przesadnym, bezcelowym zbytkiem, sprzęty szkolne ulepszone, ściany pokryte obrazami i rysunkami, przedmiotami nauk przyrodniczych, kart geograficznych i t. p. wszystko to ma na celu ułatwie-

¹⁾ Levasseur. *L'Instruction primaire au XX siècle*. Revue pedagogique, mai 1895.

²⁾ Vicomte de Meaux. *L'Eglise catholique et la Liberte aux Etats-Unis*, str. 182.

nie t. zw. nauki o rzeczach. Wreszcie i sam sposób nauczania został udoskonalony.

Skutkiem powyższych przyczyn, ogólny poziom wykształcenia podniósł się znacznie, a ilość analfabetów tem samem zmniejszyła się. Dużo jeszcze zostało pola do pracy dla następnych pokoleń, zwłaszcza, że wielkie panują różnice w stopniu oświaty poszczególnych narodów.

Usiłowania rozwoju szkół początkowych, godne uznania w każdej epoce, szczególnie ujawniać się winny w chwili przewagi demokratycznych prądów.

Dla demokracji, według słów Montesquiusa, najważniejszą sprawą i największą troską społeczną, będzie zawsze oświata ludu; to też narody nowoczesne, coraz silniej władające sobą przez prawo głosowania, korzystając z tej wolności, dążą do krzewienia w masach oświaty i kładą nacisk na wykształcenie umysłowe. Szczęśliwymi byłyby te narody, gdyby kształcąc umysł, nie zaniedbywały kształcenia woli i serca.

Dawniej szkoły podlegały trojakiemu wpływowi: rodzin, w postaci władzy gminnej, Kościoła i wreszcie w najslabszym stopniu państwa. Wpływ rodziny z prawa przyrodzonego i wpływ Kościoła z polecenia boskiego był przeważający w większości społeczeństw chrześcijańskich; w naszych czasach w miarę rozwoju centralizacji państwowej słabły tamte wpływy, na korzyść wpływu państwa.

Obecnie całe szkolnictwo we Francji podlega ministrowi oświaty. System ten obowiązuje także w Szwecji i Norwegii, Danii, Niemczech, Holandyi, Belgii, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Austro-Węgrzech, Rosyi, Indyach, Japonii, Stanach Zjednoczonych i w republikach Ameryki południowej.

W niektórych państwach, jak np. we Francji, wpływ rodziny i Kościoła został zupełnie usunięty. W Szwajcaryi, w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, państwo nie zawładnęło całkiem sprawą szkół, widocznem jest jednak dążenie jego do absolutnego zagarnięcia w swe ręce ogólnego kierunku szkolnictwa.

Jeżeli rodzice są obowiązani dać wykształcenie swym

dzieciom, obowiązani są również czuwać nad wykształceniem, a tem samem wywierać wpływ na instytucje wychowawcze. Gdy troska o wyżywienie i odzianie dziecka przeszkadza rodzicom w sumiennem zajęciu się wychowaniem i wykształceniem go, obowiązkiem jest wtedy władz duchownych i cywilnych przypomnieć im to zadanie i ułatwiać je.

W naszym wieku sumienie publiczne wyrobiło się pod tym względem, z czego korzystając władze, celem dogodzenia powszechnie odczutej potrzebie oświaty, wprowadziły w niektórych krajach przymus szkolny, warując go niekiedy zbyt surowemi karami. W tej liczbie przytoczymy: Szwajcaryę, Anglię, Włochy, Niemcy, Francję, Portugalie, Szwecyę i Norwegię, Danię, Stany Zjednoczone, Japonię, Australię, Meksyk, rzeczpospolitą Argentyńską. Do czego to jednak prowadzi? Niejednokrotnie rządy muszą zwalniać surowość prawną, jak w Belgii, Holandyi i Anglii, i liczyć raczej na wpływ moralny. Wobec tego należy przypuścić, że lepiej byłoby znieść przymus szkolny.

Następstwem przymusu szkolnego, jest bezpłatne nauczanie. Nie jest to wynalazek naszych czasów, gdyż Kościół w swych szkołach praktykował go zawsze. Niektóre państwa, zwłaszcza w Ameryce, głosowały za bezpłatnem nauczaniem, nawet bez względu na zamożność ucznia; inne, jak Anglia, Belgia, Bawarya, Hiszpania, Holandia były za utrzymaniem opłat od zamożniejszych. We Francji zasada bezpłatnego nauczania, jest zachowywana zarówno w szkołach prywatnych, jak i w państwowych.

Wspomaganie szkół prywatnych przez państwo ma miejsce w Kanadzie, Anglii, Holandyi, Belgii i w Stanach Zjednoczonych. Zdaje nam się, że jest to jedyny środek zaspokojenia potrzeby kształcenia się coraz większej ilości młodzieży.

Tu musimy dotknąć smutnej choroby naszego wieku: szkoły bezreligijnej.

Wychowanie zawsze było uważane jako ściśle zespolone z nauką.

Rodzina i szkoła, która jest jej spadkobierczynią, nie ograniczały się na uczeniu dziecka, wychowywały je, kształcąc w niem serce, wolę i charakter na równi z rozumem.

Wychowawca opierał się na zasadzie chrześcijańskiej, że natura ludzka, wprawdzie jest dobra sama w sobie, jest jednakże niedoskonała, ograniczona, w gruncie zepsuta, wskutek grzechu pierworodnego i że skłania się ku złemu. Rozumiał wreszcie potrzebę walki przeciwko żądom zmysłowym, aby zapewnić przewagę duchowi nad ciałem i doprowadzić duszę do jej wiekuistego przeznaczenia.

Filozofia XVIII-go wieku przyniosła zasady nowe, wprost przeciwne nauce chrześcijańskiej. Nauczała według Rousseau'a, że człowiek rodzi się dobrym, że natura ludzka nie podlegała upadkowi, że niepotrzebuje odkupienia i że zbytecznym jest udział religii w wychowaniu; należy tylko rozwijać w dziecku dobre, wrodzone jego przymioty.

Wskrzyszony naturalizm pogański wypowiedział wojnę chrystyanizmowi i obejmując coraz szersze koła społeczne, znalazłszy wykonawców i krzewicieli w stowarzyszeniach tajnych, dążył do zwycięstwa. Walka wybuchła przede wszystkim na gruncie szkolnym. Religia wychowywała dziecko dla nieba, naturalizm chciał je chować jedynie dla ziemi; podkopywał porządek nadprzyrodzony, a jednocześnie wywracał, często bezwiednie, porządek moralny, społeczny, unicestwiając przeto ideał wychowawczy u samego źródła.

Niektóre państwa poczęły reformować szkoły w duchu naturalistycznym, pod pozorem nadawania im coraz więcej charakteru narodowego, aż z czasem doszło do wcielenia w praktyce zasady Condorcet'a, że wykształcenie publiczne powinno polegać jedynie na nauczaniu, t. j. na rozwijaniu rozumu. Była to zasada wprost przeciwna dotąd uznawanej i tem samym środki wychowawcze musiały być w tymże duchu zmienione.

Na skutek podżegań masoneryi, naturalistyczny system wychowawczy ogarnął prawie wszystkie kraje. *Ligue de l'Enseignement*, założona w roku 1866, dokonała nadzwyczajnych rzeczy w tym kierunku. Jej założy-

ciel, Jean Macé, usiłował oprzeć system moralności szkolnej na następującej zasadzie: „posłuszeństwo prawu i powinności bez uznania ich boskiego i nadprzyrodzonego źródła“. W rzeczywistości była to próba religii świeckiej, ideału moralnego bez dogmatów, bez cudów, bez kapłaństwa. Prawie wszędzie rządy zmieniły prawodawstwo w tym duchu, usunęły rodzinę od szkoły, rozszerzyły zakres udziału w niej państwa, zastosowały system naturalistyczny pod kłamliwym pozorem stworzenia szkoły neutralnej. Niderlandy ogłosiły taką neutralność w 1806, a wznowiły ją w latach 1857 i 1878, Bawarya w r. 1866, Austria w r. 1869, Prusy w r. 1872, Saksonia w r. 1873, Włochy w r. 1877, Belgia w r. 1878, Francya w r. 1886; w tym też czasie uczyniły to i liczne rzeczypospolite Ameryki południowej. Załedwie Hiszpania, Rosya, Grecya, Kanada, utrzymały w szkole religię, jako podstawę wychowania publicznego. Niektóre państwa posunęły się aż do usunięcia imienia Boga ze szkoły i wychowania publicznego.

We Francyi, Belgii i Ameryce południowej neutralność szkolna była następstwem nienawiści dla religii, która ogarnęła sfery wpływowe: — w Anglii zaś, Holandyi i Stanach Zjednoczonych wprowadzoną została, na mocy ugody różnych wyznań, bez wrogiego usposobienia względem podstaw chrześcijańskiej nauki. Katolicy w Stanach Zjednoczonych głosowali za szkołami neutralnymi, bo dawało im to możność usunięcia swych dzieci od wpływu różnowierczego. Doświadczenie jednak wykazało, że system ten pływający nawet ze względów tolerancji wzajemnej, zawsze obraca się na korzyść bezbożności lub obojętności religijnej i że jest zawsze zgubnym, zarówno dla obyczajów, jak dla Wiary.

Wprowadzenie systemu neutralności szkolnej spowodowało coraz częstsze wykroczenia przeciw moralności, co potwierdza statystyka urzędowa z roku na rok. Młodzież, pozbawiona zbawiennego wpływu Wiary, z pośpiechem zerwała wędzidła obyczajowe i weszła na drogę występków. Kradzieże, zamachy na niewinność, zabójstwa, samobójstwa, wykroczenia przeciw porządkowi publicznemu,

oświeciły ponurym blaskiem pierwociny wychowania bez Boga i przerosły bezbożne nadzieje zwolenników neutralności szkół początkowych. „Chcieliście, by nauczanie było świeckie, woła Jaurès, przzerwaliście pieśń starą, która usypiała nędzę ludzką, i oto rozbudziła się nędza przeciwko wam, i stanęła groźnie przed wami! Wyście podniecili szal rewolucyjny proletaryatu, i jeśli dziś budzi w was przerażenie, to boicie się własnego dzieła“¹⁾.

Kościół, zawsze czujny, nie przestawał podnosić głosu ostrzegającego narody chrześcijańskie przed tem niebezpieczeństwem. Nietylko biskupi wszystkich krajów w wielkiej ilości listów pasterskich, lecz i papież: Pius IX-ty i Leon XIII-ty w uroczystych alokucjach potępiali system neutralny szkół, jako szkodliwy dla Wiary, niezdolny wykształcić sumienia, sprowadzający skażenie obyczajów, i nalegali usilnie na rodziny, aby zapewniły swym dzieciom wychowanie rdzennie i jawnie religijne. Wołania te znalazły odgłos w sercach wiernych synów Kościoła, i oto przy końcu tego wieku dostrzegamy znaczny postęp ku lepszeniu²⁾.

Prawie wszystkie państwa zaczęły zdawać sobie sprawę z fałszywego kroku, który uczyniły. Belgia w r. 1884, Luksemburg r. 1897 uznały naukę religii, jako podstawową w szkole publicznej. Holandia, Anglia, Stany Zjednoczone, nie znosząc szkół neutralnych, zaczęły przedsiębrać środki, ułatwiające wykład religii, i sprzyjając zakładaniu szkół wolnych, wyznaniowych. Belgia, Holandia i Anglia zasilają szkoły prywatne z funduszów skarbowych.

Pod wpływem reakcyi przeciwko prądowi bezbożnemu, narzuconemu wychowaniu przez sekty masonskie powstaje wiele szkół wyznaniowych, nie ustępujących w niczem pod względem naukowym, a przewyższających neutralne pod względem wychowawczym. Obecnie religia we

¹⁾ Mowa w Izbie deputowanych w grudniu 1893 r.

²⁾ Przeczytać encykliki Piusa IX-go „*Quanta Cura*“ i „*Syllabus*“; list biskupa Fryburga 1864 r.; instrukcyę św. Oficjum dla biskupów Stanów Zjednoczonych 1875 r.; Akta kongresu w Baltimore z r. 1884; Encykliki Leona XIII-go „*Imortale Dei*“ i „*Sapientiae christianae*“ 1890.

wszystkich prawie krajach cywilizowanych zajęła dawne swe stanowisko w szkolnictwie, jako podstawa wychowania początkowego.

Najlepiej nawet prowadzona szkoła początkowa, jak sama nazwa świadczy, daje zaledwie początki nauki i obyczajności. Po wyjściu ze szkoły, chłopiec czy dziewczyna, wystawione bywają na liczne pokusy, którym ulegną niechybnie, jeżeli się ich pozostawi samym sobie i nie zahartuje należycie pod względem umysłowym i moralnym.

Wiek XIX-ty wielce troskliwy o oświatę, stworzył cały szereg instytucyj poza szkolnych, które słusznie nazwaćby można instytucjami hartującemi umysł, serce i wolę. Odczyty popularne, konferencye, księgozbiory, stowarzyszenia byłych uczniów, szkoły gospodarze dla dziewcząt, których najlepsze wzory daje nam Belgia, szkoły rolnicze, przemysłowe, sztuk pięknych, handlowe, oto są owoce wieku naszego, mające na celu uzupełnienie nauczania początkowego.

Pomiędzy tego rodzaju instytucjami we Francyi na szczególniejszą uwagę zasługują zapoczątkowane przez nauczycieli katolickich patronaty (*patronages*), które władze publiczne starają się naśladować. Patronat obejmuje młodzież obojga płci, łączy ją w grupy, zwołuje co tydzień lub częściej i pod kierownictwem nauczycieli, czy nauczycielek, dostarcza godziwych rozrywek i pożytecznych nauk. Zadaniem patronatu jest nietylko ochrona młodzieży od złego, lecz i kształcenie pod względem religijnym, umysłowym, obywatelskim i zawodowym. Dzięki podziwu godnym owocom pracy patronatów, zajęły one zaszczytne miejsce w szeregu cywilizacyjnych środków wieku naszego.

* * *

Wykształcenie początkowe w krajach cywilizowanych daje najkonieczniejsze podstawy oświaty. Dalszy rozwój życia umysłowego przypada w udziale wykształceniu średniemu, co do którego różne państwa różne przyjęły zasady. Podczas, gdy we Francyi i Belgii nauczanie średnie zajmuje

ściśle określone stanowisko pomiędzy początkowem a wyższem, i posiada dwa typy jednostajne: klasyczny i realny, w Anglii wykształcenie średnie właściwie nie istnieje, gdyż humaniora należą do wykształcenia wyższego. W Niemczech znów spotykamy wielką różnorodność szkół średnich, z których każda nosi piętno oryginalne. Szkoły francuskie przygotowują młodzież do przyszłej kariery przez pracę umysłową, angielskie natomiast wielki nacisk kładą na rozwój sił fizycznych.

W Kanadzie, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych, system wykształcenia średniego najmniej jest jednostajny. Nauki humanistyczne i teoretyczne mało tam znajdują uzględnienia. Szkoła amerykańska stawia sobie za zadanie przygotowanie ucznia do życia praktycznego, zaznajamia go z panowaniem nad materią i umiejętnością życia wśród ludzi. Podczas, gdy we Francji wykształcenie ogólne kończy się w szkole średniej, po której skończeniu młodzieniec idzie w kierunku specjalnym, w Anglii i w Niemczech wykształcenie ogólne trwa i w uniwersytetach.

Wiek XVII-ty przyjął jeden system wykształcenia średniego, praktykowany przez uniwersytety i ich współpracowników w dziele wykształcenia, Jezuitów. System ten polegał na nauce języków starożytnych, szczególnie łaciny, co stanowiło jego podstawę. Retoryka i filozofia tworzyły szczyt ówczesnego wykształcenia: formą zewnętrzną była ogłada towarzyska: duszą zaś religia. Język ojczysty, historia, geografia, zwłaszcza nauki przyrodnicze, zajmowały miejsce podrzędne.

Porte-Royal i Oratoryanie zapoczątkowali wyłom w tym systemie, wprowadzając w małych rozmiarach naukę języka francuskiego, historii, geografii i przyrodoznawstwa. Rollin, pragnął uszanować tradycję, i dlatego nie zrywał z pewnymi szczegółami systemu przyjętego, wprowadził zaś potrzebne w nowszych czasach nauki przyrodzone, zawsze zachowując na pierwszym planie chrześcijańskie kształcenie duszy.

Niemcy w wieku XVIII-ym śmiało przeprowadziły

reformę szkoły średniej, opierając ją na nowszych wymaganiach pedagogiki. Sławni pedagogowie niemieccy, Bazedow, Bahrdt i Salzman, szwajcarscy Pestalozzi i Froebel, stworzyli dla klas średnich typ szkoły mieszczańskiej, gdzie uczono przedmiotów „realnych“ t. j. języków żyjących i nauk mających związek bezpośredni z życiem praktycznym. Za tym przykładem poszła Polska, wprowadzając przez szkoły pijarskie podstawy racjonalnego nauczania. Uczniowie świętego Jana de Salle, rozpowszechniają te same zasady w szkołach średnich, nadając im charakter więcej nowoczesny.

W Królestwie Polskiem są następujące zakłady naukowe:

Uniwersytet w Warszawie.

Politechnika w Warszawie.

Instytut agronomiczno-leśny w Nowo-Aleksandrii.

Instytut weterynaryjny w Warszawie.

Gimnazya w Warszawie 7, a także w Piotrkowie, Częstochowie, Łodzi, Kaliszu, Radomiu, Kielcach, Lublinie, Chelmie, Siedlcach, Białej, Maryampolu, Suwałkach, Łomży i Płocku — razem 21.

Progimnazya męskie: w Warszawie 2, oraz w Pińczowie, Sandomierzu, Hrubieszowie, Zamościu i Pultusku — razem 7.

Szkoły realne: w Warszawie, Łowiczu, Kaliszu i Sosnowcu — razem 4.

Gimnazya żeńskie: w Warszawie 4, w Piotrkowie, Łodzi, Kaliszu, Radomiu, Siedlcach, Lublinie, Kielcach, Łomży, Suwałkach i Płocku — razem 14.

Progimnazya żeńskie: w Warszawie, Nowo-Aleksandrii, Zamościu i Sandomierzu — razem 4.

Seminarya nauczycielskie: w Warszawie, Siennicy, Łęczycy, Solcu, Białej, Chelmie, Jędrzejowie, Wejwerach i Wymyślinie — razem 9.

Szkoły rzemieślnicze: w Warszawie 3.

Szkoły miejskie: w Warszawie 4, a nadto we Włocławku, Tomaszowie, Łodzi, Sejnach, Piotrkowie, Płocku i Łęczycy — razem 11.

Szkoły ogrodnicze: w Warszawie i Częstochowie — razem 2.

Górnicza jedna jedna w Dąbrowie.

Liczy powyżej wymienionych zakładów naukowych nie czynią zadość potrzebom ludności, powstają więc szkoły prywatne, wzorowane na szkołach rządowych. Liczba prywatnych szkół w Warszawie dosięga stu, zwłaszcza wielka jest ilość szkół prywatnych żeńskich z programem gimnazjów żeńskich rządowych. W ostatnich latach powstało kilka szkół prywatnych handlowych pod zwierzchnictwem ministerjum finansów. Ruch ten wywołany rozwojem ekonomicznym kraju, który potrzebuje coraz więcej sił zawodowych, handlowych. Powstały też szkoły prywatne handlowe

Nauki realne przez ciągły wzrost nabierają znaczenia w szkołach, tak że w krótkim czasie nawet we Francji stawiają je na równi obok humanistycznych.

Rozwój nauk przyrodniczych spowodował nadmierne, przeciążające umysły uczniów programy szkolne, a skłonność ogólna do nauk realnych spowodowała potrzebę reformy szkolnictwa, polegającą na unormowaniu stosunku ilości nauk klasycznych do realnych w szkole średniej. Szkoły klasyczne przygotowują młodzież do zadań wyższych w społeczeństwie, realne natomiast do praktycznych, jak rolnictwa, przemysłu i handlu. Zadanie obecne polega na znaczeniu granic tym dwom kierunkom, które powinny się wzajemnie uzupełniać, przyczyniając się do niejednostronnego kształcenia młodzieży. W ostatnich czasach staje się widocznym prąd dążący do wyrugowania ze szkoły średniej studiów klasycznych, a opinia przechyla się coraz więcej ku kierunkowi realnemu, obejmującemu nauki praktyczne.

Co do wykształcenia fizycznego, to młodzież narodów romańskich, skazaną jest na życie siedzące, nadmierną pracę umysłową, przy ciągłym wytężeniu woli ku zdobyciu patentu, który dopiero otwiera drogę do stanowiska. W szkołach utrzymywanych przez zgromadzenia religijne, zabawa i ćwiczenia cielesne należą do obowiązków szkolnych, gdy w państwowych małą przywiązują wagę do wykształcenia ciała.

Rasa anglo-saksońska wykształcenie fizyczne uważa za sprawę pierwszorzędą. Gry, zabawy i ćwiczenia fizyczne wytwarzają tam pokolenia silne i zdrowe; piłka, krokiet, wyścigi, wiosłowanie, stoją przed książkami i kajetami w programach szkolnych. Zadania piśmienne są rzadkością, nauczanie przeważnie jest ustne; lekcje niezbyt długie, przezywane ćwiczeniami cielesnymi. Postępy w naukach wprawdzie nie są nadzwyczajne, lecz zdrowie zostaje zachowane i siły

żeńskie. Rozrost przemysłu krajowego powołał do życia średnie zakłady naukowe techniczne, które również pozostają pod zwierzchnictwem ministerium finansów. Wogóle ostatnie lata wieku XIX-go odznaczają się u nas powstaniem wielu szkół zawodowych, średnich, których brak odezwano oddawna.

(Przyp. tłóm.).

wyrobione. „Żaden Amerykanin nie pozwoli, aby dzieci jego wiodły dla nauki“¹⁾).

Internat, tak rozpowszechniony we Francji, w Anglii zastępuje odpowiedni system opieki, w Niemczech zaś gościnność rodzinna; w szkołach Ameryki północnej zupełnie go nie znają. Wychowanie wszakże w szkołach państwowych Francji osłabło wobec nowych prądów etycznych, którym ulegali wychowawcy nie chcący lub nie umiejący zaszczepiać zasad chrześcijańskich w duszach młodocianych swych wychowanców. St. Simon wychwala metodę pozytywistyczną i materialistyczną, oddającą człowieka w niewolę instynktów. Fourier głosi zasadę wolności bezwzględnej i pod pozorem inicjatywy osobistej osłabia podstawy powagi, która jedynie daje możność przestrzegania przy wychowaniu najlepszej karności wśród młodzieży.

Filozofowie francuscy, piszący o wykształceniu, kładą nacisk na rozwijanie umysłu. Opierając się na zasadach racjonalistycznych, bez wierzeń religijnych, bez stałych zasad obyczajowych, nie mogli się odwołać do sumienia wychowawcy, ani też wywierać poważnego wpływu na jego wolę, obyczaje i charakter. „Rozwój umysłowy, mówił słusznie Guizot, jeśli łączy się z rozwojem moralnym i religijnym, jest doskonały; staje się podstawą porządku, regułą i jest jednocześnie źródłem pomyślności i wielkości społeczeństwa; gdy tymczasem sam jeden jest pierwiastkiem pychy, niekarności, samolubstwa, a tem samem niebezpieczeństwem dla społeczności“²⁾).

W Anglii i w Niemczech usiłowano stworzyć systematy wychowawcze oparte na teoriach fizjologii, atawizmu, determinizmu i socjologii. Teorie te dostarczają wiele ważnych wskazówek pedagogicznych, nie są jednak w stanie wywierać wpływu umoralniającego na wychowanców, nie wyrobiją w nim cnoty, gdyż nie działają na sumienie. Doświad-

¹⁾ Vicomte de Meaux. *L'Eglise catholique et la liberté aux Etats-Unis*. p. 179.

²⁾ *Journal Officiel*, Chambre des députés du 2 mai 1833.

czenie codzienne wykazało, że niema związku koniecznego pomiędzy wiedzą i cnotą. Umysły wyższe dojść muszą do przeświadczenia, że wychowanie powinno uważać moralność za swoje pierwszorzędne zadanie, gdyż tylko dobre obyczaje prowadzą człowieka do jego celu głównego, do dobra.

* * *

Dla całości obrazu poświęcimy kilka uwag sprawie wykształcenia kobiet w wieku XIX-ym. Ruch ten, o ile dąży do podniesienia godności osobistej kobiety, polepszenia jej warunków społecznych, należy uważać za wypływający z ducha chrześcijaństwa. Już św. Piotr Fourier, Fleury, Fénélon poruszali tę sprawę w swych pismach; w nowych zaś czasach biskup Dupanloup. Kościół zawsze sprzyjał zakładaniu pobożnych zgromadzeń niewiast, mających na celu kształcenie dziewcząt. Wymienimy tu: Urszulanki, kongregację N. Maryi Panny, Wizytki, Sakramentki, Felicjanki, Sercanki, Córki miłości, Córki mądrości, stowarzyszenia zajmujące się kształceniem dziewcząt. Gorliwość, umiejętność, doświadczenie, z jakim te stowarzyszenia od wielu wieków pracują na obranej roli, przeczą opinii sekciarzy, twierdzących, jakoby Kościół utrzymywał kobiety w nieuctwie.

Niewątpliwie, że prąd demokratyczny, który wywołał mrzonki o emancypacji i równości, przyczynił się bardzo do spopularyzowania hasła wykształcenia kobiet. Ruch tedy w tym kierunku stał się powszechnym. Wielu uważało go za chwilowy, inni natomiast przepowiadali mu pomysły rozwój w przyszłości.

W pierwszej połowie stulecia Europa i Ameryka przez powiększenie ilości szkół początkowych dla dziewcząt posunęły sprawę naprzód. Na Wschodzie z większym trudem otwierano szkoły dla dziewcząt, gdyż stoją tam na przeszkodzie wierzenia muzułmańskie, zakazujące młodej dziewczynie uczęszczania do szkoły. Dopiero w drugiej połowie wieku Egipt i Turcja otwierają szkoły dla kobiet, z których pierwsza była założona w Kairze r. 1875. W Indjach

po przezwyciężeniu tych samych trudności, ulegając wpływowi Zachodu, otwarto pierwsze pomieszczenie dla uczących się dziewcząt. Niezawodnie ruch ten jest początkiem wielkich reform wewnętrznych pośród ludów, które uginają się pod brzemieniem mahometanizmu i buddyzmu.

Pierwszy ten krok nie zadowolnił Zachodu. Nie ograniczono się do otwarcia dla kobiet podwojów szkoły początkowej; wkrótce wykształcenie średnie, a nawet wyższe stało się dostępnem dla niej, zwłaszcza, że wielu rzeczników tej sprawy, uważało to, jako środek wyzwolenia niewiasty z pod wszelkiej Wiary i prawa obyczajowego.

W r. 1855 rząd rossyjski organizuje licea dla kobiet; w r. 1868 Anglia dopuszcza kobiety do zdawania egzaminów na pierwsze dwa stopnie w uniwersytecie londyńskim; w r. 1872 została otwarta szkoła lekarska w Bareilly, w Indjach, a w dwa lata później taką szkołę otwarto w Londynie. W tym samym czasie uniwersytety rossyjskie przyjmują około dwóch tysięcy studentek na wydział lekarski. Niemcy, Anglia, Włochy, Belgia, Szwajcarya, zakładają liczne szkoły, celem kształcenia nauczycielek. Francya poszła za tym przykładem w 1880 r. Moralisci nie przedstawiali krytykować tego ruchu, zaznaczając niebezpieczeństwo płynące z krańcowej emancypacji kobiet. Uprawianie sztuk i nauk wytworzyło wiele kobiet lekkich, zarozumiałych i niezdolnych do godnego wypełniania obowiązków żon i matek. Nadmierne rozszerzenie programów szkolnych skrzywiło ich wykształcenie umysłowe.

Na tym gruncie wyrósł niezdrowy objaw społeczny, znany pod nazwą feminizmu, opartego na bezwyznaniowości. Walka Kościoła z niewiarą kobiet, jest o tyle trudniejszą od walki z niewiarą mężczyzn, że pierwsze są w niedowiarstwie zaciętsze, a przeto trudniej ulegają spokojnemu wpływowi chrześcijańskiej nauki.

* * *

Zadaniem szkoły średniej, klasycznej czy realnej, jest danie wychowawcowi ogólnego wykształcenia umysłowego

i obyczajowego, aby tak uzbrojony mógł stawiać czoło trudnościom życia. Największa liczba młodzieży poprzestaje na szkole średniej. Wybrani dopełniają wykształcenia w uniwersytetach. Tu specjalizują się umiejętności na różnych wydziałach, jako to: teologicznym, filozoficznym, literackim, prawnym i medycznym. W wiekach średnich Francya była inicjatorką uniwersyteckiego wykształcenia. Po zaburzeniach wieku XVIII-go, uniwersytety zachowane zostały wszędzie, wyjąwszy we Francyi, gdzie uległy znacznemu przekształceniu. Tutaj nad uniwersytetem dawnego charakteru wzięła górę szkoła specjalna, zastosowana do potrzeb ekonomicznych, technicznych i handlowych kraju. W innych natomiast państwach, nie wyjmując Turcyi i Indyi, pomimo powstawania szkół specjalnych, uniwersytety są w bardziej kwitującym stanie, niż kiedykolwiek.

Ciało profesorskie na uniwersytetach stanowią: profesorowie zwyczajni, nadzwyczajni i privat-docenci. W Anglii profesorowie nadzwyczajni i zwyczajni, zwani są tu-torami. Nominacya profesorów jest zależną od państwa, kolegium profesorów, lub instytucyj opiekuńczych.

Studenci rekrutują się z pośród kończących średnie zakłady naukowe, względnie do przyjętego w danym kraju zwyczaju. Patent gimnazyalny, stopień bakałarza, wreszcie egzamin immatrykulacyjny daje wstęp do uniwersytetów.

W Anglii, młodzież uniwersytecka jest najslabiej przygotowana do wyższych studyów, skutkiem lekceważenia średniego wykształcenia umysłowego. Kiedy młodzież na ładzie stałym w uniwersytetach oddaje się specjalnie danej gałęzi umiejętności, która ma jej zapewnić byt i stanowisko wygodne, Anglicy szukają tam wykształcenia ogólnego, mającego ich przygotować do pełnienia ogólnobywatelskich obowiązków. Niektóre uniwersytety angielskie zachowały jeszcze średniowieczną organizacyę. Młodzież mieszka zbiorowo, w kolegiach bogato uposażonych przez dawnych fundatorów.

Przewrót i postęp w naukach przyrodzonych, dokonany w naszych czasach, spowodował zmiany w rozkładzie nauk. Obok dawnych przedmiotów: teologii, prawa,

filozofii, literatury i medycyny, zajęły poważne miejsce nauki przyrodnicze. W Ameryce północnej dawne umiejętności ustąpiły nowszym, jak naukom technicznym, które przygotowują młodzież do rolnictwa, przemysłu i handlu. Ruchowi temu poddały się nawet konserwatywne uniwersytety angielskie. Założony w Londynie w 1855 r. na nowych zasadach uniwersytet, stał się wzorem dla wyższych zakładów naukowych kolonij angielskich.

* * *

Organizacya uniwersytetów nowożytnych, nie wyłączając szkół angielskich, nie uwzględniła wykształcenia moralnego. Przyczyną tego jest obniżenie ducha religijności i karności cechujące nowoczesną szkołę.

Stowarzyszenia młodzieży mogłyby poniekąd wpłynąć na podniesienie obyczajowości, nie wszędzie jednak i niewszystkie osiągają właściwe i pożądane cele. Bywają one niekiedy źródłem idei przewrotowych, socyalnych, często zaś ułatwiają pijaństwo, rozpustę, pojedynki i inne występki, lub wykroczenia. Student rzucony na los szczęścia, pozbawiony kierownika w wielkim mieście, wystawiony na wszelkie pokusy, korzystając z wolności po opuszczeniu szkoły średniej, zatracą często godność moralną. Jedną religią, która ma prawo mówić do sumienia w imieniu Boga, mogłaby utrzymać go w równowadze moralnej. Trudności się wzmagają wobec rozdzwiewku, jaki panuje na wielu uniwersytetach, pomiędzy treścią wykładów uniwersyteckich a Wiarą.

* * *

Niebezpieczne kierunki na wszystkich stopniach szkolnictwa, objawiające się w powrotnej fali pogaństwa, zrodziły gorzkie owoce. Zasady naturalistyczne, przeciwne nauczaniu chrześcijańskiemu, działalność stowarzyszeń tajnych, ograniczanie stopniowe praw rodziny, wykluczanie systematyczne religij i jej sług ze szkół publicznych, nie

mogły pozostać bez złych skutków, które przekonały najwięcej zaślepionych propagatorów ateizmu, o szkodliwości nowych prądów wychowawczych.

Reakcja pojawia się prawie wszędzie i wzrasta szybko, do czego przyczyniają się w dużej mierze obserwacje nad wzrostem liczby przestępców pomiędzy młodzieżą. „Pozwrocić młodzieży religię!”, stało się hasłem powszechnym. Lecz wobec niedbalstwa, a czasem niechęci liberalnych rządów, wywiązała się potrzeba stwarzania prywatnych zakładów naukowych wszystkich trzech stopni, początkowego, średniego i wyższego. Domagano się tedy swobody nauczania. Rzecznikami tej swobody przedewszystkiem byli katolicy, jako najczęściej uciśnieni przez prawo.

Usiłowania te nie pozostały bezowocnymi. Belgia od r. 1830 do 1890 przeszła przez trzy okresy prawodawcze, czyniąc w każdym krok naprzód pod względem swobody nauczania. We Francji prawa z lat 1833, 1850 i 1875 są wyrazem postępu wolności. Anglia wraz z usunięciem monopolu nauki z rąk protestantów, wyzwala katolików z pod ograniczeń wyjątkowych. Kanada i Stany Zjednoczone ze stanowiska wrogiego dla religii, przechodzą do neutralności szkolnej. W ten sposób prawie wszędzie nauczanie religijne w szkołach zyskuje coraz więcej swobody, a nawet niekiedy poparcie ze strony spraw państwowych.

Wszelako wolność nauczania będzie wtedy dopiero zupełną, kiedy szkoły wolne i wyznaniowe będą subwencyonowane przez rządy, stosownie do wyznania uczniów. Dzieje się to już w Belgii, Holandyi, Anglii i Kanadzie. Potrzeba ta coraz więcej staje się uświadomioną w sumieniu publicznem narodów.

Pomiędzy objawami, zabezpieczającymi wychowanie młodzieży w przyszłości należy postawić stworzenie uniwersytetów wolnych i katolickich, które mają silne poparcie Stolicy apostołskiej. W naszym wieku powstały takie uniwersytety: w Lowanium, Dublinie, Agram, Paryżu, Lille, Angers, Tuluzie, Quebec'u, Ottawii, Kingstonie, Waszyngtonie, Fryburgu i Beyrucie.

Te wielkie ciała tworzą rzeczywiście organizmy żyjące, w których religia jest duszą wszystkich wykładów. Nauka nowoczesna, oddana wyłącznie badaniom świata zewnętrznego i jego sił, wykopała otchłań pomiędzy duchem i materyą, pomiędzy nauką przyrodzoną i prawdą objawioną i prawdą objawioną. Uniwersytety wolne mają za zadanie nawiązać przerwane nici, zwrócić naukę do przyczyny pierwotnej, zaprowadzić zgodę pomiędzy nią a Wiarą.

Rozwój swobody nauczania i ruch powolny ku wychowaniu religijnemu mogą czynić tylko postępy, gdyż opinia publiczna sprzyja im coraz wyraźniej. Dusze doprowadzone do rozpacz, skutkiem bezbożnych przeczeń i bluźnierstw, uczuły niesmak i szukają środka do usunięcia poniewierki, na którą naturalizm wystawił filozofię, literaturę i sztukę. Ludzie porwani „pragnieniem rzeczy wiecznych”, zwracają się instynktownie do chrześcijaństwa, jako do źródła życia. Sprzeczność pomiędzy religią i nauką słabnie, i jeśli zupełne odrodzenie religijne jeszcze nie nastąpiło, to conajmniej widzimy jego szczęśliwą zapowiedź.

Codziennie wybitni myśliciele bronią prawd objawionych, tak do niedawna jeszcze poniewieranych, wyjaśniają bezpodstawność czynionych im zarzutów i wykazują boski charakter chrześcijaństwa. „Słychać zewsząd, mówił kiedyś Ollé-Laprune, że myśl nowoczesna wraca do Chrystusa. Chrystus na nowo zapanuje“. Młodzież nasza wróci do stóp Chrystusowych szczęśliwa, z ust boskich usłyszy słowa życia, których On jeden jest szafarzem, a z których tryska źródło wielkości i pomysłności człowieka i społeczeństwa.

P. L. Péchenard

Streścił i spolszczył

Ks. Jan Galewski.



VI.

FILOZOFIA.

Filozofia jest dziełem najcenniejszym rozumu ludzkiego. Przewyższa ona wszystkie inne objawy tej potęgi umysłowej, którą z natury jesteśmy obdarzeni. Jest to córa najstarsza wszystkich nauk i najbardziej podobna do wspólnej ich macierzy, którą jest zdolność rozumowania i wiedzy. Rozum i filozofia są niemal synonimami. Gdy chodzi o główne zasady poznania, — o podmiot i przedmiot, o oczywistość, pewność i prawdę, — filozofia jest nieodzowna dla rozumu, który bez niej, chociażby nawet posiłkował się najbardziej rozwiniętymi naukami fizyologicznymi i antropologicznymi, nie zdołałby nigdy wyjaśnić sobie samemu ani treści swego poznania, ani warunków, w których poznanie to jest możliwe, ani rękojmi, jakich ono wymaga.

Za pomocą zdrowej i gruntownej filozofii rozum zbliża się, o ile pozwala na to jego natura, do inteligencji Bożej, do nieskończonej mądrości. Dzięki prawdziwej filozofii rozum spełniać może rolę pedagoga i przewodnika do Wiary nadprzyrodzonej, jak lubili wyrażać się pierwsi Ojcowie Kościoła wschodniego: może bowiem jasno i trwale uzasadnić teoretyczne, historyczne i moralne przesłanki, wiodące do Wiary w Ewangelię. Nadto może rozum przyczynić się wiele do naukowego wyjaśnienia tajemnic obja-

wionych; z tego względu Ojcowie Kościoła zachodniego twierdzą wyraźnie, iż filozofia jest niezbędną pomocnicą teologii.

Lecz filozofia chwiejna i błędna stać się musi koniecznie najgorszą nieprzyjaciółką Wiary, a nawet rozumu. W świecie umysłowości i nauki taka filozofia sieje najwięcej zepsucia: zdrowy rozsądek daleko więcej winien się obawiać sofistyki i pseudognozy, niż błędów fizyki, chemii, mechaniki, biologii. Błędna filozofia dąży z konieczności do przerodzenia się w błędy praktyczne: kłamliwa metafizyka przeobraża się szybko w niemoralność, bezreligijność i rewolucję społeczną. Historia idei danego narodu lub danej epoki jest zarazem historią ich dobrych lub złych obyczajów.

Wiek XVIII-ty chlępił się, że jest wiekiem bardziej filozoficznym i rozumniejszym, niż stulecia poprzednie a szczególnie, niż wieki chrześcijańskie. Nauka, głoszona i stosowana w praktyce przez Kościół, wydawała mu się główną, jeśli nie jedyną przeszkodą, dla zupełnego rozwoju ludzkości. Jego zdaniem, najcenniejsza zasługa Bacona i Descartes'a polegała na tem, że ci filozofowie zrzucili jarzmo powagi — nie tylko powagi Arystotelesa, która stała się rodzajem śmiesznego straszydła i nad którą tryumfowano z radością dziecinną — lecz wszelkiej powagi bibliijnej i teologicznej, zarówno katolickiej, jak i protestanckiej. Powodzenie tego buntu przewyższyło znacznie ambicje i nadzieje filozofów, i encyklopedystów, niedowiarków i libertynów — czyli, jak dzisiaj mówimy, wolnomyślicieli. Pod wpływem ich napaści upadły dawne szkoły biskupie, klasztorne i uniwersyteckie, które ukształtowały Europę pod względem naukowym i politycznym. Upadek tych szkół pociągnął za sobą ruinę najznakomitszych prawodawstw i instytucyj, które się wydawały niewzruszonymi. Wiek rozumu i filozofii skończył na uwielbieniu bardzo ludzkiej i bardzo materialnej bogini Rozumu w niektórych sprofanowanych świątyniach chrześcijańskich. Rozruchy i przewroty, dokonane we Francji, udzieliły się światu, za pośrednictwem jej armii, podo-

bnie, jak uprzednio sceptycyzm francuski rozszerzył się wszędzie za pomocą pamfletów i książek.

Wiek XIX-ty stał się przeto szczęsnym spadkobiercą ogromnego skarbu wolności umysłowej, niepodległości filozoficznej, autonomii politycznej i moralnej. Wielu ludziom się zdało, że nigdy nie będzie on mógł wyczerpać tak wielkiego bogactwa, że owszem wciąż je będzie pomnażał, dzięki niekrepowanej niczem swobodzie władz rozumowych. Czy ziścił się ten świetny horoskop? Czy stulecie, przygotowane do tak wielkich przeznaczeń przez Helvetius'a, Holbacha, Diderot'a i D'Alembert'a, obdarzyło ludzi błogiem królowaniem czystego rozumu, czy nauczyło ich nowej mądrości, nieznaney wiekom minionym, czy objawiło nową wiarę, czy zabezpieczyło pokój i zwiększyło sumę wesela — słowem, czy dało ludzkości te wszystkie dobrodziejstwa, które Kościół zwiastował jej i przyrzekał? Czy wiek XIX-ty pośród agitacji i waśni filozoficznych, których w nim było tak wiele, uczuł przynajmniej teńnięcie Boże, unoszące się nad katedrami profesorskimi jego wszechnic i akademii? Czy ujrzał choćby tylko jutrzrenkę prawdy wiekuistej, przenikającą ciemności, które tak długo okrywały jego widnokres i jego niebo? Czy, pogrążywszy się teraz w otchłani przeszłości, pozostawia wiekowi XX-emu więcej mądrości, niż jej otrzymał od wieku XVIII-go?

* * *

1800 — 1814.

Materyalizm encyklopedystów i lekarzy, sensualizm polityków, literatów i artystów, wreszcie utylitaryzm ekonomistów — oto wyłącznie niemal źródła natchnienia dla tej garstki ludzi we Francyi, którzy jeszcze zajmowali się filozofią na progu XIX-go stulecia. Powierzchnowy stoicyzm Żyrodystów, wątpliwy i zimny teizm Robespierre'a, dziwaczna [teofilantropia Lareveillièrè - Lepeaux'a nie były w stanie oprzeć się epikureizmowi za dni Dyrektoryatu. Kilku duchownych, np. Émery, zachowało jeszcze dosyć

pogody ducha, żeby się zajmować Descartes'em i Leibniz'em pośród niebezpieczeństw i przesładowań. Ci, którzy zbiegli do Anglii, znaleźli się tam w atmosferze umysłowej kartezyanizmu i zapoznawali się bądź z filozofią opisową szkoły szkockiej, bądź z moralnością, opartą na sympaty, a głoszoną przez Adama Smitha. Po drugiej stronie Renu emigranci francuscy znaleźli mistycyzm Jacobi'ego, pietyzm Braci Morawskich, zabobonny gnostycyzm wolnomularzy, mesmerystów i Cagliostro; dla niektórych z tych lekkoduchów, nie chcących być ani materyalistami, ani kartezyanami ani katolikami, była to mądrość tem przyjemniejsza, że mało krepowała ich sumienia, nawykłe do swobody. Inni zaznajomili się z nową doktryną Kanta i powróciwszy do Francyi, stali się gorliwymi jej krzewicielami. Za Alpami intuicyonizm Malebranche'a, złagodzony przez uczonego kardynała Gerdil'a cieszył się wówczas niejakim uznaniem. W Hiszpanii, Austrii, Belgii i Włoszech południowych wydziały teologiczne, seminaria biskupie i uczelnie klasztorne, o ile nie były zamknięte przez rowolucyę i wojny, trzymały się filozofii scholastycznej wieków średnich, głównie św. Tomasza z Akwinu, Duns Scota i św. Anzelma. Była to jednak scholastyka skażona nadmiarem subtelności, pomieszana częstokroć z teoryami kartezyańskimi, a nadewszystko grzesząca brakiem dostatecznych wiadomości z dziedziny nauk przyrodniczych. Skutkiem tego i apologetyka ówczesna była chwiejna i pozbawiona siły, nie umiała bowiem, czy też nie śmiała już zapożyczyć od metody tradycyjnej tego oręża, który prowadzi do Wiary i broni jej zwycięsko.

Tymczasem haniebne i ciężkie jarzmo fałszywej filozofii znękało już nadmiernie rozum ludzki. Wytworzyła się reakcyja, naprzód przeciw sensualistycznej ideologii Destutta de Tracy, następnie przeciw materyalistycznej fizyologii Cabanis'a, Pinel'a i Bichat'a; dalej przeciw naturalistycznej frenologii Gall'a, Spurzheim'a i de Broussais'a, przeciw zuchwałemu transformizmowi Lamarck'a, przeciw fatalizmowi i bezbożnemu fanatyzmowi Maréchal'a i Nageon'a, wreszcie przeciw osławionej Dekadzie filozo-

ficznej Ginguené'a. Podniósł się głos protestu, zrazu lękliwy, lecz stały i z dniem każdym potężniejszy, na korzyść spirytualizmu i moralności. Rzecznikami tego protestu byli głównie Laromiguière, Maine de Biran, Andrzej-Marya Ampère, Gérando i Royer-Collard. Pod wpływem tych mężów umysły odzyskały świadomość swej samodzielności i swej energii, swej możności opierania się napaściom świata materyalnego i namiętności. Duch ludzki uczył się zdolnym do pracy wewnętrznej i do inicjatywy zewnętrznej, do zwycięskiego przeciwdziałania, jeśli nie wszystkim, to tym przynajmniej wrażeniom, odbieranym ze świata, które usiłowały pokonać i ujarzmić jego wolną wolę. Ciało i zmysły ulegają czynnikom fizycznym otoczenia, lecz dusza i inteligencya człowieka, o ile chcą, mogą wyzwolić się z pod jarzma materji i fatalizmu. Należą one do innej sfery bytu i działalności, do sfery ducha Bożego, nieskończonego.

Równoległe z tym zwrotem w kierunku zdrowej filozofii spirytualistycznej odbyło się inne przeobrażenie, widoczne i skuteczniejsze, a jednak mniej doniosłe, z powodu, że miało charakter przedewszystkiem estetyczny i uczuciowy, że prowadziło raczej do wiekuistego piękna, niż do absolutnej prawdy i dobra. Było to przebudzenie się poezji chrześcijańskiej w dziełach La Harpe'a, Fontanes'a i Chateaubriand'a, tudzież odrodzenie serdeczności w Myślach Joubert'a. Trzeba przyznać, że Duch Chrystyanizmu Chateaubriand'a, mimo pewnego powinowactwa swojego z chorobliwym marzycielstwem Rousseau'a i Young'a, jako też z mistycyzmem Jacobi'ego, był czemś w rodzaju świetnego efektu teatralnego i wzruszył do głębi szerokie koła ogółu. Odraza do okropności rewolucji, smutek wygnania, tęsknota za tajemnicami i światem nadprzyrodzonym znalazły w tem dziele wyraz nader wymowny i żywy. „Racye serca“, o których mówi Pascal a „których nie zna rozum“ uwydatnione zostały w utworze Chateaubriand'a obficie i z siłą nadzwyczajną, jaką niełatwo znaleźć w innych dziełach literackich. Rozpoczynające się stulecie, mające być epoką rozumu i racjonalizmu, rozmiłowało się nagle

w utwosze Chateaubriand'a, skutkiem jednego z tych kontrastów, które często powtarzają się w dziejach ludzkości i którymi posługuje się łaska Boża w celu duchowego odrodzenia świata, po wiekach zepsucia i zdziczenia. Czyż bowiem nie piękno metafizyczne idei Boga i Jego Objawienia, czyż nie piękno moralne Chrystusa i Jego Kościoła wstrząsnęło cywilizacją grecką i rzymską, pogrążoną w bogactwach i rozkoszach. Czyż nie ono przygotowało cudowne nawrócenie świata starożytnego do Chrystyanizmu? Czyż nie urok piękna ewangelicznego pociągnął świeże dusze ludów germańskich i słowiańskich; czyż nie on przetworzył ich barbarzyńskie instynkta w rycerską miłość wszystkiego, co jest słabe i święte na ziemi? Chateaubriand wskrzesił właśnie wspomnienia i uczucia tej rycerskości a tem samem wzbudził w wielu duszach te usposobienie moralne i uczuciowe, które jest wstępem i przygotowaniem do Wiary. Zwykle o rzeczach Bożych i duchowych nie rozumuje się trafnie, gdy się nie ma serca czystego; a kto pozostaje w błędzie z braku czystości serca, ten zawsze niemal daleki jest od gotowości wierzenia temu, co Bóg objawia i czego naucza Kościół. Z tego punktu widzenia Duch Chrystyanizmu należy do dzieła filozofii wieku XIX-go, a imię Chateaubriand'a winno być umieszczone tuż obok Biran'a, „mistrza dla nas wszystkich“, jak mawiał Wiktor Cousin.

Książd Frayssinous, od r. 1803, w swych konferencyach u św. Sulpicyusza, poświęconych obronie Chrystyanizmu, jał ożywiać apologetykę, nowością swoich pomysłów. Konferencyoniści w Notre-Dame przewyższyli go znacznie, lecz jego jest zasługą, że, o ile to było wówczas możliwe, popierał ruch filozoficzny i estetyczny, zwrócony przez Opatrzność w kierunku metafizyki otwarcie chrześcijańskiej, o której nie mogło być jeszcze mowy, pośród burz i tragicznych losów pierwszego cesarstwa. Można wprawdzie powiedzieć, że Napoleon i jego otoczenie okazywali pewną życzliwość tym ludziom uczonym i szlachetnym, którzy usiłowali podnieść duchowo społeczeństwo francuskie za pomocą zdrowych zasad rozumowych i moralnych. Lecz dwór, a szcze-

gólniej cesarz, nie znosił ideologów, członków stowarzyszenia w Auteuil, świeżo przeniesionego do Paryża. Poeta Fontanes i prawnik Portalis uniknęli skutków tej niechęci jedynie z powodu, że ich usługi polityczne kazały zapomnieć o ich spirytualizmie, zresztą nie bardzo wojowniczym. Cesarz obawiał się wpływu filozofii na losy jego tronu, na jego prawodawstwo, na dokonaną przez niego organizację polityczną Europy; nie wiedział wszak, gdzie się znajduje jego wróg prawdziwy i zdziwiłby się wielce, gdyby mu pokazano tego wroga nie w Auteuil i nie w Paryżu, nie w Szwajcaryi lub Rzymie, lecz znacznie dalej, na krańcu Niemiec północnych, w tej właśnie okolicy, gdzie Friedland, Eylau i Tylża świadczyły tak rozgłośnię o jego sławie. Tam było ognisko wolnomyslicelstwa i ideologii, którego powinien był lękać się przede wszystkim, gdyż tam przygotowywano Francji napoleońskiej i duchowi ludzkiemu pożar, tysiącokrotnie straszliwszy od pożaru Moskwy. Starzec, zasiedziały od lat kilkudziesięciu w swym rodzinnym mieście Królewcu, i w uniwersytecie tamecznym, kończył wówczas w r. 1803 swoim Traktatem o pedagogii dzieło reformy filozoficznej, rozpoczętej w r. 1770 i prowadzonej nader wytrwale i zręcznie. Emanuel Kant nie chciał być otwartym panteistą ani materyalistą; zapewniał także, iż nie jest formalnym ateuszem, a dla życia społecznego żądał moralności i religii. Ale jednocześnie nie uznawał żadnego prawa, żadnej powagi; odrzucał nawet powagę wszelkiej prawdy obiektywnej, zewnętrznej, abstrakcyjnej. Czy chciał przez to pochwlebiać gwałtownemu popędowi swoich współczesnych do niezależności i wolności we wszystkim? Bardzo być może. Cokolwiek bądź, pewnem jest, że nikt przed tem nie wymyślił systemu emancypacji umysłowej tak radykalnego, jak kantyzm. Nie chce on wyniosłe oddać ludzkości na łup panteizmu, pankosmizmu i w ogóle monizmu, gdyż człowiek utraciłby wówczas swoją autonomię. Oczywiście i pewnością nie wezmą ludzie z zewnątrz: wiedza, którą osiągną, będzie wyłącznem ich dziełem i z nich tylko, z ich wnętrza pochodzić może. Czyż więc mamy być sceptykami,

skazanymi na męki skrajnego zwątpienia? Bynajmniej. Kant wytworzył nam dogmatyzm całkiem autonomiczny, w którym „ja“ ludzkie gra rolę środka i służy za punkt oparcia dla zasad teoretycznych i praktycznych, dla indukcyi i dedukcyi bez końca, nawet dla idei Boga, jeżeli Bóg istnieje. Rękojmią naszego poznania tych niezliczonych przedmiotów jest zawsze rozum. Być może nawet, że jest on jedynem obiektywnem ich źródłem, jeżeli w ogóle te przedmioty mają być rzeczywiste. Niczego nie można twierdzić, jeśli temu rozum zaprzecza, nie można też przeczyć niczemu, co rozum potwierdza. Rozum jest prawidłem i miarą prawdy. Jest on duchem, uzdolnionym do posiadania wiedzy i moralności, albowiem o tem myśli i tego chce. Ponieważ Bóg wydaje się rozumowi nieodzownym dla uzupełnienia systemu i cyklu jego pomysłów, dla nadania życia i siły jego aspiracyom, przeto rozum wyrokuje, że Bóg istnieje o tyle, o ile jest rozumowi potrzebny. Dobro i piękno, prawo i obowiązek są również wynikami twierdzeń rozumowych. Najwyższym celem rozumu jest jego własna doskonałość. Jego jedyną powinnością jest posłuszeństwo nakazowi kategorycznemu, który tkwi i przejawia się w nim samym. Polityka i rząd, rodzina i państwo, religia i Kościół zależą całkowicie od niego. Ostatecznie rzeczy tak od siebie odmienne, jak ciało i duch, jak przestrzeń i jednostkowość, jak czas i wieczność, wrażenie i umysłowość, poznanie i czyny, osobowość nieosobowość, byt i niebyt, wynikają z tego „ja“ jedyne, z tej pierwszej i ostatniej przyczyny wszytkiego, o czem jaźń myśli i czego chce. Myśleć zaś i chcieć może jaźń tylko w zakresie pewnych kategorii, w których jest niejako odlana, niby posąg spiżowy w swej formie. Czy atoli to „ja“ jest rzeczywiście takim, za jakie się uważa i uważać musi? Czy jest ono, lub nie, tem samem, co świat, tem samem, co materya i ruch fizyczny? Czy jego formy aprioryczne, których nikt jeszcze nie odkrył, są czemś lub niczem? Na te wszystkie pytania jaźń ludzka nie może dać odpowiedzi poważnych i mimo różnych swoich teoryj, bardzo stanowczo twierdzących, Kant, genialny jej wynalazca, nie umie jej obronić

przeciw napaściom sceptycyzmu spekulatywnego i praktycznego.

Krytycyzm mógł przeto podobać się umysłom, chcącym się pozbyć wszelkiego hamulca wewnętrznego i zewnętrznego, wszelkich przekonań stanowczych, wszelkiego sumienia, moralności i religii. Ci, którzy chcieli zachować przynajmniej pozory i formalną stronę tych rzeczy, mogli sobie odbudować *à priori*, z czynników czysto podmiotowych, gmach, którego nie życzyli sobie wznosić na podstawie obiektywizmu. Tak np. teologowie protestancyjscy wskrzeszali w sobie, w swoim sumieniu, chrystyanizm, który odrzucili jako fakt historyczny, jako prawdę, pochodzącą z zewnątrz. Ci zaś, którzy woleli nie zatrzymać niczego z tradycyj Boskich i ludzkich, mogli zabarwiać swoje odstępstwo uczonemi i uludnemi teoryami w rodzaju „krytyki rozumu praktycznego, sądu estetycznego i teologicznego“. Czyż Wiara tak uproszczona, czyż ta tak głęboka filozofia nie usprawiedliwiała zerwania z Wiarą dawną i ze starą filozofią wieków średnich? Kartezyanizm, zwłaszcza w swoich początkach, zapewniał wyraźnie o swoim uszanowaniu dla Kościoła katolickiego; intuicyonizm Malebranche'a i dynamizm Leibniz'a czy Boscovich'a zdawały się dostarczać środków do zrozumienia i obrony dogmatów teologicznych; mistycyzm Jacobi'ego i jego zwolników dawał pewne zadowolenie potrzebom uczucia, które chrystyanizm tak długo rozwijał i krzepił w duszach ludzkich; nakoniec materyalizm i sensualizm, epikureizm i ateizm przyczyniały się raczej do nawrócenia ku Wierze i praktykom religijnym umysłów szlacheckich i serc wrażliwych, które oburzała brutalność tych doktryn, — natomiast kantyizm, od samego ukazania się swego, był największym niebezpieczeństwem dla Wiary i cnót nadprzyrodzonych w tych społeczeństwach, które jeszcze pozostały katolickie. Dogmaty i przykazania Objawienia Bożego są faktami historycznymi, stwierdzonymi świadectwem Boga i Kościoła. Subiektywizm, odbierając wszelką wartość obiektywną dziejom, znosi tem samem najważniejsze przesłanki, prowadzące do aktu Wiary, pozbawiając zaś akt Wiary motywu,

wypływającego z powagi słowa Bożego, i zastępując go rozumowaniami filozoficznymi, więcej lub mniej uludnemi, odbiera zarazem temu aktowi wszelką cechę nadprzyrodzoneści. Wiara nie jest już wtedy Wiarą, jaką być powinna, a tem samem przestaje być źródłem usprawiedliwienia i zbawienia duszy. Szczerzy kantysta nie może być nigdy szczerym katolikiem; usposobienie subiektywne, choćby najuczciwsze, nie zastąpi mu nigdy tego, czego mu niedostaje obiektywnie, aby mógł wstąpić do Królestwa łaski i w niem pozostawać.

Kant utrzymywał wprawdzie, że zasadami swojej etyki łączy dogmat o istnieniu Boga, jako wzniosłą indukcję, opartą na słabych premissach, lub jako złocisty owoc na wątpliwej gałązce, nie umiał jednak ukryć swego braku poważania dla teologii chrześcijańskiej, a nawet dla prostej teodycei racjonalistów. Przyrzeczeniem, danem Fryderykowi Wilhelmowi II-mu, że unikać będzie wszystkiego, coby mogło gorszyć jego współobywateli, nie czuł się Kant skrepowanym po śmierci tego króla. Przyczyną skwapliwości, z jaką okazał wielką sympatyę Fichte'emu, — w którym przecież nie mógł nie widzieć ducha niespokojnego i nowatora, — był bardzo prawdopodobnie **Zarys krytyczny**, skierowany przeciw wszelkiemu Objawieniu, który młody filozof poddał zręcznie jego ocenie. Kant, chociażby nawet chciał, nie mógł się wyprzec tego logicznego myśliciela, który był nader śmiałym, lecz zarazem zupełnie wiernym tłumaczem jego teorii. Gdyby Fichte chciał go ogłosić za swego nauczyciela ateizmu, to czyż Kant nie upoważniał go do takiego kroku, złożony tylu ziarn panteistycznych i materyalistycznych w samej już podstawie swego subiektywizmu? Wprawdzie sam Kant zatrzymał się przed „numenem“ czyli Rzeczą samą w sobie, jako przed kresem ostatecznym dla rozumu i woli; wprawdzie zaznaczył swą roztropną i pełną uszanowania lekliwość względem tego groźnego Nieznanego; czemużby jednak jego uczniowie mieli zachowywać takąż ostrożność i wstrzemięźliwość? Jakoż nie zachowywali jej zgoła.

Fichte wysuwa naprzód „ja“, jeszcze zagadkowe u Kanta, i wyzwala je od wszelkiego stosunku i uwarun-

kowania. Czyni on z niego „ja“ absolutne, a widząc mimo to, że ze wszystkich stron uderza o „nie-ja“, o jego pozory, jeśli nie o rzeczywistość, zapobiega temu, zlewając w jedno i utożsamiając jaźń z niejają. Upatruje on między niemi jedynie różnicę logiczną; a gdy go oskarżają o ateizm i idealizm, odpowiada z wyniosłą pogodą sofisty, że Boga uznaje równie kategorycznie, jak świat, gdyż oba te przedmioty są identyczne z jaźnią absolutną, której rzeczywistość jest niezaprzeczoną. Z subiektywizmu Kanta wpadł więc Fichte całkowicie w panteizm Spinozy; stąd nadał swemu systemowi ten pokost mglistej nieokreślonej religijności, pseudo - mistycznej rezygnacji i moralności transcendentalnej, dzięki której jego filozofia rozszerzyła się w sferach sentymentalistów, neo-gnostyków, spirytystów i okultystów.

Schellingowi nie wiele pozostawało do zrobienia, żeby doktrynę Kanta sprowadzić do nieprzejednanego monizmu, do którego się skłaniała całym swoim ciężarem. Zamiast sprowadzać świat do człowieka i przedmiot do podmiotu — zbyt bowiem jest trudno poczytać te rzeczy za identyczne — uznaje on jedynie istnienie przedmiotu, świata „wielkiego Wszystkiego“. To „wielkie Wszystko“, ta esencja absolutna i powszechna, ta całkowita i pierwotna tożsamość determinuje się i określa zwolna, różniczkuje się i rozdwa, sobie samej jako podmiotowi przeciwstawia się w postaci przedmiotu, uczuwa coraz wyraźniej swą samowiedzę i uznając siebie za doskonale identyczną, tak pod formą „ja“, jak i w postaci nie-jaźni, zamyka cykl swych ewolucyj wznosłem poznaniem tej identyczności, którą była już od początku, sama tego niewiedząc. Przyłączenie i pochłonięcie nie-jaźni przez jaźń, tak, jak to rozumiał Fichte, zakrawało w zupełności na legendę buddyjską; rozwój zaś i rozdwojenie tożsamości pierwotnej, wedle teorii Schellinga, przypomina zjawiska embryologiczne i może się przypodobać przyrodnawcom. Schelling nie przeczy, że substancja ewolucyjna miewa niekiedy przypadkowe nieprawidłowości, że się cofa od „ja“ świadomego do bezwiednej nie-jaźni; że gaśnie, jako duch, a staje się napowrót mate-

ryą, lecz mimo to w swej niewyczerpanej skarbnicy posiada zawsze środki do czynienia materji wieczyście płodną, rodzicielką uczuć i myśli, pragnień i czynów, filozofii i nauk wszelkiego rodzaju i kierunku. Ewolucjonizm, cieszący się dzisiaj uznaniem w wielu laboratoryach, znajduje się już w książkach Schellinga, tylko, że tam ustrojony jest niejako w majestatyczną szatę legend indyjskich i gardzi przedewszystkiem zdrowym rozsądkiem chrześcijańskim, Schelling nie lęka się ani wstydi tego wszystkiego, co staje się jaźnią; więc tego „ja“, które staje się Bogiem, ani też materji, która przeobraża się w życie, ani tego życia, przybierającego kształty rośliny, zwierzęcia i człowieka, ani wreszcie tego człowieka, dla którego nic nie ma niewzruszenie trwałego, zarówno w logice, jak i w metafizyce, zarówno w moralności, jak i w religii.

Powodzenie Kanta, Fichte'go i Schellinga, było szybkie i znaczne. Emigrant lotaryński De Villers, baronowa de Staël i ksiądz Sieyès otworzyli bramy Francji subiektywizmowi pierwotnemu, dodając doń nieco sentymentalizmu; także w dziełach Maine de Biran'a i A. M. Ampère'a przebijają już niektóre idee królewieckiego myśliciela. Niemcy, Jakób Buhle, Beck i Schad rozkrzewili filozofię Kanta w Rosyi; szwed Boëthius zaaklimatyzował ją w Uspali; holendrzy Kinker i Van Hemert zaznajomili z nią współziomków Spinozy. Anglicy, o ile się zdaje, nie wiele się nią wówczas zajmowali, również Włosi i Hiszpanie mało na nią zwrócili uwagi. Natomiast Prusy, Bawarya i Austria stały się ogniskami, w którym krytycyzm i panteizm, występując bądź zaczepnie, bądź odpornie, bądź też zlewając się z innymi doktrynami, dosięgły tego, coby można nazwać paroksyzmem metafizycznego obłądu¹⁾.

* * *

¹⁾ W Polsce głównymi krzewicielami kantyizmu byli: Józef Kalasanta Szaniawski (1764—1843), wyższy urzędnik z czasów księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego, prawnik, autor „Rad przyjacielskich młodemu czcicielowi nauk i filozofii“, oraz Feliks Jaroński, doktor filozofii

1815—1848.

Jak się wyraził Teodor Jouffroy, filozofia francuska około r. 1814 znajdowała się w „norze bez powietrza“. Tam się ona „dusiła“, zdala od Chrystyanizmu, który jest światłem życia. Grono umysłów pod wodzą Biran'a i Royer-Collard'a, wznosiło się zwolna po pochyłości z głębin tej otchłani, przypominającej piekielne okręgi Danta. Lecz na dnie pozostawała jeszcze rzesza niewolników; liczba ich powiększała się codziennie, skutkiem nieroztropności współzawodników Teodora Jouffroy. Nie byli oni już formalnie sensualistami, ani materyalistami, ani ateuszami. Nie chcieli jednak dążyć wespół z ruchem wyzwolenia i usiłowali wprowadzić nowe czynniki do swojej ciasnej i ciemnej ideologii. Beniamin Constant zamiast prawdziwej wolności myślenia, ofiarował im liberalizm, zlepiony z niemieckiego subiektywizmu, ze szwajcarskiego protestantyzmu, z racjonalizmu i francuskiego dyletantyzmu. Filozofię chrześcijańską i sam Chrystyanizm sprowadzał do poziomu mieszczkańskiej doktryny i wygodnego systemu, więcej się troszcząc o dobry styl i dobry ton, niżeli o prawdę. To nie wystarczało wszystkim, a gdy umysły poważne domagały się czegoś innego, Wiktor Cousin utworzył dla ich użytku eklektyzm z żywiołów, bardzo podobnych do części składowych liberalizmu, zastąpiwszy jedynie pewną dozą jansenizmu wytworny kalwinizm poprzedniej mieszaniny.

Zrazu spirytualista szczery lecz lękliwy, podobnie jak członkowie stowarzyszenia w Auteuil, następnie zwolennik Tomasza Reida i filozofii szkockiej, Cousin zwrócił się ku panteizmowi i mistycyzmowi marzycielskiemu, po odbyciu podróży do Niemiec w latach 1817—1824. Nie mając pewności, czy prawda istnieje gdziekolwiek, lub czy jej niema nigdzie, mało stosunkowo dogmatyzował, a natomiast opo-

i teologii, proboszcz parafii Wszystkich Świętych w Krakowie, profesor filozofii i prawa w Akademii Krakowskiej autor rozprawy: „Jakie filozofii Polacy potrzebują?“ (1810 r.).

(Przyp. tłum.).

wiadał obficie. Historia filozofii, tej wielkiej zagadkowej damy, której portret lubił kreslić, posiłkując się głównie pracami Niemców, doprowadziła go powoli do tego, że stał się w końcu jedynie malarzem światowych jansenistowskich piękności wieku XVII-go. Pisarz i mówca pierwszorzędny, przekonany był może pod wpływem szkoły Kanta, że „sąd estetyczny“ jest daleko wyższy od „sądu teologicznego“; zamknął się też może w kulcie dla rzeczy pięknych z rozpaczy, że nie może osiągnąć istotnej prawdy i dobra: rozkosze w chwili obecnej pocieszają niektórych ludzi, dręczonych niepewnością jutra, a środki są dla wielu daleko przyjemniejsze aniżeli cele. Bohaterki Wiktora Cousin'a były widocznie tego zdania. Były one chrześcijankami na wzór Deskartes'a i Malebranche'a, których nawiedzały w chwilach wolnych i w latach późniejszych. Ich dziejopis postąpił tak samo niemal jak one: zbliżył się do katolicyzmu powoli, z pewną uroczystą ostrożnością. Eklektyzm, którego Cousin pozostał naczelnym przedstawicielem, skorzystał na tem i często prowadził go bardzo daleko, bo aż do zupełnego uznania dogmatów i przepisów Kościoła.

Pierwszy uczeń Cousin'a, niedorównywający jednak mistrzowi, Teodor Jouffroy, poznał szczęście płynące z religijnego posłuszeństwa. Utracił on je z boleścią, żałował go z goryczą, szukał go ponownie w przystępach melancholii, ale go nie odnalazł. Był wzorem tych eklektyków poważnych, smętnych, skłonnych więcej do studyów nad psychologią, sumieniem, wolnością, prawem, niż nad historią i biografią. Gdyby ich metafizyka miała silniejsze podwaliny i była wznioslejsza, prace ich zaznaczyłyby się niechybnie większą płodnością, której im brakowało. Ci naśladowcy i spadkobiercy bezpośredni Cousin'a oddali wprawdzie znakomite usługi i przypomnieli swoim współczesnym szlachetne postacie mędrców zapomnianych lub pogardzonych przez encyklopedystów, uznawali i podziwiali wysoką wartość tych doktorów chrześcijańskich, którzy byli i świętymi mężami i wzniosłymi myślicielami; uwydatnili zasadę, że rozum naturalny, dobrze pokierowany, niema

nie do zarzucenia ustalonej dogmatyce i moralności Kościoła — i tym sposobem wytworzyli nową opinię, bardzo daleką od żartów, bluźnierstw i płytkich, z nieuctwa wynikających poglądów ubiegłego wieku. Nie można wprawdzie zaliczać ich do kategorii wielkich filozofów, doktryny wielu z pomiędzy nich są chwiejne i różnolite, nie zaznaczają dość wyraźnie różnicy między rzeczami skończonymi i nieskończonością, nie wyjaśniają koniecznego stosunku między człowiekiem i Bogiem, nie dowodzą duchowości i wolności duszy nieśmiertelnej, nie kładą nacisku na nietykalność absolutną praw Boskich i ludzkich, — nie brak jednakże między nimi takich, którzy bronią tych punktów zasadniczych nader wymownie i metodycznie. Eklektyzm jest więc mieszaniną zarówno ludzi jak doktryn. Brak mu przede wszystkim jedności, stałości i powagi. Przemawia on językiem wspaniałym, godnym Platona, Cyncerona, świętego Augustyna, Bossueta, Fenelona i Malebranche'a. Nie przypisując zbyt wielkiego znaczenia tej doskonałości formy, sądzimy jednak, że prawdziwa filozofia winna się o nią starać gorliwie. Subtelność i piękność stylu nie są zupełnie pozbawione wartości obiektywnej: kto pisze wytwornie, ten mądrość ludzką czyni podobniejszą do Boskiej wszechwiedzy.

Duchowieństwo katolickie, rozumiejąc dobrze strony niebezpieczne i racjonalistyczny w znacznej mierze charakter eklektyzmu, usiłowało przeciwstawić mu dawny kartezyanizm z dodatkiem zasad filozofii szkockiej. Jego podreżniki szkolne powtarzały więc, bez istotnych zmian i poprawek, teorie spirytualistyczne, uczciwe, lecz chwiejne i słabe, z okresu przed rewolucją. Od tego ucierpiała i teologia, która bierze karm' swoją i z metafizyki naturalnej i ze źródeł nadprzyrodzonych; zwalczając błędy rozumu, oczywiście przeciwne Wierze, nie zdołali jednak teologowie utrzymać w granicach zdrowego rozsądku tych umysłów szlachetnych lecz awanturniczych, które chciały dla apologetyki chrześcijańskiej stworzyć nowe drogi tryumfalne. Trudno nie przyznać, że ani rozprawy kardynała La Luzerne, ani konferencye biskupa Frayssinous'a, ani mile

i subtelne rozmyślenia Joubert'a, ani słodkie marzenia Balanche'a, ani posępne studia Blanc'a de Saint-Bonnet nie mogły zatamować drogi eklektyzmowi, gdy ten stawał się antyreligijnym, ani przedewszystkiem pokonać panteizmu, dla którego eklektyzm był jakby przedmową akademicką, a niekiedy nawet niejako wstępem systematycznym. Potrzeba było oczywiście czegoś innego, niż filozofia seminaryjska; ale gdzie tego należało szukać? Trzej wielcy pisarze: Józef de Maistre, Wiktor de Bonald i Felicjan Lamennais usiłowali szczerze wskazać filozofii metodę istotnie chrześcijańską, nie byli jednak w stanie dostarczyć dość skutecznego oręża przeciw niedowiarstwu i rewolucyi. Wszyscy oni trzej doszli do wyników mniej więcej jednakich, użyteczność ich prac atoli nie odpowiedziała bynajmniej — niestety! — ich rozgłosowi hucznemu i wybornym zamiarom.

Wykazać zasadniczą doniosłość papieżstwa w świecie moralnym i politycznym, uwydatnić żywemi barwami działanie Opatrzności w kolejach i faktach dziejowych powszechnych, zwalczać obłęd rewolucyjny, tworzący doktrynerskie konstytucye i prawodawstwa, do których narody nie są zgoła przygotowane i które nie odpowiadają ich nastrojowi i obyczajom, przypomnieć wiekowi XIX-mu, że władza zwierzchnicza króla czy ludu jest legalną wtedy jedynie, gdy pochodzi od Boga, pokonać wreszcie sensualizm Locke'a i dziwne niekiedy pretensye Bacona, — oto szlachetne i wielkie zadanie, które mieli przed sobą pisarze katolicy. Tak je pojmował hrabia de Maistre i w części wykonał je z powodzeniem. Na nieszczęście umysł jego lubujący się w paradoksach, przesada jego stylu i wyniosły ton dyplomaty, jakim przemawiał, zmniejszyły wpływ dobroczynny jego utworów. Można go było podejrzewać, że pomieszał porządek przyrodzony z porządkiem łaski, że umieścił w jednej i tej samej kategorii, lubo w stopniach nierównych, rząd duchowny Kościoła i rząd doczesny narodów, że poczytywał cuda niejako za zwykłe narzędzia działania Bożego na ziemskim padole, że nazbyt ograniczył prawa do inicjatywy w organizacji i rozwoju form

politycznych, słusznie należące się obywatelom kraju, że z idei wrodzonych czynił warunek zasadniczy spirytualizmu, że wreszcie przesadnie ocenił rolę, jaką dawna filozofia mogła odegrać we wspaniałym rozwoju wiedzy nowoczesnej. Geniusz Józefa de Maistre'a tryskał błyskawicami, nie miał jednakże dość sił do rzucenia zupełnego światła na zagadnienia zasadnicze i do wytworzenia ruchu ściśle katolickiego, którego pragnął tak słusznie i tak gorąco.

Wicehrabia de Bonald jeszcze mniej przyniósł pożytku sprawie, którą chciał obronić. Gallikanista w stylu wieku XVIII-go, przejął on również od ówczesnego jansenizmu radykalnie pesymistyczną doktrynę o wartości rozumu ludzkiego od chwili grzechu pierworodnego. Kant, z punktu widzenia czysto filozoficznego, niezależnie od wszelkich teorii i faktów teologicznych, nie wierzy w zdolność tak czystego, jak i praktycznego rozumu do poznania niewątpliwego rzeczywistości obiektywnych i nadzmysłowych. Janseniści, w imię błędnego dogmatu o zasadniczym zepsuciu natury przez upadek Adama, uznali rozum za niezasługujący na zaufanie, w dziedzinie prawd religijnych i moralnych. Ich zdaniem, czysta filozofia jest złudzeniem, jeżeli nie grzechem. Doktrynę tę przejęli oni od Bajusa, który zapożyczył ją od Kalwina i Lutra. Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe: katolik Bonald posuwa się jeszcze dalej. Twierdzi on, że natura ludzka nigdy nie byłaby zdolna do myślenia, gdyby istniała samotnie, wobec świata zmysłowego, tak zewnętrznego jak i wewnętrznego. Na poparcie tej tezy rozwija on argumentację, która nie jest nawet ułudną i prawdopodobną: nie możemy myśleć, nie posługując się jednocześnie mową bezgłówną we wnętrzu naszej świadomości. Lecz żeby myśleć wyrazami, potrzeba koniecznie posiadać język, który nie jest z pewnością wytworem ani ewolucji, ani samorodztwa, ani żadnych umyślnych usiłowań, lecz jest owocem nauczania rodzinnego i społecznego. Ponieważ zaś Adam w swej samotności nie mógł z takiego nauczania korzystać, przeto musiał mieć nauczyciela nieskończenie wyższego od ludzkości, nauczyciela, który myśli sam przez się i mógł pierwszego człowie-

ka nauczyć mówić i myśleć. Istnieje przeto Bóg, który przemawiał do rodzaju ludzkiego, zależnego odeń wszystkimi swymi myślami, podobnie jak każdy osobnik zależy od ludzkości pod względem swoich myśli. Ostatecznie zatem nauczanie Boże, uczłowieczone w nauczaniu społecznym jest dla nas źródłem wszelkiej prawdy, rękojmią pewności, regułą moralności. Ta argumentacja dowodzi, jak dziwnym złudzeniem ulegał Bonald w kwestyach dotyczących stosunku myśli do słów, mowy do nauczania, oraz różnicy zasadniczej między aktem stworzenia a objawienia. Gdyby filozofia i teologia były lepiej uprawiane za jego czasów, niktby się nie dał złudzić tymi paralogizmami i nie tolerowanoby systemu, sprowadzającego całą wiedzę do aktu Wiary, nie opartej na żadnych motywach, a zatem pozbawionej wszelkiej zasługi i wszelkiego uzasadnienia logicznego. Nie próbowanoby też na tak słabych podstawach uzasadnić powagi Kościoła i władzy monarchicznej. Nie zaprzeczanoby także, zgodnie z jansenistami i kantystami, istnienia rozumu naturalnego i filozofii naturalnej, czynników niezaprzeczenie ułomnych i niedoskonałych, lecz pomimo to rzeczywistych i trwałych pod wielu względami. Nakoniec nie usiłowanoby dowodzić, wbrew nawet tradycyi katolickiej, że Chrystyanizm jest jedyną powagą społeczną i jedynie możliwą dźwignią porządku i postępu. Usługi, oddane przez wicehrabiego de Bonald sprawie Kościoła pod innymi względami, nie mogą usprawiedliwić takich niedokładności ani zmniejszyć niebezpieczeństwa, na jakie niechybnie byłaby wystawiona apologetyka, zbyt ufająca ich ułudnym pozorom Wiary i rycerskiej odwagi.

Więcej, niż kto inny uległ ułudzie filozofii Bonalda książd Felicyan de Lamennais. Jego zdaniem, zgoda rodzaju ludzkiego na daną zasadę religijną lub moralną jest jedyną rękojmią, jaką posiadamy przeciwko błędowi. Pewność zdobywamy przez akt przyłączenia się do tej zgody powszechnej. Ludzkość nie może być przekonywana, ani zniewalana do wyznawania takich lub innych zasad za pomocą jednostkowego świadectwa albo nakazu. Wolność we

wszystkich swych formach nowoczesnych, — wolność sumienia, wolność słowa, wolność prasy, wolność myślenia i postępowania, — jest prawem zasadniczym, które tylko przez powszechność może być zawieszane lub ograniczane. Dopóki Lamennais był wierny Kościołowi, widział on w nim wcielenie konkretne, absolutne, powszechnej Wiary ludzi w dogmaty i zasady moralności, objawione przez Boga. Gdy wszakże zbuntował się przeciw Rzymowi, ten sam Kościół wydał mu się uosobieniem sprzeczności z powszechnymi i wiecznymi przekonaniem rodzaju ludzkiego. Rzeczpospolita, jeśli nie anarchia, stała się dlań jedyną organizacją polityczną, możliwą do przyjęcia. Złanie, a raczej pomieszanie skończoności z nieskończonością wydało mu się jedynym pomysłem filozoficznym, mogącym rozwiązać problematy i antynomie rozumu. Tym sposobem tradycjonalizm ultramontański Józefa de Maistre i fideizm gallikański Wiktora de Bonnard popadły za wpływem nieszczęsnego kapłana bretońskiego w tę samą przepaść panteistyczną, do której spadkobiercy Kanta zostali doprowadzeni skutkiem swojego subiektywizmu.

Tragiczny los założyciela szkoły w La Chesnaie był powodem pierwszego w dziejach filozofii wieku XIX-go wystąpienia na scenę powagi papieskiej, która z początku liczyła wiele na księdza de Lamennais. Grzegorz XVI w encyklice *Mirari vos* z r. 1832 zaznaczył i potępił raczej następstwa, niż zasady nowej teorii. Potępił mianowicie śmiałków, którzy domagali się przekształcenia ustroju Kościoła, zmiany w stosunkach hierarchicznych, oraz nieograniczonej wolności sumienia wszędzie i na zawsze; którzy popierali zupełną niezależność prasy, podniecali nieposłuszeństwo dla władzy świeckiej przez propagandę wyuzdanego liberalizmu, dążyli od odłączenia Kościoła od państwa i chcieli wyzwolić rozum i filozofię z pod świętej zależności od nadprzyrodzonego Objawienia. W przeciwieństwie do kantyzmu, sentymentalizmu i tradycjonalizmu, papież żądał należytego poddania się umysłu ludzkiego, tak indywidualnego jak i zbiorowego, powadze prawd rozumu i Wiary, których rzeczywistość obiektywna narzuca

się wyraźnie poznaniu subiektywnemu. Wzywał też filozofię do roztropności i umiarkowania, które jedynie mogą ją ustrzedz od niedorzeczności i wpływu szkodliwego. Opór Lamennais'a względem tego orędzia papieskiego, pełnego tak wysokiej i prawdziwie ojcowskiej mądrości, można sobie wytłómaczyć jedynie bezmierną pychą nieszczęsnego odstępcey. Jego przyjaciele i uczniowie, zwłaszcza Lacordaire, Montalembert, Cambalot, Rohrbacher, Gerbert, de Salinis i de Scorbiac, przyjęli z najszlachetniejszym posłuszeństwem, słowa najwyższego Pasterza i trzymali się odtań zdrowego rozsądku, daleko silniej ugruntowanego, niż „zgoda powszechna“ Lamennais'a. Niektórzy jednak, lubo również szczerzy chrześcijanie, jak tamci, lecz daleko mniej przenikliwi filozofowie, pozostali na stanowisku niedowierzania względem rozumu, mniemając, że stosują się do zaaleceń papieża, gdy w rzeczywistości trzymali się poprostu przesądów jansenistowskich i bonaldyańskich. Biskup Maret w pierwszych swych pismach, O. Ventura de Raulica w pełnych ognia swych dziełach i August Nicolas w swych pięknych pracach apologetycznych ulegali temu szkodliwemu złudzeniu i z tego powodu nie mogli zaatakować skutecznie szaińców warowni racjonalizmu: ich zdobycze miały charakter więcej osobisty, niżeli ogólny. Z drugiej strony ksiądz Bautain, obeznawszy się z eklektyzmem na wykładach Cousin'a, z krytycyzmem, w czasie swej profesury świeckiej w Sztrasburgu, oraz ze specjalnym mistycyzmem germańsko-chrześcijańskim dzięki pobożnej pannie Humann, widział pewność i bezpieczeństwo dla rozumu jedynie w gruntownej Wierze w powagę słowa Bożego, jako jedynego źródła dla wszelkiej wiedzy i filozofii nawet świeckiej. Było to ponowne pomieszanie natury z łaską, był to sentymentalizm, zastępujący przygotowanie do Wiary, przyczem ta ostatnia pozbawiona była roztropności oraz wartości obiektywnej, a religia redukowała się do rozwoju instynktowej, niejasnej zgody człowieka na słowo Boże, czyli do zasady, którą i kantyzm mógłby bez trudności uznać za swoją. Biskup sztrasburski i jego sufragani, mając na to formalną aprobatę Grzegorza XVI, stanęli w obronie praw rozsądku

i zdrowej filozofii, poleciwszy księdzu Bautain'owi w r. 1835 i 1840 podpisać sześć propozycji, wyrażających zasadę, że używanie rozumu jest legalne dla sprawdzenia historycznej rzeczywistości Objawienia, dla trwałego przechowania depozytu tradycji pod kierownictwem boskiej Opatrzności i dla doprowadzenia tym sposobem ludzi do Wiary katolickiej przy współdziałaniu łaski nadprzyrodzonej.

Tymczasem kantyzm rozwijał się w Niemczech z nieubłaganą konsekwencją, która go doprowadziła do panteizmu Fichte'go i Schelling'a. Nader podrzędne znaczenie, jakie jego założyciel nadawał przedmiotowi wiedzy, owej rzeczy samej w sobie i takimże celowi, pozwoliły jego następcom przetwarzać świat według ich przywidzenia i szukać w nim nie tyle rzeczywistości konkretnej i należytej określonej, ile raczej pretekstu do tworzenia fantazyjnych całości kształtów, mogących zadziwić i zachwycić publiczność. Fichte nauczał, że „ja“ przyswaja sobie „nie — ja“ i z niem się utożsamia; Schelling dowodził, że „nie — ja“ staje się jaźnią; i obaj tej jaźni, która jest niejaźnią lub tej niejaźni, która jest jaźnią przypisywali obiektywność, jakiej Arystoteles królewiecki odmawiał swej „rzeczy samej w sobie“. Hegel uważał za stosowne zbliżyć się nieco do tego punktu wyjścia idealistów, poczytując monizm Fichte'go i Schellinga za nader cenną zdobycz filozoficzną. Wynałazł on i dopatrywał się we wszystkim trzech części składowych: tezy, antytezy i syntezy. Teza twierdzi i ustala „ideę — wszystkości“ w ten sposób, że jest ona „idea — ja“; przez antytezę „idea — ja“ przeciwstawia się samej sobie i tworzy tym sposobem „ideę — świata“; synteza na koniec wnioskuje o tożsamości „idei — ja“ z „idea — świata“ a tem samem odtwarza „ideę — wszystkości“. Idea przeto jest z początku wszystkim i niczem: niczem, ponieważ nie myśli i nie jest pomyślana, wszystkim, gdyż wirtualnie stanie się wszystkim, co myśli i wszystkim, co będzie pomyślane. Po za ideą nie ma żadnej rzeczywistości: byt jest ideą i tylko ideą. Nicosis nawet jest ideą w swej formie pierwotnej; gdy idea przestaje myśleć lub też być przedmiotem myślenia w pewnym oznaczonym punkcie

swego urzeczywistnienia, staje się znowu nicosis. To samo odnosi się do „tak“ i do „nie“, do dobra i zła, do przeciwieństw i do sprzeczności: wszędzie i zawsze jest to idea jedyna, idea zasadniczo i koniecznie identyczna. Jej modyfikacje i specyfikacje są tylko pozorami i odcieniami. Wieczność i czas, stałość i przejściowość, nieskończoność i skończoność, Bóg i człowiek, prawda i fałsz są tylko chwilami i punktami widzenia w historii idei — i niczem więcej. Jej wieczne stawanie się jest kalejdoskopem do użytku filozofów i uczonych, dość naiwnych, żeby znajdować przyjemność w tem następstwie kształtów i barw. Prawdziwy mędrzec, prawdziwy uczony ceni jedynie idee; wie on, że zarówno w stanie tezy, jak i na stopniu antytezy oraz syntezy znajduje się zawsze idea i nie oprócz idei.

Czy tak dziwaczną fantasmagoryę można uważać za dzieło poważne i owoc szczerości? Podniesiono kiedyś pytanie, azali Leibniz nie chciał sobie zażartować ze swych czytelników, pisząc swą „Monadologię?“ „Idea“ i „stawanie się“ Hegla są jeszcze więcej zagadkowe. Czyż ten człowiek mógł zaprzeczać istotnie zasady przeciwieństwa i przyczynowości, różnicy między zdaniem twierdzącem i przeczącem, faktu ruchu, następującego po bezwładności lub też po bodźcu siły? Jeśli Hegel nie zamierzał drwić sobie ze swoich uczniów, ze swych czytelników, jak najmniej ze swych poprzedników w subiektywizmie i monizmie, to należy uznać bez wahania, że jego geniusz ulegał chwilami obłędowi. Mówiąc bez ogródek, trzeba to nazwać hańbą dla wieku XIX-go, że takiej filozofii nie odrzucił natychmiast z oburzeniem. Wiek ten atoli nietylko jej nie odrzucił, lecz przeciwnie uległ głęboko jej fatalnemu wpływowi w dziedzinie nauki, polityki, a nawet religii. Stąd głównie miał niebawem wyniknąć ewolucjonizm przyrodników, racjonalizm transcendentálny pseudo-teologów tybingeńskich, socjalizm rewolucjonistów z r. 1848, komunistów z 1871, oraz kolektywistów i anarchistów dzisiejszych¹⁾.

¹⁾ Hegelianizm właściwy pośród inteligencji polskiej nie miał wybitnych zwolenników. Pisano o nim dość powierzchownie w „Haliczanie“

Że pastrowie i profesorowie w Niemczech protestanckich mogli uważać za możliwe pogodzenie doktryn Hegla, Schellinga, Fichte'go i Kanta z dogmatami chrześcijańskimi; że taki Baur i Strauss przypisywali sens mitologiczny, jeśli nie szalbierską intencję wielu ustępom Biblii, zrozumie to bez trudu każdy, kto wie, iż protestantyzm od początku wieku XVIII-go przeobrażał się coraz wyraźniej w system racjonalistyczny. Lecz, że kapłani katolicycy jak Hermes, Baader i Günther, ośmielili się naśladować protestantów, — co prawda, z daleka i z pewnem umiarkowaniem, — jest to zaprawdę nie łatwe do pojęcia. A jednak Stolica apostolska zmuszona była w latach 1835 i 1836 wystąpić surowo przeciwko hermezyanizmowi; musiała odrzucić jego żądanie, aby zwątpienie pozytywne i powszechne uznane było za obowiązkowy punkt wyjścia dla wszelkiego teologicznego badania; musiała potępić jego metodę, używającą jedynie rozumu za sprawdzian najwyższy i główny środek w odkrywaniu i tłumaczeniu prawd nadprzyrodzonych, jak niemniej jego błędy, dotyczące Objawienia, Pisma św., podania Boskiego, nauczycielstwa Kościoła, motywów wierzenia i różnych innych przedmiotów porządku nadprzyrodzonego.

Filozofia odniosłaby wielką korzyść, gdyby się była

Chłędowskiego, w „Kwartalniku naukowym“ Z. Helcla, w „Przeglądzie naukowym“ Dembowskiego i Skimborowicza, oraz w innych czasopismach ówczesnych. J. I. Kraszewski wydał streszczony przekład dzieła A. Otta p. t. „Idea systematu Hegla“ (1845 r.). Głośni filozofowie polscy: Trentowski, Kremer, Libelt i Cieszkowski, jakkolwiek wyszli ze szkoły Hegla, wyzwolili się jednak z pod przewagi jego doktryny i przędli myśl swoją samodzielnie; trzej ostatni starali się nadać systemom swoim charakter chrześcijański, a nawet poniekąd katolicki. — Jako literackich przeciwników hegelianizmu wymienić należy: Eleonorę Ziemiecką, myślicielkę katolicką, Feliksa Kozłowskiego, księdza Stanisława Choloniewskiego, Maksymiliana Jakubowicza, a przedewszystkiem najpoważniejszego z nich Aleksandra Tyszyńskiego, autora „Pierwszych zasad krytyki powszechnej“, który chciał być filozofem ściśle katolickim. Autor „Dumań nad najważniejszymi zagadnieniami człowieka“, Józef Gołuchowski był jedynym w Polsce, zasługującym na uwagę, zwolennikiem Schellinga.

(Przyp. tłóm.).

zastosowała do tych wskazówek papieskich i gdyby się zatrzymała na pochyłości, po której staczała się coraz szybciej. Zazdroszcząc bezbożności Straussowi — takby przynajmniej sądzić można — Feuerbach, Maks Stirner i Ruge uznajmili, że się czują niezdolnymi do pogodzenia Hegla z Chrystusem, oraz nowego monizmu ze spirytualizmem i skutkiem tego wyrzekli się jawnie spirytualizmu i Chrystusa. Jedyną możliwą do przyjęcia religią jest, ich zdaniem kult życia materyalnego. Schopenhauer chciał jeszcze prześcignąć tych materyalistów w ich potwornościach i bluźnierstwach. Przypomniał on „rzecz samą w sobie“, której tak lękał się Kant, którą następnie utożsamiono tak śmieie z „jaźnią“, ze światem, wreszcie z ideą, i uczynił z niej „wolę“, żądzę, miłość, nie mającą ani przedmiotu ani celu, nie znającą żadnej dobroci. Pierwotnie bezwiedna jako świat, „wola“ owa dochodzi do świadomości, gdy staje się jaźnią. Z natury swej ślepa, jest ona nurtowana wewnętrzną koniecznością szukania czegoś nieznanego, potrzebą ruchu, działania, ujawniania się, ażeby dążyć i dojść, nie wiedząc sama dokąd. Stworzyła nas ona w ten sposób, bez rozmysłu i świadomości; stworzywszy, pociąga nas wbrew naszej woli, przez labirynt przygód, do śmierci. W tej wędrówce naszej od bytu do nicości dręczy nas ona okrutnie na duchu i na ciele. Nic tu nie pomogą nasze błagania i łzy: „wola“ wypuszcza nas ze swych szponów dopiero w tej chwili fatalnej, kiedy nas odrzuca brutalnie w otchłań nieświadomej bezwoli, z której nas wydobyła przemocą na to, abyśmy cierpieli. Ta bezwiedna wola jest rzeczą najgorszą ze wszystkich, jakie sobie wyobrazić można, a jej działalność zasługuje jedynie na miano pesymistycznej. Prawdziwa mądrość, filozofia doskonała polegałaby więc na dokonaniu wszystkiego, co jest możliwe i niemożliwe, w celu uwolnienia ludzkości od wszelkiego istnienia, od wszelkiego działania, a tem samem od wszelkiego cierpienia. Niestety! myśl, że tego dokonać nie można, podwaja okropności tego życia ziemskiego, które się nam narzuca wbrew naszej chęci. Czy ludzkość zatryumfuje kiedykolwiek nad tą wstrętną wolą, która wciąż upor-

czywie tworzy, wywołuje ruch i burzy, a przez to ustawicznie rozpoczyna na nowo i przedłuża w nieskończoność okrutną tragedję historyi?

Zdaje się, że rosnąca wciąż niedorzeczność systemów, które się wyloniły z kantyizmu, skłoniła Niemca Krause'go, jego ucznia Hiszpana Sanz del Rio i jego komentatorów belgijczyków Ahrens'a i Tiberghien'a do wystąpienia przeciwko filozofii królewieckiej. Na nieszczęście usiłowania tych myślicieli polegały na wznawianiu dawnego spirytyzmu. Wprawdzie Schleiermacher ofiarował im swój mistycyzm, zapożyczony, jak się zdaje, od braci Morawskich, lecz sam niedowierzając spekulacyom teoretycznym i rzeczywistości dziejowej, czyż mógł on powstrzymać krauzystów od popadnięcia w monizm, gdy usiłowali wyrwać z subiektywizmu? Trzeba było połączyć metodę intelektualną, z metodą sentymentalną, uznać wartość obiektywną Objawienia chrześcijańskiego i Wiary chrześcijańskiej, tudzież oprzeć przynajmniej moralność i religię naturalną na gruncie rozumu i rzeczywistości. Ale Schleiermacher nie był do tego zdolny; jego dobra wola pozostała bezpłodną, wobec szalejącego i szerzącego niemoralność monizmu.

Herbart i Lotze oparli się skuteczniej obłudowi kantyizmu. Przez Wolffa teorie ich zyskały piętno doktryny dynamicznej i metody matematycznej Leibniz'a. Gdyby ci filozofowie nie przywiązywali zbyt wiele wagi do monadologii i gdyby skutkiem tego nie byli źle pojęli zasadniczej różnicy między duchem a materją, pojęciem a wrażeniem, wolną wolą a determinizmem, uczyniliby zadość niemal zupełnie wymaganiom zdrowej filozofii, która nie chce gubić się w chmurach, ale przeciwnie pragnie czynić postępy, wspólnie z naukami fizycznymi i psychologicznymi. Rozumieli oni, że filozofia winna być realistyczną, doświadczalną i racjonalną, a zarazem szanować religię pozytywną i nadprzyrodzoną. Należy się im za to wdzięczność szczególną, a ich próba reakcyi zaliczoną być winna do liczby najlepszych usiłowań, jakie czyniono w wieku XIX-ym, celem powrócenia nakoniec do zdrowego rozsądku. Arystote-

lik Trendelenburg wspierał ich potężnie na polu logiki i metafizyki, potępiając jednocześnie ich godne pożałowania, lecz, być może, mimowolne i tylko pozorne ustępowstwa na rzecz sensualizmu i materyjalizmu z epoki encyklopedystów.

We Włoszech nie spostrzeżono dostatecznie niebezpieczeństwa grożącego ze strony kantyizmu, i nie uważano za konieczne przeciwdziałać mu śpiesznie. Filozofia włoska trzymała się wciąż teoryj Condillac'a, które propagowali głównie Gioja i Romagnosi; albo też tworzyła systemy eklektyczne i katolickie, w czym odznaczyli się Galluppi i Tedeschi. Ci nowatorowie nie byli szczęśliwi, jakkolwiek mieli dużo pomysłowości i pisali świetnie. Rosmini zamiast idei bytu, którą poczytywał za bezpośrednią zasadę naszej umysłowości, wytworzył rodzaj malebransyzmu albo intuicyonizmu, doktrynę niezupełnie bezpieczną, bo przejść mogącą w monizm panteistyczny. Śmielszy od niego Gioberti utrzymywał, że widzi byt absolutny, tworzący istoty i dający im życie i ruch, jak gdyby umysł ludzki mógł w sposób naturalny spostrzegać na ziemskim padole to, co poznają tylko wybrani w niebie sposobem nadprzyrodzonym. Mamiani powiększył jeszcze wielkość tego błędu, zastępując jasnowidzeniem bytu wszelkie Objawienie boże, wszelkie nauczycielstwo kościelne i wszelką tradycję katolicką. Dedukcyja była prawidłowa i wykazała całą fałszywość zasady.

Po kilku zboczeniach na manowce filozofii nowożytnej, Hiszpania wystąpiła przeciwko niej w pismach Jakóba Balmès'a, jednego z najznakomitszych myślicieli w wieku XIX-ym, oraz w traktatach Donoso Cortès'a, niekiedy wszakże zbyt życzliwie usposobionego dla teoryi de Maistre'a i de Bonald'a, którym łatwo dorównywał na polu polityki chrześcijańskiej. W Anglii i Szkocyi drzemano ciągle w mglistej i dusznej atmosferze, wytworzonej przez Locke'a, Hume'a, Reid'a, Dugald-Stewart'a i Bentham'a. Psychologia przeobrażała się tam zwolna w naukę opisową, metafizyka w sceptycyzm, moralność w utylitaryzm, a opinia publiczna przygotowywała się tym sposobem do mate-

ryalizmu naukowego, którego poniżająca tyrania miała nad nią wkrótce zaciążyć.

Mimo usiłowań Maine de Biran'a, Cousin'a i ich uczniów, żeby Francję wyzwolić na zawsze od tej tyranii, opanowała ona właśnie naród francuski ze szczególną siłą i grasowała pośród niego w całej ohydzie. Poczynając od r. 1803 i 1807, a przedewszystkiem od 1814, magnat wykolejony hrabia H. C. de Saint-Simon chciał wyrugować wszelką metafizykę, a na jej miejsce postawić jedyną pozytywną naukę o wszechświecie i o człowieku. Religię sprowadził on do kultu ludzkości, moralność sumienia zastępował etyką namiętności, politykę zachowawczą przekształcał w socjalizm rewolucyjny, pomieszał skończoność i nieskończoność w wielkiem „Wszystkiem“, zmysłowem i materyalnem. Łączyło go więc z Kantem powinowactwo dość bliskie; ale Saint-Simon był stanowczym przeciwnikiem mrzonek subiektywizmu i idealizmu. Jego silne postanowienie filozofowania pozytywnie i obiektywnie stanowiło bądź-co-bądź rzeczywistość, lub mało znaczną poprawkę kantyizmu. Umysł, który ucziwie pragnie widzieć świat i ludzi takimi, jakimi oni są, t. j. jako zbiór dźwigni, ruchów, energii, przyczyn i skutków, posiada nie przewodnią, która go zaprowadzi kiedyś do pojęcia Boga i duszy. Około Saint-Simona skupiło się grono śmiałych młodych ludzi, którzy skutkiem obcowania z nim nabyli pewności siebie i siły charakteru; przymioty te przyniosły im duże korzyści w różnych przedsiębiorstwach i interesach praktycznych. Leroux i Jan Reynaud rozwijali doktrynę mistrza w kierunku metampsychozy, teozofizmu i mistycyzmu racjonalistycznego a poniekąd druidycznego. Prawdziwym kontynuatorem saint-simonizmu był August Comte, umysł chorobliwy ale potężny, któremu pozytywizm zawdzięcza udoskonalenie swej metody, swych zasad i swego programu. Nie jesteśmy w stanie osiągnąć przyczyn, powiedział Hume; ani „rzeczy samych w sobie“, dodał Kant; z tego wywnioskował Comte, że jedynymi przedmiotami poznania mogą być zjawiska świata fizycznego, ich następstwa, ich uwarunkowania bezpośrednie i mechaniczne, ich prawa nareszcie, lecz

z zastrzeżeniem, aby temu ostatniemu wyrażeniu nie nadawać żadnego sensu metafizycznego, aby doń nie wprowadzać żadnego pojęcia przyczyny, zarówno skutkowej, jak i ostatecznej. Albowiem jedynym naszym narzędziem poznania jest obserwacja i doświadczenie za pomocą zmysłów; rezultatem tego jest wyłącznie wiedza pozytywna, nie zapuszczająca się ani indukcyjnie ani dedukcyjnie w dziedzinę zaświatowe, nieusiłująca zrozumieć istoty rzeczy, nie troszcząca się o „byt sam w sobie“ a przedewszystkiem nie uznająca wierzeń w nadprzyrodzoność. Wiedzę, naukę i uczonych chciał pozytywizm Comte'a zewrzeć, o ile to jest możliwe; zabraniał im surowo przekraczać granic zmysłowości. A jednak tenże Comte mimowolnie uprawiał krytykę racjonalną, badania nad umysłowością, psychologię i etykę, metafizykę, a nawet teologię. Filozofował co prawda wbrew zasadom logiki, i najczęściej przeciwko wszelkiej oczywistości; ale bądź-co-bądź, filozofował i to najzawzięciej wtedy, gdy dowodził niemożliwości filozofowania. Jego przykład i działalność zadawały kłam ustawicznie jego teoryom. Mniemając, że się wiele przyczynił do panowania ostatecznego epoki pozytywnej, następującej po wieku metafizycznym, który znów miał być spadkobiercą okresu teologicznego, pierwotnego, popadł Comte w ciężki błąd tej metafizyki kłamliwej i tej fałszywej teologii, które zwalczały i zawsze zwalczać będą rzetelną naukę i prawdziwą Wiarę.

Tak saint-simonizm i pozytywizm uległy losowi wszystkich innych doktryn: miały swoje odmiany i swoje odcienienia. Historję tych odmian warto opowiedzieć nieco szczegółowiej. Z jednej bowiem strony świadczy ona, jak głęboko upaść może duch ludzki, gdy zapomni o Bogu i o swej godności, a z drugiej przekonywa, że tenże duch nie jest nigdy skazany nieuleczalnie na błąd, negacyę i rozpacz, gdyż w jego wnętrzu istnieje niepokonany pociąg do prawdy filozoficznej oraz uzdolnienie do przyjęcia Wiary chrześcijańskiej i prawdy teologicznej, które Bóg miłosierny utrzymuje w nim ciągle przez swą łaskę nadprzyrodzoną.

1849 — 1870.

Bezpośredni następcy Comte'a chcieli poznać jedynie „środek rzeczy“, jak się wyraził Pascal; chęłpili się oni, że nie znają ich źródła ani celu ostatecznego i że przez to lepiej pojmują ich przejawy i rozwój. Gdyby istotnie pozostali wiernymi temu programowi, możnaby im było przypisać niezbyt godną zazdrości zasługę, że zniweczyli filozofię zupełnie, a rozum w połowie. Lecz to im się nie udało, tak samo jak ich mistrzowi: studia filologiczne Littré'go, analizy historyczne Taine'a, spostrzeżenia anatomiczne Broca, doświadczenia psycho-fizyologiczne Charcot'a wzbogacały często i znacznie skarbnicę nauk filozoficznych. Szkoła ta od samego początku wyznawała wprawdzie jawny materyalizm i monizm, nie była jednak zrazu zwolenniczką transformizmu. Comte i Littré nie wierzą w możliwość przeobrażania się jednych gatunków organicznych w drugie i dla każdego z nich wyznaczają granice ściśle określone, których przekroczyć żadna istota nie może. Comte, wbrew swym zasadom ogólnym, uznaje jeszcze wolność woli ludzkiej; Taine i Littré wolność tę negują. Comte nie jest usposobiony chętnie dla niemieckiego panteizmu, Taine przemawia jak zdecydowany heglista, poddając świat panowaniu „wieczystego pewnika, który się ujawnia“ i który zawiera w sobie wszystkie prawa kosmiczne, wszystkie teorie naukowe, wszystkie doktryny filozoficzne. Gdyby ten „pewnik“ był substancjalny, duchowy i nieskończony, możnaby go uznać za Boga i wielbić w nim wszelką prawdę, wszelkie dobro i wszelkie piękno; lecz, według Taine'a, jest on czemś czysto zjawiskowym, materyalnym, poddanym wiecznemu prawu stawania się i przeobrażeń; w gruncie rzeczy odpowiada on mistycznej „substancji“ Spinozy, „idei teoretycznej“ Hegla, albo ponurej i fatalistycznej „woli“ Schopenhauera. Nawet człowiek jest tylko jego przypadkowym objawem; jest on „pewnikiem, który kroczy“, a rasa, środowisko, chwila wywierają nań wpływ swój ślepy i nieubłagany. Badania nad człowiekiem nie są ciekawsze od

studyów nad pierwszym lepszym zwierzęciem. Gdyby Taine brał na seryo ten swój paradoks, nie byłby uprawiał ani przez chwilę krytyki, w której jest mistrzem nieporównanym. Nie może ulegać wątpliwości, że ten wielki umysł wiele innych mniejszych od niego dusili się w „norze bez powietrza“, która w epoce Teodora Jouffroy nazywała się ideologią, a za dni naszych pozytywizmem. Renan, którego stosunki przyjacielskie z pozytywistami skłaniały do wpadnięcia w tę „norę“, uniknął tego dzięki swojej zręczności i dobremu smakowi; powoływał on się na swe powinowactwo filozoficzne ze Spinozą, Wolterem, Janem Jakóbem Rousseau, Kantem, Heglem i Straussem. Renan jest monistą, ale zarazem dyletantem, widzącym wszędzie tylko odcienie. Jednym z takich odcieni jest dla niego pozytywizm, podobnie jak i transformizm; w doktrynach tych znajduje on bliskie analogie ze swym własnym systemem, gdyż chcąc nie chcąc Renan wytworzył sobie system, którym jest sensualizm wschodni, ateński, artystyczny, i któremu jedynie, według jego zdania i przykładu, winni holdować ludzie porządni.

Zrodzony i wyrosły na gruncie Francji, pozytywizm prawdopodobnie nie pożyłby tam długo, gdyby go nie popierała zagranica. Właściwą jego karmicielką była Anglia. Znużona banalnym sceptyzmem, ekliwym idealizmem i poziomym eksperymentalizmem dawnych swych filozofów, inteligencya angielska zasmakowała dosyć w krytycyzmie Kanta, wprowadzonym do Albionu przez Hamiltona i Browna. Ci myśliciele wpoili w nią przekonanie, że metafizyka jest niedostępna, że moralność jest prawie urojeniem, podobnie jak wolność woli ludzkiej, że zatem logika jest jedyną filozofią, zasługującą na zaufanie i uwagę. Ale logika, nawet logika Hamiltona, jest nauką pozbawioną treści dla narodu tak praktycznego, jak angielski. Przekonawszy się o tem, John Stuart Mill ofiarował mu pozytywizm swoich przyjaciół francuskich, złagodziwszy go nieco i osłodziwszy na początek. Nie myśli on wątpić o istnieniu jakiejś „rzeczy samej w sobie“ i nie chce jej ignorować, jak to uczynił Kant ze swym „numenem“. Uznaje przeto obiektywny

był świata, jaźni, oraz substancji powszechnej, która może być Bogiem, wiedząc, że wszystko to, owo podłoże zjawisk, jest niczem więcej, tylko możliwością czucia, która się urzeczywistnia w niezliczonych wrażeniach życia zwierzęcego.

Doszedłszy do pewnego stopnia subtelności, wrażenie zoologiczne staje się antropologicznym; zwierzę czujące przetwarza się w człowieka; czucie pierwotne, potęgując się ustawicznie, staje się wiedzą wielkich umysłów i wola geniuszów. Jest to więc nieomal monizm ewolucyjny Fichte'go i Schellinga. „Numen“ i „fenomen“, zrazu identyczne i bezwiedne, stają się świadomymi i przeciwstawiają się sobie wzajemnie we wrażeniu pierwotnym, następnie łączą się ponownie i zlewają we wrażeniu udoskonalonym, we wrażeniu uczonych pozytywistów. Jediną rzeczywistością jest to, co można odczuć, oraz podmiot czujący i samo odczuwanie; trzy te terminy różnią się między sobą tylko logicznie.

Może ze względu na zbyt sensualistyczny charakter tej doktryny, może przez chęć ściślejszego dochowania wierności zasadzie kantystów i pozytywistów, dotyczącej „numenu“ czyli „rzeczy samej w sobie“ albo substratu, co do którego nie wolno nawet pytać, czy istnieje; może wreszcie, żeby obudzić żywsze zajęcie się filozofią pośród swych ziomków, Herbert Spencer „możliwość wrażeń“ zastąpił „niepoznawalnym“, które jest przedmiotem Wiary, wówczas, gdy zjawisko poznawalne jest przedmiotem percepcji zmysłowej. Inteligencya zostaje wyrugowana ze świata, lecz wyraz „Wiara“ ukazuje się znowu, jak również mgliste wspomnienie czegoś tajemniczego, bytu czy niebytu, mogące mniej lub więcej, skutecznie pocieszać dusze, stęsknione do Boga. O swem „niepoznawalnym“ wie jednak Spencer daleko więcej, niż się tego można było spodziewać: pewnego pięknego dnia, jego zdaniem, owo x ukazało się jako materya; następnie zjawisko - materya staje się siłą; siła wytwarza i zawiera w sobie ruch, który musi koniecznie przetworzyć się we wrażenie. Jako siła i ruch, niepoznawalne przeobraża się nieskończenie w gatunki, więcej lub mniej stałe, oraz w przemijające osobniki. Jako wra-

żenie przeobraża się ono stopniowo w nauki pierwotne niedoskonałe, w nauki metafizyczne i psychologiczne doskonałe, nakoniec w nauki pozytywne, przedstawiające coraz lepiej świat poznawalny i nie troszczące się zgoła o niepoznawalną jego istotę. Agnostycyzm i transformizm narodziły się wreszcie z subiektywizmu i pozytywizmu: Herbert Spencer jest akuszerem urzędowym tych doktryn. Nie wielką jednak sławę zdobyłby sobie z tego powodu u ludzi, obdarzonych zdrowym rozsądkiem, gdyby nie to, że, przy pomocy Lewes'a i Bain'a, pogłębił z niezwykłą przenikliwością teorię stanów nerwowych i stanów świadomości, czyli naukę o stosunku fizyologicznym żywiołu organicznego do strony psychicznej w naturze człowieka. Co się zaś tyczy dowodzenia, że obie te kategorie są zgoła identyczne, i tak jedynie różnią się między sobą, jak wypukłość od wklęsłości w balonie lub jak strona prawa, lepsza, od strony lewej, gorszej, w suknie albo w innej tkaninie, to pod tym względem Spencer, mimo swoich zapewnień, nie miał bynajmniej powodzenia.

Nie bacząc na oczywistą fałszywość tezy, że nic i mniej, mogą się rozwinąć same przez się aż w byt i aż w coś więcej, Karol Darwin wziął sobie za zadanie określić sposób, w jaki niepoznawalne rozwinęło się i przeobraziło w gatunkach organicznych. Nie wypowiada on wojny Bogu ani dogmatowi o stworzeniu—być może nawet, iż uznałby te prawdy dla objaśnienia początku wszechrzeczy—lecz pozytywista nie powinien takich kwestyj roztrząsać. Wpływ środowiska, przystosowanie organów, walka o byt—oto przedmioty, które jedynie godzi się badać szczegółowo, są to bowiem główne przyczyny albo przynajmniej warunki bezpośrednie rozwoju życia. Głęboka wiedza wielkiego przyrodznawcy i powodzenie pism jego były najskuteczniejszym poparciem pozytywizmu, który dla wielu naszych współczesnych nie był niczem więcej tylko darwinizmem. Huxley nadał mu kierunek wyraźnie antyreligijny, łącząc materyalizm i ateizm z agnostycyzmem. Według tego filozofa, należy negować zupełnie istotę duchową w człowieku i uznać ją, nawet gdyby istniała, za niezdolną do zdobycia

wiedzy niewątpliwiej o absolicie i Bogu. Lecz, jeśli z ruchu skończonego nie można wyprowadzić na pewno wniosku o dźwigni nieskończonej, to na jakiej zasadzie Huxley z tego samego ruchu wnioskuje o istnieniu prawa jego powstawania, jego działania i jego reakcy? Tego prawa nie uznają pozytywści za przyczynę naczelną, gdyż to się sprzeciwia zasadom ich doktryny; a jednak jest ono oczywiście czemś ukrytem po za dziedziną zjawisk, rozum zaś, który jest zdolny do odkrycia tego prawa, może niezaprzeczenie użyć tejże zdolności swojej do posunięcia się dalej w poznaniu numenu, rzeczy samej w sobie. Agnostycyzm przeniewierza się więc sam sobie, przyjmując i uznając za słuszne pojęcia ogólne i abstrakcyjne, jak np. prawa zjawisk fizycznych; gdyby zaś nie uznawał tych pojęć, musiałby stanowczo zrzec się wszelkiej wiedzy, nawet pozytywnej; pozostałoby mu wówczas jedynie wrażenie zmysłowe, które przecież nie wydało żadnego rezultatu naukowego u zwierząt, pomimo nadzwyczajnej wrażliwości, jaką się odznaczają niektóre ich gatunki.

Z Francyi i Anglii pozytywizm przeszedł wkrótce do Niemiec, gdzie był może mniej sceptyczny, mniej subiektywistyczny, mniej kantowski; natomiast występował często, jako brutalny materializm i monizm. Zdaniem Büchnera, znamy jedynie materję i ruch materyalny. Stanem głównym materji jest ruch; materya jest nieskończona, wieczna, jedyna. Materya żyje, czuje, myśli i pragnie, ulegając fatalizmowi, który nieuznaje zasługi i winy. Według Hoeckla teoria ta tłumaczy doskonale przeobrażenie martwych molekuł w monery samorodne, moner w organizmy elementarne, z których następnie wytworzyły się rośliny i zwierzęta; człowiek powstał ze świata zwierzęcego; jest on obecnie najlepszym zwierzęciem, lecz może nie będzie niem zawsze. Karol Vogt, Du - Bois - Reymond i Moleschott kładą nacisk na mechaniczne powstawanie wszelkich naszych myśli i zachceń, chociażby one miały pozory zupełnej wolności. Doktryny te, oburzające głos sumienia ludzkiego, wywołują niezadowolenie nawet w obozie pozytywnym; Virchow np. oświadcza, że nie bierze na siebie od-

powiedzialności za wybryki swoich przyjaciół. Szkoda, że go pod tym względem nie naśladowali dość wyraźnie uczeni twórcy psychologii fizyologicznej, zwłaszcza Fechner i Wundt. Cenne ich badania nie otrzymały żadnej pomocy od materializmu. Nawet w połączeniu ze zjawiskami duchowemi świadomości i woli wrażenia zmysłowe pozostają przedmiotem doświadczeń naukowych, którym rozumna metafizyka przeciwną być nie może! Arystoteles i św. Tomasz z Akwinu przeczuwali wielką użyteczność tego rodzaju doświadczeń; antropologia katolicka, trzymając się dogmatu o jedności duszy człowieczej, uznaje zupełną ich właściwość i dostarcza w tej mierze krytycznych objaśnień¹⁾.

Zuchwalstwo pozytywizmu wywołało opór i stanowczą reakcyę. Można było mniemać przez chwilę, że przeciwdziałanie to będzie owocem kandyzmu, pragnącego zerwać swą łączność z oplakanemi następstwami, które mu przypisywano nie bez przyczyny i chcącego dowieść swej siły, celem podniesienia godności ducha ludzkiego, z którego kandyści czynili niegdys samego niemal Boga. Doktryna ta wszakże nie była w stanie ziścić takiej nadziei. Hartmann, wystąpił z rzekomo nową filozofią, a właściwie zajął (około r. 1865) stanowisko bardzo podobne do tego, na którym pozostawali Schopenhauer i Spencer. Jego numenem jest istota świata bezwiedna absolutnie, która

¹⁾ Filozofia Comte'a w dobie największego swego powodzenia we Francyi była zupełnie obca ogółowi polskiemu. Nazwisko jej twórcy stało się znanem w społeczeństwie naszym dopiero od chwili, gdy ksiądz Franciszek Krupiński — pierwotnie heglista, w końcu agnostyk filozoficzny — ogłosił w „Bibliotece Warszawskiej“ studjum p. t. „Szkoła pozytywna“ (1868 r.). Popularności doczekał się u nas Comte wraz z Littré'm, Mille'm, Herbertem Spencerem i Taine'm, gdy tak zwana młoda prasa pod wodzą Juliana Ochorowicza, Aleksandra Świętochowskiego i Piotra Chmielowskiego z butą studencką wywiesiła sztandar pozytywizmu. Wszyscy niemal ci ówczesni „młodzi“ znali wszelako pozytywizm zrazu jedynie z drugiej, dziesiątej, a nieraz i setnej ręki, z dzieł popularnych i streszczeń zagranicznych; nie minę się zapewne z prawdą, gdy powiem, że żaden z nich nie czytał w oryginale i w całości ogromnego, szczęciotomowego i nader ciężko pisanego „Kursu filozofii pozytywnej“ Comte'a. Później przelożono

jednakże — rzecz najzwyczajna! — jest oraz świadoma również absolutnie i która staje się stopniowo idea i wola — zasadą dobra, o ile jest idea, i zasadą zła, o ile jest wola. Ta istota bezwiedna walczy, jako idea przeciw samej sobie jako woli, do czasu, w którym stanie się znowu taką, jaką była pierwotnie, t. j. bezwiednie — nadświadomą. Spinozyści i buddyści mówią tak samo. Ani Hartmann, ani neokrytycyści i neokantycyści, ani przedewszystkiem nihilisci nie mogą się chęłpić, że podźwignęli prawdziwą filozofię, skompromitowaną do głębi — jak słusznie zresztą utrzymują — przez pozytywizm. Jako nieuleczalni idealisci, są oni pod tym względem gorsi od pozytywistów; gdyby zaś wyrzekli się idealizmu, pozostałaby im jedynie taka alternatywa: albo dążyć w kierunku filozofii katolickiej, albo dać się unosić prądowi Comte'a i Huxley'a.

Eklektyzm usiłował, nie bez istotnego powodzenia niekiedy, położyć tamę temu zgubnemu prądowi. Bezpośredni spadkobiercy Cousina i Teodora Jouffroy, Garnier, Saisset, Juliusz Simon, Rémusat, B. Saint-Hilaire, Hauvéau i A. Franck, mimo swej opozycji przeciwko ważnym zasadom Wiary chrześcijańskiej, byli zdecydowanymi spirytualistami, jeśli nie wielkimi metafizykami, i wszyscy uznawali doktryny Saint-Simona i Comte'a za jedne z najgorszych i najniedorzeczniejszych. Na nieszczęście Barni, Charma i Bersot cofali się w kierunku Woltera i Kanta;

sporo rozpraw i całych dzieł Milla, Spencera i Taine'a. Przeciw pozytywizmowi pisali u nas głównie: profesor Henryk Struve, ksiądz Stefan Pawlicki, dr. Teofil Ziemia i Teodor Jeske-Choiński. Propagatorami darwinizmu, oprócz przedstawicieli „młodej prasy“, byli przyrodnicy: Bronisław Rejchman, profesor zoologii August Wrześniowski i Ludwik Masłowski, tłumacz wszystkich niemal dzieł Darwina, a obecnie redaktor i wydawca wychodzącego we Lwowie zachowawczo-katolickiego dziennika „Przegląd“. (Odstępstwo swoje od kierunku liberalnego usprawiedliwiał Masłowski w głośnych swojego czasu i niepospolicie napisanych „Listach do przyjaciela“). Do nagiego krańcowego materializmu à la Büchner i Moleschott rzadko przyznawano się jawnie; wszystkie atoli artykuły i rozprawki, pisane w duchu „pozytywnym“ czuć było tą doktryną. Szczególnym szowinizmem i brutalnością tonu pod tym względem odznaczał się „Przegląd Tygodniowy“.

(Przyp. tłum.).

Vacherot wahał się między spinozyzmem i heglizmem; Beaussire przemawiał za moralnością, niezależną od Wiary w Boga, kierującą się jedynie pragnieniem doskonalenia ludzkości, a za kryterium uznającą, podobnie jak etyka mędrca królewieckiego, tylko głos subiektywny sumienia; Karol Lévêque, Ravaisson i Paweł Janet skłaniali się poniekąd do idealizmu i monizmu Schellinga, łagodząc wszelako stary jego panteizm nową formułą t. zw. panenteizmu, który przypomina może filozofię Malebranche'a, Gioberti'ego, a nawet Platona. Filozofia Arystotelesa, zupełnie uduchowiona i zchrystyanizowana przez średniowieczną scholastykę francuską wywierała ze swej strony wyborny wpływ na myślicieli bardzo poważnych i rozsądnie realistycznych, jak: Bouillier, Magy, Em. Charles, Caro i T. H. Martin, którzy, gdyby byli zachowali tradycyjną metodę eklektyzmu i cechującą go dbałość o piękną formę literacką, z pewnością zbliżyliby się znacznie do dawnej metafizyki i dawnej moralności, utęzsamianych przez długi szereg stuleci z teologią katolicką.

Duchowieństwo przed r. 1870, mówiąc ogólnie nie uczyniło zgola ani więcej ani mniej, niż ci mężowie wybitni; być może nawet, że pozostało w tyle za nimi pod względem powrotu do prawdziwych zasad, dotyczących stosunku rozumu do Wiary, duszy do ciała, doświadczenia do spekulacji filozoficznej. Niektórzy duchowni francuscy i niemieccy hołdowali jeszcze niestety tradycjonalizmowi Bonnetty'ego, ontologizmowi biskupów Baudry'ego i Hugonin'a, tudzież racjonalizmowi teologicznemu Günthera i Frohschammera. We Włoszech, Romano, d'Acquisto, di Giovanni i Mancino mieszały giobertyzm lub kartezyanizm z doktryną tomistyczną. W Belgii, kanonik Ubaghs i kilku innych profesorów uniwersytetu w Louvain obstawali namiętnie przy eklektyzmie, przypominającym jednocześnie Bajusa, Malebranche'a, Kanta, Schellinga i Bonalda. Zło było więc znaczne nawet w Kościele; skutkiem tego zrazu Pius IX-ty, następnie ojcowie soboru watykańskiego zmuszeni byli zaprowadzić ład w tym zamęcie idei, i systemów. Rozkaz, dany w r. 1855 Bonnetty'emu, aby podpisał

cztery tezy przeciwne tradycjonalizmowi; brewia papieskie z r. 1857 i 1860, potępiające błędy Günthera; nałożenie cenzury w r. 1861 przez kongregację świętego Officium na siedem propozycji ontologicznych i panteistycznych; list apostolski z r. 1862, potępiający doktrynę Frohschammera; takiż list z r. 1863, z naganą dla niektórych niewłaściwości, popełnionych przez kongres monachijski; paragrafy I i II *Syllabusa* z r. 1864, będące streszczeniem różnych dokumentów Piusa IX-go, wydanych poprzednio w kwestyach panteizmu, naturalizmu i racjonalizmu absolutnego lub umiarkowanego; paragraf VII, dotyczący moralności naturalnej i moralności chrześcijańskiej według tychże dokumentów; wszystkie inne części tegoż *Syllabusa* nader mało znane w prawdziwej swej osnowie, a jednak bardzo zasługujące na poznanie; rozmaite środki, użyte przez Stolicę świętą przeciw nauczaniu w duchu ontologizmu; żądanie, zwrócone do różnych osób, aby odwołały swe błędy, umieszczenie na *Indexie* pewnej liczby dzieł podejrzanych albo jawnie błędnych, — oto energiczne odpowiedzi papieżstwa, w okresie od r. 1848 do 1870, na dążenia i publikacje fałszywej filozofii współczesnej. W latach 1869 i 1870 Kościół cały zebrany uroczyście w Watykanie, wznosił swym dekretem dogmatycznym o Wierze katolickiej godzien podziwu pomnik zdrowego rozsądku i wysokiej mądrości przeciw racjonalizmowi, tradycjonalizmowi, intuicyonizmowi i panteizmowi, przeciw materializmowi i subiektywizmowi, przeciw kantyzmowi i pozytywizmowi, wreszcie przeciw naturalizmowi i ateizmowi. Ta wspaniała latarnia morska oświeca wszystkie drogi ducha nowoczesnego, wszystkie dogmaty Wiary Objawionej. Wzajemne stosunki natury i łaski, różnice i harmonia między Wiarą a wiedzą, rzeczywistość tak ducha, jak i materii, samodzielność rozumu i powaga Objawienia zostały po mistrzowsku wyjaśnione przez sobór; a lubo te orzeczenia mają wartość nieomylną przede wszystkim dla ludzi wierzących, to jednak i filozofowie, najdalsi nawet od Wiary katolickiej nie mogą nie uznać ich olbrzymiej doniosłości racjonalnej i niezrównanej gruntowności filozoficznej.

* * *

1871 — 1899.

Spory, wywołane we Francji, Niemczech i Włoszech przez tradycjonalizm, ontologizm, gūntheryzm i racjonalizm dały uczuć Rzymowi wielką potrzebę powrotu do filozofii chrześcijańskiej wieków średnich, zwłaszcza do spekulacji św. Tomasza z Akwinu. Niepodobna znaleźć gdzieś indziej w tymże stopniu połączenia głębokości z jasnością, doświadczenia z rozumowaniem, śmiałości z roztropnością, gdy chodzi o wytłumaczenie świata wewnętrznego i zewnętrznego według przyczyn najskrytszych i zasad najbardziej istotnych. Powrót ten rozpoczął się około r. 1850 we Włoszech dzięki inicjatywie jezuitów Liberatore i Tapparelli d'Azeglio, oraz kanoników neapolitańskich Sanseverino i Signoriello. W piętnaście lat później zaznaczył się on we Francji w pracach biskupa Rosseta, i w dziełach Sauvégo, Grandclauda'a i Bourquarda'a. Około tegoż czasu w Hiszpanii pracował na jego korzyść Gonzalez, późniejszy kardynał, a w Niemczech propagowali go uczonego jezuita Kleutgen i znakomity erudyta kanonik Stoeckl. Przygotowywanie konstytucji soboru watykańskiego o Wierze katolickiej oraz dyskusje nad nią w czasie posiedzeń dały temu zwrotowi nowy potężny impuls; można już było przeczuć naówczas, że niedaleką jest chwila, w której powaga Stolicy apostolskiej zaleci stanowczo szkołom katolickim, aby się przyłączyły do kierunku filozofii tomistycznej, bez żadnego wahania.

Od dawna już dwaj wysoce zasłużeni mężowie, bracia Joachim i Józef Pecci, zachwycali się *Summą teologiczną* i *Summą* przeciw poganom. Znajdowali oni w tych dziełach rozwiązanie wszystkich trudności filozoficznych, odpowiedź na wszystkie zarzuty kantystów i pozytywistów, silną podstawę dla wszelkiego postępu spekulacji i moralności, nieodzowną i niezawodną pomoc dla studentów teologicznych, najpiękniejszą i najlepiej ugruntowaną ze wszystkich nauk przyrodzonych i nadprzyrodzonych.

Oczarowała ich jasność prawdziwie anielska, z jaką autor dwóch *Summ* uzasadnia obiektywność świata i jaźni, jedność substancjalną natury ludzkiej, współdziałanie inteligencji z narządami zmysłów i wolą, zupełną prawowitość naszego poszukiwania i odkrywania zasad lub przyczyn za pomocą faktów, rzeczy istotnych przez ich pośrednictwo zjawisk przygodnych, czynników przez działanie, duszy z objawów życia cielesnego, Boga z ruchu wszechrzeczy, Objawienia z danych przewyższających dziedzinę praw natury, tajemnic i łaski nadprzyrodzonej przez pokorę Wiary. Joachim Peci w swoim pałacu arcybiskupim i w swem seminaryum w Perugii, Józef na katedrze metafizyki w uniwersytecie rzymskim „Sapienza“ zaznajamiali młodzież i kapłanów z tą niezrównaną filozofią; tym sposobem przygotowywali oni ruch umysłowy, którym później Joahim miał kierować w całym Kościele. Gdy Joahim został papieżem, a Józef kardynałem, można było powiedzieć, że święty Tomasz powrócił z nimi do tego pałacu apostolskiego, którego w wiekach ubiegłych był mistrzem najznakomitszym. Ogłoszona w r. 1879 encyklika *Aeterni Patris* dała impuls do przedsięwzięcia całego szeregu środków, celem zupełnego przywrócenia tradycyi tomistycznej, zastosowanej do dzisiejszego stanu idei, nauk i obyczajów.

We Francyi, obok poważnych czasopism filozoficzno-naukowych, redagowanych wedle zaleceń papieskich, ukazało się wiele uczonych dzieł, tymże ożywionych duchem. Autorami ich są: Domet de Vorges, Gardair, Farges, Vallet, Elias Blanc i A. Gouin; Ojcowie Monsabrè, Berthier i Coconnier, dominikanie; OO. Bonniot i Régnon, jezuiti; OO. Bulliot i Peillaube, maryści. Ze stanowiska mniej ściśle scholastycznego, mgr. d'Hulst, ksiądz de Broglie, Karol Charaux, A. de Margerie, H. Joly, D. Cochin, Ollé-Laprune, Fonsegrive i Piat służyli świetnie sprawie filozofii św. Tomasza i zamiarom Leona XIII-go. Lekarze tacy, jak Travaglini, Frédault, Chauffard, Ferrand i Surbled byli im pomocni, jako przedstawiciele nauki, przedtem stroniącej od prawdziwego spirytualizmu, a przecież mogącej żyć z nim w zgodzie zupełnej. W Belgii biskup van Weddingen oraz

uczenci Dupont i Lefebvre przyczynili się wielce do niepopolitego powodzenia Wyższego instytutu filozoficznego, utworzonego dzięki inicjatywie i szczerobliwości Leona XIII-go, a powierzonego umiejętnemu kierownictwu monsignora Mercier'a. W tym zakładzie naukowym odbywają się badania doświadczalne z dziedziny fizjologii i psycho-fizyki, łącznie ze studjami nad filozofią scholastyczną, przyczem wykazywana jest zgoda zupełna między temi dwiema dziedzinami, które wspierając się wzajemnie, przyczyniając się wiele do postępu wiedzy prawdziwej. Wyższy instytut filozoficzny pragnie tym sposobem usprawiedliwić definicyę filozofii, jako nauki podstawowej, powszechnej, najwyższej, streszczającej w sobie wszystkie zasady porządku przyrodzonego i oddającej je do rozporządzenia poszczególnym naukom ludzkim, oraz na użytek teologii nadprzyrodzonej i boskiej. Kolegium jezuitów w Louvain, w zakresie bardziej teoretycznym zasłynęło pracami profesorów swoich Van der Aa, Lahousse'a, de San'a i Casteleina. W Hollandyi dominikanin de Groot; w Szwajcaryi wydział teologiczny w uniwersytecie fryburskim; w Anglii i Ameryce kilka czasopism katolickich; w Niemczech również wyborne wydawnictwa peryodyczne, a przede wszystkim profesorowie Gutberlet, Schneider, Commer, oraz jezuiti T. Pesch, Meyer, Costa-Rosetti, Cathrein i Lehmkuhl; w Hiszpanii Hernandez y Fajarnes, Orti y Lara i ksiądz Mendive wypełnili znakomicie program, tak w porę nakreślony przez Leona XIII-go. To samo powiedzieć należy o Włoszech, posiadających wyborne katolickie czasopisma i akademie. Na polu filozofii tomistycznej odznaczyli się tam kardynał Zigliara, don Barberis i O. Cornoldi, wszyscy trzej zmarli przedwcześnie, lecz doskonale zastąpieni przez kardynałów Mazzellę i Satolli'ego, oraz przez monsignorów Lorenzelli'ego i Talamo, przez O. Lepidi'ego, dominikanina, i jezuitów Urraburu, de Maria, de Mandato i Schiffini'ego. Potępienie czterdziestu propozycyj rosminiańskich w r. 1887 rozproszyło ostatecznie chmury zasępiające horyzont Włoch górnych i obecnie od szczytów Alp aż do trzech cyplów Sycylii słońce mądrości Aniel-

skiego Doktora rozlewa coraz zbawienniejsze promienie swego światła na wszystkie umysły, wierne wspaniałym tradycjom katolickim wielkiej Grecyi.

Filozofia moralna w ostatnich latach zawdzięcza trzyczciestu myślicielom katolickim wiele dzieł wybitnych. Prace Taparelli'go d'Azeglio i Tarquinie'go prowadzone były dalej przez O. Liberatore, Karola Périn'a, margrabiego Verailles Sommières, profesora Rothe'go, O. Weiss'a, O. Antoine'a, oraz pisarzy Toniolo i G. Goyau w dziedzinie nauk ekonomicznych i społecznych. Monsignor d'Hulst na kazalnicy w Notre-Dame w Paryżu wyłożył świetnie podstawy i prawa zasadnicze moralności ludzkiej. Leon XIII-ty jest w tych kwestyach doniosłym mistrzem i pisarzem, nie mającym sobie równego: wiek XIX-ty i następujące po nim stulecie żywie dlań będą podziw i wdzięczność głęboką.

Są wprawdzie jeszcze tu i owdzie bardzo wybitni spirytualiści, którzy pisali swe dzieła, zanim mogli usłyszeć głos wielkiego Papieża i którym wydaje się trudnem, jeśli nie niemożliwem, przyłączyć się całkowicie do jego poglądów filozoficznych. Przesady wychowania, tradycya, iż tak powiem, cechowa, nieporozumienia językowe, wreszcie może i nieufność względem katolicyzmu — oto przyczyny najważniejsze tego rozdwojenia, które atoli słabnie w miarę tego, jak pogłębiają się studia krytyczne nad istotnem znaczeniem faktów i tekstów. Zresztą, ponieważ kartezyanizm jest już dziś niemożliwy, spirytualizm musi się zwrócić ku sokratyzmowi chrześcijańskiemu, jeśli nie chce popaść w otchłań subiektywizmu i pozytywizmu. Jakoż filozofowie tej miary, co Ferraz, Nourrisson, Desdouits, E. Naville i A. Desjardins, oraz uczeni tak znakomici, jak Cl. Bernard, J.-B. Dumas, Flourens i Pasteur zbliżają się wciąż do scholastyki i przyjmują jej teorye w zasadniczych nawet kwestyach antropologii, psychologii, teodycei, moralności i religii. To samo niemal możnaby powiedzieć o niektórych pisarzach racjonalistycznych, naprzykład o Rabierze i Picavecie, hołdujących spirytualizmowi, znacznie różnią-

cemu się od kartezyańskiego, a znajdującemu potwierdzenie w ścisłych zdobyczach nauki.

Mąż, którego nazwisko wymieniliśmy już powyżej z szacunkiem, nieodżałowany Ollé-Laprune, wskazał umysłom znużonym ekliwami doktrynami eklektyzmu, drogę, która je zaprowadzić może wprost i niechybnie do zupełnego przyjęcia prawdy chrześcijańskiej. Jego nader oryginalne i głębokie badania, nad zasadami pewności moralnej, nad warunkami nieodzownymi w czasach dzisiajszych dla dobrego myślenia i filozofowania, o prawdziwej wartości życia, o wysokich dążeniach filozofii starożytnej i nowoczesnej, oświeciły już i pokrzepiły całą grupę gorących i prawdziwie męskich umysłów, od których katolicyzm ma prawo spodziewać się pięknych dzieł metafizycznych i moralnych.

Czysty pozytywizm, o ile się zdaje, nie robi postępów ani się cieszy wielką sympatją ogółu. Prawowierni z Piotrem Laffite, spadkobiercą Comte'a, czy też dysydenci i oporni różnych kategorii; enteiści z Carus'em; panteiści z Ferrière'm; antropologowie z T. Ribot'em, Broca i Mortillet'em; hypnotyści i okultyści z Delboeuf'em i Encauss'em; pedagogicy z Pérez'em; kryminaliści z Tarde'm i Lombrose'm; psychiatrzy z Charcot'em i Luys'em; hypnotyści z Liébeault'em i Bernheimem; napastujący religię jak Draper i Guyau lub obojętni względem niej jak Holyoake, — wszyscy ci, mniej albo więcej sympatyczni, zwolennicy lub sprzymierzeńcy szkoły agnostycznej nie mogą się chępić, że pokonali szkołę metafizyczną, ani że jej przeciwstawiali doktrynę zasługującą na miano współzawodniczki. Pod tym względem nie posunęli się oni dalej od Comte'a, a nawet można mniemać, że nie utrzymali jego pozycji strategicznych. Dokonali oni znakomitych badań i osiągnęli bardzo cenne wyniki na polu nauk fizycznych, przyrodniczych, i matematycznych, tak teoretycznych jak i stosowanych, ale prawdziwa filozofia nie ponosi z tego powodu żadnej zgoła szkody, owszem z dniem każdym więcej ma stąd rzetelnej korzyści. Czy chcą, czy nie chcą pozytywiści, filozofia odżyje i utrwali

się bez nich, a nawet, w razie potrzeby, przeciwko nim. Zdrowy rozsądek sprzyja temu ruchowi: oto w pozytywnej Anglii Huxley, załedwie poważyl się nadać ewolucjonizmowi charakter wyraźnie bezbożny, widział się wnet zmuszonym do uznania siły moralnej i niezależności człowieka w jego walce z rozwojem sił kosmicznych, ulegających prawom niezłomnym; Romanes, ukończywszy swą próbę zniesienia wszelkiej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem, zbliżył się niebawem ze czcią do dawnej Wiary w Boga i Ewangelie; niedawno jeszcze Jerzy Eliot w Londynie i pozytywista Constant de Rebecque w Holandyi, zachwycali się szczerze Naśladowaniem Jezusa Chrystusa; Morison zaś wyrażał się z tkliwą sympatją o świętym Bernardzie i opactwie w Citeaux; a lubo Tyndall, Congrève, Harrison i Bradlaugh upierali się przy materializmie i sekularyzmie ateistycznym, to spirytualizm chrześcijański mógł im przeciwstawić z dumą nie tylko katolików: Saint-George Mivart'a oraz kardynałów Newmana, Manninga i Vaughana, lecz także anglikanów takich jak Gladstone, Salisbury, Mallock i Balfour. Jedynym filozofem w chwili obecnej, na którego pozytywizm mógłby się poniekąd powołać, jest Alfred Fouillée; ale czyż jego stanowczy determinizm, nieublagany sceptycyzm, niewzruszony krytycyzm, system idei — sił, bardzo zbliżony do „idei“ Hegla i „woli“ Schopenhauera, wreszcie jego pewna koketerya, raz uznająca, to znów odrzucająca ewolucjonizm, czyż to wszystko wystarcza do wytworzenia pozytywizmu starej lub nowej szkoły? Czyż to nie zakrawa na zręczny neo-kantyzm lub na spinozizm, niezadowolony z tego, że nie jest bardziej racjonalnym i moralniejszym? Nie jest że to nastrój umysłowy, pośredni między stoickim sceptycyzmem a spirytualizmem chrześcijańskim? Cokolwiekbądź, zdaje nam się, że spadkobiercom Comte'a pozostaje tylko zwracać swój wzrok i nadzieje ku przedstawicielom polityki nowoczesnej, a nawet ku wolnomularzom, i oczekiwać od nich poparcia, którego prawdziwi myśliciele nigdy nie udzielają chętnie przeczyicielom myśli.

* * *

Groźnym nieprzyjacielem dla filozofii katolickiej wieku XX-go będzie więc zawsze, podobnie jak w wieku XIX-ym, kantyzm. Królewiecki, pierwotny krytycyzm z r. 1781 i 1803 wywiera dziś jeszcze urok bardzo silny. Fichte i Schelling nie mają w chwili obecnej ani jednego może zwolennika. Heglizm Very'ego, Spavente'go, Fiorentina, Gattie'go, Caird'a i Bradley'a jest jedynie rodzajem ataku gorączki włosko-angielskiej. Schopenhauer i Hartmann wzruszają tylko nielicznych dyletantów. Lecz subiektywizm Ferrarie'go, d'Ausionio Franchi'ego i Mazarelle'go poza Alpami, Lango, Erdmanna i Schultze'go z prawej strony Renu, Rabier'a i Séailles'a na ziemi francuskiej — albo prowadzi wprost do krytyki czystego rozumu, albo formalnie od niej pochodzi. Czy to dla zadowolenia gustu nowoczesnego, lubującego się we wrzawie i dziwactwach, czy też w celu zjednania sobie sympatii pozytywistów, subiektywizm dzisiajszy przybiera tu i owdzie charakter gwałtowny i wyniosły, który jednak prawdopodobnie mało mu przyniesie korzyści. Ułudny paradoks Kanta jest skuteczniejszy od hałaśliwego tonu rosyjanina Roberty'ego, niemca Nietzsche'go, francuzów Remacle'a i Werbera. Złagodzony pod względem formy, niekiedy zaś i w treści neo-krytycyzm Lachelier'a, Boutroux'a, Renouvier'a, Pillon'a, Secrétana, Liard'a, Dauriac'a i Bergson'a ma niewątpliwie więcej szans powodzenia i trwałości. Jego nowy podział „kategorij“, przewaga, którą przypisuje wolności, uczuciu i kaprysom w pojmowaniu prawdy i urzeczywistnianiu dobra; jego pretensya ześrodkowania całej wiedzy filozoficznej w badaniu „ja“ czyli w solipsyzmie, jak się mówi w stylu arcynowoczesnym, mogą mu zjednać żywą sympatję na początku nowego stulecia. Wszak to rzecz tak przyjemna, tak pochlebna i zarazem wygodna być przekonanym, choćby nie całkiem szczerze, iż się nie zależy od nikogo i od niczego; ogłaszać, że się jest wszystkim i niczem, Bogiem i nicością, zdolnym do wszelkiego postępu i nieodpowiedzialnym za cały dekadentyzm umysłowy i moralny; odpychać niewytworną przesadę pyrronizmu, spinonyzmu idealizmu i pozytywizmu, korzystając zarazem dyskretnie

z najistotniejszej treści tych doktryn; odpowiadać na wszelkie zarzuty i trudności wspaniałymi frazesami o przypadkowości i względności, o ciągłym stawaniu się, o wiecznym ruchu idei, o niepoznawalnej rzeczy samej w sobie i zjawiskach przelotnych; nakoniec wmówić w siebie, o ile to jest możliwe, że fatalizm i wolność są identyczne w tej cudownej ewolucyi, której stany, następujące jeden po drugim, przewijają się w stanach naszej świadomości! Za pomocą takich teoryj osiągają dzisiaj niektórzy filozofowie pozorny spokój i pewność siebie, które często imponują tłumowi; ten i ów może się nawet spodziewać, że na tym padole utrwali swe imię i że je przyszłość powtarzać będzie z podziwem. Lecz pod tym względem ulegają ci myśliciele złudzeniu, albowiem przyszłość należeć może tylko do zdrowego rozsądku i filozofii prawdziwej.

Nie mamy odwagi powiedzieć, że ten powrót nieunikniony rozraduje jutrzeńkę wieku XX-go. Czy socjalizm, nihilizm, anarchia, wojny domowe i zewnętrzne pozwolą ludziom myśleć i rozumować spokojnie? Można jednak być pewnym, że i ewentualne te klęski będą źródłem światła dla ducha ludzkiego, choć go może rozjątrzą na razie. Wówczas filozofowie wyzwolą się z pod jarzma kantyizmu, przygniatającego pokolenie dzisiajsze. Gdy my byliśmy racjonalistami i rezonerami, następcy nasi będą ludźmi rozumnymi, zdolnymi do uznawania za prawdziwe zasad i faktów, którymi żyła mądrość starożytna od Sokratesa i Arystotelesa do św. Tomasza i Bossuet'a. Nie gardząc bynajmniej naukami pozytywnymi, będą oni uważali poznanie tych nauk za jeden z najniezbędniejszych warunków metafizyki. Nie popełnią błędu scholastyki, która w okresie od wieku XIV-go do XVIII-go zwracała wyłącznie uwagę na kategorie i argumenta aprioryczne. Będą wiedzieli, że jest niebezpiecznym oddzielanie subjektu od obiektu; że, rozprawiając jedynie nad jaźnią, pracuje się w próżni i bezowocnie; że kantyizm kształtował się długo pod nazwą nominalizmu i idealizmu, zanim się ustalił ostatecznie w formie krytycyzmu; wreszcie, że jak nie ma prawdziwej teorii bez filozofii, tak również nie ma prawdziwej filozofii

bez znajomości danych zasadniczych historyi, fizyki, chemii, biologii, fizjologii i matematyki, zarówno czystej, jak i stosowanej. Podobnie jak w epoce pytagorejczyków, filozof dzisiajszy musi być geometrą, a oprócz tego logikiem, metafizykiem i moralistą. Dzieło Boże, lubo ściśle zespolone i harmonijne we wszystkich swych częściach składowych, nie jest wszelako wyłącznie duchowem i transcendentalem: jest ono także materyalnem i należy do porządku geometrycznego, jak mówiono również w szkole Pytagoresa. Ponieważ między rozumem a Wiarą nie może być zatargów istotnych, przeto nie powinno ich być tem bardziej między filozofią i naukami. Zjawiska fizyczne mają swe odpowiedniki w świecie duchowym: prawda nadprzyrodzona i prawda naturalna, wiedza filozoficzna i wiedza naukowa ulegają opatrnościowemu prawu wymiany swych wyników, czego trzy owoce zowią się: teologią chrześcijańską, filozofią chrześcijańską i nauką chrześcijańską. Wiek XIX-ty na schyłku swoim odgadywał przynajmniej istnienie tego prawa; a lubo nie uznał go uroczyście za regułę ostatnich swych wysiłków, to jednak przez wyzwolenie i reorganizację nauczania wyższego, dał mu potężne narzędzie, z którego stulecie następujące zdoła uczynić — czemuż się tego nie spodziewać — wielki i chlubny użytek.

Lille.

Kanonik Juliusz Didot.

Spolszczył

Ks. Wł. M. Dębicki.

VII.

LITERATURA

Gdybyśmy oceniali znaczenie wieku XIX-go w dziejach literatury powszechnej ze względu tylko na obfitość i różnorodność jego wytwórczości, żaden inny, z pewnością, nie mógłby z nim współzawodniczyć. Jeśli zaś zwrócimy uwagę na jakość dzieł literackich, które się w stuleciu tem pojawiły, wytrzymałoby ono jeszcze porównanie z najwyszytniejszymi okresami czasów dawniejszych. Z pewnością ani Francya za Ludwika XIV-go, ani Anglia za czasów Elżbiety, ani Włochy za Medyceuszów, ani Rzym w wieku Augusta i Ateny w wieku Pery-

czytelnik zdziwi się zapewne, nie znajdując w niniejszym artykule żadnej wzmianki o literaturze polskiej. Autor powodował się może w tym względzie powszechną obecnie we Francyi (aż do pojawienia się przed paru miesiącami francuskiego przekładu „Quo vadis“ Sienkiewicza) dla literatury naszej obojętnością; z drugiej strony wszakże przyznać trzeba, że miał też słusniejsze dla pominięcia jej powody. Streszczając w tak zwięzłym zarysie niezmiernie bogaty i wielostronny obraz literatury europejskiej XIX wieku, brał pod uwagę nie twórczość w niej poszczególnych narodów, lecz zasadnicze prądy twórczości międzynarodowej, uwzględniając przytem nie treść ich istotną, lecz ich wpływ na literaturę, na wyrabianie się i przekształcanie różnych zasadniczych jej typów i rodzajów. Naznaczwszy sobie taki zakres, utrzymał swój przegląd w bardzo konsekwentnym i jednolitym charakterze, czysto literackim, ale musiał z niego wykluczyć wiele zjawisk życia umysłowego, ze wszechmiar godnych

klesa, nie znaly większych poetów, jak: Goethe, Schiller, Byron, Shelley, Lamartine, Hugo. A czy znaly doskonalszych, bardziej klasycznych? jeszcze to pytanie: lecz pewna, że nie znaly większych. A cóż powiemy o tylu historykach i krytykach? Jeżeli zaś romans od stu lat zastępuje nam poniekąd epopeę — romans Walter-Scotta, Dickensa, Balzaca, Jerzego Sanda, Dostojewskiego, Tołstoja — któż zaprzeczy, że dorównał jej niejednokrotnie? Skoro wreszcie po należytych uwzględnieniu obfitości i dobroci dzieł literackich zwrócimy uwagę na to, co możnaby nazwać głęboością historycznego ich znaczenia, będziemy musieli przyznać, że od najdawniejszej epoki Odrodzenia, żaden wiek nie był świadkiem bardziej zasadniczej przemiany w samym pojęciu utworu literackiego, jego przedmiotu, jego przeznaczenia, a co zatem idzie środków jego realizacji. Zadaniem naszym jest tu skreślić i oznaczyć bliżej, różne objawy tego rozwoju.

* * *

Powiedziałem: „od najdawniejszej epoki Odrodzenia“; jakoż istotnie w całej Europie za pomocą podobnych lub różnych środków pod temi samymi lub odmiennymi nazwiskami, literatura XIX-go wieku była przedewszystkiem stanowczem, świadomem i zasadniczem przeciwdziałaniem

uwag i musiał pominąć literatury bujnie rozkwitające, lecz bez wpływu na ogólnoeuropejskie prądy literackie. Do liczby ich, obok kilku innych (jak hiszpańska, duńska, czeska i węgierska), zaliczył też literaturę polską. I nie bez pewnej słusności. Jakkolwiek bowiem miała ona w XIX wieku kilku wielkich przedstawicieli (z których jeden równa się naczelnym geniuszom wszechświatowej poezji) jednak, wskutek różnych przyczyn zewnętrznych, na widowni europejskiej, przewodniczącej, ani nawet wpływowej roli, nie odgrywała i należytego nie wywarła wpływu na rozwój rodzajów i typów literackich, o które autorowi niniejszego artykułu wyłącznie chodzi. Powyższy wzgląd wszakże tłumaczy tylko poniekąd, niesprawiedliwiając całkowicie pominięcia literatury naszej w tym przeglądzie. Uwzględnienie jej we właściwej mierze mogłoby rzucić światło niespodziane na pewne objawy twórczości ogólnoeuropejskiej. Uchybienie w tym względzie autora francuskiego tłumacz starał się choć w części naprawić w odpowiednich przypiskach. *(Przyp. tłum.).*

ideałowi klasycznemu, którego przedmiot określili niegdyś w samych początkach odrodzenia pierwsi humaniści nowożytni. Nie miejsce tu na rozważanie tego ideału i na przypomnienie oporu, jaki on napotkał, przed utwierdzeniem wszechwładnego swego panowania w Europie: dość zaznaczyć, że jakkolwiek nigdzie nie doznał żywszego i bardziej usprawiedliwionego przeciwdziałania, jak w Anglii i w Holandyi i tam jednak odniósł ostateczne zwycięstwo. Stało się to, jak wiadomo, około początku XVIII-go wieku. Niemcy o wiele wcześniej przyswoili sobie zasady klasycyzmu, o ile te zasady polegały na naśladownictwie wzorów starożytnych, widzianych od czasów Ludwika XIII-go przez pryzmat wzorów francuskich, i można nawet powiedzieć, że to ciasne pole, które „Sztuka rymotwórcza“ Boileau pozostawiła wyobraźni i uczuciowości poetów, zostało wyjałowione ostatecznie w Niemczech, przez rutyniczne poglądy słynnego Gottscheda. Powiedzmy ogólnie, uwzględniając oczywiście wyjątki, które zawsze trzeba mieć na uwadze, że w przeddzień rewolucyi francuskiej w Europie całej panował pewien wspólny sposób myślenia i czucia, oraz analogiczna metoda tworzenia i pisania od Londynu do Petersburga, gdzie literatura poczęła zaledwie wychodzić z dzieciństwa i od Paryża do Neapolu, gdzie wierzono tylko w filozofów francuskich, jednakowo pojmowano przedmiot, rolę i zadanie twórczości literackiej. Tylko niektórzy buntujący się pisarze, między którymi najslawniejszy jest Lessing, ośmielili się żądać wyzwolenia od Greków i Rzymian. Prawdę mówiąc, przy bliższem wejrzeniu w ich zamiary, trudno rozpoznać, o ile one były świadome, a w każdym razie, ani ich rozgłos, ani powaga nie przekraczały granic ich ojczyzstego kraju, nie otrzymały uznania zagranicą, nie stały się, jednym słowem, europejskimi.

Jest-że to chwałą wyzwolić się z jarzma klasycyzmu? Jeśli tak, to chwała owa należy się Francyi; reakcyja bowiem przeciw klasycyzmowi zapoczątkowana została przez dwa dzieła francuskie: przez „Literaturę“ pani de Staël i przez „Geniusz chrześcijaństwa“ Chateaubrianda. Ideałowi

wi pogańskiemu, w którym stale szukali natchnienia pisarze epoki klasycznej, drugie z tych dzieł przeciwstawiło ideał chrześcijański, podczas gdy pierwsze z nich, przy całym uznaniu dla wzorów starożytnych, usiłowało jeżeli nie zastąpić je, to postawić obok nich arcydzieła mistrzów literatury północnych.

Epigonowie XVIII-go wieku, spadkobiercy „encyklopedystów“, ci, których Napoleon przezywał ideologami, a którzy liczni byli jeszcze i względnie potężni na początku XIX-go stulecia, usiłowali stawiać pewien opór. Ale nie mieli na to dość siły; żaden nie posiadał ani wielkiego stylu Chateaubriand'a, ani tej niewyczerpanej obfitości idei, która stanowi rys charakterystyczny talentu pani de Staël. Zresztą nie mieli oni też za sobą opinii publicznej, ni władzy naczelnej. Jeżeli Napoleon nie lubił pani de Staël i Chateaubrianda, jeszcze mniej żywił sympatyj dla „ideologów“, których mianował senatorami, dlatego pono tylko; aby tem lepiej mieć ich na oku, lub tem zupełnie ich unicestwić. Jakoż cel ten osiągnął.

Reakcyja poczęta w literaturze pięknej, stopniowo rozciągnęła się na idee, kierujące rozwojem ruchu umysłowego w Europie, a wskutek tego myśl XVIII-go wieku w całości swej została zakwestyonowana. Nie można dość na ten fakt kłaść nacisku, że w Anglii i w Niemczech, podobnie, jak we Francyi i we Włoszech, reakcyja była zarazem filozoficzną i literacką, a prąd romantyczny w całej Europie pozostawał w najściślejszym związku ze zwrotem ku idei religijnej. Głównymi jego sprawcami byli Wordsworth i Coleridge w Anglii, Fryderyk Schlegel, Görres, Novalis, Klemens Brentano w Niemczech, we Francyi zaś, a ściślej mówiąc w krajach posługujących się językiem francuskim, Bonald, Józef de Maistre, Lamennais, Lamartine i Hugo — mówimy tu oczywiście o młodym Wiktorze Hugo, o tym, który spowiadał się u księdza Lamennais i który pisał w przedmowie do zbioru swych „Od i Ballad“, że dzieje ludzkości o tyle tylko mogą budzić zajęcie i posiadają znaczenie, o ile widziane są z wyżyn idei monarchicznych i religijnych.

Z tem wszystkim, reakcja nie mogła się tu zatrzymać. Jeżeli liczne są różnice i przeciwieństwa między stuleciem osiemnastym i wielkim jego poprzednikiem, są też między nimi pewne podobieństwa. Jakkolwiek idee Woltera zupełnie się różnią od idei Pascala i Malenbrancha, to z drugiej strony tenże sam Wolter zapatrywał się na epopeę i na tragedję podobnie, jak Racine i Boileau, tylko w wierszu swym nie miał ani dobitności pierwszego z nich, ani siły i wdzięku drugiego. „Henryada“ z wyjątkiem jednego punktu ściśle jest zastosowana do przepisów sztuki rymotwórczej; a gdyby jej nie brakło ducha Racina, „Zaire“ mogłaby uchodzić nieomal za tragedję Racina. Ale różnice te niedostrzegalne są dla cudzoziemców, podczas gdy powierzchowne owe podobieństwa uderzają ich żywo. Z konieczności zatem reakcja zwracająca się przeciw duchowi XVIII-go wieku, prędzej, czy później musiała się też zwrócić przeciw poetyce, lub, jak się dziś mówi, przeciw estetyce wieku poprzedzającego, a stąd wynikło, że pod pozorem wyzwolenia się z jarzma klasycyzmu, Europa cała, z wyjątkiem Włoch, poczęła dążyć do odrzucenia wszelkich wpływów francuskich. I tak zbyt długo one panowały. Rewolucya, odosobniając Francję w przeciagu nieomal lat dziesięciu od reszty świata — Francję czytającą i myślącą — a następnie wojny Cesarstwa, zakończone pod Waterloo, ułatwiły powodzenie tych dążeń. Obróciło się to na korzyść wpływu angielskiego.

Przypisują ogólnie wpływowi niemieckiemu to znaczenie, jakie nadajemy tutaj wpływom angielskim. Jakoż przyznać trzeba, że pani de Staël przedewszystkiem przez swoją książkę o Niemczech, Benjamin Constant, Schleglowie, a nawet jeszcze Fauriel w swych początkowych pracach, niczego nie zaniedbali, aby rozpowszechnić i utrwalić to mniemanie. Z drugiej strony należy zaznaczyć, że tak Anglicy, jak i Niemcy, należą do rasy germańskiej i że w pewnym względzie można uznać w reakcyi przeciw klasycyzmowi odwet dziejowy geniuszu germańskiego, za długotrwałą tyranję geniuszu łacińskiego. Nie myślimy tutaj przeczyć temu pogładowi i nie jest tu naszym zadaniem zmniejszyć

szacć znaczenie Lessinga, ani poniżać geniusz Goethego lub Schillera, ani zaprzeczać wpływu Kanta. Należy jednak różnicę poszczególnych epok a zobaczymy wnet doniosłość tego różniczenia. Istotnie imiona Lessinga, Goethego, Kanta nieznane były jeszcze wcale poza obrębem Niemiec, gdy wpływ angielski dawał się już wyraźnie we Frandyi uczuć. Przy tej sposobności wspomnijmy gwałtowne napaści Woltera na dzieła Szekspira, które niegdyś on pierwszy począł rozpowszechniać i z których sam niemało korzystał. Zarzucano mu niekiedy z tego powodu „łękliwość gustu“; sądziłbym raczej, że jako „zachowawca we wszystkim za wyjątkiem religii“, rozpoznał on instynktownie w nieograniczonej swobodzie dramatu Szekspirowskiego groźne niebezpieczeństwo dla uczonych reguł tragedyi francuskiej. Spozstrzegł tu pojęcia sztuki, z którymi żadną miarą nie mógł się pogodzić, oraz odczucie i odtworzenie życia sprzeczne zupełnie z ideałem klasycznym. A że w tym razie trafnie sądził i jasno widział, dowodem wpływ Szekspira we współczesnej literaturze niemieckiej. Około tegoż czasu, to jest około połowy XVIII-go wieku nietylko autor „Dramaturgii hamburskiej“, posługiwał się Szekspirem zarazem przeciw powadze Woltera, Racina i Corneila, ale nadto dodać trzeba, że zetknięcie się z literaturą angielską wzbudziło ducha niemieckiego z długotrwałego zastoju, jakiemu przedtem ulegał. Źródła nowoczesnej literatury niemieckiej nie wypływały ani z Szwajcaryi, ani z Szwabii, ale z Anglii. Trzeba o tem dobrze wiedzieć i pamiętać, aby ją należycie zrozumieć, trzeba nadewszystko mieć to na względzie, aby wpływowi angielskiemu wyznaczyć właściwą rolę w wytworzeniu ducha europejskiego naszych czasów. Za wyjątkiem jednej, lub dwóch właściwości, — jak np. wybujałego upodobania w spekulacyi metafizycznej — uznać należy, że wszystkie te, które przepisywane bywają duchowi i geniuszowi germańskiemu, były najprzód angielskie, zanim stały się niemieckimi.

Anglicy pierwsi poszukiwali w najdawniejszych swoich tradycjach, w zamierzchłej średniowiecznej swej przeszłości źródeł natchnienia twórczego, które humaniści z cza-

sów Odrodzenia widzieli jedynie we wspomnieniach Grecyi i Rzymu. Anglicy też w dziejach literatur nowożytnych, wystąpili jako „pierwsi poeci natury“, podobnie jak Holendrzy stali się najpierwszymi jej malarzami. Poezya angielska — nawet u klasycznych swych przedstawicieli, u Drydena i Pope'a — najprzód zwróciła się do owych wydarzeń życia codziennego stanowiących, przy całej swej pozornej prozaiczności, największy urok „Pieśni“ Goetego. Zamiast „uniwersalnego“ i „normalnego“ człowieka czasów Odrodzenia i klasycyzmu, nie niemieccy, lecz angielscy pisarze, jak Richardson i Fielding, wprowadzili pierwsi człowieka lokalnego, który w swej wyraźnej, ściśle określonej odrębności, podobny jest tylko do siebie samego, lub co najwyżej do ludzi swej okolicy, swego miasta, swej rodziny, czy swego rodu. Ciż sami pisarze zmieszali literaturę z życiem czynnem, codziennem i praktycznem, wskutek czego literaci, jak Addison lub Swift, byli jednocześnie działaczami społecznymi i politycznymi. I podczas gdy wszędzie, nawet w „Emilu“ i „Heloizie“ Rousseau, literatura była tylko ozdobą i przyjemnością życia społecznego, u Anglików, jak u Wordswortha, u Byrona, u Shelleya, u Keatsa, stała się ona objawem czysto osobistych stanów uczuciowych, pozbawionych wszelkiej łączności z uczuciami innych ludzi. Wobec tego gdzież są owe nowe objawy w literaturze, które zawdzięczać mamy wpływowi niemieckiemu? i, jak wyżej rzekliśmy, oprócz jednej lub dwóch właściwości, jakież są zasadnicze oryginalne i narodowe znamiona geniuszu niemieckiego?

Jeżeli teraz zapytamy, który z owych, wyżej zaznaczonych rysów najbardziej jest charakterystyczny lub najbardziej „angielski“, to w odpowiedzi będziemy zmuszeni wskazać na ostatni z nich. A godnem jest uwagi, że rys ten okaże się zarazem najwybitniejszym objawem owego kierunku w literaturze, który określamy zazwyczaj nazwą *romantyzmu*, oraz najbezwzględniejszym przeciwieństwem dawnego ideału klasycznego. Określano różnymi sposobami istotę *romantyzmu*, ale wszystkie te sposoby i wszystkie wysnute z nich cechy charakterystyczne

dadzą się sprowadzić do dwóch następujących: zewnętrznie do przeciwieństwa do ideału klasycznego, wewnętrznie do wyzwolenia własnego *Ja* pisarza.

Podczas, gdy ideał klasyczny mógł być pojęty i sformułowany tylko w swym stosunku do publiczności, ideał romantyczny ma racją bytu, jedynie jako objaw osobowości poety lub pisarza. Żadnej chęci podobania się, a jeszcze mniej nauczania: chodzi tylko o to, aby być „sobą“. Najważniejszą rzeczą nie jest prawda tego, co się mówi, ani piękność, ani użyteczność, lecz oryginalność, a oryginalność polega na tem, co jest najbardziej osobiste w danej indywidualności twórczej, co ją najbardziej odróżnia od wszelkich innych osób. W tem tkwi, wedle pojęcia romantycznego, istota poetyckiego geniuszu. Nie prowadzi on czytelnika nowymi drogami do starych prawd, ani do nowych prawd drogami nieznanymi, lecz wskazuje mu drogi jakiegokolwiek, w wyborze ich powodując się jedynie swym kaprysem osobistym i doprowadza niemi do prawd, o których to tylko twierdzi, że są one niezaprzeczoną jego własnością. „Świat patrzy zawsze przed siebie, ja patrzę zawsze w siebie, rozważam, badam, rozpatruję siebie samego. Inni wędrują zawsze kędyś i jeśli dobrze drogę obrali, postępują naprzód; ja krążę zawsze dokoła własnej mej istoty.“ Te słowa Montaigne'a mogłyby być powiedziane przez Byrone'a lub Shelley'a. W każdym razie nie znam słów, któreby lepiej określały to, co najistotniejsze jest w romantyzmie. Bądźmy przedewszystkiem sobą, a publiczność niech bierze z nas to, co jej się podoba. Nie na to się pisze, aby być oklaskiwanym przez motłoch; pisze się dlatego, że jest w nas potrzeba myślenia i uczucia głośnego, „wylania się“, lub rozpostarcia się na zewnątrz, uświadomienia sobie przez twórczość pisarską własnej naszej istoty, a okazania innym ludziom, jak bardzo od nich się różnimy. Raz jeszcze powtarzamy, jeśli na tem polega przeciwieństwo ideału klasycznego (a za dowód tego przeciwieństwa służyć mogą choćby słowa Pascala o Montagne'u: „Cóż za głupi powziął zamiar malowania siebie samego?“) nic nie jest nadto bardziej romantyzmem. Ale cóż może być też więcej angielskiem?

Literatura angielska jest głęboko i zasadniczo indywidualistyczna i jeśli naród angielski, wzięty w masie, niemniej od innych narodów posiada poczucie zbiorowości społecznej, a nawet więcej może od wielu innych przejął się tym duchem, to jego pisarze w wyjątkowym stopniu i w najściślejszym, etymologicznym znaczeniu tego wyrazu są ekscentryczni i to aż do największej przesady, aż do dziwactwa ¹⁾.

Zresztą nie można przeczyć, że między 1830 i 1840 r. ów indywidualizm, mający przeciwko sobie całą powagę tradycji klasycznej, popierany był przez te wszystkie żywioły, które ulegały tyranii tejże powagi. Tyranami bowiem stawali się nieraz mimowoli mistrze dawnego klasycyzmu. Z dzieł ich wyciągnięto reguły i przepisy, poza którymi nie uznawano zgoła żadnych zalet literackich; gramatycy i retorzy w rodzaju Gottscheda lub Nepomucena Lemerciera strzegli ścisłego wykonywania tych przepisów, w charakterze czujnych i niewzruszonych żandarmów. Pokaż twoje papiery? oto było najpierwsze pytanie, z jakim zwracano się do poety. Tragedya doskonała powinna się stosować do dwudziestu sześciu warunków, ni mniej ni więcej, a o ile odpowiadała tylko dwudziestu czterem lub dwudziestu trzem warunkom, o tyle na dwa stopnie, lub jeden stopień spadała jej wartość w opinii przysięgłych sędziów

¹⁾ Zaznaczane tu właściwości romantyzmu określają bardzo trafnie zasadniczy jego charakter, ale czy wyczerpująco zupełnie? można o tem powątpiewać. Gdyby autor zwrócił uwagę na romantyzm w literaturach słowiańskich, a osobliwie w polskiej musiałby rozszerzyć znacznie swe określenie. Romantyzm Mickiewicza choć tak osobisty i indywidualny w IV cz. „Dziadów“, oraz w niektórych balladach i romansach przez swój zwrot do ludowości (szczególnie w zasadniczym pomysle „Dziadów“) wznosi się wysoko ponad poziom bajronowskiej czysto indywidualnej romantyki, w której autor widzi najzupełniejszy objaw tego kierunku. Tak samo poezya Słowackiego i Krasińskiego przekracza granice owego zakresu przez swą dążność narodową, a nawet ogólnospołeczną (u Krasińskiego). Wogóle autor za mało uwydatnił pierwiastek narodowy w romantyzmie, a zupełnie zapomniał o pierwiastku ludowym, który jednak we wszystkich literaturach ówczesnych odegrał pewną rolę, najwspanialej zaś objawił się w poezji Mickiewicza.

literatury. Oczywiście, nie można się było wyzwolić z tego nadmiaru tyranii, bez użycia pewnych środków gwałtu, a z pośród wszystkich tych środków najpewniejszym i najłatwiejszym zarazem było wyzwolenie osobiste pisarza. Tym, którzy chcieli zarządzać literaturą, niby drogą publiczną, pisarz odpowiadał, ustępując z niej dobrowolnie i zamykając się w swej osobistości, albo, żeby użyć poetyczniejszego wyrażenia — w twierdzy swej duszy. Cóż nadto prostszego i naturalniejszego?

Ale to, co teoretycznie wydaje się najnaturalniejszym w świecie, nie zawsze jest takiem w praktyce i w rzeczywistości. Jeśli niektóre rodzaje i formy literackie, jak np. poezya liryczna „wyznania“ lub „pamiętniki“, z natury swej są i być muszą zawsze wyrazem własnego Ja pisarza lub poety, — natomiast inne rodzaje, jak np. romans, tylko w pewnej ograniczonej mierze mogą mieć charakter osobisty, albo też, jak np. historia lub dramat, zupełnie powinny być wolne od zabarwienia osobistego. Romantycy nie mogli tego nie uznać. A jeszcze prędzej musieli oni spostrzedz, że owo dumne odosobnienie pisarza lub poety, jeśli było możliwe niegdyś za bardzo dawnych czasów, przestało być możliwem w warunkach życia nowożytnego i współczesnego. Vae soli! Biada samotnemu! Taki magnat literacki, jak Byron, lub minister drobnego ksiąstewka, jak Goethe, mogliby i za naszych czasów zachować tę wyniosłą postawę odosobnienia; a na przeciwległym krańcu drabiny społecznej taki Burns lub Shelley mogli ją również czasowo przybierać, o ile nie pociągała za sobą śmierci głodowej. Inaczej wszakże rzecz się ma z większością pisarzy współczesnych. Powiedzmy otwarcie — nie lękając się mieszać do dziejów idei względów natury materyalnej — odkąd pisarze stali się pracownikami zawodowymi, zmuszonymi zdobywać sobie niekoniecznie fortunę, lecz przynajmniej warunki życia i wziętość, obfitość i regularność produkcji stały się niedozownymi warunkami ich powodzenia. A cóż człowiek samotny może wysnuć z nieustannej kontemplacji siebie samego? Prawdę mówiąc, mało jest stanów duszy zupełnie oryginalnych. W ogólnej wytwórczości ubiegłego wieku,

z pewnem zdziwieniem i upokorzeniem zarazem, wbrew temu, co nam przyobiecivano, spostrzegamy jak dalece każdy człowiek jest podobny do innych ludzi. Jest to również odkrycie, które romantycy musieli, prędzej czy później, uczynić z niemalą dla siebie ujmą. Jakżeż nie mieli spostrzedz, że ich upodobanie w odosobnianiu się było wprost przeciwne dążnościom wieku, który przybierając coraz bardziej demokratyczny charakter, coraz więcej stawał się też uspołecznionym? Nowe objawy nędzy i cierpienia powszechnych godniejsze przecież były uwagi, aniżeli pospolite przygody zawiedzionego marzyciela, lub zdradzonego kochanka. A jeśliby wszystkie te złączone przyczyny nie starczyły do wywołania reakcyi przeciwko indywidualizmowi, była jeszcze jedna ostatnia przyczyna, nad którą tu warto się bliżej zastanowić.

Zasadą poetyki indywidualistycznej jest przekonanie mniej lub więcej wyrozumowane, że żaden człowiek nie może poddawać swego sądu pod sąd innego człowieka: *Nullius addictus jurare in verba magistri*. To, czem jedni zachwycają się, jest ganione i krytykowane przez innych. Te same przedmioty wzbudzają w nas różne bardzo wrażenia. Są ludzie niecierpiący Horacego, który tylu jednak liczy wielbiciele. Byron cenił Pope'a więcej, niż Szekspira, a Lamartine widział w La Fontainie autora lekkich opowieści. Wychowanie pierwotne i doświadczenie życiowe jeszcze bardziej urozmaicają nasze sądy i przyczyniają się do powiększania różnic między ludźmi. Pułkownik kawalerji nie patrzy na rzeczy tym samym okiem, co przemysłowiec londyński, a polityk z Nowego Yorku nie rozważa spraw światowych z tego samego stanowiska, co prałat rzymski. Jakże więc rozprawiać o gustach? Jakże rozróżniać dobry, lub zły gust. Jakiem wreszcie prawem mógłby ktoś potępiać osobiste moje upodobania, choćby najdziwniejsze lub najbardziej pospolite? Każdy z nas ma swoją własną miarę rzeczy i, uznając jedynie siebie samego za niewątpliwego świadka swych wrażeń, sobie tylko przyznaje prawo sądu nad niemi. Około połowy XVIII-go wieku krytyka Hume'a i Kanta, dosyć zresztą źle zrozu-

miana, stwierdziła te paradoksy swą powagą filozoficzną. Potem przyszedł Hegel ze swą identycznością sprzeciwieństw i formuły niepewności i zwątpienia zostały przezzeń uznane za istotne prawa umysłu ludzkiego. Jest się zmuszony mówić o tych rzeczach przy literaturze, skoro za naszych czasów Taine np. zdołał wyzwolić się z sieci tych sofizmatów, ale taki Scherer lub Renan nie umieli się z nich wyplątać.

A jednak postęp wiedzy powinienby ich oświecić nie tylko przez zdobycze, jakie osiągnął, ale też przez metody, któremi się posługiwał. Postęp ten stwierdził przedewszystkiem, że coś poza nami istnieje; następnie, że, jakkolwiek znajomość nasza świata zewnętrznego zależna jest od ustroju naszego umysłu, to w każdym razie zależność ta uwarunkowana jest nie przez naturę jednostki, lecz całego gatunku. Istnieją powszechne prawa umysłu. Być może, iż rzeczywistość, przystosowując się do nich, ulega przekształceniu, ale przekształcenie to takie same jest dla wszystkich; sędzią jakości naszych wrażeń jest prawda naukowo dowiedziona. Można więc rozprawiać o gustach. Jeśli dwa wrażenia są przeciwne sobie, lub sprzeczne ze sobą, nietylko nie można powiedzieć, że są sobie równe i że każdy z nas ma prawo przy jednym z nich pozostać, ale trzeba z konieczności uznać, że jedno jest fałszywe, drugie prawdziwe. Które jest fałszywe, a które jest prawdziwe? Nie zawsze można o tem stanowczo wyrzec, a osobiście skoro chodzi o bardzo złożone i subtelne wrażenia, ale zawsze trzeba dążyć do stanowczego rozstrzygnięcia podobnych wątpliwości. I to jest właśnie główne zadanie krytyki, jej cel ostateczny i najwyższy, który uchodzić będzie przed nią w miarę, jak się zechce do niego zbliżać, ale który niemniej przeto jest wyraźny i ściśle określony. Być może, nie dowiemy się też nigdy, co to jest życie i co to jest materya, mimo to fizyka i fizjologia są naukami ścisłymi.

Oto prawdy, które zostały zrozumiane około r. 1840—powiedzmy ściśle między 1840 i 1850 lub 1855 — i z któ-

rych wynikał naturalizm¹⁾. Określano go różnemi definicyami, podobnie jak niegdyś romantyzm; wszystkie one, a przynajmniej prawie wszystkie zawierają pewną miarę prawdy, ale najogólniejsza z nich jest niewątpliwie ta, która określa naturalizm, jako poddanie pisarza lub artysty pod władzę jego przedmiotu. Naturalizm ma być wiernem odtworzeniem natury. Ażeby zaś nauczyć się patrzeć na naturę, przedewszystkiem musimy bronić się sami przed sobą. Nie powinniśmy poczytywać sobie za oryginalność naszej niemocy; jeżeli coś widzimy źle, winniśmy starać się, aby widzieć lepiej; na to dane są władze obserwacyi i refleksyi. Pierwszą zaletą dobrej reprodukcji jest jej wierność, a portretu — podobieństwo. Jeżeli zachodzi spór co do wierności podobieństwa i wartości reprodukcji, postawmy przed sobą pierwowzór. Znajduje się on tuż przy nas w naturze, możemy go osiągnąć ręką. A nie odpowiadajcie nam z poetą, który ze wszystkich romantyków najwięcej samym sobą nappełnił swe dzieła:

Serce ludzkie,—jakie? Czyje serce ludzkie? Choćby dyabeł w niem siedział i ja mam serce ludzkie.

Ależ właśnie zachodzi pytanie, czy masz prawdziwe serce ludzkie, a ty nie zdołasz tego rozstrzygnąć. Możesz być chory, możesz być nienormalny. I nie nam również o tem sądzić, tylko prawda natury i historii może tu wyro-

¹⁾ Autor nie rozróżnia tu naturalizmu od realizmu. Ze stanowiska zajętego w niniejszym przeglądzie i ze względu na konieczną jego zwiezłość, nierozróżnienie to usprawiedliwione jest w znacznej mierze, ale podlegać musi zastrzeżeniu w zastosowaniu do literatury polskiej, w której zwrot do wiernego malowania rzeczywistości nie wynikał z tendencji naturalistycznej, ani z postępu wiedzy, lecz był następstwem rozwoju czysto poetyckiej dążności do odtwarzania przeszłości narodowej. Takim sposobem z liryki idealistycznej powstał stopniowo u nas epicki w wielkim stylu realizm „Pana Tadeusza“ i „Pamiętników Sopley“, a w dalszej stąd konsekwencji wytworzyła się oryginalna wielce epika realistyczna gawęd starozłacheckich Pola, Syrokomli, powieści historycznych Kaczkowskiego i Kraszewskiego, wreszcie w najnowszych czasach wielkich powieści Sienkiewicza, które, zdobywając sobie obecnie wszechświatowe uznanie, najlepiej stwierdzają doniosłe znaczenie tego samodzielnego rodzaju naszej literatury.

kować. Któżby wierzył w obrót ziemi, gdyby powodował się swem osobistem wrażeniem. Jakoż istotnie przez ile wieków nie wierzyli ludzie w ten obrót. Sędziowie Galileusza wyobrażali też sobie, że mają swe własne ludzkie oczy.

Popierane przez okoliczności, a mianowicie przez te, które można poczytywać za klęskę polityki romantycznej w roku 1848, rozpowszechniane jednocześnie w Anglii, we Francji i w Rosji — Niemcy i Włochy innemi wtedy były zajęte sprawami — przez filozofów, których one pogodziły ze zdrowym rozumem ludzkim, przez krytyków, których rolę podniosły i ściślej określiły, przyjęte przez powieściopisarzy, takich jak Turgeniew, George Eliot i Flaubert, zdobywających przy ich pomocy coraz szersze pole obserwacyi, uznane wreszcie przez poetów takich, jak Gautier lub Leconte de Lisle, idee owe nie mogły pręcej, lub później nie odnieść zwycięstwa nad wyczerpanym ideałem romantyzmu. Ponieważ jednak powody, dla których zostały przyjęte, nie zawsze były takie same,—i gdy np. Flaubert potępiał Musseta, a George Eliot potępiła Byrona, to nie zupełnie z tych samych pobudek,—więc w samym początku wyniknął rozdział pomiędzy przedstawicielami naturalizmu, dalszym zaś tego wynikiem było wykołajenie się doktryny. We Francji szczególnie, postęp jej został powstrzymany, ub przerwany na czas pewien przez doktrynę „sztuki dla sztuki“.

Była to doktryna malarska i jako taka zupełnie słuszną, gdyż czegoż więcej można domagać się od malarza, prócz dobrego malowania. Ściśle biorąc, nie ma przecie żadnych „myśli“ w Madonnach Rafaela, ani w Madonnach Rembrandta, a niemniej przeto są to doskonałe arcydzieła, czyli dzieła, które w różny sposób, lecz w równej mierze czynią zadość wymaganiom sztuki malarskiej. Nie trudno zresztą wykazać, jak teoria „sztuki dla sztuki“ łączy się z naturalizmem. Skoro naśladownictwo natury uznane zostało nietylko za warunek i zasadę, lecz także za przedmiot i prawo sztuki, oczywistem jest, że sama dokładność tego naśladownictwa, a zatem jakoś sama wykonania danego dzieła, może służyć za miarę sądu o artyście i wyznaczyć

mu właściwe stanowisko wśród jego współzawodników. Z dwóch portretów zarówno podobnych, lepszy będzie ten, który lepiej jest malowany, a lepiej malowanym okaże się ten, który świadczy o większej biegłości w sztuce swego twórcy. Biegłość owa zaś staje się z kolei najpewniejszym środkiem osiągnięcia możliwie największego podobieństwa. Wynika stąd, że teoria „sztuki dla sztuki“ i teoria naturalizmu nie tylko nie są ze sobą sprzeczne, lecz owszem wspierają się nawzajem. Powiedziano więc oczywiście głupstwo, skoro utrzymywano, że te trzy wyrazy „sztuka dla sztuki“ pozbawione są zupełnie sensu, i ten, co to powiedział, lepiejby uczynił, wyciągając z nich dla siebie pożyteczną naukę, jaką zawierają. Są zresztą różne sposoby pojmowania teorii „sztuki dla sztuki“ i niewątpliwie nie ma ona tego samego znaczenia w literaturze, co w malarstwie np., o ile literatura jest czemś więcej, jak sztukę naśladowczą. Nie można jej wszakże potępić bez apelacji i wielka usługa, którą oddała nawet w literaturze 1850 i 1870 r. polega na tem, że wzbudziła w artystach poczucie potęgi i znaczenia formy.

Ujemna jej strona zasadzała się wszakże na tem, że, czyniąc ze sztuki pewien rodzaj „kapłaństwa“, zwracała ją znów ku romantyzmowi i przyznawała artyście prawo odjęte mu przez naturalizm, to jest prawo podporządkowywania świata zewnętrznego, pod własne swe pojęcie sztuki, a nawet pozwalala mu przybrać wobec publiczności, t. j. wobec „tłumu“, dumniejszą jeszcze postawę i zamknąć się w bardziej jeszcze niedostępnem odosobnieniu. Podczas bowiem, gdy romantycy domagali się tego uprzywilejowanego stanowiska, jedynie w imię swej uczuciowości osobistej, oraz niemożliwości, jak im się zdawało, wyjścia z siebie, rzecznicy „sztuki dla sztuki“ powoływali się na swoje teorie i na to, co w praktycznym ich zastosowaniu było najbardziej nieosobiste i najczęściej przedmiotowe. W konsekwencji swych dążeń zostali oni nadto doprowadzeni do wytworzenia czegoś w rodzaju sztuki kabalistycznej, której arkana stały się tylko dostępne dla wtajemniczonych. Różnica stopnia, którą romantycy — a przed nimi jeszcze klasycy — usta-

nowili między tłumem a wybranymi, ale dość licznymi jeszcze wybranymi, u wyznawców „sztuki dla sztuki“ zamieniła się na różnicę w naturze tych, których poczytywali za wybranych i których sami chcieli sobie przysposobić. Jeżeli raczyli niekiedy zstąpić ze swych wyżyn i, jak się mówi potocznie, zasięgnąć języka między ludźmi, to na to tylko, aby dać uczuć swoją pogardę olimpijską każdemu, kto interesował się czemś innym, prócz mieszania kolorów lub układania pięknych frazesów. Widziano ich nieraz szczycących się tem, że nie są rozumiani i znajdujących w oziębłym przyjęciu, jakiego ich dzieła doznawały, jeden powód więcej do trwania w swych błędach, lub w danym razie powiększania ich jeszcze. I ostatecznie w miarę, im bardziej zasadzali całą swą sztukę na zastosowaniu konwencyjonalnej i samowolnej retoryki — w miarę tego coraz bardziej stawali się obcymi życiu swej epoki. Nie można bowiem, bez wielkiego dla niej niebezpieczeństwa, odrywać sztuki od życia, — mam na myśli życie ogólne, codzienne, — a skoro się to czyni, ściąga się na nią nie tylko słuszny zarzut niemoralności, lecz nadto pozbawia się ją najżywotniejszych soków prawdziwego natchnienia.

Wspomnieliśmy wyraz niemoralność i przy tej sposobności, nie wdając się w trudną kwestję stosunku pomiędzy sztuką i moralnością, należy nam zaznaczyć jako wielki błąd wyznawców „sztuki dla sztuki“, dążność ich do oddzielenia sztuki od moralności, bardziej jeszcze stanowczego, aniżeli od życia. Powoływali się w tej mierze na przykład natury, która, jak mówili, nie troszczy się zgoła o moralność i którą zatem nie naśladujemy, lecz przekształcamy, skoro chcemy ją umoralniać. Zapominali jednak przytem, że jakkolwiek nie jesteśmy władcami natury, to jednak cała nasza godność ludzka polega na wyzwoleniu się z pod tyranii jej praw; nie można zatem przypuszczać, aby zadaniem sztuki miało być ponowne poddawanie nas tej tyranii. Ale i to jest równie pewnem, że żadna doktryna nie jest mniej uprawniona od naturalizmu do podobnych dążeń. Zważmy bowiem, jakaż to jest owa „natura“, która ma być naśladowana? Z pewnością nie jest to natura zewnętrzna.

Są malarze krajobrazów i niektórzy poeci mogą współzawodniczyć z nimi w kolorycie i rysunku, ale dla większej części pisarzy, dla autorów dramatycznych, dla powieściopisarzy, dla historyków, „natura“ to życie ludzkie; a cóż to jest życie ludzkie, jeśli nie podstawa, przedmiot i treść moralności? Odkąd żyją ludzie na ziemi wszelki stosunek między jakimikolwiek, choćby dwoma tylko, istotami ludzkimi musi się opierać na pewnej moralności. Nie możemy powziąć żadnego postanowienia, któreby w ten lub ów sposób nie było od niej zależne, a jeżeli trudno zgodzić się na to, „iżby moralność miała się zmieniać z każdym stopniem wzniesienia się ku biegunowi“, to z drugiej strony wszyscy wiemy, że nic tak nie daje poznać różnicy między poszczególnymi krajami i epokami, jak zastosowanie praw moralnych do życia codziennego. Chcieć zatem usuwać wszelką moralność z przedstawienia życia znaczy to przekształcać samowolnie model, który miał być wiernie odtworzony. Jest to ze wszechmiar godne pożałowania, że naturaliści francuscy w ogóle nie zrozumieli tej prawdy.

Przedstawiciele naturalizmu w innych literaturach współczesnych lepiej umieli ją zrozumieć i wskutek tego kierunek wielkich prądów literatury, od czasów romantyzmu angielskiego i niemieckiego, chwilowo pochwycony znów przez pisarzy francuskich między 1850 i 1870 r., raz jeszcze odjęty im został. Zagarnęli go Anglicy: romansopisarze jak Dickens, lub jak George Eliot, poeci, jak Elżbieta Browning, filozofowie i estetycy — Carlyle, Stuart Mill, i ten z nich, który, jakkolwiek zagranicą Anglii najmniej znany, największy pono wpływ wywarł na współczesną myśl angielską: John Ruskin, autor tytu pism o zagadkowych tytułach, jak „Fors clavigera“, „Aratra Pentelici“, których forma dziwaczna jakby wyzywająca, zawiera w sobie tyle znaczenia i tak jest suggestyjna. Kilka lat upływa i romans ruski, który dotąd nie przekroczył granic swej ojczyzny, z Tołstojem i Dostojewskim wtargnął tryumfalnie do literatury europejskiej. Zapewne i Iwan Turgeniew był rosyjskim romansopisarzem, ale nie wiem dlaczego, skoro osiadł między nami na Zachodzie, wydał się nam pisarzem

francuskim. A jednak było to mniemanie zupełnie nie słusznie; pozostał on bowiem zawsze synem swego narodu. Ale fortuna ma swe kaprysy i jakkolwiek rosyanie przekładają może Turgeniewa nad Tołstoja, a Gogola i Puszkina nad obu tych pisarzy, nie mniej przeto pewną jest rzeczą, że przez Tołstoja głównie i Dostojewskiego, dusza słowiańska weszła w styczność z literaturą europejską. Toż samo można powiedzieć „o duszy skandynawskiej“. W „Upiorach“, „Dzikiej kacze“ i w innych utworach Henryka Ibsena objawiła się ona Europie. Dzięki tym północnym pisarzom, a osobliwie ostatniemu z nich, zdaje się, że na razie literatura została wyzwolona z więzów teorii „sztuki dla sztuki“; a także z tego, co stanowiło najujemniejszą stronę naturalizmu, to jest z jego niewzruszonej obojętności na moralne zadanie życia.

Jakkolwiek różne bardzo są natchnienia Tołstoja i Ruskina, nie mniej przeto dzieła ich zawierają pewne wspólne i to najbardziej zasadnicze rysy. Nie służą one same sobie za cel. Sądzę, że ich autorowie przy pisaniu najmniej o tem myśleli, aby dobrze pisać, ale mieli raczej zamiar i chęć dobrego myślenia, a przedewszystkiem dobrego oddziaływania na umysły. Cel ich był głównie społeczny i wszyscy oni zarazem, Skandynawi, Rosyanie i Anglicy, chcieli nie tylko tworzyć dzieła artystyczne, lecz przedewszystkiem dzieła czysto ludzkie, dzieła pożyteczne, moralne, dążące do „udoskonalenia życia społecznego“. Treścią jednego z najpopularniejszych poematów Elżbiety Browning jest jej odezwa ujmująca się za dziećmi pracującymi w fabrykach, a jeden z dramatów Ibsena ma na celu przeciwdziałanie alkoholizmowi. Co prawda, jeśli w podobnych sprawach niepodobna nigdy za wiele okazać gorliwości, to doskonale obejść się można przytem bez wyższego talentu. Nigdy „Ifigenia w Aulis bogom poświęcona“ nie wzbudziła tyle łez, co „Chata wuja Toma“, a jednak czy romans Henryetty Beecher-Stove jest naprawdę romansem i czy wogóle może być zaliczony do literatury? Jest to jeszcze pytanie. Jeśli naturaliści francuscy błędzili przez wykluczenie zupełnie moralności ze swoich obrazów życia, natomiast na-

turaliści angielscy, rosyjscy, skandynawscy często mieszały pojęcie sztuki z pojęciem użyteczności. Prawda, że użyteczność i piękno nie koniecznie są sobie przeciwne, podobnie jak sztuka dekoracyjna i stosowana do przemysłu nie koniecznie jest przeciwieństwem tak zwanej „wielkiej sztuki“. Ale trzeba unikać pomieszania tych pojęć, a przedewszystkiem nie należy sądzić, że dane dzieło przez to jest moralne, że jest piękne lub też, że przez to jest piękne, że jest moralne.

Czy wolno nam będzie powiedzieć, że z tych dwóch błędów drugi niewątpliwie mniej jest niebezpieczny? Wiadomo, że po długich wahaniach Hipolit Taine do takiego wreszcie doszedł wniosku. Stopień dobroczynnego charakteru, jaki się objawia w danym dziele, stał się dlań miarą sądu, czyli, jak mówią, kryterium wartości tegoż dzieła. Jeżeli przypominamy tu tę opinię Taina, to nie dlatego, abyśmy ją całkiem podzielali, lecz dlatego, aby w tym przykładzie znaleźć wymowną ilustrację owego ruchu, który powyżej określiliśmy. Powróćmy za chwilę do tej sprawy, skoro nakreślimy choć w ogólnych zarysach poglądy nasz na przeobrażenie „gatunków i rodzajów“ literackich, będących wynikiem tegoż ruchu.

* * *

Być może, zadziwi to niejednego, jeśli powiem, że wśród owych przeobrażeń jednym z najbardziej znaczących, a zarazem najgodniejszych pożałowania, jest to, któremu uległ rodzaj dramatyczny. Z pozorów sądząc, żaden inny rodzaj nie był w ubiegłym wieku i nie jest do dziś dnia płodniejszy. Szczególnie literatura francuska szczyła się w tym wieku nieprzerwanym rozwojem swej twórczości dramatycznej.

Wodewile i melodramaty francuskie bawiły w swoim czasie publiczność europejską od Londynu do Petersburga; cudzoziemcy dla wprawy w rozmowie uczyli się zazwyczaj języka francuskiego ze sztuk Scribego i Labiche'a. Zresztą, jakże liczni są ci paryżanie, którzy z literatury francuskiej

znają tylko romans felietonowy i sztuki grywane co wieczór w dwudziestu teatrach paryskich. Cały tłum ludzi, w którym aktorzy różnego stopnia mniejszą tylko część stanowią, — maszyniści, dekoratorzy, krawcy, kasyerzy, woźni, figuranci, sceniczni — żyje tylko z teatru, dla teatru i przez teatr. Żaden przemysł literacki nie przynosi, przy największem nawet powodzeniu, tak znacznych, jak literatura dramatyczna, dochodów. Nigdzie nie osiąga się tak prędkiego i tak łatwego rozgłosu i tak wielkiej popularności, jak w teatrze. Nawet dziennik nie jest tak potrzebny, tak nieodzowny, dla tłumu współczesnych ludzi, jak operetka. Ale pomimo tego wszystkiego, śmiało można powiedzieć, że literatura dramatyczna nic nie wytworzyła za naszych czasów, coby mogło choćby zdaleka być porównane z nieśmiertelnymi dziełami Racina, Moliere'a, Corneille'a, Calderona, Lope de Vega, Szekspira, lub cofając się aż do starożytności Sofoklesa i Eschilosa. Niestety, gdzie są choćby „Zaire“ lub „Cyruk sewilski?“ Czyż dramaty Schillera przewyższają o wiele drugorzędne tragedye francuskie? A dramaty Byrona czyż są prawdziwymi dramatami? Jeśli Włosi widzą w Alfierim twórcę swej tragedyi narodowej, to czyż naprawdę istnieje tragedia włoska? Cóż pozostało z „Carmagnoli“ Manzoni, prócz listu o trzech jednościach i krótko mówiąc, tak we Francyi, jak w Anglii i w Niemczech romantyzm i naturalizm czyż zdobyły się na wytworzenie dzieła teatralnego, które nie byłoby w mniejszym lub w większym stopniu mieszaniną dramatu szekspirowskiego lub tragedyi klasycznej?

Jakież dzieła pozostaną? Kilka dramatów Schillera, jego „Marya Stuart“ lub „Wilhelm Tell“? „Faust“ Goethe'go? „Marino Faliero“, Byron'a? „Hernani“ i „Ruy-Blas“ Wiktora Hugo? ¹⁾ — przyszłość to pokaże. Miałbym prawie więcej zaufania w trwałości sztuk teatralnych, w których Musset,

¹⁾ Czy w pośród tych utworów nie należałoby wymienić, jeśli nie inne komedye Fredry, to przynajmniej jego „Śluby panieńskie“, które ze względu na swą szczerą poezję i wysoki artyzm mają niejako prawo do trwałego znaczenia i to nietylko w polskiej literaturze. (Przyp. tłóm.).

czierpiąc zarazem natchnienie ze „Snu nocy letniej“ i z „Gry miłości i przypadku“, pomieszał, jeśli nie na zawsze stopił szczęśliwie, coś z wymanierowanej psychologii Mariveaux i z poetyckiego kaprysu Szekspira: „Andrea del Sarto“, „Nie igra się z miłością“, „Fantazio“, „Kaprysy Marianny“. Zresztą pozostaną na zawsze znakomitości miejscowe lub narodowe i we wszystkich historyach literatury znajdzie się zawsze rozdział poświęcony teatrowi. W literaturze francuskiej zachowają właściwe swe stanowiska w różnym stopniu znaczenia i zasługi: Eugeniusz Scribe i Dumas ojciec, Wiktor Hugo, Franciszek Ponsard i Emil Augier, Dumas syn i Wiktor Sardou, Henryk Meilhac i Ludwik Halévy i być może Eugeniusz Labiche oraz autor „Córki Rolanda“. Zresztą ani Anglicy ze swoim Bulwerem Douglasem, Jerrodem, ani Włosi ze swoim Manzoniem, ze swym Fabbrim, Niccolinim, Gherardim della Testa i Piotrem Cossa, nie mogą współzawodniczyć na polu literatury dramatycznej z Francją pod względem rozmiarów popularności, a nawet znaczenia literackiego jej produkcji na tem polu. Prędzej już Niemcy ze swym Zacharyaszem Wernerem, Kotzebuem, Henrykiem Kleistem, Grillparzerem, Fryderykiem Hebbem, a w ostatnich czasach z Gerardem Hauptmanem, lecz nadewszystko z Henrykiem Ibsenem, do którego Niemcy mają niejakię prawo i z Ryszardem Wagnerem, którego należałoby już obecnie uważać nietylko za muzyka, lecz za autora dramatycznego. Wszakże Wagner w swym „Trystanie“ i w swym „Parsifalu“ dał nam to, co tetar XIX-go wytworzył najoryginalniejszego, możnaby nawet powiedzieć „jedynie“ oryginalnego i wywarł wpływ przemożny tak na ogólny ruch idei współczesnych, jakoteż i na całą twórczość artystyczną, a osobliwie na twórczość muzyczną ¹⁾.

¹⁾ Wielkość Wagnera w poezji polega głównie, jeśli nie wyłącznie, na podniesieniu w niej do najwyższej potęgi tak zapoznanego tu przez autora pierwiastku ludowego. W sposobie pojmowania go i odczucia genialny poeta-muzyk zgadza się uderzająco, a oczywiście zupełnie bezwiednie z Mickiewiczem.

(Przyp. tłóm.).

Nietrudno jest wyjaśnić zaznaczone powyżej objawy pewnego upadku i poniżenia rodzaju, któremu przeznaczono może wydać najwyższe arcydzieła twórczości ludzkiej, ale który z natury swej — i to jest jego słabą stroną — nie ma w sobie nic koniecznie literackiego.

Oda, elegia, romans, studium w rodzaju Carlyle'a, Taina, Emersona, lub Macaulay'a są i będą niczem, jeżeli nie mają wartości literackiej, ale wodewil albo melodramat mogą się zupełnie bez niej obejść. Teatr Scribego i obu Dumasów wymownym jest tego dowodem. „Wieża de Nesle“, „Cudzoziemka“ nie mają wartości literackiej, „Hernani“ i „Burgrafowie“ posiadają ją w wysokim stopniu, ale pozbawione są wartości teatralnej. Z drugiej strony, o ile ideał romantyczny polega głównie na wyrażeniu się własnego *ja* poety, o tyle rodzaj literatury, będący jego objawem, najmniej odpowiada wymaganiom sztuki dramatycznej. Nie będziemy przecież przesiadywali od czterech do pięciu godzin w teatrze, aby przysłuchiwać się, jak autor z przerwami między-aktowemi, na tle dekoracyi i sceneryi, opowiada nam niedyskretnie o swoich sprawach osobistych. Zresztą jeśli są formy narzucające się poniekąd uczuciowości osobistej pisarza, są też inne formy niejako nakazane przez wierność obserwacyi i oto dlaczego naturalizm chybiał zawsze w swych próbach teatralnych. Aby w tym kierunku osiągnąć powodzenie, musiałby cofnąć się do czasów Moliera lub Szekspira, a ze stanowiska wymagań teatru byłby to powrót do dzieciństwa sztuki. Nadto zauważyć należy, że między wynikami krytyki i historyi powszechnej, żaden nie jest pewniejszy od tego, który uznając słabość ludzkiej natury *propter egestatem naturae*. Stwierdza zarazem, że wszystkie rodzaje twórczości nie mogą się od razu w całej pełni rozwinąć i podobnie jak w przyrodzie, im bliżej ze sobą sąsiadują, tem silniej współzawodniczą między sobą i szkodzą sobie nawzajem. Nadmierny rozrost romansu za naszych czasów, powstrzymał i stłumił rozkwit literatury dramatycznej.

Inny jeszcze rodzaj skorzystał z tego upadku rodzaju dramatycznego, mianowicie liryka. Można zaprawdę po-

wiedzieć, że nigdy w świecie, ani nawet za czasów Pindara i Symonidesa, nie słyszano w poezji piękniejszych odgłosów miłości, cierpienia, rozpacz, dumy, zapалу lub gniewu i nigdy aż do naszych dni nie wiadano, jak wiele różnorodnych uczuć obudzić może w sercach jeden głos ludzki. Był to zapewne skutek wyzwolenia się jaźni poetyckiej. Należy bowiem dobrze o tem pamiętać, że liryzm nie polega tylko na świetności fantazyi, żywym uczuciu i prawdzie obrazowania, gdyż wszystkie te przymioty mogą się ujawnić i w innych rodzajach twórczości jak np. w eposie lub w wymowie publicznej, ale liryzm to poezya osobista, to objaw uczuciowości poety, to wyrażenie przez słowo, przez akcent tego, co jest najbardziej wewnętrzne i najgłębiej ukryte w duszy poetyckiej. W przeciągu dwóch set lat przeszło ta uczuciowość tłumiona była w swych objawach, aż przyszedł romantyzm, wyzwolił ją i otworzył jej drzwi na oścież. Wtedy ujrzano ją wybuchającą i rozlewającą się na wszystkie strony, we wszystkich krajach Europy, we Francyi, w Anglii; we Włoszech, w Niemczech, i tam, gdzie radość wyzwolenia połączyła się z gniewem na długotrwały ucisk, tam właśnie, przez naturalne konsekwencje, zdobyła się ona na najznamienitsze swe arcydzieła: „Don Juan“ Byrona np., lub „Alastor“ Shelley'a¹⁾.

Sztuka opisowości klasycznej, albo, lepiej mówiąc, właściwy sposób odczuwania natury i historii odnowione zostały przedewszystkiem w duchu tego wyzwolenia przez lakistów angielskich, do liczby których należy też zaliczyć ich poprzedników, jak Crabbe, Coupera, Burnsa. Jakoż istotnie, jeżeli, jak rzekliśmy wyżej, istotą liryzmu jest indywidualizm, to czyż nie w Anglii najprzód on się odrodził? Twórca „Wycieczki“ Wordsworth i twórca „Don Jua-

¹⁾ Ponad te i ponad wszelkie wogóle wytwory liryki nowożytnej wznoszą się niewątpliwie najwyższe wzloty liryczne Mickiewicza, a osobliwie „Improwizacya“ z III części „Dziadów“, uznana zresztą nie tylko przez polskich, ale też przez niektórych zagranicznych krytyków (np. przez Jerzego Sanda i przez Jana Scherra) za jeden z najwynioślejszych szczytów poezyi wszechświatowej.

na“ Byron, podobni są do siebie tylko w tym jednym punkcie, ale są podobni! Nie wiele ich obchodzi przedmiot ich poematów, opowiadają oni nam tylko, lub wypowiadają swoje wrażenia. Fabuła i intryga, historia i natura służą im do mówienia o sobie samych i choć mówią bardzo rozmaicie, ale zawsze o sobie. Czyż nie to samo widzimy u Coleridge'a, u Shelley'a, u Southey'a, u Moore'a. Podobnie przemawiają we Francyi Lamartine i Hugo w „Medytacyach“, w „Odach“ i „Baladach“, „Poezyach wschodnich“ (*Orientalles*), w „Liściach jesiennych“. Tak samo w Niemczech, Körner, Rückert; we Włoszech Ugo Foscolo, Manzoni i Leopardi, u których jednakowoż liryka osobista przeniknięta była tonami patryotyzmu. Można powiedzieć nie dla samej tylko gry słów, że wspólnym charakterem owych liryków romantyzmu, była dążność do tego, aby nie mieć żadnego wspólnego charakteru. Każdy z nich ma właściwy sposób odczuwania przyrody i historii, odbierania od nich wrażeń i każdy z nich odrębnym sposobem kojarzy i układa te wrażenia, aby je wyrazić w wierszach, przystosowanych do właściwego mu rytmu wewnętrznego. Zresztą różne bardzo otrzymali oni wychowanie i różne przechodzili koleje życia. Ciężkie one były dla Leopardiego i ciężkie, choć w odmienny sposób, dla Shelley'a; o wiele lżejsze dla Lamartina i Byrona. Poeci owi chwyтали różne strony przyrody i ludzkości i jako pisarze są oni bardzo nierówni między sobą, a nadewszystko bardzo różni. I tak np. nigdzie nie napotykamy większego przeciwieństwa, jak między płynnością naturalną Lamartine'a i metaliczną twardością Wiktora Hugo. Nawet retoryka ich nie z tej samej pochodzi szkoły. „Medytacje“ wywodzą się od Parny'ego i Chenedolle'go; „Ody“ i „Balady“ od Jana Chrzciciela Rousseau i Lebrun'a. Ale poezya tych wszystkich poetów zawsze i na wskroś była podmiotowa i osobista. Jest ona taką z natury i z umysłu. Jakikolwiek przedmiot odtwarzają oni w swych wierszach, nie troszczą się wiele o wierne odtworzenie go, lecz wyrażają tylko uczucia, które on w nich wzbudza. Toż samo powiedzieć można o romantykach niemieckich, jak Novalis

lub Brentano, którzy wszelako podobnie jak w Anglii, autor „Lalla-Rookh“ i we Francyi autor „Eloi“, oznaczają niejako czas i przygotowują przeobrażenie nowej liryki.

Między r. 1830 i 1840 poezya liryczna zasypana zostaje „wyznaniami“ we wszystkich językach, nie tylko wierszami lecz i prozą; kilka z nich tylko, jak wyznania Leopardiego, Alfreda Musseta i Heinego, do dziś dnia mogą wzbudzać zajęcie. Szczególna ich właściwość polega na tem, że są bezpośrednie, t. j. że się obywają bez pośrednictwa osobistości fikcyjnych, jak „Childe Harold“ Byrona lub „Olimpio“ Wiktora Hugo. Zawierają one uczucie w stanie, że tak powiem czystym, ukazują serce ludzkie otwarte i obnażone przed naszymi oczyma. Dawniejsi poeci, jak Byron i Hugo, po części kryli się ze swymi słabościami; jakaś wstydlivość powstrzymywała ich od zupełnych wyznań. Ich następcy oddają się nam całkowicie, ukazują nam wszystkie swoje cierpienia, mają jakby upodobanie w drażnieniu ich nieustannem. A ponieważ cierpieniem pierwszego z nich, Leopardiego, jest przyroda, drugiego, Musseta, miłość a trzeciego, Heinego, zwątpienie, wynika więc stąd, że wiersze ich zawierające w sobie odbicie powszechnych i wiecznych cierpień ludzkich, pozostaną na zawsze najbardziej przejmującym wyrażeniem, jakie kiedykolwiek spotykamy w języku niemieckim co do niemocy wiary, we francuskim zniechęcenia w miłości, we włoskim odrazy do życia. Jest to liryka nastrojona na ton tak ostry, że przy cokolwiek większem napięciu mogłaby się już wydać szaleństwem. Jej jęki, jej łkania sprykrzyły się prędko tym, których wzruszyć nie zdołały, ci zaś, którzy głęboko je odczuwali, nie mogli przez czas dłuższy znosić zbudzonych przez nie gwałtownych wstrząśnień. Do tego stopnia osobisty objaw uczuciowości poety, będący już dla niego samego źródłem cierpienia, stać się może łatwo dla czytelnika trudniejszym do zniesienia. Domaga on się wtedy innych pieśni odmiennego charakteru, ogólniejszej treści, która zresztą może być z całą swobodą urozmaicana. Wymaganiom tym staje się wkrótce zadość: około r. 1860

liryka przybiera znów charakter epicki, symboliczny i filozoficzny.

Sprawcami tego przeobrażenia są: Elżbieta Browning, Robert Browning i Tennyson w Anglii; Alfred de Vigny, Leconte de Lisle z zastępem parnaisistów, Wiktor Hugo z epoki „Legendy Wieków“, poniekąd Teofil Gautier, a wreszcie Karol Baudelaire we Francyi. Zbliżeni są do nich prerafaeliści angielscy, choć między nimi więcej było malarzy, niż poetów, nadto możemy tu raz jeszcze wymienić Ryszarda Wagnera, którego twórczość tak doniosłe w poezyi pozostawiła ślady. Zapewne są to bardzo różne talenty i dzieła ich rozmaite w nas budzą wrażenia. Cóż wspólnego może być między „Kwiatami Zła“ i „Idyllą królewską?“ między takim zepsuciem i taką podniosłą szlachetnością. A jednak przyjrzyjmy się bliżej; porównajmy uważnie jaki dramat Wagnera z poematem Leconte de Lisle lub z obrazem Burne Jones'a, lub Almy Tademy. Czyż nie ma między nimi pewnej wspólności, tej mianowicie, że wszystkie one poczęły się w natchnieniu zaczerpniętem od przedmiotów zewnętrznych, zazwyczaj przedmiotów wziętych z przeszłości, z historii, a osobliwie z legendy i z mytu głównych źródeł wszelkiej poezyi. Czyż osnowa „Idylli królewskiej“ nie przypomina „Tristana“ i „Isoldy?“ czyż nie odnajdujemy „Złota Renu“ w „Legendzie wieków?“ Wspólnym rysem tych poetów jest dążność do prawdy, a wszyscy oni są przekonani, że ta prawda niezależna jest od ich wrażeń osobistych.

Formy, barwy, dźwięki odpowiadają sobie, jak mówi Wiktor Hugo. Poeta jest tylko echem tych dźwięków, zwierciadłem tych barw, spostrzegaczem tych form i zadaniem jego głównem — „odpowiedniość“ ową ukazać. Stąd wynika szacunek wygórowany, można powiedzieć przesądny dla formy i stylu. Wyrazy stają się jakby drogimi kamieniami, z których układane są świetne mozaiki poetyckie. Niektórzy z owych poetów czcilieli formy pod tajemnicą słów usiłowali odnaleźć tajemnice rzeczy, a stąd zrodził się symbolizm. Byłoby zapewne przesadą dopatrywać się w „Złocie Renu“ lub w „Legendzie wieków“, ja-

kiegoś ukrytego znaczenia, ale z pewnością jest w nich coś więcej, niż to za pierwszym wrażeniem wydawać się może. Jakaś myśl filozoficzna, jakaś dążność społeczna ukrywa się tu pod formą plastyczną. Warunki poezji uległy zmianie. Utwory kilku epigonów, jak np. owego Verlaina, z powodu którego tyle narobiono wrzawy, są to konwulsje konającego romantyzmu. Niedosć teraz czuć tylko; od poety wymagamy, aby „wiedział“, „spozstrzegał“ i „myślał“. Wymaga się nadto, aby jakąkolwiek drogą ale wyraźnie i koniecznie powrócił do życia zbiorowego, I chociaż wielkie zachodzą różnice pomiędzy szkołami narodowymi i miejscowymi jednoczą się one coraz bardziej w pojęciu liryzmu i samej nawet poezji. Liryzm jest odbiciem świata w zwierciadle duszy poetyckiej, poezya w ogóle jest sztuką wyrażenia w świetle osobistem poety, tajemnicy, tkwiącej we wszechświecie, w człowieku i w historii.

Rozwój dziejopisarstwa i krytyki nie wiele się różnił *mutatis mutandis* od nakreślonego wyżej rozwoju poezji lirycznej. Twierdzenie to może zrazu zadziwić, ale dość zastanowić się chwilę, aby zrozumieć tę równoległość. Czyż za czasów klasycyzmu nie te same przyczyny krępowały swobodę historyka i poety? a co za tem idzie zaciemniały i wynaturzały samo pojęcie sztuki jednego i drugiego? Wielkie wydarzenia historyczne, pożytywane były za jedynie godne sceny tragicznej i nawzajem te tylko wydarzenia uznane zostały za godne uwagi historyka, które mogły dostarczyć przedmiotu tragedji. Od poety wymagano przede wszystkim, aby nigdy nie występował osobiście w swym dziele, od historyka, aby w swem opowiadaniu ukazywał zawsze człowieka powszechnego. Ani jednemu ani drugiemu nie było wolno zatrzymywać się na szczegółach; obaj powinni zawsze streszczać, a dla streszczenia wybierać, wybierając zaś uogólniać abstrakcyjnie. Jest więc naturalnem, że wyzwolenie historii nastąpiło współcześnie z wyzwoleniem liryki, i oba te objawy dokonały się w naszym wieku. Nie wypadkowo tylko mówiono o Carlyleu w Anglii i o Michelecie we Francji, że byli poetami w prozie. Podobnie możnaby też zbliżyć dążności

poetyckie Leconte de Lisle w jego poematach barbarzyńskich i dążności naukowe Ernesta Renana, w jego pierwszych pismach, jak studia nad historją religii i dzieje porównawcze języków semickich. Jeszcze więcej jest pokrewieństwa pomiędzy Robertem Browningem i Johnem Ruskinem. A cóżbyśmy powiedzieli o tylu Niemcach i Włochach, u których liryka i historia, często uzupełniały się nawzajem, gdy liryka była tylko środkiem podniecenia uczuć patriotycznych, a historia sposobnością do rozwijania zasad, mogących służyć im za podstawę.

Nie jest tu naszym zadaniem charakteryzować postęp sztuki dziejopisarskiej w XIX-ym wieku, ogólnie tylko, z punktu widzenia literackiego, zaznaczyć nam należy główne fazy jej rozwoju. Widzimy jak z monotonnej i nudnej opowieści o bitwach, działaniach politycznych i t. p., historia stała się stopniowo sztuką, stawiającą sobie za zadanie żywe i wierne odtworzenie ducha i fizjonomii różnych epok dziejowych. Jednocześnie dzięki głębiej zrozumianej w naszym wieku jedności rodzaju ludzkiego, historycy jak Grote, w swoich pomnikowych „Dziejach“, Momsen w swoich „Dziejach Rzymu“ wreszcie Renan w „Dziejach hebrajczyków“ niespodzianem światłem, poczerpniętem ze stosunków życia współczesnego, oświecili czasy zamierzchłej przeszłości. Z drugiej strony historia powszechna, dzięki postępowi wiedzy, została wzbogacona znacznie przez badanie poszczególnych kierunków i objawów rozwoju cywilizacyjnego, języków instytucyj społecznych, obyczajów, literatury i sztuki i dzięki temu stała się żywym obrazem zdobyczy i strat ducha ludzkiego, postępu lub cofania się kultury.

Duszą historii w wieku ubiegłym stała się krytyka, tu więc miejsce rozważyć stopniowy jej postęp. Poczęła się ona w pismach Laharpa, Józefa Chenier'a Nepomucena Lemercier'a, a także w historii literatury włoskiej przez Ginguené'a jako wyłącznie literacka. Chateaubriand, pani de Staël, Benjamin Constant, Sismondi, Fauriel, Scheglowie, August-Wilhelm i Fryderyk posunęli ją znacznie naprzód, nadając jej charakter porównawczy, historyczny zamiast

miejscowego i narodowego, oraz wyjaśniający egzegetyczny zamiast gramatycznego, dogmatycznego i rezonującego. Do tego rozwoju krytyki przyczyniły się także świeżo powstałe czasopisma literackie „Edinburgh Review“ i „Quarterly Review“ w Anglii, a wkrótce potem „Revue de Deux Mondes“ we Francji. Ta nowa krytyka, przed osądzeniem pisarza, starała się przedewszystkiem zrozumieć go jak najdokładniej i oceniała go nie tylko ze względu na styl, lecz także na idee przezeń wygłoszone, idee literackie, filozoficzne, a nadewszystko i głównie polityczne. Przewaga tego ostatniego względu stanowiła nawet ujemną stronę krytyki z pierwszej połowy naszego wieku. Jednostronność stąd wynikającą widzimy np. w wykładach Villemain'a o literaturze francuskiej XVIII-go wieku. Znać w nich retora, ale retora przejętego namiętnościami politycznymi i pragnącego zostać ministrem; literatura w tych wykładach zajmuje mniej a przynajmniej nie więcej miejsca, aniżeli polityka. Toż samo można powiedzieć „o krytykach Globe'a“. Jakiekolwiek wyznają oni zasady, klasyczne czy romantyczne, literatura jest zawsze dla nich środkiem politycznym, w Szekspirze widzą oni głównie współobywatela Pitt'a, Fox'a, Sheridan'a, Burke'go, Canninga i Castlereagh'a. „Studia“ Macaulay'a są arcydziełami w tym samym rodzaju. O jakimkolwiek mówi on przedmiocie, o Dantem, czy o Machiavel'u, o Fryderyku II, czy o Mirabeau, o Drydenie czy o Samuelu Johnsonie, przedewszystkiem dba o to, jakie zastosowania dadzą się stąd wyciągnąć dla interesów wigów lub toryssów. Gdyby ta wada nie była okupiona wielkimi zaletami, między które najważniejsze są: upodobanie w ścisłości, szeroki zakrój wyobraźni i właściwa mu, jako prawemu Anglikowi, dążność moralna, nie różnił by się on od Villemain'a. Niebawem romantycy w Anglii, we Francji i w Niemczech wzięli rozbrat z tym rodzajem krytyki i wyzwalając się z pod władzy wszelkiej powagi, ugruntowali krytykę wyłącznie subiektywną i impresjonistyczną, będącą jakby streszczeniem wrażeń, pozostałych po czytaniu danego utworu. Pierwsza maniera Sainte-Beuve'a, a z czasów „Portretów literackich“ i „Portretów współczesnych“

służyć tu może za najlepszy wzór tej krytyki, a studia Karola Lamba za przykład przesady w tym kierunku. Żaden pisarz, powiedziano o nim słusznie, nie był bardziej pozabawionym zmysłu krytycznego; ma on sympatyje i antypatyje, książki są jego przyjaciółmi, albo jego wrogami. Taki sposób pojmowania krytyki, zupełnie jest sprzeczny z obecnem naszym jej pojęciem ale tak pojmowano ją za czasów romantyzmu. Romantycy w krytyce mieli tylko sympatyje i antypatyje. Książki i ludzie byli ich przyjaciółmi, lub nieprzyjaciółmi i z takiego stanowiska zapatrywano się na pisarzy i na ich dzieła, bez troski o sprawiedliwość lub bezstronność.

Ten sposób rozumienia, a właściwie wynaturzenia krytyki, nie mógł trwać dłużej, jak przez czas jednej wojny literackiej, wojny klasyków z romantykami, po jej ukończeniu ustąpił miejsca nowemu sposobowi, znajdującemu najzupełniejsze zastosowanie w „Port Royal“ Sainte-Beuve'a. A cóż jest nowego w tym piśmie? To, że dzieła literatury i prądy myśli są w niem rozpatrywane nie same w sobie i nie same dla siebie, nie dla przyjemności osobistej, ani dla nauki, którą z nich można wyciągnąć, lecz jako „dokumenty“, mające nam okazać, jak rozlicznymi cechami swemi pewien człowiek może się różnić od innych ludzi, a szczególnie od tych, którzy do niego najbardziej są podobni. Przedmiotem krytyki ma być charakterystyka indywidualności, albo, posługując się wyrażeniem samego krytyka, zarys „historii naturalnej umysłów“. Takie samo zadanie podjął Tomasz Carlyle w swoich „Studiach“, a osobliwie w swoich słynnych odczytach o „Kulcie bohaterów“. Cała różnica w treści, — gdyż pod względem formy nie jest bardziej różnem od apokaliptycznej manieri Carlyle, jak uczona, często podstępna a zawsze wymuszona maniera Sainte Beuve'a — polega na tem, że Carlyle bardziej uogólnia i zajmuje się tylko indywidualnościami, które dość dowolnie poczytuje za typowe. Ale pozostawmy w granicach historii naturalnej, ponieważ sądzono nam nie wykraczać po za jej obręb. Owóż z tego stanowiska można powiedzieć, że Sainte-Beuve bada indywidua same

w sobie, Carlyle widzi w nich przedstawicieli rodzaju albo gatunku. Emerson czyni krok naprzód. Wielcy ludzie, których wybiera za swych bohaterów, są to ludzie, przechodzący miarę ogólną, ale przechodzący w tym właśnie, że ją urzeczywistniają zupełnie i wszechstronnie od ogółu. Są oni w rzeczywistości tem, czem zwykli ludzie, są tylko potencjalnie wyżsi, możnaby też powiedzieć, że bohaterowie Emersona, są to typy, wznoszące się ponad rodzajami i gatunkami. Tak to między 1830 i 1850 rokiem, krytyka romantyczna, pod wieloma jeszcze względami podmiotowa i impresyonistyczna, uprzedmiotawia się i w tym stopniu swego rozwoju spotyka się z ideami heglowskimi, które bądź to sam Hegel wyraził w swej „Estetyce“, bądź też rozwinięli jego uczniowie a osobliwie Karol Rosenkranz. Z tego spotkania nowe wynika przeobrażenie.

Głównymi jego sprawcami stali się trzej pisarze francuscy: Ernest Renan, Hipolit Taine i Edmund Scherer. Temu ostatniemu zawdzięczamy znakomite studyum o Heglu i hegelianizmie. Dwaj pierwsi są to wielcy artyści, pierwszorzędni styliści prozy francuskiej w XIX-ym wieku. Renan bardziej pociągający, można by powiedzieć bardziej platoński, Taine potężniejszy i barwniejszy. Wspólnem dziełem tych trzech pisarzy, które im się w znacznej mierze przynajmniej udało, jest wyzwolenie spraw literatury z pod przewagi zmiennych sądów indywidualnych i ugruntowanie w tym celu estetyki na wynikach filologii i egzegezy, fizjologii i historii naturalnej, etnografii i psychologii porównawczej. Ich arcydziełami w tym kierunku są: „Historja powszechna języków semickich“ i „Studia nad historją religijną“ Renana, oraz „Historja literatury angielskiej“ i „Filozofia sztuki“ Taine'a. W tej ostatniej pracy widzimy jasno, jakim sposobem od rozważania indywiduum i człowieka typowego krytyka zwróciwszy się do klasyfikowania w historii indywiduów typowych, poczęła dochodzić czego oni byli typowymi przedstawicielami, i wywnioskowała, że wyobrażali typowo wszelkie wpływy, jakie oddziaływały na nich i na współczesny im ogół, a przyjmując te wpływy (zredukowane do trzech zasadniczych

czynników: rasy, otoczenia i chwili) zmniejszała o tyle indywidualność wielkich ludzi i dochodziła w końcu do uznania w geniuszu i w talencie, wytworów jak np. „witriol lub cukier“ t. j. zjawisk złożonych, które nauka powinna poddać rozbiorowi i rozłożyć na ich pierwiastki. Oczywiście można by wiele nadmienić przeciw takiemu pojęciu krytyki, nie będziemy się nad tem rozwodzili, zaznaczamy tylko, że pomimo wszystkiego nie można tej metodzie zaprzeczyć wielkich zalet, którym Taine i Renan zawdzięczają liczne swe powodzenia pisarskie. W każdym razie znalazła ona szerokie zastosowanie, „Historja literatury włoskiej“ Franciszka de Sanctis i „Główne prądy literatury europejskiej w XIX-ym wieku“ Jerzego Brandesa, najwymowniej o tem świadczą. Wszelako od niedawna powaga tych krytyków zdaje się upadać, dążeniom ich do wytworzenia krytyki na zasadach czysto naukowych przeciwstawia się, niezależnie od wszelkich zarzutów, jakie jej można uczynić, z jednej strony pewien rodzaj dyletantyzmu, będący co prawda nie czem innym, jak zwykłym sceptycyzmem, a z drugiej strony pewien rodzaj krytyki społecznej lub socjologicznej, osiągającej z każdym dniem przewagę nad ową krytyką naukową, obojętną na znaczenie moralne dzieł literatury i sztuki. Książki wywierają pewne działania, wywołują pewne skutki, obrazy także mieć je mogą. Taine zrozumiał to i uznał pod koniec dni swoich, ale wyżej już rzekliśmy, jeśli to przeobrażenie dokona się zupełnie, związane ono będzie z imieniem Johna Ruskina.

Powiedziano o naturalizmie, że był on w pewnym względzie zastosowaniem krytyki do rodzajów literatury, mających do naszych czasów wyłączne swe źródło w wyobraźni. Jest to określenie widocznie zbyt ciasne, daje bowiem nam poznać jedną tylko stronę naturalizmu. Ale jest to strona najbardziej pono charakterystyczna, a do żadnego rodzaju ta formuła nie daje się zastosować, jak do romansu. Wiadomo, że nie wiele jest romansów klasycznych, i wyłączwszy romanse Rabelais'ego i Cervantesa, które właściwie są epopejami, można by tylko przytoczyć romanse 16-trojskie Hiszpanów, znajdujące ujście w „Gil-

Blasie“ Lesage'a i romans angielski XVIII-ego wieku, wyobrażony przez Daniela de Foë, przez Richardsona, a szczególnie przez Fieldinga. Można by tu jeszcze dodać „Manon Lescaut“ Prévosta, „Heloiza“ bowiem nie należy tu wcale i nie wiedzieć do jakiego działu by ją zaliczyć. Z wyjątkiem tych nielicznych płodów powieściowych we Francji a nawet w Anglii, wszystkie wybitniejsze utwory literackie należały do rodzaju dramatycznego. Teatr przyciągał wówczas najznakomitsze talenty twórcze. W naszym wieku wszakże ujrzelśmy, jak romans wzbogacał się tymi wszystkimi motywami, które uprzednio należały do dziedziny dramatu i stopniowo zostały z niej wydzielone. Takim sposobem romans zdobywał coraz więcej znaczenia i przystosowywał się do wszelkich wymagań umysłów współczesnych. To szybkie jego powodzenie wzbudzało nieraz słuszny zupełnie podziw i całkiem niesłuszne gniewy. Stał się on rodzajem ogólnym i dla czegoż nie mielibyśmy przyznać, że ze wszystkich środków rozpowszechnienia wielkich zagadnień poruszających duszę współczesną, romans okazał się najpotężniejszym i najbardziej pociągającym.

„Werther“ Goethego i „Wyznania“ Jana Jakóba Rousseau, gdzie prawda zmieszana jest ze zmysleniem a nawet z kłamstwem, od schyłku już XVIII-ego wieku, zwróciły rodzaj powieściowy ku nadchodzącemu romantyzmowi i biorąc chronologicznie, zaznaczyć należy, że przed wystąpieniem poetów romantyków, powieściopisarze zdobyli prawo przemawiania do czytelników otwarciem i szczerze we własnym imieniu. Czem są właściwie „Atala“ i „Réné“ Chateaubriand'a, „Delfina“ i „Corinna“ pani de Staël, „Oberman“ Senancour'a, „Jakób Ortis“ Ugo Foscola, „Adolf“ Benjamina Constant'a? Są to romanse „osobiste“, których autorowie we własnych występują osobach, pod przejrzystymi przebrańkami swych bohaterów i są to także romanse liryczne. Obfitują one w różne środki liryki, pełno w nich wykrzykników, wycieczek bajronicznych, prozopopei, rozmyślań, odgłosów buntu, rozpacz, zwątpienia; zawierają całe ustępy, które w rymy tylko ująć by trzeba, aby je zamienić na czystą poezję. Wprawdzie z natury rzeczy zawie-

rać muszą zawsze pewną akcją i pewną ilość postaci, ale w gruncie rzeczy takie utwory, jak Obermann i René są to objawy na wskroś osobistej uczuciowości Senencour'a i Chateaubriand'a. Obserwacja tych pisarzy zamknięta jest wyłącznie w ich życiu wewnętrznym, a to, co przedstawiają z zasobów owego życia, nie dotyczy ich charakterystyki ogólnoludzkiej, lecz czysto indywidualnej, wyróżniającej ich właśnie od ogółu. „Nie jestem podobny do żadnego z ludzi mi znanych, sądzę że różnię się w ogóle od wszystkich ludzi istniejących“ to zdanie rozpoczynające wyznania Rousseau, mogłoby posłużyć za motto wszystkim romanansom, które wyżej wymieniliśmy. Można by też je wypisać na czele późniejszych utworów powieściowych, jak „Indiana“, „Rozkosz“ i „Wyznania dziecięcia wieku“.

Tymczasem, pod wpływem Walter-Scotta i Manzoni, — którego „Narzeczeni“ są niewątpliwie najznamienitszym dziełem tego rodzaju — romantyzm epicki lub opowiadający dążył do bardziej przedmiotowego wyrażenia się w obrazach wskrzeszonej przeszłości i powodzenie romanse historycznego poczęło krzyżować rozwój romanse osobistego. Był to objaw bardzo naturalny, osobliwie we Włoszech i w Niemczech, gdzie pomimo kosmopolityzmu Goethego, odczuwano dobrze, że prawdziwą wolność znaleźć można tylko we własnej ojczyźnie. Stąd romanse Novalisa i Arnima: „Henryk von Ofterdingen“ i „Stróże Korony“, a także Maxima d'Azeglio i Domenica Guerazzi: „Hektor Fieramosca“ i „Beatrix Cenci“¹⁾. Te i tym podobne romanse we Włoszech stały się środkiem agitacji i walki przeciw cudzoziemcom, a w Niemczech służyły do przypomnienia owej przeszłości feudalnej, która stawiała przed oczami

¹⁾ Wiadomo, że nigdzie romans historyczny nie osiągnął tak doniosłego znaczenia, jak u nas i nigdzie pono nie wydał tylu znamienitych przedstawicieli, jak nasi powieściopisarze historyczni, począwszy od Rzewuskiego aż do Sienkiewicza. Wyżej zaznaczyłem związek jego z naszą poezją epicką. Tutaj dodać jeszcze należy, że począł się on z tego samego, co on, źródła: z wyjątkowego i wielkiego umiłowania przeszłości, które dało mu ten wysoki połot poetycki, objawiający się za dni naszych najwspanialej w twórczości autora „Quo vadis“. (Przyp. tłóm.)

narodu obraz dawnego zjednoczenia, w przeciwieństwie do obecnego rozbicia. Pewien patryotyzm lokalny daje się też widzieć u Walter-Scotta w upodobaniu jego do przedmiotów szkockich, jak „Waverley“, „Rob - Roy“, „Purytanie szkoccy“, „Więzienia edynburskie“, ale dążność twórcza autora bardziej tu jest bezinteresowna. Czy nie można powiedzieć, że jest ona zupełnie taką w „Cinq Marsie“ Alfreda de Vigny, w „Karolu IX-ym“ Prospera Mérimée'go i w „Notre Dame de Paris“ Victora Hugo. Pisarze ci wskrzeszali przeszłość dla niej samej, przez osobiste upodobanie w jej odrębnym charakterze i kolorycie lokalnym. Te same pobudki kierowały Edwardem Bulwerem w jego „Ostatnim Baronie“, a w bliższym nam czasie Thackerayem w jego „Henryku Esmondzie“. Wszysey oni bezwiednie (za wyjątkiem Mérimégo) przygotowywali przyszłe zwycięstwo romansu „realistycznego“. Terazniejszość bowiem kiedyś stanie się przeszłością i wszystkie jej szczegóły, które dotąd wykluczano z romansów pod pozorem ich pospolitości, jeśli uchodziły w opowieściach z czasów Karola IX-go lub Warwicka, dlaczego nie miały znaleźć miejsca w romansie z czasów Ludwika Filipa lub królowej Wiktoryi? Najlepiej to zrozumiał Balzac i przejście od romansu historycznego do romansu realistycznego nie tylko jest dostrzegalne, lecz także dotykalne nieomal w najlepszych jego utworach, jak np. „Chouanach“ lub „Ciemna sprawa“.

Trzebaby napisać oddzielną i obszerną książkę, jeśli by się chciało nakreślić rozwój romansu realistycznego (albo romansu obyczajowego, zowiąc go właściwsiem mianem), a rozumiemy pod tem romans, który stawia sobie za zadanie odtwarzać historię życia współczesnego. Historia, jak powiedziano, jest romansem rzeczywistym, romans jest historią możliwą. Nie jest to jednak określenie dostateczne. Romans Balzaca, Flauberta, obu Goncourtów, Zoli, Daudeta, Maupassanta we Francyi, Thackerya, Dickensa, Karoliny Brontë, Jerzego Eliota w Anglii, wreszcie romanse Gogola, Turgeniewa, Dostojewskiego, Tołstoja, miały być nie tylko historią możliwą, chciały być historią rze-

czywistą życia bieżącego i można śmiało powiedzieć, że dziejopis przyszłości nigdzie nie znajdzie liczniejszych i ciekawszych dokumentów o układzie stosunków społecznych, jak w utworach wspomnianych powieściopisarzy. Nie mówimy, żeby one były najprawdziwsze i najwierniejsze. Należy rozróżniać te pojęcia. Pisarze, różniący się pochodzeniem, wykształceniem, talentem, nie mogli widzieć rzeczywistości tem samym okiem i przekształcali ją niewątpliwie, ten w jednym kierunku, tamten innym, a żaden z nich nie mógł ogarnąć nieskończonej jej różnorodności. Rzeczywistość zawiera zawsze więcej zjawisk, aniżeli zdoła ich odtworzyć sztuka pojedynczego człowieka. Wszystko, co można nazwać wytwornością i wykwentem, nie dało się w ogóle uchwycić pisarzom realistycznym i naturalistycznym. Księżne Balzaca niczem tak nie grzeszą, jak brakiem tonu arystokratycznego. Ale co jest osobliwsze, często „naturalizmowi“ brak jest „naturalności“, co za tem idzie, swobody, prostoty i wdzięku. Przytem, jeśli naturalizm angielski, francuski i rosyjski ma pewne zasadnicze rysy wspólne, nie jest też pozbawiony pewnych rysów odrębnych. Naturalizm francuski spoglądał z góry na swoje modele często z twardą wyniosłością; dbałość wielka o zadość uczynienie wymaganiom sztuki przeszkadzały mu też nieraz w wiernem naśladownictwie rzeczywistości. Starał się „poprawiać“ to, co odtwarzał i zazwyczaj przytem oszczędzał swój przedmiot. Naturalizm angielski, pełen dążeń moralnych i humanitarnych u Dickensa, u Jerzego Eliota a nawet Thackeray'a, mieszał często sztukę z moralnością i okazywał nadto skłonności do karykatury. Nadużywał też, jak wyżej rzekliśmy, środków wzruszania nas losami swych bohaterów. Naturalizm rosyjski, ironiczny u Gogola, zabarwiony mistycznie u Tołstoja, stał się chorobliwym i rewolucyjnym w romansach Dostojewskiego. Nazbyt też posilkował się środkami melodramatu i romansu felietonowego. Oczywiście nie obyło się przytem bez znacznego przekształcenia rzeczywistości. Niemniej przeto pewnem jest, że jak w pierwszej połowie naszego wieku, najbardziej charakterystycznym objawem literatury i sztuki w ogóle była poe-

zya liryczna w drugiej jego połowie, na pierwszy plan wystąpił romans naturalistyczny. Prawdopodobnym jest, że w historii cywilizacji nowożytnej osiągnie on takie znaczenie, jakie posiadało w niej niegdyś malarstwo holenderskie, z którym, nawiasem mówiąc, wiele on ma podobieństwa. Inni pisarze wyobrażać będą naszych Florentczyków i Wenecyan, Balzaki, Flauberty, Dickensy, Elioty, Tołstoję i Dostojewscy, będą naszymi Halsami, Mierisami, Terburgami, a nawet naszymi Rembrandtami. Wszelako naśladowanie natury, będąc niewątpliwie początkiem wszelkiej sztuki, nie może być jej kresem, ani nawet jej głównym zadaniem, ponieważ są sztuki, nie będące wcale naśladowaniem. Oto dlaczego romans naturalistyczny, osiągnąwszy chwilowe zwycięstwo nad innymi rodzajami powieściowymi, nie mógł ich całkiem przytłumić, a zatem nie mógł przeszkodzić ich odrodzeniu. Ani romans historyczny, ani romans podmiotowy nie zostały zgnębione przez tryumfy naturalizmu i ośmielamy się twierdzić, że „Małżeństwo Lotiego“ nie stoi niżej od „Atali“. W tym rodzaju obok utworu Lotiego, można powtarzać utwory Gabryela d'Annunzio: „Dziecię rozkoszy“, „Niewinny“, „Tryumf śmierci“. Powodzenie romansu naturalistycznego, nie przyemiło też zupełnie romansu psychologicznego, jak go pojęli Jerzy Sand, Oktawiusz Feuillet, Wiktor Cherbuliez, we Francji; Jerzy Eliot i Meredith w Anglii a w bliższym nam czasie, pod zjednoczonymi wpływami Balzaca i Stendhala Paweł Bourget, autor „Kłamstw“, „Ucznia“ i „Serca kobiety“. Zresztą łatwo zrozumieć, że romans naturalistyczny może być zarazem psychologicznym, jak np. „Middlemarek“ a romans psychologiczny może być przeniknięty naturalizmem, jak np. pierwszy z wymienionych utworów Bourgeta. Obserwacja naturalistyczna ze świata zewnętrznego przenika do wnętrza duszy ludzkiej, obserwacja psychologiczna odstepuje w odwrotnym kierunku od wnętrza na zewnątrz. Pierwsza zatrzymuje się na tem, co jest widoczne, druga usiłuje pochwycić i określić ściśle to, czego widzieć nie można. Naturalista zajmuje się czynami, psycholog pobudkami czynów. Dodajmy, że pierwszego interesują głównie

fakty ogólne i typowe, drugiego fakty szczególne i niezwykłe. Ale badając czyny ludzkie w ich skutkach, jak naturalista, lub w ich przyczynach jak psycholog, można zawsze dojść do tego samego punktu, a miejsce spotkania się obu tych kierunków jest dziedziną romansu psychologicznego.

Wszelako od lat kilku uczyniono jeszcze jeden krok naprzód, „każdy fakt, pisze Emerson, jedną swą stroną styka się ze zmysłowością, drugą — z moralnością“. Prawda ta uznana została przez najnowszych powieściopisarzy i zagadnienia moralne uczyniły, że tak powiem, najazd na dziedzinę romansu. Ciekawem jest zaznaczyć udział kobiet w tem przeobrażeniu. Pani de Staël rozpoczęła je; nie można zaprzeczyć, że „Delfina“ i „Corinna“ są to romanse, którebyśmy nazwali dziś „feministycznymi“. W ślady jej wstępuje George Sand, w której krytyka rosyjska, jednoznacznie uznaje pierwszą przedstawicielkę „religii cierpienia ludzkiego“, mam tu na myśli uczennicę Lamennais'ego Piotra Leroux, Michała de Bourges. Karolina Brontë, Jerzy Eliot, Elżbieta Gaskeel nadchodzą z kolei ze swemi powieściami. „Jan Eyre“, „Mary Barton“ i „Daniel Deronda“, a nie mówię już nic o Miss Beecher Stowe i Miss Cummins. Obecnie Miss Humphrey Ward w swoim „Robercie Elsmere“, w swoim „Dawidzie Grieve“ i w swej „Marcelli“ nie lęka się podnosić najważniejszych problemów chwili obecnej. Wspomnijmy obok niej Miss Olive Schreiner i we Włoszech, panią Matyldę Serao oraz w Hiszpanii panią Emilię Pardo-Bazan¹⁾. Prawdziwie czyż nie można powiedzieć, że swą wspaniałą a bezwiedną pogardą dla konwensów literackich, lub, ogólnie mówiąc, dla tego wszystkiego, co mandaryni Zachodu określają nazwą „sekretów

¹⁾ Czyż między temi autorkami nie powinna znaleźć miejsca i z większą pono od niejednej z nich słusnością nasza Orzeszkowa? Żadna z tych przedstawicielek „religii cierpienia ludzkiego“ nie przewyższyła z pewnością autorki „Meira Ezofowicza“, „Chama“ i „Nad Niemnem“ w głębokim współczuciu dla ludzi, ani w artystycznych środkach wyrażenia tego stanu duszy.

sztuki“, ale przedewszystkiem, dzięki właściwej płci swej litości dla cierpień ludzkich, kobiety to głównie — kobiety angielskie, francuskie, włoskie, skandynawskie — objawiły doniosłość społeczną romansu naturalistycznego. Oddajmy sprawiedliwość mężczyznom, którzy dali im posłuch. Badania głębsze zagadnień społecznych obecnie nie łatwo się jeszcze dają pogodzić z wymaganiami sztuki. Nie powątpiewajmy jednak, że kiedyś nastąpi między niemi zgoda, a bądźmy pewni, że ta dążność pozostaje w harmonii z głównymi dążeniami kończącego się stulecia i prawdziwym jest zaszczytem jego schyłku. Nie można dać lepszej rady powieściopisarzom, jak zalecać im wytrwały postęp w tym kierunku.

Też samą radę można udzielić ostatnim z przedstawicieli literatury, o których pozostaje tu nam słów kilka powiedzieć, mianowicie krasomówcom. Na katedrze, na trybunie i na ambonie Europa nowożytna wielu ich widziała. Nie wiem jednak skąd to pochodzi, że z tylu wielkich mówców, nieznaczna tylko liczba wytrzymuje próbę druku i czytania. Odczytując, dzisiaj kazania i konferencye Lacordaire, przekonywamy się dowodnie, jak wielką rolę warunki fizyczne odgrywają w sztuce oratorskiej. Więcej jest gruntu, a przedewszystkiem więcej udzielających się wzruszeń w niektórych przemówieniach Montalamberta. Mowy Gladstone'a i Disraeliego, którzy byli przecież zawodowymi literatami, nie są wcale zajmujące w czytaniu, a historyk przeglądający mowy Cavoura lub Bismarcka, nie będzie w nich z pewnością szukał piękności literackich. Można tu dodać, że „deklamacye“ Don Emila Castelar, pełne tego rodzaju piękności, mogłyby nas raz na zawsze zniechęcić do wszelkich podobnych poszukiwań; nigdzie nie można widzieć lepiej, jak w zbiorze tych przemówień ile jest sprzeczności między pustymi dźwiękami pewnej zresztą bardzo świetnej wymowy, a wymaganiami praktycznymi i realistycznymi polityki nowożytnej.

Oto jest główna przyczyna, która pozbawiła krasomówstwo dawnej jego przewagi i odjęła mu wartość literacką. Zresztą należy zauważyć przy tej sposobności, że

doskonała wymowa zawsze była zjawiskiem wyjątkowem — o tyle może lub więcej jeszcze co poezya — zauważył to już Ciceró w swoim „Mówcy“. Dowodem choćby ten fakt, że we Francyi, gdzie literatura miała przeważnie charakter krasomówczy, z pośród tylu słynnych oratorów ambony chrześcijańskiej tylko trzech: Bossuet, Bourdaloue Massilon, zachowali trwale stanowisko w historii literatury. Wynika to z natury rodzaju, którego przeznaczenie leży poza obrębem wartości literackiej. Ani wymowa kościelna, ani sądowa, ani polityczna nie ma przecież na celu wzbogacania literatury; względy artystyczne drugorzędne mają w niej znaczenie. Chęć podobania się, nieodłączna twórczości literackiej, byłaby zupełnie niewłaściwa na ambonie kościelnej. Niewłaściwą też jest chociaż z innych powodów przed kratkami sądowymi, lub na trybunie politycznej. Kościoły, parlamenty nie są to akademie i mówcy w nich mają na widoku tylko wyrzec wpływ bezpośredni, lub pobudzić pożądane czyny. Oto jedna z przyczyn, wyjaśniająca nie tyle upadek, ile wynaturzenie wymowy starożytnej. Ze sztuki, która była nią na początku stulecia, staje się ona orężem, a piękność oręża polega nie na jego bogactwie lub ozdobności, lecz na harcie jego stali i doniosłem działaniu. Powie kto może, że to samo widzimy u starożytnych, u których wymowa więcej jeszcze aniżeli u nas wpływała na bieg spraw publicznych, co nie przeszkadzało jednak, że Demostenesi i Ciceroni w literaturze zajęli miejsce obok Tucydidesów i Lukrecyuszów. W odpowiedzi na to, zapytajmy czy wielu było Ciceronów i Demostenesów? a pomnijmy, też na to, że starożytni nie mieli ani druku, ani prasy, ani książek, ani dzienników.

Podobnie, jak za naszych czasów teatr, o tyle stracił o ile zyskał romans i dlatego właśnie poniósł straty, że jego współzawodnik osiągnął korzyści, — można też powiedzieć, że wymowa utraciła ze swej władzy, ze swego wpływu, ze swego działania w tym samym stosunku, w jakim dziennik zdobywał coraz większą przewagę. Owóż raz jeszcze powtarzamy, że z wyjątkiem szczególnych wypadków w rozwoju literatury nigdy wszystkie rodzaje nie wystę-

pują równomiernie. Wymowa nie pobudza dzisiaj jak niegdyś prądów opinii. Krasomówca może wprawdzie podnieść chwilowo namiętności, ale nie może stale na nie oddziaływać; rola ta przypada obecnie w udziale prasie. W tych warunkach wymowa utraciła w znacznej części uznanie i poparcie ogółu, będące warunkiem pełnego rozwoju wszelkich rodzajów literatury. Za naszych czasów dziennikarz stał się mówcą. Widocznym jest, jak wiele na tem straciła wymowa, a czy literatura na tem zyskała, jest to inne pytanie, nad którym nie potrzebujemy się tutaj zastanawiać.

* * *

Z tych uwag ogólnych i tak niedostatecznych, czy moglibyśmy wysnuć jakie wnioski na przyszłość, nie ośmiuszając się daremnymi prorocत्वami? Trzeba mieć ducha europejskiego, pisała pani de Staël przed stoma laty i dzisiaj powiedziałyby może: trzeba mieć ducha wszechświatowego. Jeśli to jest marzenie, to czyżby ono obecnie było bliskie urzeczywistnienia i czyż życzyć sobie należy jego urzeczywistnienia? Pominąwszy wszelkie inne względy, czyżbyśmy pragnęli, aby literatura w swym własnym interesie, w interesie swego rozwoju pozbyła się tego, co w niej jest jeszcze francuskiego we Francji, lub angielskiego w Anglii? Jakie postępy uczyniła w tym kierunku w ciągu ubiegłego stulecia?

Możnaby powątpiewać o jakimkolwiek jej postępie w owym kierunku, skoro to samo stulecie, które w pewnym względzie zdaje się być wiekiem kosmopolityzmu może też być poczytywane za wiek nacjonalizmu. Mówię tu oczywiście jedynie z punktu widzenia literatury. Romantyzm, jako reakcja przeciw klasycyzmowi i humanizmowi Odrodzenia włoskiego, przedstawia się nam w Anglii i w Niemczech jako zwrot do średnich wieków, a nawet poza średnie wieki do początków, lub do tego, co poczytywano za najdalsze początki bytu plemiennego. Dość tu wspomnieć powodzenie „Ballad“ Percy'ego i „Ossiana“ Macphersona, oraz to, co możnaby nazwać odrodzeniem

„Nibelungów“. Przyszli potem erudyci, jak Jakób Grimm, i Lachmann, którzy w tych poszukiwaniach początków usiłowali określić istotę umysłowości germańskiej lub anglo-saksońskiej i oczywiście dla jej określenia posługiwali się rysami najoryginalszymi.

We Francji podjęto tę samą pracę; ale erudyci i krytycy francuscy trudniejsze tu mieli zadanie. Anglicy, poświęcając Congreve'a Pope'a i Drydena dla Szekspira, Spensera i Chancer'a, czynili zadość sprawiedliwości, a jednocześnie wyzwalali się z pod wpływów cudzoziemskich. Toż samo dla Niemców powrót do średnich wieków znaczyl oczyszczenie ducha narodowego z przymieszanych doń później rozlicznych obcych pierwiastków. W literaturze francuskiej niepodobna stawiać misteryj średniowiecznych ponad tragediami Racina, lub przekładać nad Moliera bezimiennego autora, „Farsy o Pathelinie“. Zerwać z klasycyzmem znaczyło we Francji zrywać z tradycją, która niegdyś zapewniła literaturze francuskiej wszech-europejskie znaczenie. Dla tego podczas, kiedy we Francji wahano się między Malherbe'm a Ronsardem, i między Ronsard'em i „Pieśnią o Rolandzie“, w innych krajach, w Niemczech, w Anglii, we Włoszech, literatura unaradawiała się coraz bardziej i skupiała się w sobie. Upoważnieni, przez wyniki badań filologicznych i historycznych, krytycy nauczali, że literatura, będąc wyrazem tego co najistotniejsze jest w duchu ludów, powinna jak najściślej zjednoczyć się z rodzinną ich tradycją. Literatura stała się sumieniem ludów. „Król Szekspir“, jak się wyrażał Carlyle, jest łącznikiem całego plemienia anglo-saksońskiego. Od New - Yorku do Paramatty podtrzymuje on w tem plemienu świadomość odrębnej jego umysłowości. Ponieważ z tej racyi nawet wady Szekspira uznane zostały za specyficzne zalety, więc podobnie i od wszystkich innych pisarzy angielskich i niemieckich, żądano nie koniecznie, aby dobrze pisali i dobrze myśleli, lecz aby myśleli i pisali w sposób prawdziwie germański lub anglo-saksoński. A co to znaczyło myśleć w ten sposób? Z powodu warunków historycznych na początku ubiegłego

wieku, znaczyło to myśleć w sposób o ile można jak najmniej francuski i w ogóle jak najmniej latyński.

Inna jeszcze przyczyna, sprzyjała również rozwojowi ducha narodowościowego; wpływ jej najlepiej się uwydatnia w współczesnej literaturze włoskiej. Od roku 1796 do 1860 a nawet do 1870 Włosi wymagali przede wszystkim od swoich pisarzy, i nie tylko od publicystów, krasomówców i dziennikarzy, lecz także od poetów, pisarzy i artystów, aby się poświęcali nieomal wyłącznie sprawie odrodzenia narodowego. Otwórzmy pierwszą lepszą historię literatury i zobaczymy na czym polega, według zdania krytyki włoskiej, największa chwała Ugo Foscolo. Polega na słynnym poemacie „Groby“ (I Sepolcri), przez który zbudził w uspio-nej duszy włoskiej 1806 roku wspomnienie wielkich zmar-łych, będących chwałą narodu. Odwróćmy teraz stronicę. Czy znacie Gusti'ego? Zasługa, za którą najwięcej go sła-wią w szkołach i w książkach włoskich, polega na użyciu satyry „jako środka walki przeciw uciskowi cudzoziemskie-mu“. Podobnie i Gabryel Rossetti zdobył sobie głównie sławę przez swe pieśni głoszące niezawisłość i wolność Ita-lii. Z tych samych przyczyn wynika znaczenie romansów historycznych Maxyma d'Azeglio i Domenica Guerrazzi. A cóż powiedzieć o teatrze włoskim np. o tragediach Ed-warda Fabri i Jana Chrzeciela Nicolinięgo? Pierwszego sławią głównie, jako pełnego zapału rzecznika i uczestnika zarazem wszelkich ruchów polityczno narodowych między 1815 i 1849 r., drugi wynoszony jest za to, że „stał się chorążym polityki jednoczącej i antypapieskiej“. Wszędzie tu spostrzegamy pewien wyłączny punkt widzenia, uwarun-kowany przez pogląd na literaturę włoską, jako na jeden z głównych czynników wielkości chwały i energii żywotnej narodu. Literatura włoska pod obcem panowaniem, podtrzy-mywała samoistność włoskiej duszy. A oczywiście nie mo-gła dokonać tego, opierając się na literaturach cudzoziem-skich, lecz owszem zerwała te związki, które ją z niemi przez czterysta lat łączyły¹⁾.

¹⁾ Nigdzie może dobitniej, jak w tym ustępie, nie okazuje się nie-słuszność pomijania i zapoznawania literatury polskiej przez autora ni-

Można jeszcze dalej się posunąć i utrzymywać, że w drugiej połowie ubiegłego stulecia literatura wytworzyła niejako intelektualnie narodowość skandynawską. Szwedzi, Norwegczycy, Duńczycy spostrzegli, że literatury europej-skie, niemiecka czy francuska, włoska lub angielska wyra-żały bardzo niedokładnie, to, co w ich duszy było specy-ficznie „skandynawskiego“. Ibseny i Biörnsony mieli coś do powiedzenia, czego nie powiedzieli dotąd ani Balzaki ani Dickensy. Chcieli to wypowiedzieć i wypowiedzieli, a ich współrodacy rozpoznali siebie w ich słowach. Odczuwa-jąc w nich swe odrębne właściwości narodowe, usiłowali je oczyścić od wszelkiej obcej przymieszki, a w miarę, jak ten cel osiągnęli, wyrabiała się literatura i z nią razem umysło-wość i „intelektualna“ narodowość skandynawska.

Ale czy te wszystkie przyczyny wystarczają, aby po-wątpiewać o kulturze wszech europejskiej i czy nie ma przy-czyn przeciwważących, które mogłyby kiedyś osiągnąć sta-nowczą przewagę? Prawda, że literatury europejskie usiło-wały w XIX-ym wieku skupić się w sobie i zwrócić swój rozwój w kierunku odrębnych swych tradycyji, ale czyż to samo nie dowodzi, iż przenikają one się coraz bardziej na-wzajem i przejęte są obawą utraty najoryginalniejszych swych przymiotów rodzinnych? W przesadnem uwydatnia-niu swej wyłączności narodowej widziały one nieraz środek przeciwko prądowi, porywającemu je w kierunku kosmopo-litycznym. Ale czyż dramat Ibsena różni się istotnie tak bardzo od romansu Tolstoja „Nieprzyjacieli ludu“ od „So-naty Kreutzerowskiej?“; a romanse Dickensa czy nie zna-laży tyluż czytelników w Paryżu, co romanse Pawła Bour-geta lub Piotra Loti'ego w New-Yorku? Najlepsza hi-

niejszego artykułu. Co najmniej powinna ona być wymieniona obok lite-ratury włoskiej, jako wyrazielka dążeń narodowych w piśmiennictwie europejskiem, a ściśle biorąc, naczelnie w tym zakresie należy jej się miej-sce. Któryż bowiem z wymienionych tu poetów włoskich, choćby zdaleka, może być porównany z Mickiewiczem pod względem głębokiego ujęcia i potężnego wypowiedzenia idei narodowej w poezyi? Przdodujące w tym względzie stanowisko autora „Dziadów“ zostało nawet dość powszechnie uznane przez krytykę europejską. (Przyp. tłum.).

storia Odrodzenia włoskiego napisaną została przez Anglika Johna Addigtona Symonds'a, a jakkolwiek wiele jest francuskich dzieł o Wolterze, Rousseau i Diderocie, żadne pono nie dorównywa pracom Straussa, Rosenkranza, i Johna Morley'a. Poeta angielski, Dante Gabryel Rossetti i brat jego sławny krytyk angielski, byli synami włocho, poety również i krytyka, owego Gabryela Rossetti, którego wspomnieliśmy wyżej wśród głównych działaczy odrodzenia włoskiego. Z drugiej strony, czyż nie Francya przez Melchiora de Vogüe dała poznać Włochom autora „Tryumfu śmierci“, a Europie całej imiona Tolstoja i Dostojewskiego? Ogłoszenie „Romansu rosyjskiego“ jest epokową datą w literaturze schyłku XIX-ego wieku. Jeżeli zamiast literatury w jej wyłączności zwrócimy uwagę na kulturę w ogóle, to przenikanie wzajemne różnych narodowości tem wyraźniej nam się ukaże w swej niezwalczonej potędze. Nie mówię tu o internacjonalizmie naukowym lub przemysłowym, ani o kosmopolityzmie pieniężnym i robotniczym. Ale zważmy oto, iż filozofia Augusta Comte'a zjednała sobie nie mniej zwolenników w Anglii, w Niemczech, w Rosyi, a nawet w Stanach Zjednoczonych, jak w samej Francyi. Muzyka Wagnera nie mniej jest wszechświatową i od kilku lat można stawiać pytanie, czy przypadkiem nie jest ona wykonywana lepiej lub równie dobrze w Bostonie, jak w Bayreuth. Przejrzyjmy się także nadzwyczajnemu rozpowszechnieniu w całej Europie, najbardziej nawet krańcowych paradoksów Ruskina, tego estetyka, który jeszcze przed dwudziestu laty uchodził za tak wyłącznie angielskiego pisarza? Czyż literatura tylko miałaby pozostać poza obrębem tych ogólnych prądów idei i czyż od stu lat nie została przez nie porwana? Czy romantyzm, realizm, naturalizm nie były ruchami europejskimi, poza obrębem których żadna literatura nie mogła istnieć i żaden pisarz nie mógł osiągnąć wpływu? Chateaubriand, Byron, Puszkina czyż nie są sobie pokrewnymi duchowo i podobnie po latach trzydziestu, autorowie Adama Bede, „pani Bovary“ i „Anny Kareniny?“ Idźmy jeszcze dalej cała Europa literacka, podobnie jak niegdyś była byronowska, czyż za naszych dni nie sta-

ła się tołstojowską. Jeżeli granice nie będą ubezpieczone przez komory literackie, jak są obecnie przez bagnety i armaty, to co się poczęło musi być dokończzone—i kosmopolityzm intelektualny musi wyrównać różnice narodowe.

Ale czyż by to nie było zabiciem wszelkiej literatury wobec tego, że nie tylko same idee, ale także różne sposoby wyrażenia ich również doniosłe a może większe jeszcze posiadają w niej znaczenie? Możliwy prawdziwie mniemać, że największa potęga geniuszu polega nie na oryginalności, lecz na doskonałej bierności i na głębokiem przejęciu się duchem czasu, który, nie napotykając w niej żadnych przeszkód, przenika na wskroś myśl twórczą poety. Tak się wyraża Emerson na samym wstępie swego studium o Szekspirze i niewątpliwie wiele ma słuszności. Ale co rozumie on tutaj pod duchem czasu? Jest to pono to samo, co inni krytycy, w sposób mniej mistyczny, jeśli nie jaśniejszy zowią geniuszem rasy, środowiska chwili a są to wszystkie owe żywioły, które tradycya narodowa przygotowała, jako materiały dla Szekspira. Wprawdzie nie można tego dość uwydatnić, ponieważ nieraz krytycy zapominają o tem, że najbardziej szekspirowskim w Szekspirze jest on sam. Jest w nim wszakże też coś angielskiego, i to coś angielskiego, wyróżnia pono najdobitniej jego „Kochanków z Werony“ od podobnych sztuk Bandella lub Luigi da Porta. Dante nie byłby Dantem, gdyby nie był włochem, a Cervantes nie byłby Cervantesem gdyby nie był hiszpanem. A co stanowi istotę geniuszu narodowego? Trudno to dokładnie określić a przy wszelkich podobnych określeniach trzeba zawsze uwzględnić o ile jakiś Dante lub Szekspir mogą zmienić naturę geniuszu, uzupełniając go geniuszem własnym. I pod tym tylko warunkiem są oni sobą. Ale któż zaprzeczy, że geniusz narodowy zależy i w największym może stopniu od języka, którego rozwój uwarunkowany przez naturę otaczającą, stanowi niejako odbicie obrazów ziemi rodzinnej, języka, będącego organem przodków, obdarzonego przez nich pewnem tradycyjnym znaczeniem, niezrozumiałem dla tych, co nie mówili nim od dzieciństwa i nie

rozumieli go, zanim się mówić nauczyli, języka wreszcie, uświetnionego przez mistrzów i przekazanego przez nich tym wszystkim, którzy w przyszłości mają się nim posługiwać. Cóż by zostało z Szekspira i z Dantego, gdyby pisali po łacinie? Istnienie geniuszu narodowego niedzowne jest nie tylko dla rozwoju literatur narodowych, co zbyt jest widoczne, ale także dla literatury wogóle. Literatura opierać się musi na ideach ogólnych i z tego względu byłoby pożądane, aby te idee uznane zostały od jednego końca Europy do drugiego, tem więcej, jeśli mają one być objawem istotnej prawdy. Ale trzeba z drugiej strony pragnąć, aby wyrażenie ich ulegało urozmaiceniu w odrębnym duchu narodowym.

Śmiało też można twierdzić, jak sędzę, iż literatura przy końcu ubiegłego wieku stanowczo przestała być rozrywką i śmiemy się spodziewać, że nigdy już do podobnej roli niższą nie będzie. Zapewne nie zbraknie i w przyszłości kuglarzy literackich i zabawiaczy pospolitych, produkujących nędzne fabrykaty dla uciechy pospólstwa, ale stopniowo zostaną oni wykluczeni z obrębu literatury. Jakiś Labiche nie zajmie krzesła w Akademii, ani Beranger nie będzie zaszczycony pogrzebem narodowym. Utwory podobnych pisarzy i poetów zachowają tylko wartość handlową, będą służyły dla rozrywki publiczności, podobnie jak inne środki życia wielkowiejskiego. Tego rodzaju wytwory cenione może będą na równi z wytworami sztuki kulinarnej, a ich autorowie będą uchodzili może za artystów swojego rodzaju, ale nie będą zaliczani do liczby pisarzy. Wpływ i władza, jaką osiągnęli przedstawiciele dzisiejszej literatury, która, jak wyżej rzekliśmy, staje się nie sztuką, lecz orężem w ich ręku, kładą na nich wielką odpowiedzialność, od której w przyszłości uwolnić się nie będą mogli. Nie będzie im dozwolono odosobnić się w dumnej pogardzie dla opinii publicznej, a jeżeli niektórzy z nich zechcą pisać tylko dla wybranych, będą ukarani, nie mówię przez obojętność publiczności, bo to jest rzecz mniejszej wagi, ale przez wyjałowienie, że tak powiem, własnych swych wysiłków i przez bezpłodność dzieł swoich. Pisarz przyszłości

nie będzie miał prawa zbierać kwiaty życia dla samej rozkoszy nasycania się ich zapachem, wartość jego oceniona zostanie w stosunku do pożytku, jaki społeczeństwo z jego pracy osiągnie, a jeżeli zechce protestować z jakichś wyniosłych szczytów sztuki przeciw temu poniżeniu literatury do znaczenia li tylko utylitarne, nie znajdzie nigdzie posłuchu; jeśli zaś przypadkiem zostanie wysłuchany, to spotka się z odpowiedzią, że ze wszystkich rodzajów arystokracji, arystokracja umysłowa w zasadzie najmniej może być usprawiedliwiona, a przytem jest najniebezpieczniejsza, skoro, zamiast oświecać ciemną duszę tłumu, nadużywa swej wyższości, będącej w gruncie rzeczy dziełem przypadku—podobnie jak głos śpiewaka lub siła atlety—ażeby powiększyć odstęp między sobą a resztą ludzkości.

Czy to znaczy, że postępujemy w kierunku uspołecznienia literatury? Sędzę, że tak jest istotnie i opieram się w tem mniemaniu, niezależnie od innych względów, na tej okoliczności, że ze wszystkich literatur europejskich ta, która najwięcej zajmuje się zagadnieniami moralnymi i społecznymi, jest też samą właśnie, która, przez długi czas „najbardziej była indywidualistyczna“. Łatwo się domyślić, że mówię tu o literaturze angielskiej. Czy przypominacie sobie złośliwe szyderstwo Byrona, zwrócone przeciw Wordsworth'owi? Nie przeszkodziły one jednak temu, że ostatecznie Wordsworth odniósł zwycięstwo nad Byronem. „Poezja, pisała Brownig w roku 1840, była dla mnie zawsze rzeczą równie poważną, jak życie, a życie brałam zawsze nader poważnie. Nigdy nie zniżyłam się do poszukiwania w przyjemności przedmiotu poezji“. George Eliot pisała w r. 1856: „Uczcijmy boską piękność formy, poszukujmy jej, ile się da, w postaciach mężczyzn i niewiast, w naszych ogrodach i w naszych mieszkaniach. Ale umiejmy ocenić i ten inny rodzaj piękności, który tkwi nie w tajemnicy proporcei, lecz w uczuciach, łączących ludzi między sobą“. W innym miejscu mówi też sama autorka: „Tylu jest ludzi pospolitych, których dzieje nie zawierają żadnych nie-szczęść wzniosłych i malowniczych, należy nam pamiętać o ich istnieniu, w przeciwnym bowiem razie moglibyśmy

ich pozostawić poza obrębem naszej religii i naszej filozofii i wytworzyć sobie teorie tak wzniosłe, że dałyby się one tylko zostosować do jakiegoś świata wyjątkowego". A jakież to inny pisarz angielski wyraził przed niedawnym czasem następujący pogląd? „Dopóki istoty ludzkie w otaczającym nas świecie znosić muszą głód i zimno, nie tylko nie może być mowy o sztuce, ale trzeba uznać wprost za zbrodnię wszelką wytworność stroju, i okazałość w urządzaniu mieszkań?" A cóż to za barbarzyńca i obrazoborca ośmielił się powiedzieć: „Lepiej sto razy, aby zwietrzały marmury Fidiasza i zwiędły barwy kobiet na obrazach Leonarda, niż żeby miały zwiędnąć twarze kobiet żywych i napełniać się łzami oczy dzieci, które mogłyby żyć, gdyby nędza nie powlekała ich twarzy siną bladością grobów?" Kto to jest? A gdyby to był prorok i apostoł sztuki, ów John Ruskin, który założył „religię piękna", czyż nie należałoby przyznać, że jednak coś się zmieniło w Anglii, ojczyźnie ekonomistów? Litość w niej zapanowała, obca jej od czasów Szekspira i rzecz szczególna, z owej litości, którą można za tak nieestetyczną uważać, zrodziły się dzieła sztuki, któremi Anglicy najwięcej się szyczą: „Aurora Leigh," „Adam Bede" i owe płody malarstwa, bardziej jeszcze pono ruskinowskie, aniżeli prerafaelistyczne. Czyż nie daje to wiele do myślenia?

Dodajmy, że jednocześnie prawie teatr francuski, pod wpływem Aleksandra Dumasa, romans rosyjski z Tolstojem i Dostojewskim i nietylko teatr, lecz w ogóle myśl skandynawska z Ibsenem i Björnsonem ku tym samym zwracały się celom. Nietylko zagadnienia moralne, lecz także ekonomiczne i społeczne zapanowały w utworach tych i tym podobnych pisarzy. Naturalizm wyzwolony ze swoich grubijańskich intencji, naturalizm, porzucający swą postawę wyzywającą, zwrócony do wiernego naśladowania rzeczywistości, ale rzeczywistości zupełnej, sprawił te cuda. Można by dużo jeszcze o tem powiedzieć, można by zarzucać jednemu z owych autorów, że jego postacie są to wypracowane uogólnienia abstrakcyjne. Można by zarzucać drugiemu, że tłumy, napełniające jego romanse, nie miesz-

czą się w ich ramach artystycznych. Ale trudno zaprzeczyć, że „Żona Klaudiusza", „Nieprzyjaciół ludu" są to dobre sztuki teatralne i że nie wiele jest romansów, któreby można wyżej postawić od „Anny Kareniny. A więc dokonana została próba, dowodząca, że zarówno teatr, jak i romans mogą podejmować zagadnienia społeczne. Trzeba tylko na to więcej talentu i więcej sztuki. Ktokolwiek żywi szlachetną ambicję podnoszenia w romansie albo w teatrze podobnych zagadnień, winien zdobyć, wraz z zupełnym opanowaniem środków swej sztuki osobiste, rozległe i wyrozumowane doświadczenie życiowe. Gdyby ten warunek spełniony był doskonale, ilość literatów zmniejszyłaby się może znacznie, ale godność literatury w tym samym stosunkubym wzrosła, a jeszcze bardziej skuteczność jej wpływów i oddziaływań.

Doszedłszy do tego punktu swego rozwoju, czy literatura spostrzeże się wtedy, że jeśli zagadnienia społeczne są zagadnieniami moralnymi, to są one zarazem i religijnymi? Można się tego spodziewać, skoro nawet Emil Zola zmuszony był w końcu to spostrzedz. I nie on jeden tylko. Wiadomo ile miejsca zajmują zagadnienia religijne w romansach Tolstoja i we wszystkich jego dążeniach i jakie jest znaczenie ostatniego romansu pani Humphry Ward, „Helbeck de Bannisdale" jeśli nie religijne? A czyż potrzebują przypominać „Middlemarcha" i „Daniela Deronda" Eliota? i w tym samym czasie powstałe utwory Feuilleta, od „Sybylli" aż do „Śmierci?" To też możemy tu śmiało powiedzieć, że koniec ubiegłego wieku pod tym względem odpowiada doskonale jego początkom. Zdawał się on niekiedy pochłonięty innymi troskami, ale jeżeli zagadnienie religijne nie zawsze było najpierwszym i najwidoczniejszym jego dźwiękiem, to nigdy nie przestało być najtrwalszym i powiedzmy, jeśli o to chodzi, niekiedy najskrytszym, ale też najbardziej niepokojącym. Najlepiej można to widzieć we Francji, w kraju Woltera i Montaigne'a. Pierwsza znakomita książka tego wieku, to „Geniusz chrześcijaństwa". A czemuż ona jest jeżeli nie odparciem wszelkich sofizmów, które wiek poprzedzający nagromadził w celu zgnie-

cenia idei religijnych? Następnie zjawia się Lamennais ze swoim „Studyum o obojętności“, a prawie jednocześnie z nim Józef de Maistre ze swoją książką „O Papieżu“ i ze swymi „Wieczorami petersburskimi“. Napotykają oni mnóstwo przeciwników, ale nawet we wrogim im obozie filozofów, tak różne umysły, jak Wiktor Cousin, August Comte i Piotr Leroux, dążą przedewszystkiem do wytworzenia nowej religii, mającej zastąpić dawną. Z punktu widzenia religijnego, Aleksander Vinet pisze swoją „Historję literatury francuskiej XVIII-go wieku“, [a Sainte Beuve swoje dzieło o „Port Royal“. A coby pozostało z Micheleta i z Edgara Quineta, gdyby nie ożywieni byli stałą nienawiścią przeciw religii? Romansopisarze, jak Balzac nie opuszczają żadnej sposobności, by stwierdzić swą prawowierność katolicką, o ile na wzór Jerzego Sanda nie przeciwstawiają religii chrześcijańskiej, mglistych marzeń socjalizmu humanitarnego. I poeci zaznaczają swoje stanowisko względem religii; Lamartine w swoim „Jocelynie“, Vigny w swoich „Przeznaczeniach“. Następnie nadchodzą uczeni, i w końcu krytycy z Renanem i Tainem na czele, łącząc syntetycznie kolejne zdobycze wiedzy, erudycyi i literatury, stawiają, że tak powiem, problemat religijny z odgłosem, którego echo trwa do dziś dnia. Cóż godniejszego jest uwagi i bardziej pouczającego? Daremnie chciano usunąć ten problemat, powrócił on znów i my nie mogliśmy również go się pozbyć i ci, co po nas przyjdą, nie unikną go także. I czyż tak być nie powinno, skoro dla nikogo z myślących ludzi żadne zagadnienie nie jest ważniejsze i bardziej osobiste, skoro z czysto ludzkiego stanowiska żadne zagadnienie nie przedstawia bogatszej treści do rozmyślań i skoro nareszcie, z punktu widzenia niniejszego studyum, jest to zagadnienie, które literaturze nadaje głównie jej siłę, jej głębokość, jej doniosłość.

Ferdynand Brunetièrè.

Członek Akademii francuskiej

spolszczył

Walerj Gostomski.

VIII.

ARCHEOLOGIA.

Pragnałbym określić czem jest archeologia. Czy jest ona historją, czy też nauką od historii niezależną, lub może tylko jej pomocnicą? Trudniejszego określenia nieznam, a rozpatrując stosunek archeologii do dziejów, mogę tylko stwierdzić ściśle między niemi powinowactwo.

Dawniej mógł ją dziejopis pomijać: obecnie niema już prawa tak czynić. Historia Rzymu, tak dziś pisana, jak za czasów poczciwca Rollina, na podstawie samych tylko tekstów, a nieuwzględniająca pomników przeszłości, byłaby niezrozumiałą. Tem bardziej niepodobna wnioskować o prawdzie dziejowej wielkich państw wschodnich, biorąc za podstawę tylko świadectwo herodotowe. To też, dzięki zdobyczom archeologicznym, odświeżenie wielu stronnic historii bądź już nastąpiło, bądź jesteśmy w trakcie jego dokonywania.

Studia nad pomnikami dają możność poprawiania błędów w tekstach zawartych, dopełniają je w tem, czego zaniedbały dopowiedzieć; napisy, ujawniają fakta nieznanne i tłómaczą życie wewnętrzne narodów; przez uchylenie zasłony zwieszającej się wokół języków zapomnianych i znaków ideograficznych długi czas niepojmowanych, udało nam się zawiązać za ich pośrednictwem stosunek z pojęciami, uczuciami i wierzeniami z czasów najdawniejszych.

Historia, rzekł Michelet, jest zmartwychpowstaniem; staje się ona niem, zwłaszcza wówczas, gdy, jako żywy obraz tego co zawierają teksty, wydobywamy ją z głębi ziemi, ze świątyń i mieszkań, z rzeźb i malowideł, z liter rytých w marmurze lub kreślonych na papyrusie, wybitých na pieniądzach, medalach, broni, kosztownościach i narzędziach. A cóż dopiero, gdy same groby ukazują nam umarłych w otoczeniu takim, w jakim ich pogrzebali współcześni!

Wówczas to archeologia staje na wyżynach potężnej pomocnicy historii. Ale ta wskrzesicielka przeszłości nie zawsze się ogranicza na roli pomocniczej: w pewnych razach staje się sama rodzicielką historii. Znacznie wcześniej, aniżeli sięgają najstarsze kroniki narodów, znacznie pierwej, aniżeli człowiek zaczął pisać — rozpoczęło się życie jego. I gdy archeologia odnajduje ślady ludzkie z tych czasów, które dziejopisarstwa nie znały, wówczas daje początek przeddziejom. Jest to gałąź wiedzy, na którą, z jednej strony, składają się wprawdzie przypuszczenia i wnioski, lecz z drugiej gałąź mająca za sobą fakta stanowcze, ponieważ dokumenty dostarczane przez archeologię, raz uwidocznione, dają możność ocenienia stosunku swego do tych warstw gleby, z których wydobyte zostały.

* * *

Grecy, za swych czasów świetnych, archeologii nie znali. Oddani weselu, szczęśliwi z daru twórczości, wpatrzeni tylko przed siebie, nie spoglądali na cywilizację zagasłą i nie pytali: co im są winni? Ci zaś z ich liczby, którzy pracowali nad starożytnością, jak np. Pauzaniusz, opisujący Grecyą, Filostrates, któremu zawdzięczamy imaginacyjny, zda się, opis galerii obrazów, Lucyan, biegły krytyk sztuki — należą już do okresu rzymskiego i do społeczeństwa mniej więcej kosmopolitycznego. Filostrates był bowiem sofistą na żołdzie cesarskim, Pauzaniusz pochodził z Azji Mniejszej, choć umarł w Rzymie, a Lucyan, również azyata, był urzędnikiem rzymskim.

Rozważniejsi od Greków byli Rzymianie, których rozumowanie wiązało z przeszłością. Wirgiliusz, jako poeta epiczny, Dyonizy halikarnaski, jako erudyta, próbowali nawiązać początki rzymskie z Grecyą i Azją. Lubowali się w pięknych podaniach, ponieważ one, jak mówił Liwiusz, wydobywają duszę starożytną w tych, którzy się niemi zajmują. Religię po części, a sztukę całkowicie, zapożyczali stamtąd, gdyż nie posiadali większych zdolności twórczych, lecz w zamian za to niezwykły dar asymilacji. Zdobyć świat uczyniło Rzymian autorami, artystami i znawcami. Ogołocili też całe kraje, ażeby wzbogacić zbiory własne. Jedną z mów, wygłoszonych przeciw Verresowi, nosi tytuł „Posągi“, a Pliniusz poświęcił liczne stronnice swej „Historii naturalnej“ opisom starożytności. Zapewne, rzymianin nie studyował pomników metodycznie i naukowo, wszakże częstokroć wykazywał zaciekawienie nadzwyczaj subtelnie. Bo czem np. była willa Hadryana, jeśli nie zbiorem odtworzeń archeologicznych, pamiętnikiem podróży ułożonym z cegieł, kamieni, marmurów przez najruchliwszego, a najciekawszego z cesarów?

Cechy te, długo w sobie zachował duch rzymski. Z ustaleniem tryumfu chrześcijańskiego, świątynie pogańskie unikają zagłady, ponieważ stają się muzeami; posągi, którym się cześć nie oddaje, są podziwiane, jako dzieła sztuki, a gdy Konstantyn nad Bosforem nową zakłada stolicę, nie szczędzi zabiegów, by w niej pomieścić wszystkie arcydzieła starożytności. Pod osłoną jej szanów, tradycje klasyczne przechowują się w ciągu długich stuleci, występując w rozmaitych okresach sztuki bizantyńskiej.

Gdzieindziej wszakże zalew barbarzyńców zagasi starą pochodnię klasyczną. Na Zachodzie zablęśnie ona znowu wprawdzie od czasu do czasu. Postawa swobodna, a szlachetna u niektórych rzeźb stulecia XIII-go, piękne ułożenie draperyj znamionuje, że sztuka starożytna przetrwała sama siebie. Dokonywują się przytem odpisy manuskryptów, dzięki którym potomność zapozna się ze skarbami dawnego piśmiennictwa. Owidyusz, Wirgili, cieszą się wziętością u ster wykształconych, a wiemy o donośnem

stanowisku, jakie zajął Arystoteles w pojęciach średnio-wiecznych. Niemniej przeto, chociaż tradycya nie zmar-twiała doszczętnie, duch czasów ubiegłych zanikał zupeł-nie. Żaden okres dziejowy nie posiadał tak mało zmysłu historycznego, jak wieki średnie: ideał chrześcijański usu-wa na stronę wszystko to, co nie w nim bierze początek, lub co się nie daje łatwo przyswoić. Stąd, przy komen-towaniu pomników, rodzą się ciekawe pomyłki: wazy staro-żytnie są poczytywane — za kubki Salomona, lub za amfory we-selne z Kany galilejskiej; głowy cesarów — za głowy Apo-stołów; rzymskie sceny mitologiczne, lub historyczne — za wydarzenia biblijne i ewangeliczne. Duch europejski zdaje się nie uwzględniać pamiątek innych nad święte, nieznać horyzontów poza tym, na którym powstały; na nim więc, bez względu na stopień prawdopodobieństwa, mieszczą lu-dzie te kilka postaci starożytnych, które pozostały w pa-mięci ludów. Więc Wirgiliusz zostaje prorokiem Chrystusa, Stacyusz — chrześcijaninem, a miłosierdzie Trajana wpro-wadza go do raju. Czasami, poczucie prawdy historycznej zaciera się jeszcze doszczętniej: jeden z poetów, opisując pogrzeb Hektora, stawia mu nagrobek w katedrze trojań-skiej. Wieki średnie są na Zachodzie okresem odmłodzenia, a takie czasy rodzą częstokroć dzieła zachwycające, zaw-sze — ciekawe.

Lecz w tych razach oryginalność nazbyt góruje, życie pędzi za gwałtownie, by ludzie mogli zachować w so-bie, lub odnaleźć zatraconego ducha przeszłości, ów zmysł dziejowy w rzeczach, które nie są dla nich współczesne, narodowe lub religijne. Francuz lub włos, urodzony za czasów krucyat, budowniczy katedry Nôtre-Dame i tu-mu kolońskiego, twórca Boskiej-komedyi, nie uwzględ-niają archeologii bardziej, niż to czynili współcześni Fi-dyaszowi i Peryklesowi, a to dla powodów, mających ze sobą wiele wspólnego.

Archeologia bierze początek w stuleciu XV-ym, razem z ruchem Odrodzenia. Gdyby nie obawa przed zbyt szczegó-łowem wyznaczeniem dat i miejsc w sprawach tej natury, byłibyśmy skłonni do upatrywania jej początku w Rzymie.

Odwieczne miasto zawierało dla miłośników starożytności klasycznej skarby nieprzebrane. Na nieszczęście los jego zwalisk był ten, że przez długi czas jeszcze przeznaczano je do innego użytku, aniżeli poszukiwania naukowe. Gmachy starożytne, w ciągu wieków średnich, zamieniano w kopal-nie kamienia i marmuru, a jeśli skutkiem tego zagłada ich nie stała się doszczętną, to dzięki tylko ubóstwu ówczesnych Rzy-mian. Rozruchy polityczne i próby, przez jakie przechodzi-ła władza papieska, przeszkodziły zbyt niemu rozbudowa-niu się miasta, lecz gdy zaróżowiła jutrzienka Odrodzenia, gdy władze papieskie wróciły do Rzymu pod koniec wiel-kiej schizmy — użyły one swej spotęgowanej powagi, by uposażyć stolicę świata w liczne pałace i świątynie. Wpraw-dzie, wiele z nich urosło kosztem starożytności; to też ze zdumieniem dowiadujemy się, jak w XV-em stuleciu, za panowania Mikołaja V-go, założyciela biblioteki watykań-skiej, półtrzecia tysiąca wozów dźwiga z Kolizeum ułamki, co nie przeszkadza, że jednocześnie zwożą materiał olbrzy-mi z Forum i „Cyrku wielkiego“. Nie inaczej dzieje się w stuleciu następnem. Kardynałowie, magnaci, zdobią wną-trza pałaców swych odłamami wydartymi bazylikom i świą-tyniom pogańskim. Na tysiące liczymy kolumny starożyt-ne, użyte do ozdoby ganków nowożytnych. Bezwątpienia, Rzym nowy nie zdołałby wznieść się inaczej, jak kosztem starego. „Czy można wymagać, by Rzymianie szukali su-rowcu budowlanego w kopalniach Tivoli lub Karary, by go sprowadzali kosztem największych poświęceń, skoro sto-lica, na każdym załomie dostarczała obficie najpiękniejszych marmurów i głazów, już ociosanych, dopasowanych i do użytku gotowych“. Przyznajmy, gdy tego potrzeba, oko-liczności łagodzące; jednak ów Jonasz dłuta Lorenzetta, według rysunku Rafaela, owo podnóże, wykonane przez Michała-Anioła do posągu Marka Aureliusza, czyby wywo-ływały mniej podziwu, gdyby je zrobiono nie z kolumn wydartych świątyni Kastora?

Wszakże, już w tym okresie oświeconego wandaliz-mu, zamiłowanie do starożytnictwa zaczyna się ujawniać i wzmacniać stopniowo. Ówczesni bowiem, jeśli nie dokła-

dają starań ku uratowaniu resztek Rzymu starego, jeśli nawet współnictwo winy w ich niszczeniu spada na współczesnych, to budowniczy i artyści pojmują wartość tych ocalonych resztek i odrysowują je starannie. Poggio pisze swą „Podróż po Rzymie“, pomijając skwapliwie wszelkie pamiątki chrześcijańskie. Biondo poświęca Eugeniuszowi IV swą „Roma instaurata“ — szkic topograficzny miasta odwiecznego, w którym, bez względu na omyłek tysiące, przebija zachwyty przed dwoma okresami starożytności. Papieże biorą pod opiekę pomniki rzymskie. Humanista na tronie papieskim, Pius II-gi, którego wzruszenie na widok każdej ruiny starożytnej zdradzają własne komentarze, płacze w słynnym epigramacie nad marmurami najpiękniejszymi, obróconymi w gruzy przez ciemną tłuszcę. Używa on swej całej powagi, popartej karami surowymi, by wzbronić dalszego dzieła zniszczenia. Następca jego, Paweł II, aczkolwiek zaniepokojony w większym stopniu od swego poprzednika na widok pewnych objawów groźnych Odrodzenia, gromadzi zachwycający zbiór bronzów i kamei starożytnych, a nadto rozkazuje odnowić łuki tryumfalne i rzeźby. Sykstus IV zakłada muzeum kapitolinckie; Juliusz II — watykańskie, stawiając w niem Apollina przy Laokoonie i innych arcydziełach dłuta, świeżo wydobytych z pod ziemi — muzeum idealne, gdzie na przepysznym dziedzińcu Belwederu, wśród wonności pomarańczowych i szmeru wodotrysków, marmurowe bogi mieszczą się w półokrągłych wnękach rysunku Bramanta. Leon X mianuje Rafaela kustoszem starożytności, powierza Michałowi-Aniołowi kierownictwo poszukiwań naokoło łuku Septymiusza-Sewera. Nad starożytnymi pomnikami zawisła znowu groza zagłady pod panowaniem Sykstusa V, który nakazuje zburzenie Septizonium tego cesarza; niemniej przeto okres poszukiwań naukowych stanowczo uważać należy za rozpoczęty. Od r. 1546 do 1565, z polecenia kardynała Aleksandra Farneze, zarządzane zostały badania części Forum, gdzie odnajdują napisy wielkiej wagi. Trzeba też przyznać, że tak ważną gałąź archeologii jak epigrafia, nieprzestawano nigdy uprawiać w Rzymie.

Znacznie dawniej, aniżeli się rozpoczęło Odrodzenie XV i XVI stulecia, nawet jeszcze przed jego chwilowem ocknięciem za czasów Karola Wiekiego i Alcuina, układano zbiory napisów. Zdaje się, że w tych czasach odległych wprawiali się szkolarze w kopiowaniu napisów z marmurów autentycznych, jako ze wzorów pisarskich. Z końcem stulecia VI-go, VII-go, i VIII-go, znajdujemy syllogi epigraficzne; następnie zaś kompilacye materyału pochodzące

Wszechuropejski ruch archeologiczny nie został bez wpływu na społeczeństwo polskie. Rozgłos prac rozpoczętych i wyników — dzięki im — osiągniętych, ozwał się natychmiast echem donośnem w kole uczonych i miłośników wiedzy na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej. Potężny rozum Kollataja przedstawia mu jasno te korzyści naukowe, które z archeologii osiągnie z czasem wiedza historyczna. W liście do Tow. przyjaciół nauk, dowodzi on nieodzowności rozpoczęcia prac archeologicznych, zachęca do badań i poszukiwań, co więcej, szkicuje ogólny plan działania. Nawet nieco wcześniej występuje na widowni naukowej Jan Potocki, a brat jego Stanisław tłumaczy dzieło Winkelmanna. Wkrótce potem, Adam Czarnocki, Surowiecki i Lelewel rozpoczynają plejadę archeologów polskich stulecia XIX-ego, która — jeśli nie zdołała poszczycić się wynikami tak doniosłymi jak te, których świadkiem stały się, niektóre zwłaszcza, kraje europejskie, niemniej zdobyła sobie stanowisko wydatne i nader poważne.

Badania archeologów polskich, przeważnie są skierowane ku przedmiotom najbliższemu nas obchodzącym, a więc ku swojskim. Jest to wynik, po części, z jasnego pojmowania tej prawdy, że dla zbadania ewolucji kulturalnej w danym narodzie trzeba nagromadzić jak największą liczbę własnych jego świadectw, a dopiero później porównać je z obcokrajowemi, po części zaś tego, że u nas ludzi oddanych archeologii, a takich, którym by stan materyalny nie stawał na przeszkodzie ku wyprawom dalekim, — było niewiele. Wszakże i pod tym względem poświęcenie dla przedmiotu i zamilowanie doń powoduje, że taki Jan Potocki przedsięwzięcie podróży na około Kaukazu; Czarnocki, część życia poświęca zwiedzaniu obszarów państwa rosyjskiego i pierwszy zwraca uwagę badaczy na znaczenie tych lub innych zabytków przeddziejowych; Eustachy hr. Tyszkiewicz i kilku naśladowców gromadzą starożytności skandynawskie, jako związane ze starożytnictwem krajowem; Kremer zwiędza Włochy, wprawdzie celem poznania sztuki czystej, lecz nie pomija i zabytków ściśle archeologicznych; Ossowski rozszerza badania swe po całym niemal obszarze od Bałtyku do porohów dniprowych. Przykładów takich moglibyśmy przytoczyć więcej.

Usiłowania pojedyncze, przedsiębrane w pierwszej połowie stulecia, w środkowej dobie jego podlegają próbom systematyzacyi w Ionie komisyi i towarzystw naukowych, powstających w Wilnie, Poznaniu i Lwowie; Aka-

go częścią z tego okresu Karolingów, częścią pogańskich bez różnicy, częścią wreszcie z drugiej seryi syllogów datujących od XII-go, XIII-go i XIV-go stulecia. W tych kompilacjach są odtworzone zarówno napisy rzymskie, jak i teksty epigraficzne, pochodzące z miast nie tylko włoskich, lecz i gallickich, hiszpańskich, portugalskich i rzymsko-afrykańskich. Bez wątpienia, błędy przepisywaczy i tłumaczy są tu liczne: tablicę brązową, z wrytym na niej

demia Jagiellońska otwiera katedrę archeologii, zaś towarzystwo naukowe krakowskie przeistacza się w akademię umiejętności, ze specjalną komisją archeologiczną, która rozwija działalność energiczną, wysyłając licznych delegatów w różne strony kraju dla poszukiwań. Jednocześnie, osoby pojedyncze nie ustają w poszukiwaniach, ogłaszając o nich swe sprawozdania w pismach specjalnych, odbitkach, czasopismach popularnych, broszurach osobnych, a nawet w dziełach obszerniejszych.

W drugiej połowie stulecia, praca archeologiczna uczonych polskich nie wszędzie się rowijała z siłą jednakową. O ile znamieną była w Galicyi, Poznańskiem i Prusiech, o tyle w innych prowincjach można było zauważyć przez czas pewien zwolnienie pierwotnego jej tempa. Wszakże, ostatnimi czasy występują na widownię siły nowe, które zdają się zapowiadać, że jeśli nie tak prędko, a powszechnie, wiedzy polskiej sędzono zrównać się z wiedzą wszech-europejską, to w każdym razie, usiłowania jej miłośników zdążają ku temu, by niwę archeologii krajowej doprowadzić do tego rozkwitu, jaki jej rokowała samorzutność badaczy pierwszej połowy stulecia.

Rozpatrywanie działów specjalnych archeologii polskiej wykazało by nam, że każdy z nich posiada licznych przedstawicieli. Prócz wyżej wspomnianych Czarnockiego, Surowieckiego i Lelewela jednocześnie i później pracują: Czacki, Golebiowscy, Narbutt, Grabowscy, Siarczyński, Wagilewicz, Muczkowski, Podczaszyński, uznani za pierwszorzędne powagi przez uczonych europejskich. Nie szczedzą trudów i kładą ogromne zasługi, a cegła po cegle budują gmach archeologii krajowej: Tyszkiewicz, Przeździeccy, Kraszewski, Pol, Łepkowski, Żebrowski, Krèmer, Szulc, Bartoszewicz, Beyer, Wójcicki, Stronczyński, Sobieszczański, Żegota Pauli, Rastawiecki, Polkowski, Engeström, Rogawski, Przybysławski, Biernacki, Wolański, Dowgird, Kirkor, Ossowski, Pawiński, Gloger, Kopernicki, Przyborowski, Schneider, Ziemiński, Erzepki, Dzieduszycki, Szaraniewicz, Czolowski, Petruszewicz, Łoziński, Zacharjewicz, Sadowski, Radziwiński, Zawisza, Ślusarski, Talko, Hryncewicz, Dudrewicz, Nejman i tylu innych; ostatnimi zaś czasy odznaczają się Kopera, Majewski, Demetrykiewicz i wielu młodych, których prace wychodzą w rocznikach i pismach poznańskich, krakowskich i lwowskich, od lat zaś dwóch w założonym przez Majewskiego, warszawskim „Światowicie“, a pierwiej jeszcze w „Pamiętniku fizyograficznym“.

reskryptem Wespazyana, poczytywano za ułamek prawa dwunastu tablic; pewien podróżnik stulecia IX-go wyklada ku wielkiemu zadowoleniu słuchaczy, że tekst etruski przechowany w Peruzie, jest napisem łacińskim z czasów Antoninów. Same te błędy świadczą o rozbudzonej ciekawości rozumu ludzkiego, oraz o tradycyi, choć mglistej, lecz przechowanej. W XV-em stuleciu zjawia się istotny założyciel epigrafii klasycznej,—Cyryak z Ankony, podróż-

Działy archeologii przeddziejowej, zabytków sztuki i archiwalny poszczycić się mogą licznymi nabytkami, tak w dziedzinie odkryć nowych, jak i opracowań materiałów dawniej przysporzonych. Pojawiają się ważniejsze prace, dające nam obraz badań ogólnych. Wybitnie odznaczają się między innymi dzieła następujące: Kraszewskiego «Sztuka u Słowian», Kirkora «Znaczenie i ważność zabytków pierwotnych», Sadowskiego «Drogi handlowe», Podczaszyńskiego «Przegląd historyczny starożytności krajowych», Grabowskiego «Ukraina dawna i teraźniejsza», Sobieszczańskiego «Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w dawnej Polsce», Przeździeckiego «O wzorach sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce»; Sprawozdania komisji do badań historii sztuki w Polsce, «Sprawozdania Zawiszy», Ossowskiego, Ślósarskiego o grotach i jaskiniach pod Krakowem i Ojcowem, Radziwińskiego i Glogera o niesłychanie ważnych wykopaliskach na Wołyniu. Ossowskiego, Kirkora i Kopernickiego o niemniej ważnych w Galicyi, Poznańskiem i Prusiech, Eust. Tyszkiewicza «Rzut oka na źródła archeologii krajowej», Konstantego Tyszkiewicza «Badania archeologiczne», «Wiadomości o zamkach i horodyszczach», «O kurhanach». Z działu numizmatyki wiele rzeczy znajdujemy u Czackiego, Bentkowskiego, Daniłowicza i in.. Wreszcie, nie kuszając się o wyczerpującą notatkę bibliograficzną, zwrócimy uwagę na cenną pracę Kopery i Cerchów o pomnikach krakowskich, którą po części z wielu względów, do prac nad archeologią zaliczyć można, oraz na wydawnictwo «Encyklopedyi staropolskiej» Glogera, wkraczającej również w dziedzinę archeologii, szerzej pojmowanej. Obie te prace znakomite zostały rozpoczęte jeszcze przed końcem stulecia, a chociaż jutrzienka wieku XX nie zastała je skończonemi, niemniej, przygotowanie do nich całkowicie w XIX-ym zostało uskutecznione.

Po za obrębem dzieł dających obraz badań ogólnych, wychodziły też pisma fachowe lub takie, w których były działy specjalnie archeologii poświęcone. I tak: Kraków wydawał lub wydaje: «Roczniki dla archeologów», «Dwutygodnik naukowy historii i archeologii», «Zbiór wiadomości dla sztuki krajowej». «Materiały antropologiczne, archeologiczne i etnograficzne», Warszawa — «Przegląd archeologiczno-bibliograficzny», «Wiadomości archeologiczne», «Światowit»; Lwów «Przegląd archeologiczny», Poznań «Za-

nik wytrwały, który już w jedenastym roku życia rozpoczyna swój zawód, zwiedzając wschodnią część basenu śródziemnego, Włoch, Illyryi, Grecyi, Archipelagu, Azji, Egiptu: — bada pomniki, kopiuje napisy i zbiera pozostałości rękopiśmienne. Jednocześnie, lecz nieco później, liczni humaniści bądź kopiują, bądź gromadzą autentyki, a duchem poganin Pomponiusz Leto, ówczesna gwiazda humanistów, zostaje prezesem akademii rzymskiej. Po nim i jego przyjaciółach należało się spodziewać, że zaniebają teksty chrześcijańskie; istotnie, w zbiorach odnośnych nie spotykamy ich wcale. Owe tradycje IX-go stulecia — kiedy to z równą czcią gromadzono relikwie obu okresów starożytnych — odnawia Pietro Sabino, głosząc, że nie należy gardzić napisami rytymi na pomnikach chrześcijańskich. Jego „Corpus“ epigraficzny, ułożony równocześnie prawie z korpusem we-

piski archeologiczne, Toruń «Roczniki Tow. Naukowego», oraz inne mniej znane, lub mniej specjalne.

Praca naukowa nie ograniczała się na samych tylko wydawnictwach, spotykamy się więc z wystawami, których było kilkanaście i ze zjazdem lwowskim w 1885 r., nadewszystko zaś ze zbiorami. Wileński, założony zasługą, uczonością i poświęceniem Eustachego hr. Tyszkiewicza, wzbogacił następnie zbiory inne. Muzeum wileńskie, w dziale ścisłej archeologii posiadało materiały nadzwyczaj cenne; katalogowane przez Kirkora, zawierało: zabytki mitologiczne pogańskie, wydobyte z Iona ziemi; także z kurhanów skandynawskich; wykopaliska kurhanowe chrześcijańskie; broń kamienną, brązową i żelazną, jako przedstawicielki trzech przedhistorycznych okresów rozwojowych; wreszcie ryzsztunki i numizmatykę. Prócz zbiorów wileńskich najważniejszymi z założonych w stuleciu XIX-ym na ziemiach polskich są te, którymi się chlubi gabinet archeologiczny przy krakowskiej akademii umiejętności, gdzie się mieści, między innymi, słynny posąg Świątowida, wydobyty ze Zbrucza. Dalej idą lwowskie muzeum narodowe imienia Ossolińskich, poznańskie Tow. przyjaciół nauk, wreszcie liczne zbiory instytucyj i osób prywatnych jako to: Czartoryskich w Krakowie; Dzieduszyckich, ze słynnym złotym skarbcem michałkowieckim, we Lwowie; Zamoykich, Krasińskich i Przezdzieckich w Warszawie; Raczyńskich w Poznaniu, Działyńskich w Kurniku, Potockich w Łańcucie i Willanowie, (ostatni, obecnie jest własnością Ksawerego hr. Branickiego), Radziwiłłów w Nieświeżu, Sanguszków w Podhorcach, Tarnowskich w Dzikowie, Głogera w Jeżewie, Chojnowskiego i wiele innych mniejszych, w liczbie których nowozałożony, już obfitujący w zabytki przedhistoryczne, zbiór Majewskiego w Warszawie.

rońskim Fra Giocondo, odtwarza nawet teksty średnio-wieczne, tyle drogocenne dla dziejów Kościoła rzymskiego.

Zbliża się chwila, gdy erudyci poczną się zastanawiać nad starożytnościami chrześcijańskimi. Pierwszy zapal Odrodzenia ostyga nieco: humanizm traci swe, zbyt wyłączne i jednostronne, zamiłowanie do przeszłości klasycznej. Spory religijne XVI-go stulecia zwracają również umysły rozważne, ku studjom bardziej bezpośrednim nad początkami chrześcijaństwa. Podczas gdy Baroniusz pisze swe kroniki, Giacconio, de Winghe, Makaryusz, choć jeszcze nie dość wprawni, rozpoczynają poszukiwania zabytków figuralnych, dojrzanych 1578 r. w tym „Rzymie podziemnym“, którego kilka korytarzy odkrywa szczęśliwy przypadek. Przychodzi Bosio, odkrywca katakumb. Wyniki tych poszukiwań pod różnemi postaciami, dały

Archeologia polska, acz nie w takich rozmiarach, jak wiele innych jej towarzyszek wszech europejskich, przysparza z dniem każdym bogactwa naukowego. Uчени pracują systematycznie, wyrabia się krytycyzm, ostrożność w stawianiu wniosków, co zwłaszcza w dziale przedhistorycznym, po wielu doświadczeniach, stało się zasadą elementarną.

Jak wiadomo, jednym z najważniejszych dla świata słowiańskiego zagadnień, jest najprzód kwestya pochodzenia Słowian, powtóre oznaczenie czasu osiedlenia się ich na ziemiach historycznie słowiańskich. Pierwsza, nawet w szczegółach swych, została już rozwiązana w przekonaniu wszystkich umysłów nieuprzedzonych. Gdzie niegdzie uważają nas jeszcze za prawnuków sarmackich i scytyjskich, ale to są odgłosy dawno przebrzmiałej piosenki. Co do drugiej, to już historycy pierwszej połowy stulecia oraz archeologowie: czeski Szafarezyk i nasz Leleweł, podważyli na podstawie danych historycznych teorię niemiecką, dowiódłszy, że Słowianie przed Niemcami posiadli kraje, na których zastało ich dziejopisarstwo. Archeologia, w połączeniu z antropologią przedhistoryczną, nie tylko że to potwierdza, lecz dowodzą że Słowianie, jako szczerp aryjski, rozrodzili się na swych, ziemiach między Karpatami, a Bałtykiem zanim jeszcze Germanowie, również szczerpu aryjskiego, ruszyli się ze swych siedzib nad m. Północnem.

Uplynie czas, a nauka wszech europejska uzna tę prawdę. Nawalnicza opacznie lub jednostronnie tłómaczonych faktów przez naukę niemiecką jeszcze trwa w pełni siły, chociaż pioruny ucichły; jednakże, przed oczywistością, przed zdobyczami wiedzy, musi i ta nauka scharlić w końcu czoła, uznać prawdę historyczną, potwierdzoną przez prace starożytników polskich którzy w tej mierze, a bez uprzedniego porozumienia, idą w zawady z archeologami wszech-słowiańskimi. (Przyp. tłóm.).

w połowie XVII-go stulecia początek archeologii chrześcijańskiej, a przynajmniej temu jej działowi, którego treścią były studia nad podziemiami, wykutymi przez pierwszych chrześcijan, a stanowiącemi świadectwo chwały lub męczeństwa a także nad szczegółami odrębnej architektury, napisami i malowidłami, które przy porównaniu pomników i tekstów zdradzają liczne kwestye religijne, historyczne, a nawet prawne. Okres wielkich odkryć w dziedzinie archeologii chrześcijańskiej, rozpoczęty przez Bosia, zamyka się na razie prawie, u swych początków, dzięki temu, że eksploatawanie katakumb w XVII-em i XVIII-em stuleciach, było, niestety, prowadzone bez żadnego ładu i systemu. Następcy więc jego Boldetti, Buonrarotti, Marangoni, Bottari, bez względu na zostawione przez nich szczegóły drogocenne — nauki posunąć nie zdołali. Niemniej przeto, krótkotrwała praca tak wielkiego człowieka, jak Bosio, wywarła wpływ stanowczy; gdy bowiem we dwa wieki później archeologia chrześcijańska rozpocznie na nowo swój pochod, trafi od razu na ślady głębokie, wyżłobione na gościńcu naukowym, dzięki zabiegom Bosia.

Odnalezienie katakumb i bezpośrednio za tem idące publikacje Bosia — oto jedyny prawie, doniosły fakt archeologiczny w stuleciach dzielących Odrodzenie od czasów obecnych. W dziedzinie starożytności świeckich, w tymże okresie przedsięwzięto w Rzymie nie wiele poszukiwań poważnych, nie dla tego wszakże, by wiedza zostawała bezczynną, lecz, że się ona nieco przedwcześnie zaczyna obliczać, pragnąc dojść do syntezy dotychczasowych wyników, lub też w dalszym ciągu rozwija swe gałęzie, tak uboczne, jak epigrafia, o której początkach mówiliśmy, i numizmatyka. Jednocześnie, archeologia z dniem każdym wyłania się coraz więcej poza brzegi swej rzymskiej kolebki; w całej prawie Europie, np. we Francyi, Holandyi, Niemczech, Szwajcaryi i Anglii, są już archeologowie, a z nich wielu znakomitych.

Nad epigrafią pracują uczeni pierwszorzędni, jak flamandczyk Grüter, neapolitańczyk Mazzoichi, rzymianie Fabretti i Marini. Długi czas piśmienny zbiór Fabrettiego był

uważany, jako klasyczny przez każdego, kto się pragnął poświęcić studjom nad łacińskimi napisami, lub też używał ich do celów historycznych. Dzieło Moriniego o aktach i dokumentach „braci Arvales“, nawet zadni naszych i już po wydawnictwie Heuren'a, nie przestało być kapitalnem, skoro idzie o pojęcie starożytności rzymskich; pozostałe długo jako manuskrypt, część jego, dotycząca napisów na wazach, dostąpiła zaszczytu być drukowaną w r. 1884. Nade wszystko jednak, w stuleciach XVII-em i XVIII-em, uczonych pociąga do siebie numizmatyka. Wszyscy archeologowie opisują albo klasyfikują medale. Holender Smet zabawia się opisem własnego gabinetu numizmatycznego, ale rzymianin Orsini, na podstawie medali, układa całe serje rodów znakomitych w rzeczypospolitej rzymskiej; szwajcar Morell studyuje w tenże sposób starożytne rody rzymskie; dyplomata genewski Spanheim, aczkolwiek jest autorem dowcipnych pamiętników o dworze francuskim, pisze jednak komentarze, przy których posiłkuje się medalami i pomnikami z „Cezarów“ Juliana; włosch Banduri, po otrzymaniu indygenatu francuskiego, wydaje medale cesarzy rzymskich; francuz Vaillant studyuje nietylko numizmatykę cesarską, lecz i tę, która dotyczy rodzin, kolonij, miast i poraz pierwszy, oddając ją na usługi historyi Wschodu, próbuje odtworzyć przy pomocy medalów kroniki Arsacydów, Seleucydów i Ptolomeuszów — tych starożytnych władców Pontu, Bosforu i Bitynii. Jeszcze inny francuz, Pellerin, porzuciwszy zgubną metodę klasyfikowania monet i medali, względnie do użytego na nie kruszeu, lub ich kształtów, zapoczątkowuje klasyfikację na zasadzie działów geograficznych i toruje w ten sposób nową drogę, której trzymać się będzie wielki numizmatyk austriacki Eckhel, w swem klasycznem dziele. Ten ostatni jest jezuitą, na równi z uczonym o. Hardoninem, którego numizmatyka doprowadza do powątpiewań o prawdomówność wielu ksiąg starożytnych, na równi z oo. Jobertem, którego „Nauka o medalach“, doczekała się licznych wydań i Zaccharia, słynniejszym przez swą „Historję literatury we Włoszech“, aniżeli przez swe „Instytucye numizmatyczne.“

Nazwiska te, których liczbę dałoby się snadnie pomnożyć, wskazują, jak silnym był ów prąd, który wiódł umysły ku badaniom archeologicznym. Uczeni przeważnie się specjalizują; resztę publiczności ciekawej obchodzą kwestye bardziej ogólne. Tak się zwłaszcza dzieje we Francyi, w ciągu stulecia XVIII-go, kiedy to umysły zdają się być ożywione jakąś łatwością jeśli nie zgłębiania, to przynajmniej dotykania wszelkiego rodzaju przedmiotów. Jest to okres wielkich miłośników-światowców, skorych do biada, snujących się po salonach, lecz niewzdragających się nawet czasami przed podróżą, a uzdolnionych do pisania jedną i tą samą ręką dzieł żartobliwych i wielkich *in folio* Ksiąg przepelnionych sprawozdaniami treści naukowej.

Hr. Caylus, jako autor „Zbiorów“ starożytności egipskich, etruskich, greckich, rzymskich i gallickich, traktatu o numizmatyce, a zwłaszcza obszernego dzieła o malarstwie starożytnem, jest uosobieniem tego rodzaju erudytów. Ks. Barthélemy'ego — przyjaciela Choiseulów — zaliczyć również do nich należy, skoro swą erudycję zwracał kolejno bądź ku Wschodowi, studyując pomniki fenickie i napisy Palmiry, bądź ku Grecyi, której muzykę badał z taką samą starannością, jak finanse, wlewając w nią nowe życie na stronnicach najpopularniejszej z dzieł swoich i dziś jeszcze godnej czytania: „Podróży młodego Anacharsisa“. Nawet w murach klasztorów reguły najsurowszej, zachowują się uprzejmie i gościnnie względem erudycyi francuskiej XVIII-go stulecia. O. Bernard Montfaucon, wydając rzecz o Ś-y m Janie Chryzostomie i „Pomniki monarchii francuskiej“, pisze jednocześnie dzieło archeologiczne p. t. „Wykłady o starożytności“, nie zaniedbując w chwilach wolnych poświęcić się, wraz ze swym owarzystem Mabilon'em, kółku gawędziarzy miłych a uczonych, t. zw. „Stowarzyszeniu St.-Germain des Près“. Benedyktyńscy ci antykwaryusze, są zarazem ludźmi światowymi.

Nieraz już powtarzano słowa Talleyrand'a: „kto nie żył przed r. 1789, temu słodczyce życia nie są znane“.

Słowa te pod wieloma względami można zastosować do archeologów. W stuleciu XIX-em starożytnictwo stało się już prawdziwą nauką. Obecnie, zachowywać się względem archeologii po amatorsku — już nie wolno. Bo też, nie tracąc czasu na studia powierzchowne do jakich wiodło ją do tej pory tylko zaciekawienie, archeologia uczyniła istotnie wielkie postępy w ciągu lat stu. Rzym, obszukiwany w stuleciach poprzednich dla przyjemności, przez uczonych hojnie popieranym ręką mecenasów, zaczyna być badany z całą powagą naukową. Grecya, na którą erudyci wieku poprzedniego patrzyli jedynie przez pryzmat podań rzymskich, staje się bezpośredniem polem dla studyów. To też na równi z dochodzeniami jej początków narodowych, zaczynają się dochodzenia wewnętrznych, a czysto oryginalnych szczegółów sztuki greckiej i jej ducha. Wschód powiedział nam wprawdzie wiele o tej sztuce i duchu, ale najwięcej mówi o sobie samym, o podboju, jaki tu Grecya dokonała; przeczytaliśmy bowiem napisy i odgrzebaliśmy pomniki wschodnie, co stanowi chwałę archeologii XIX-go stulecia.

Naprawdę, olbrzymia ta praca, dokonana już w czasach obecnych, została naszkicowana, a co najmniej zapowiedziana w tym krótkim okresie, kiedy zapadał zmrok stulecia XVIII-go, a świtały zorze XIX-go. Miasto zwalisk ów Rzym, pośród którego duch ludzki, jak gdyby nawykły do horyzontów starożytnych, marzy o tych nawet, które mu znikły z przed oczu, — miasto owo ujrzało w swych murach kilku archeologów, posiadających tak wielki dar odgadywania, że graniczył poniekąd z genialnością. Jakże sympatyczną jest ta postać Winckelmana! Syn ubogiego szewca z Marchii brandenburgskiej, pokonywał wszelkie trudności, by zostać obywatelem rzymskim i pisał „Dzieje sztuki starożytnej“, a chociaż pisząc, nie zawsze ma przed sobą pomniki tak dalece autentyczne, jak mu się wydają, niemniej przygotowuje zawczasu ramy, które wypełnią jego następcy.

Dzieła Winckelmana nie pozostały bez wpływu na losy Enniusza Quirynusa Visconti'ego. Skończywszy pracę

około opisu watykańskiego muzeum rzeźb, stworzonego przez Klemensa XIV-go i Piusa VI-go, udaje się do Paryża, gdzie klasyfikuje i kieruje opisem areydziel włoskich, przeniesionych tam po zwycięstwach Francuzów; wydaje ikonografię grecką i nowożytną, zostaje przytem w liczbie założycieli paryskiego muzeum starożytności. Dzieła Winckelmana wpłynęły i na duńczyka Zoega, który również otrzymał indygenat rzymski. Zaciekawiają go na przemian, to Rzym — gdzie rozpoczyna studia topograficzne i wydaje płaskorzeźby — to Egipt. Z ziemią Faraonów i Ptolomeuszów zapoznaje się intuicyjnie, nieruszając się z Rzymu, a to w ten sposób, że opublikowanie monet cesarskich, bitych w Egipcie, zawartych w bogatym muzeum jego protektora kardynała Borgia, doprowadziło naszego duńczyka do studyów nad Egiptem samym i do poszukiwań tajemnic religii i dziejów tego kraju. Mając przed sobą ograniczoną ilość źródeł, stara się je zastąpić nauką języka Koptów, a nie ustaje w zbieraniu objaśnień i tekstów. Pius VI-ty poleca mu opisanie obfitych obelisków egipskich w Rzymie, które papież ten kazał popodnosić; pisze więc o nich dzieło — dziś już wprawdzie pozabawione wartości naukowej, gdyż w owym czasie hieroglify były literą martwą — lecz dające świadectwo olbrzymiego wysiłku, jaki autor uczynił wśród zupełnych jeszcze naukowych ciemności. Tłómacz „Symboliki“ Kreuzera, Guignaut, wyraża się o nim w sposób następujący: „Poczęte i wykonane według wspaniałego planu, odznaczające się głębokością i szerokością podstaw, subtelnością szczegółów, a zarazem surową prostotą stylu, dzieło to, duchem iście egipskie, jest poważną zapowiedzią prac stulecia naszego, pomnikiem jakby tajemniczym, lecz pełnym obietnic, na rozgraniczu dwu wieków“.

Uczeni europejscy wtargnęli do Egiptu wślad za Bonapartem. Rozpoczęły się wówczas zdobycze naukowe — trwalsze od wojennych. Staraniem instytutu i komisji otwartej w Kairze w r. 1798, zostało wydane obszerne dzieło p. t. „Opisanie Egiptu“ w dwudziestu dwóch tomach *in folio*. Wszakże Egipt, choć już lepiej podówczas znany,

nie byłby odsłonił tajemnic swoich, gdyby nie genialny Champollion. Studyjując za przykładem Zoega język Koptów, w którym, jak sądził, przechowały się resztki staroegipskie, uzupełnił on zdobycze duńskiego filologa Akerbleda, i po cierpliwych poszukiwaniach odnalazł słynny napis w Rozecie. Napis ten, ułożony w trzech językach, stał się kluczem do hieroglifów. Gdy Champollion w czterdziestym roku życia umierał, podstawy egiptologii już istniały. Następcy jego idą odtąd drogą przezeń wytkniętą; są więc w możności wyczytywać, jak w otwartej księdze, teksty ryte w granicie ostrosłupów i obelisków, na podwalinach posągów, na sarkofagach, ścianach pałaców i świątyń, lub malowane na pułdach zawierających mumie i na zwojach papyrusów.

Wielkie swe odkrycia Champollion porobił we Francji; dopiero pod koniec życia sądzonem mu było zwiedzić kraj, którego ducha otworzył dla innych. Z tą chwilą, nauka egiptologii śpieszy prądem dwoistym: tacy, jak Letran, Lenormant, Rougé, Chabas — we Francji; Lepsius, Brugsch, Ebers — w Niemczech, popularyzują egiptologię przez wykłady publiczne, studia nad starożytnościami zawartemi w zbiorach europejskich i wydawnictwa książek. Inni, jak Mariette, Maspero, albo uczniowie ich szkoły, w Egipcie samym rozwijają naukę o tym kraju, dorzucając niemal codziennie nowe przyczynki do odkryć dawniejszych. Gdy pierwszy z nich dociera do memfickiego Serapeum, poprzez aleę sfinksów, zasypanych piaskami do pół ciała lub całkowicie jeszcze za czasów Strabona; gdy drugi, odwijając bandaże z mumij królewskich w muzeum Bulaku, odsłania rysy Faraonów współczesnych Mojżeszowi i w ten sposób przez umiejętne zestawienie stwierdza, do jakiego stopnia oryginały podobne są do posągów lub malowideł, które je wyobrażają — wówczas same dzieje Egiptu zdają się wyłaniać z pomroki i wracać do życia. Wyłaniają się ich składniki, gdy w papyrusach, na równi z solennem nauczaniem pod postacią „ksiąg umarłych“, znajdujemy bajki ludowe, opowieści romantyczne, a fantazyjne, lekkie, czasami nawet sprosne karykatury,

które, przed zdziwionym wzrokiem widza, odsłaniają nagle niespodzianą dlań stronę ducha egipskiego. Więc zwodnicze wrażenie jednostajności i majestatu, otrzymane dawniej skutkiem poglądu powierzchownego, jaki mieliśmy na sztukę egipską, traci na znaczeniu, zwłaszcza, gdy w grobach królewskich, jak te np., które odkrył niedawny Morgan w Daszkurze, znajdujemy mnóstwo kosztowności złotych, wysadzanych kamieniami, roboty tak doskonałej, że trudno o lepszą. Poszukiwania nie ustają od lat pięćdziesięciu. Uczni, stale pełniący służbę przy starożytnościach egipskich, misye francuskie, angielskie towarzystwo eksploracyjne, współzawodniczą w śmiałości poszukiwań i ich powodzeniu. Począwszy od grobowców starego państwa, aż do pomników Egiptu grecko-rzymskiego, przeszłość kraju tego z swemi niewyczerpanemi bogactwami — ongi zagadkowa i mileżąca, jak jej granitowe sfinksy — odsłania się obecnie przed archeologami.

Skutkiem dziwnego zbiegu okoliczności, eksploracya świata assyryjskiego rozpoczęła się jednocześnie z egipską. Istotnie, była ona jeszcze trudniejsza. W Egipcie, pomniki stały przynajmniej na miejscu. Zwiększano ich liczbę nieustannie, a opowiadania podróżników w starożytności i czasach nowszych wyrobiły im rodzaj legendowej popularności. Nie zważając na trudności przy odczytywaniu, teksty hieroglificzne czytano nietylko na pomnikach pozostałych na swych miejscach, ale i na tysiącach okazów, rozrzuconych po wszystkich zbiorach europejskich. Z rzadkimi okazami pisma chaldejsko - assyryjskiego, zagrzebanymi wraz ze świątyniami i pałacami pod pagórkami, które same tylko wskazują gdzie były ich miejsca wśród olbrzymiej równiny Azji wyższej — rzecz się ma inaczej. Niemniej, zaraz na początku stulecia XIX-go, w chwili gdy Champollion znajdował klucz do hieroglifów, zdawało się, że traf szczęśliwy wkłada w ręce hanowerczyka Grotefenda klucz do napisów konicznych. Jednakże, hipoteza tego uczonego, aczkolwiek sama przez się dokładna, pozostała by martwą, gdyby nie prace bardziej ścisłe i metodyczne tych uczonych, którzy przestudjowawszy trzy języki, ukryte w dziwacznych znakach rytych na marmu-

rach Persepolisu, rozpoznali w jednym z nich narzecze semickie, używane nad brzegami Eufratu i Tygru przeszło dwadzieścia stuleci temu. Od pół wieku, zatem, na niezliczonych odłamkach gliny, pochodzących ze zniszczonych stolic Assyrii i Chaldei, czytamy napisy, ułożone w temże narzeczu. Poszukiwania Botty, Place'a, Layarda w Niniwie, — Layarda, Rawlinson'a, Lejean'a, Opperta w Babilonie, odkrycia jeszcze nowsze Sarzec'a, prace około odcyfrowania i interpretacyi dokonywane we Francyi przez Longperrier'a, Sauley'ego, Franciszka Lenormant'a, Joachima Ménant'a, a w Anglii przez Rawlinsona, Narrisa, Smith'a oświeciły mrok tajemniczy tych wspaniałych cywilizacyj, których zasłonę, w połowie stulecia, zaledwo można było uchylić po przez opowieści Berosa, Diodora i biblijne.

Cywilizacye te mówią nam o sobie w tekstach i pod postacią figur rytych na cegle i wałkach z gliny wypalanej, których muzea nasze posiadają obecnie tak wielką ilość. Ich płaskorzeźby kolosalne zapełniają galerie muzeum brytańskiego i Luwru. Za pomocą rzeźb tych, bez zbytnej wyobraźni, zda się odgadujemy podobieństwo cech dwu tych potęg cywilizowanych, które po kolei panowały nad obszarami Mezopotamii, aż do chwili, gdy zdobył perska pogrążyła, wedle słów biblijnych, „ich królów, magów, urzędników i żołnierzy w śnie wiecznym“. Jeśli zużytkujemy opowiadania podróżników i opisy archeologów, a te głazy olbrzymie wtłoczymy w ich pierwotne ramy, jeśli wśród nagich równin chaldejskich wywołamy przed oczyma wyobraźni usypiska, wzniesione ręką ludzką, na których piętrzyły się olbrzymie wieże i pałace, jeśli u stóp tych murów z cegły emaljowanej rozłożymy w myśli ciężką kamienną mozaikę z ofiar, orszaków królewskich i tłumów niewolniczych, wydarzeń wojennych, a myśliwskich, — to się znajdziemy wobec ideału potęgi męzkiej, posiadającej w sobie siłę, nieledwie, że zdolną wszystko unicestwić. W osobach tych bogato przybranych, ugrupowanych w pozach jednokowych, silnych a zarazem sztywnych — w figurach tych nieomal abstrakcyjnych — gibkie linje ciała zawsze są pozbawione ruchu i życia (w przeciwstawieniu z rzeźbami, przed-

stawiającemi zwierzęta, zawsze w ruchu całkiem naturalnym); nigdy też promień wdzięku kobiecego nie przyświeca tej ponurej wspaniałości. I gdyby nawet odczytanie pisma konicznego na ceglach i księgach bibliotek królewskich, nie doszło do skutku, to już sam widok pomników odtworzonych dzięki archeologii, lub ich ułamków zawartych w muzeach, dałby jasny obraz tego, jak wielkim ciężarem legła na świecie azyatyckim owa cywilizacya chaldejsko-assyryjska, przeklęta przez proroków hebrajskich. Rzecz szczególna, że Egipt, którego duch wydaje się zawsze zwracać ku grobowi, jest żywotniejszy od mądrej, a tajemniczej Chaldei, wpatrzonej w gwiazdy. Jest więcej światła we wzroku sfinksów marzących wśród pustyni, aniżeli w spojrzeniu tych byków o ludzkiej twarzy, strzegących pałaców assyryjskich.

Sztuka assyryjska dała początek tej, która zakwitła u Persów, zdobywców Babilonu. Mniej surowa od swej rodzicielki, bogatsza, odpowiedniejsza dla społeczeństwa bardziej miękiego — choć w gruncie tego samego co i assyryjskie — nowa sztuka ukazuje się w Suzie, w oym pałacu Dariusza, tak świetnie odtworzonym za dni naszych przez wykopaliska p. Dieulafoy. Te główce dwugłowe, belkowania olbrzymie, nadzwyczajne fryzy wielobarwne, jakże silne wrażenie sprawiają na widzu, gdy na nie patrzy w jednej z sal Luwru. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że tu się dopatrzymy wielkiego wpływu semitów assyryjskich na rozwój artystyczny narodu pochodzenia innego, na gałąź aryjską, oddzieloną od państw Azji wyższej olbrzymiami przeszczerzeniami łądu i wód. Przypatrzwszy się bliżej Egiptowi, widząc jak dalece sztuka jego była urozmaicona, zamiłowana w scenach bytu domowego, umiejętna w wywoływaniu życia choćby wśród cieniów śmierci, a udoskonalona gdy przedstawiała nawet nagości ciała, bylibyśmy skłonni do przyznania, że ten Egipt brał udział szeroki w obudzeniu poczucia barw i kształtów w sztuce greckiej. Wszakże, jeśli Grecy zawdzięczają coś Egipcyanom, to znacznie więcej winni są Assyryi, gdyż jej zdobienia w kształcie figur geometrycznych, zwierzęta bajeczne, figury o kształtach zwię-

złych są równie harmonijne i swobodne, jak te, które przedstawiał naturalizm podczas wykwitu sztuki greckiej. Egipt, skutkiem zazdrosnej polityki swych władców, długo był zamknięty dla Grecyi i nie otworzył przed nią podwoi, aż wtedy, kiedy jej arcyzm zaczął się krystalizować. Przeciwnie, wpływy wschodnie, bądź za pośrednictwem Fenicyan, ujarzmionych przez Sargonidów assyryjskich, bądź za pośrednictwem ludów Azji mniejszej, jak Fenicyanie, Lydyjczycy, Kappadocyanie — których sztuka narodowa wiąże się bezpośrednio z babilońską — zawitały do Hellenów znacznie wcześniej. Z wpływów tych Grecy otrzęśli się prędko, a raczej, przyjąwszy raz to, co one przyniosły, przekształcili je po swojemu, dzięki zdolnościom twórczym, oraz wrodzonemu poczuciu miary i smaku, którym cywilizacya grecka zawdzięcza swój szybki wzrost, a które ją wyróżniają wybitnie, od powierzchownej nieruchomości świata wschodniego. Studya porównawcze, dokonywane dzięki odkryciom nowoczesnym, wykazują udział jaki Fenicya, Cypr, Assyrya, Lydia i Frygia, nawet Egipt, acz w mniejszym stopniu, wzięły w pierwszym, artystycznym kształceniu Hellenów, dzięki mniej lub więcej ścisłemu, mniej lub więcej bezpośredniemu stosunkowi z nimi. Bez względu na pewne zdania niezgodne w tej mierze, zdaje się rzeczą całkiem dowiedzioną, że jeśli „szlak, przecinający Azję mniejszą, nie jest zapewne jedyny, po którym przez łądy i morza przyniesiono to ziarno, które następnie zakiełkowało na gruncie greckim i wydało tam cudne owoce, to przynajmniej najgłówniejszym z tych szlaków jest ów gościniec królewski, łączący bezpośrednio Babilonię i Niniwę ze Smyrną, Milet, Efezem i Athenami.“

O rzeczach tych nie wiedziano nietylko w początkach stulecia XIX-go, t. j., gdy pracował Winckelman, lecz prawie do jego połowy, czyli wówczas, gdy genialny erudyta, Otfried Müller, wydawał swój „Podręcznik archeologii i sztuki“. Greckie piśmiennictwo, sztuka, cała cywilizacya, wydawały się na on czas czemś samoistnie powstałym w łonie rasy uprzywilejowanej a zamieszkującej ziemię nie mniej uprzywilejowaną. Tę ostatnią badano tak oderwanie, jak

gdyby była jedyną na świecie: *proles sine matre creata*. Dopiero dzięki studjom nad starożytnościami Wschodu, dzięki tym, których dostarczyła Azja, wiedzy, nam współczesnej, udało się wykryć długo nieznanych, długo niepoznanawanych przodków pięknej córy — Hellady.

Rozwiązawszy w ten sposób, o ile się dało, zagadkę początków, archeologia ujrzała się już teraz na gruncie bezpiecznym i mogła rozpocząć studia nad pomnikami. Do zachwytu entuzjastycznego wprawdzie, ale ślepego, który do tej pory ożywia badaczy, przyłączył się już teraz przewodnik nieodzowny, ów zmysł historyczny, pozwalający klasyfikować style, określać szkoły, epoki i rozróżniać doby ewolucyjne. W tym też duchu, uczeni wieku XIX-go zbadali łąd grecki i tę Grecję zewnętrzną, która to, hellenizując Azję mniejszą, z lichwą wróciła Wschodowi wszelkie dobrodziejstwa, udzielone przezeń uprzednio światu greckiemu.

Minęły już także czasy gwałtownych grabieży lub zręcznych targów, wzbogacających muzea nasze na szkodę tej ziemi klasycznej, która tyle wydała arcydzieł. Gdyby się nawet prawodawstwo miejscowe temu nie sprzeciwiało, to samo poczucie słuszności, nakazujące zachować stosunek pomiędzy pomnikami, a ich otoczeniem naturalnem, glebą, która je zrodziła i niebem, które nad nimi jaśnieje, już by ono stanowiło przeszkodę ku zamykaniu w salach muzeum brytańskiego, owych metopów Partenonu, lub fryzu zewnętrznego u świątyni fygalskiej, którym przeznaczono, ażeby nad nimi świeciło słońce Attyki lub Beocyi, złocąc marmur swemi pieszcoty. To też, w obec szerokiego poczucia sztuk, połączonego z zabiegami na gruncie czysto naukowym, prowadzono poszukiwania w Grecyi właściwej i w innych krajach helleńskich, przez ciąg drugiej połowy stulecia XIX-go. Wiedza francuska wzięła w tem udział szeroki. Nie wspominając o słynnych wykopaliskach Schliemannna w Hissarliku, Tyryncie i Mycenach, które należą do archeologii przeddziejowej, Niemcy są dumne i słusznie — z wykopalisk Olimpij i Pergamu. Anglia ma prawo być równie pyszną z przedsiębranych przez Newtona w Halikarnasie i Knydzie, przez Wooda w Efe-

zie, a Ramsay'a we Frygii. Pod względem systematycznego badania ziem greckich, Francya może się powołać na wykopaliska Beulé'go w akropolisie ateńskim, na studia o drodze eleuzyjskiej Franciszka Lenormanta, na poszukiwania Homolte'a w Delos, Rayet'a w Mylecie, na odkrycia Heuzey'a w Macedonii i Akarnanii, Foucart'a i Weschera w Delfach i Peloponezie, na wielkie wydawnictwa pp. Texier, Le Bas, Waddington'a o miastach greckich Azji mniejszej, pp. Perrot i Guillaume'a o Galacyi i Bytynii, na jeszcze świeższe poszukiwania w Delfach, wreszcie na różne usługi, oddane wiedzy w ciągu lat pięćdziesięciu z górą, przez francuską szkołę w Atenach. Jest ona najstarszą w szeregu stałych misyj naukowych w Grecyi, gdyż działa od r. 1846, podczas gdy sekcya ateńska niemieckiego instytutu archeologicznego powstała dopiero w 1871, misya rosyjska w 1880, a szkoła amerykańska w 1882 roku.

Wszakże poszukiwania na ziemi greckiej dotyczyć mogą tych głównie gmachów starożytnych lub dzieł sztuki, które mogą być jeszcze ukryte pod zwaliskami. Napisy bowiem znajduwane w Grecyi, aczkolwiek udzielają cennych wskazówek, zarówno topograficznych jak i dotyczących urządzeń państwowych, pojęć i obyczajów — nie są jednak w stanie odkryć nam czegoś uderzająco nieznanego o jej dziejach. Przeciwnie, Assyrya, Chaldea, Egipt nie znały piśmiennictwa innego, jak to, które znajdujemy pod postacią znaków nieczytelnych, często zagrzebanych wraz z pomnikami, a stanowiących cechę ich nieodłączną, które raz znalezione wymagały natychmiastowego tłómaczenia. Inaczej z grekiem piśmiennictwem: zawsze je znano w krajach cywilizowanych, nawet wiekom średnim było ono nie obce; począwszy zaś od czasów Odrodzenia stało się jednym z główniejszych pokarmów umysłowych. To też, poszukiwania prowadzone pośród otoczenia greckiego miały ten skutek, że chociaż wpłynęły na wyrobienie bliższych i szczegółowych pojęć o jego arcydziełach, lecz już nie odsłoniły ani tajemnic religii lub filozofii, ani poezyi — tem zaś mniej dziejów narodu greckiego.

To, cośmy rzekli o świecie greckim, da się jeszcze słuszniej powiedzieć o łacińskim. Stulecie ubiegłe (XIX) go nie odkryło, ponieważ nigdyśmy nie przestawali żyć jego życiem. Zbliżeni do świata łacińskiego tradycją, połączeni historycznie, odżywiani jego piśmiennictwem, odnajdujący siebie samych we wszystkim co przeszłość jego nam ukazuje — tem snadniej dochodzimy do rozpoznania szczegółów i do pojęć ogólnych, które go dotyczą, a których treść stanowi jedną, całkowitą naukę. Starożytności rzymskie — powiedzmy śmiało — rozpatrzone ze ścisłością właściwą metodzie nowożytnej, znamy tak dokładnie, jak rzeczy, które są nam współczesne. Być tylko może, iż ich ocena jest dla nas łatwiejszą, ponieważ, dzięki możności cofnięcia się wstecz i zużytkowania w ten sposób dobrodziejstw perspektywy, w stosunku do rzeczy łacińskich jesteśmy w posiadaniu takich środków, jakich nam niedostaje dla dziejów nowożytnych.

Ma się rozumieć, że badanie początków nastęrcza najwięcej trudności. Niemniej przeto we Włoszech, niektóre ślady miejsc warownych są poczytywane za pozostałości po Pelazgach. Znanym jest również kształt chałup, budowanych w starożytnym Lacyum, a także nazwiska tamtejszych bogów. Etrurya, acz badana przez Noël'a des Vergers i Otfrieda Müllera, wciąż jeszcze przedstawia wiele stron tak tajemniczych, jak jej język, jej religia, zapożyczona prawdopodobnie u ludów Azji wyższej, lub sztuka, której cechy narodowe, zarówno pod względem tematów, jak i stylu, zacierały się stopniowo pod wpływem potężnym ducha greckiego. A potęga jego była tak wielką, że za pośrednictwem kultury etruskiej przeniknął do Rzymu, który w ten sposób, niestracając swych dawnych cech łacińskich, otrzymał najpierwsze, acz nie dość wyraźne, piętno greckie i wschodnie. Dopiero, w miarę rozwoju potęgi rzymskiej zetknięcie bezpośrednie z Grecją i Wschodem stawało się coraz wyraźniejsze. Jeżeli ten ostatni za późno udzielił bogów swych Rzymowi — gdyż bogi egipskie zyskały tu bez protestu prawo obywatelstwa dopiero w I-em stuleciu ery chrześcijańskiej, a wielki zalew przesądów nastąpił aż w III-em,

to wpływy greckie dały się uczuć natychmiast po wojnie, która pierwsza zbliżyła Rzymian do Greków.

Rzym zdobył Grecję orężem, lecz jej religia, idee, sztuka, w swych przejawach przeróżnych, same się narzuciły Rzymowi i, wedle słów Horacego, „zdołały go“ po swojemu, „nie naruszając wszakże przymiotów naturalnych rasy, zrodzonej dla panowania nad narodami“, które to przymioty w objawach plastycznych geniuszu rzymskiego charakteryzuje siła i symetria. Z tej też strony i dzięki tym zaletom, artystyczna powaga rzymska przewyższa helleńską ze szkodą wdzięku, owej cechy mniej poważnej świata greckiego.

Rzym poznajemy z dniem każdym coraz dokładniej. Jego topografia, już dawniej zarysowana przez uczonych stuleci ubiegłych, stała się od lat kilku przedmiotem nowych poszukiwań. Wiadomo, że odłamki planu m. Rzymu, rytego w marmurze na początku st. III-go z rozkazu Septymiusza Sewera i Karakalli, obecnie przechowywane w muzeum kapitolinijskim, zostały znalezione w st. XVI-em koło *Templum Sacrae Urbis* — dziś kościoła św. Kosmy i Damiana. Inne jego części odszukano w latach 1867, 1882, 1884, 1888 i 1891, a przeszło czterysta dopiero w styczniu 1899 r. Dzięki temu, obecnie posiadamy już mniej więcej trzecią część planu całkowitego, a nowe poszukiwania dozwolą zapewne dopełnić — choć w znacznej mierze, jeśli niecałkowicie — to czego niedostaje. Niemniej, już teraz można powiedzieć, że pod względem topografii Rzymu jesteśmy w posiadaniu danych oczywistych i widzimy jak dalece każdy z wykształconych narodów europejskich pragnął się przyczynić do odtworzenia miasta starożytnego. Włochy uczyniły to za pośrednictwem Lancianiego, Niemcy przez Jordana i Huel-sena, Anglia za sprawą Middletona, ostatniemi zaś czasy Cagnat obrał „topografię Rzymu starożytnego“ za temat do wykładu w college de France. Zmiany, zaszłe w Rzymie r. 1870, ułatwiły pracę badaczom jego starożytności. Bez wątpienia, że obecny rząd włoski, pragnąc przekształcić Miasto wieczne w stolicę nowożytną i przeprowadzając w tym celu ulice banalne, równie pozbawione znaczenia dziejowego, jak

niepiękne, popsuł bezpowrotnie mnóstwo widoków. „Co mi się w Rzymie obecnym podoba — pisał w połowie stulecia XIX-go J. J. Ampère — to, co przypomina Rzym Petrarki i Pogge'go: jego dzielnice puste, pomniki zaniebane, szczepy winne pnące się po głowicach kolumn przewróconych, bawoły na Forum, a zwłaszcza odłamki starożytne, architrawy świątyń, zużytkowane przez budownictwo nowożytne, umieszczone u drzwi kościelnych, kawałki kolumn ustawione na ulicy zamiast słupków chodnikowych, mieszkanek ukryte pod stopniami teatru Marcellusa, lub małe domki sterzące nad grobami na Via Appia. Te przypadkowe sprzeczności nadają Rzymowi charakter szczególny, wyróżniający go od wszystkich innych miast.“ Charakter ten nie znikł całkowicie, zatarł się jednak bardzo.

Wbrew temu, co widział Ampère, Rzym coraz wyraźniej dąży by się stać podobnym do tych „innych miast“. Znam ludzi, którzy skutkiem tego pozostaną niepokieszeni; dla złagodzenia jednak zmartwienia swego niech pomyślą, że czasami to, co ujęło ruinom poezji, wzbogaciło wiedzę. Jest tak istotnie. Przekop otwarty dla przeprowadzenia nowej ulicy, lub ułożenia fundamentów pod jakąś powszednią budowę, odsłonił starożytne resztki, umożliwił oznaczenie miejsca, na którym ongi stała ta, lub inna słynna budowla, wy dobył na dzienne światło napisy. Spieszymy dodać, że wszelkie odkrycia, zapisane skrupulatnie przez archeologów, zawdzięczamy nie przypadkowi i że poszukiwania rozpoczęte jeszcze za rządów poprzednich, zostały następnie, na wielu punktach miasta, energicznie posunięte w ciągu lat kilku.

Na Palatynie, wypadło je tylko prowadzić w dalszym ciągu i rozszerzyć. Wzgórze historyczne, na którym stała „Roma quadrata“ za czasów pierwotnych, gdzie jeszcze w stuleciu IV-em pokazywano legendową chałupę Romulusa, miejsce, na którym wszyscy z kolei panujący stawiali sobie pałace, a które wreszcie aż do epoki byzantyńskiej pozostało siedliskiem lub symbolem władzy cesarskiej, zaczęto rozkopywać kosztem Napoleona III, na stoku wówczas zajęty przez ogrody farnezyjskie. Wzgórze pala-

tyńskie, jest już zbadane we wszystkich swych częściach tak dokładnie, jak tylko można, a nawet wobec teraźniejszego stanu rzeczy nie dałoby się tego lepiej uczynić. Niemniej możemy już się dostać swobodnie do resztek olbrzymiego pałacu Kaliguli wzdłuż korytarza, gdzie został zamordowany i do mieszkanek Liwii, zapelnionego wyborowymi freskami; wkroczyć następnie do pałacu Domicyana, przejść się po obszernym owalu, okolonym kilkoma piętrami portyków, z których jedne stanowiły stadium, inne hypodrom, zwiedzić zwaliska pałacu Septymiusza Sewera, a z łożysa cesarskiej, wzniesionej po nad wschodni stok wzgórza, spojrzeć na Wielki Cyrk, poprzez mieszkania żołnierzy i niewolników, gdzie w r. 1856 znaleziono ową słynną karykaturę krucyfiksu, przechowaną obecnie w muzeum Kirchera.

Poszukiwania na Forum podjęto na nowo w końcu XVIII-go stulecia. Pius VII-my, rządy francuskie za Napoleona I-go, Leon XII-ty, Grzegorz XVI-ty i Pius IX-ty prowadzili dzieło rozpoczęte. Od 1870 jest ono w dalszym ciągu prowadzone ze ścisłą systematycznością. Odkrycia na Forum, dokonane zarówno w okresie poprzednim, jak i obecnie, są nadzwyczaj liczne: większość budowli została już sprawdzona nieodwołalnie, a chociaż północna część jego z pomnikami najdawniejszymi, sięgającymi początków Rzymu, oczekuje kolei w stuleciu XX, niemniej przeto na reszcie tej ogromnej przestrzeni przeprowadzono studia gruntowne. Od Kolizeum do mieszkania westalek, stąd do świątyni Saturna i stóp Kapitolu, podróżnik błąka się wśród cokołów świątyń, resztek kolumnad, piedestałów ustawionych na nowo, po tych samych płytach kamiennych, które nosiły współczesnych Augustowi. Co więcej, dzisiejszemu gościowi Rzym otworzył dostęp do bajecznych prawie starożytności okresu królewskiego i początków rzeczypospolitej. Tak: obok łuku Septymiusza Sewera odkryto ów słynny „głaz czarny“, połączony w podaniach ze wspomnieniami o Romulusie, a pod nim resztki budowy etruskiej, w pobliżu której był napis łaciński i grecki lub etruski, zawierający, jak się zdaje, „prawo ofiarnicze“. Napis ten może dotyczyć

ofiary zadośćuczynienia, nakazanej przez senat po odebraniu Rzymu Gallom w stuleciu VI-ym ery pogańskiej.

Osiągnąć wyniki powyższe można było wówczas, gdy chodziło o Palatyn i Forum pozostałe w postaci rumowiska. Inne części miasta starożytnego nie dały się rozkopywać w ten sam sposób, gdyż inaczej wypadłoby burzyć Rzym nowożytny. Niemniej przestudyowano rzeczy najciekawsze, odszukano miejsca, gdzie się wznosiły najważniejsze pomniki, a części ich, możliwe do obejrzenia, zostały sprawdzone i wywiedzione na światło dzienne. W ten sposób, aczkolwiek nieznaczna tylko ilość ułamków pozostała z obszernego czworoboku, złożonego z placów wspaniałych, a zalegających pomiędzy Kapitołem, Forum Romanum, Eskwilinem i Kwirynałem, owego czworoboku, który tworzył Fora Cezara, Augusta, Nerona, Forum pokoju i Trajana — niemniej przeto plan cały tego wspaniałego szeregu bazylik i świątyń jest już obecnie ułożony tak dokładnie, że daje pojęcie o części Rzymu Cezarów może najwspanialszej.

Jeśli w tem mieście niepodobna wszędzie rozpocząć badań archeologicznych, to w zamian w iluż to miejscowościach po za jego obrębem, archeologowie rozłożyli swe przyrządy do pracy! Przypomnijmy tylko wykopaliska na Via Appia od grobu Caecylii Metelli aż do dwunastej mili; studia w willi Hadryana, dziś ruiny bezkształtnej, do których wszakże nauka dzisiaj potrafiła sobie drogę utorować; systematyczne a pełne naukowych zdobyczy poszukiwania w Ostii za czasów Piusa VII-go z r. 1800, pod Piusem IX-ym od r. 1855, anastępnie staraniem rządu włoskiego. Wreszcie dodajmy dwa miasta, od dziewiętnastu prawie stuleci zagrzebane pod popiołami Wezuwiusza, — Herculanium i Pompei. W pierwszym wszystkie prawie odkrycia zrobiono, w stuleciu ostatniem. Pod warstwą głęboką, a skamieniałą która je pokrywa, dokładne zbadanie całego terytorium pociągnęło by za sobą obecnie koszta olbrzymie, a w dodatku nie dałoby się skutecznie bez zrujnowania dzisiejszego miasta Reginy. Wszelako nawet willa owa, może własność Cezara, w której około

1750 r. znaleziono przepyszne posągi, jeszcze w zupełności przeszukaną nie została. Służyć to może za dowód, jak dalece, nawet ograniczając poszukiwania do pewnej dość szczupłej miary, można mieć widoki znalezienia wielu arcydzieł pierwszorzędnej wartości. Niechże przynajmniej z największem staraniem rozwijają te trzy tysiące papyrusów greckich i łacińskich, wydobytych z tej willi i zawierających zapewne niejednen urywek nieznan z literatury klasycznej. Pompeja, odnaleziona w lat kilka po Herculanium, w połowie XVIII-go stulecia, okazała się podatniejszą do poszukiwań, jako pokryta warstwą znacznie cieńszej lawy. Ponieważ była typowem miasteczkiem prowincjonalnem, przeto prawdopodobnie posiadała mało arcydzieł; w zamian — a co ważniejsze dla dziejopisarstwa i archeologii — zdejmując z niej ową powłokę, kosztem pracy względnie łatwej, należało być przekonany, że się tu znajdzie miasto starożytne, prawie nie naruszone. Na nieszczęście, nie pojęto tego na razie. Poszukiwania dokonywały się doraźnie, bez żadnego planu obmyślonego, dla uczczenia cudzoziemców dystygnowanych, lub dla wzbogacenia muzeów królewskich.

Od samego początku stulecia XIX-go, wzięto się do wykopalisk ze zdwojoną energią, acz na razie nie wedle prawideł naukowych. Zanim, wraz z nowym porządkiem politycznym, kierownictwo poszukiwań w tej prowincjonalnej miejscinie przeszło w ręce umiejętne p. Fiorelli, znaczna część ulic jego i najważniejszych pomników została odsłonięta. Obecnie, rzeczy idą już inaczej: postępuje się zwolna, systematycznie, nie na los szczęścia, starając się zwłaszcza ustawić na dawnym miejscu wszystko, co ruszonym być nie powinno, przywracając w ten sposób miejscowości dawny jej wygląd. Znany jest pomysł szczęśliwy zalewania gipsem miejsc, które zajmowały ciała, zasypane popiołem, dzięki czemu udało się kilkakrotnie otrzymać obraz kontorsyj ofiar, przy pasowaniu się śmiertelnem, w chwili owego wezuwiuszowego dramatu.

Gdzie tylko na Zachodzie panowało Cesarstwo, wszędzie starożytności niosły pomoc dziejopisarstwu. W Gal-

lii, szybko ucywilizowanej przez łacińską kulturę, która wszakże nie zacierала cech narodowych i gdzie jedni i ci sami wyznawcy czcili bóstwa celtyckie narówni z rzymskimi, stale odnajdujemy pozostałości, dotyczące wojskowości, życia cywilnego lub duchownego, ślady władzy cesarskiej, jej mury obronne, miasta, teatru i amfiteatru, wille, łuki tryumfalne, świątynie i wiejskie kaplice, drogowskie wojenne. Muzeum Cluny w St. Germain-en-Laye i wiele prowincjonalnych, przechowują ołtarze, napisy, posągi, terrakotę, broń, inwentarz grzebalny, pozostałe z czterech stuleci, w ciągu których piętno rzymskie wcisnęło się tak głęboko w glebę i rasę francuską. Tu, jak i wszędzie, numizmatyka wyjaśniła wiele. Monety starożytne były badane przez Fr. Lenormanta, specjalnie zaś rzymskie przez Mommsena, de Blacasa, de Witte'a; numizmatyka gallicka była przedmiotem doskonałych prac Karola Roberta. Studium de Witte'a nad pewną, ściśle określoną seryą medali gallicko-rzymskich rzuciło nowe światło na cały jeden okres dziejów ziemi francuskiej, o którym dotąd mówili jedynie historycy z czasów upadku, a mianowicie na znikome, lecz sławne państwo Zachodnie, założone przez Postumusa i jego walecznych następców w stuleciu III-em, a zburzone przez Waleryana. Dzięki odkryciom archeologicznym, które ułatwiły zrozumienie i sprawdzenie wiadomości pozostawionych przez starożytnych, mapę Gallii rzymskiej znamy nie gorzej od map Francji teraźniejszej, a kierunek traktów które ją przecinały, wiadomy jest uczonym z równą dokładnością, jak i kierunek dróg dzisiejszych i kolei żelaznych. To samo da się rzec i o innych krajach, względnie do każdego: o Germanii, Brytanii, Hiszpanii, o prowincjach nadunajskich, słowem o wszystkich, gdzie Rzym posiadał municypia, kolonie, lub obozowiska. Jest wszakże część państwa rzymskiego, na którą archeologia dzisiejsza rzuciła więcej jeszcze światła, aniżeli na inne.

Renan powiedział zupełnie słusznie: „Studia naukowe w Algeryi przynoszą chlubę Francji dziewiętnastego stulecia“. Poszukiwania tunetańskie, choć znacznie później przedsięwzięte od algierskich, wydały jednak nie mniej piękne

owoce. W prowincyi prokonsularnej, w Numidyi i Maurytanii, na gruncie dawnej Kartaginy i na apanażach starych królów numidyjskich, połączone wysiłki uczonych francuskich zdobyły dla wiedzy wspaniałe obszary. Po rozkopanej przez Beulé'go, w połowie stulecia XIX-go, rywalce Rzymu, tam gdzie Delattre do tej pory czyni jeszcze cenne odkrycia, pozostały tylko groby i głazy po nich, z wotami dla bogini Tanity, oraz ledwie widoczne zarysy jej dawnych ostoi. Hasło „delenda est Cartago“ zastosowano więc co do joty. Lecz jeśli miasto punickie znikło, to na zwaliskach jego stała jedna z wielkich metropolij państwa rzymskiego, które w ciągu krótkiego czasu potrafiło przekształcić po swojemu afrykańskie prowincje. Łuki tryumfalne, świątynie — w samym tylko Tunisie kapitolów więcej jak piętnaście — łaźnie, teatru i wodociągi, sterzące obecnie wśród nagiej prawie pustyni, drogi wykładane płytami, ślady kanałów podziemnych lub odkrytych, znajdowane w piaskach, wszystko to wskazuje na gęstość zaludnienia miast tamtejszych, na ich handel ożywiony i rolnictwo kwitnące. Przy studyowaniu szczegółów, napisów, posągów, mozaik, (niektóre są znaczenia pierwszorzędne, czego dowodem mozaika odnaleziona w Suzie z jedynym znanym portretem Wirgiliusza) pomniki te świadczą, jak kipiało życie w tych miastach, jakby zaimprovizowanych, jak gorączkowo ubiegano się o godności municypalne, jak kwitł duch stowarzyszenia i do jakiego stopnia patriotyzm ożywił tamtejszych obywateli. Z pod tej powłoki cywilizacji rzymskiej przeglądają wprawdzie czasami dusze afrykańskie, gwałtowne, a zabobonne — niemniej przeto, jak że silnem było to piętno, które Rzym na nie wycisnął. Od krańca do krańca prowincyj afrykańskich jest ono jednakowe, tak wśród spokojnych miast obwodu prokonsularnego, jak i w tych, które będąc bardziej wysunięte na zachód od Numidyi, były ochraniające przez legię obozującą w Lambezie. Aczkolwiek asymilacja tego pięknego kraju przez Francję odbyła się wolniej, aniżeli za czasów rzymskich, jeżeli jeszcze nawet nie zdołała wskrzesić tu cywilizacji zniszczonej przez Wandalów i Ara-

bów, to w każdym razie musimy przyznać, że przy doko-
nywaniu tego ważnego dzieła najczynniejszymi sprzymierzeń-
cami rządu i wojska są archeologowie. Leon Renier przepi-
sywał pewnego dnia u stóp Auresu jakiś napis łaciński.
Patrzący na to szejk zbliża się doń i zapytuje: „więc rozu-
miesz to pismo?“ „Tak jest, nawet je przepisuję, gdyż jest
ono mojem własnem. Patrz: litery są nasze, język nasz“.
„Prawda“ — odrzekł Arab — a zwracając się do otaczają-
cych go tubylców, dokończył: — „Rumisowie są w istocie po-
tomkami Rzymian i zdobywając ten kraj odebrali tylko
własność swych ojców“.

Francuz nie może bez żalu napisać nazwiska Leona
Reniera. Jako autor „Zbioru napisów rzymskich w Algeryi“
marzył on, by na Francję spadła zasługa wydawnictwa
całkowitego „Korpusu“ napisów łacińskich. Gallickie, sam
zbierać rozpoczął. W r. 1849 Villemain, jako minister oświa-
ty, wyznaczył komisję dla przygotowania tego doniosłego
przedsięwzięcia. Uczeń, z łona najgłówniejszych narodów
europejskich, obiecali w tej mierze współpracownictwo; odla-
no już nawet czcionki potrzebne do wydawnictwa. Dość
było jednej zawieruchy parlamentarnej, by zniweczyła wszyst-
ko. Wraz z upadkiem gabinetu, do którego należał Ville-
main, a więc wraz z ustąpieniem jego samego, upadł i za-
miar mający przynieść tyle zaszczytu francuskiej wiedzy.
Sam projekt podniosła akademja berlińska i dzięki Mom-
msenowi, Ritschlowi, Hübnerowi, Zangmeisterowi, Schoene-
mu i Wilmannowskiemu dało się go doprowadzić do skutku.
Stale, ze świetnem powodzeniem, prowadzi akademja od
lat pięćdziesięciu to wielkie dzieło, stanowiące niewątpliwie
największy pomnik naukowy stulecia XIX-go. Francyi zaś
przypisać należy zasługę inicjatywy, gdyż nie inny, jak
ustanowiony przez p. Villemaina w r. 1843, program zasto-
sowała nauka niemiecka. Wobec polecenia, jakie otrzymał
p. Egger, aby wypracował rapport o komisji wyznaczonej
do tych poszukiwań, przedstawił on w ten sposób plan
przyszłego „Korpusu“: „Pierwsze miejsce, po wstępie, na-
leżałoby się spisowi bibliograficznemu dzieł, które wejdą do
zbioru; przyjmujemy porządek oparty na geografii; specjal-

ny tom ma być poświęcony napisom, poprzedzającym czasy
cesarstwa rzymskiego; indeksa ułatwią poszukiwania“. Aka-
demia berlińska uznała całkiem słusznie plan ten za dosko-
nały i wykonywa go bez żadnych zmian. Dodajmy przytem,
że dzięki szerokim poglądom, którymi się kierują badacze,
dzieło to stało się międzynarodowem. I tak, J. B. de
Rossi od samego początku został zaproszony do rządu
kierowników i wziął udział poważny w ułożeniu tomu szó-
stego, poświęconego napisom rzymskim; Cagnet zaś osta-
tniemi czasy pomieścił swą pracę o napisach afrykańskich
w tomie ósmym.

* * *

Imperyum rzymskie było świadkiem największego
przewrotu moralnego, jaki kiedykolwiek zmienił bieg dziejów.
Początki jego przypadają współcześnie z początkami religii
chrześcijańskiej. Przez cały przebieg swego istnienia, cesar-
stwo to zachowało stosunek z Kościołem, bądź prześladowając
go w ciągu trzech stuleci, bądź otaczając opieką, czasami
pożyteczną, często szkodliwą, przez dwieście lat następnych.
Jeżeli gdzie pierwotne pomniki chrześcijańskie oparły
się zębowi czasu, to przedewszystkiem w tym Rzymie,
stolicy Piotrowej, w której następcy Apostoła pozostali pa-
nami po upadku cesarstwa. Wszakże na razie nie docenia-
no wielkiego znaczenia starożytności chrześcijańskich. Z cza-
czasem dopiero i tylko dzięki wypadkowi zwróciła się uwaga
uczonych na katakumby rzymskie. Poszukiwania w nich,
rozpoczęte w stuleciu XVII-em przez genialnego archeolo-
ga, prowadzone następnie przez uczonych poważnych wpra-
wdzie, lecz nie dość przejętych jego systematem, pozostały
by tylko na stopie „zabawy dla miłośników“ gdyby nie
Rossi, który w drugiej połowie XIX-go stulecia, ugrun-
tował zasady istotnej „wiedzy“, jak się wyraża Mommsen,
a słynny epigraf Henzen dodaje: „wiedzy prawdziwej o sta-
rożytnościach i historii — *vera scienza antiquaria e storica*“.

Kiedy młodzieńki jeszcze Rossi, o znajmił przyjaciółom
o zamiarze wstąpienia na drogę, którą później przebył tak

sławnie, oględni starali się go odwieść i z niej zawrócić. „Jesteś nazbyt inteligentny, mówił doń pewien prałat dowcipny, byś nie zauważył, że te wszystkie stare pomniki, którymi się zachwycasz, nie mają innej historii, jak legendową. Tu, w Rzymie, na każdym kroku stąpamy po jakiejś pamiętce świętej, lecz przywiązywać do tego zbytnią wagę naukową nie należy“. Bardziej Rzymianin aniżeli Włoch, Rossi nie należał do rzędu tych, którzy na dzieje religii patrzą z uśmiechem ostrożności. Dążył on prosto do celu, silny wiedzą zarówno szczerą jak głęboką, chociaż odsuwał — nie bez pewnego uszanowania — naleciałości legendarne, niemniej przeto znajdował zawsze punkt stały dla postawienia stopy, bez obawy obsunięcia się. Gdy Rossi w r. 1894 umierał, powadze moralnej, którą się cieszył, jako człowiek, dorównywała sława uczonego. Starożytnik, a gorliwy katolik zarazem nie wchodził sam z sobą w żadne ustępstwa, obie te cechy jego charakteru żyły ze sobą w zgodzie zupełnej, w sumieniu czuł się zarówno czystym, jak prawym.

Rossi nie zaczął dzieła swego wprzód, aż się uzbroid we wszelkie zasoby nauki. „Zanim rozpoczął poszukiwania pod powierzchnią ziemi, powiada Henzen, przeszukał skarby zawarte w książnicach“. Zdaje się, że wszystko, co było drukowane, lub pozostawało w rękopisach, a dotyczyło przedmiotu przezeń obranego, nie uszło jego oka. Znane jest zajęcie Rossiego, jakie przywiązywał do opowieści pielgrzymów, zwiedzających katakumby jeszcze nienaruszone, oraz napisy przez nich skopiowane. Nie szło mu o to, by wzorem niektórych poprzedników swoich, opisywać groby lub odtwarzać ciekawe napisy i malowidła, sięgając szerzej i z większą systematycznością, zmierzał ku badaniu rozmaitych cmentarzysk, określał ich znaczenie dla dziejów Rzymu chrześcijańskiego. Poszukiwania te dały mu najprzód możność odszukania starożytnych grobów rodzinnych, w których spoczywali nowonawróceni lub męczennicy i naokoło których grupowały się z czasem pierwotne hypogea; następnie umożliwiły mu one ustanowienie rozmaitych okresów w powstawaniu cmentarzysk. Pod tym

względem szukał wskazówek w przydłużeniach korytarzy i stopniowych do nich dodatkach tam, gdzie galerye podziemne, pobudowane na razie w miejscach rozmaitych, utworzyły z czasem jedną nekropole. Jednocześnie należało udowodnić, że ten, jak gdyby ograniczony, rozwój katakumb przypadkowym nie był; że każda miała swe cechy odrębne, swe własne historyczne znaczenie, a nawet stanowisko prawne. Idąc tą drogą, dochodziło się w pierwotnym Rzymie do śladów podziemnych rozwoju chrześcijaństwa, występującego w ten sposób już nie w swej jednolitości całkowitej, pozbawionej odcieni charakterystycznych, lecz ze świadectwem bądź nieszczęść i prześladowań nań spadłych, bądź doznawanej tolerancji. Dzięki temu, cmentarze stawały się już nietylko pokarmem dla zwykłej ciekawości, lub przedmiotami czci dla serc zwiedzających, ale nabierały znaczenia, jako dokumenty pierwszej wagi, zaopatrzone w daty ustalone, a tak wiarogodne, że się na nich może oprzeć dziejopisarstwo. Tak się przedstawia główne dzieło Rossiego. Materyalnie pozostawił je wprawdzie nieskończonem, lecz czyjeż to życie, przy najlepszych nawet warunkach, może wystarczyć dla zbadania i opisanie czterdziestu podziemnych cmentarzy na przedmieściach Rzymu, uswięconych krwią męczeńską? Rossiemu było sądzone ogłosić w dwóch tomach „Roma sotterranea“ zaledwo ogólne dane o katakumbach, monografię cmentarza Kallista, jako pierwszej własności korporacyjnej Kościoła rzymskiego, oraz małego cmentarza Generozy, założonego przez chrześcijan pod arwalskim gajem świętym. Lecz notaty i rysunki Rossiego umożliwiły komisji pontyfikalnej, ustanowionej dla badań archeologicznych w zakresie rzeczy świętych, wydanie opisu katakumb Domicylli, znajdujących się na gruncie należącym do krewnej cesarza Domicjana, oraz katakumb Priscylli, wydrążonych naokoło grobu chrześcijańskich członków zstępnych Acyliusza Glabryona — konsula i męczennika. W trzydziestu rocznikach wydawnictwa swego „Bulletino di archeologia cristiana“, zamieścił Rossi pod odpowiednimi datami, wyniki swych poszukiwań w wielu innych katakumbach, torując w ten sposób

drogę, pragnącym dokończyć rozpoczęte przezeń dzieło. Tym ostatnim nie pozostaje, jak iść śladami mistrza.

Możemy więc twierdzić, że główne podstawy poszukiwań są już ustalone, że odnośna nauka ugruntowana, gdyż oprócz dokładnej analizy gruntów, form budownictwa, materiałów doń użytych, stylu malowideł i napisów, istnieje już chronologia, dotycząca rozmaitych części cmentarnych. Skutkiem zaś badań tych, wyszły na jaw po raz pierwszy takie fakta historyczne, jak stosunek piewskich chrześcijan z arystokracją rzymską, lub ewolucya, dzięki której pewne cmentarze, będące na razie własnością prywatną, przeszły na gminę chrześcijańską. Uwydatniły się przytem stosunki prawne, wśród których własność zbiorowa zdołała się utrwalić i zachować, nawet wobec prześladowań. Pewniki te dostarczają dziejom Kościoła całego szeregu nowych rozdziałów, opartych na materiale zaczerpniętym z katakumb.

Łatwo zrozumieć znaczenie epigrafii wobec badań tego rodzaju. Niezliczone są w Rzymie napisy chrześcijańskie z pierwszych stuleci, rachujemy je na tysiące, a przez ciągle poszukiwania mnożą się bezustannie. Rossi zamierzał je ogłosić. Akademia berlińska, rozpoczynając wydawnictwo „Korpusu“ postanowiła pozostawić napisy chrześcijańskie na uboczu. Zdaniem wszystkich wchodziły one w zakres ściśle rzymskich starożytności. Tom ten pracy Rossiego dotyczący „Inscriptiones christianae urbis Romae saeculo septimo antiquiores“ mieści w sobie napisy tylko datowane; jednak nie są one najliczniejsze. Większość ich, tak zajmujących przez swe wzmiarki dogmatyczne, symbolizm języka i emblemata, przez odcień myśli i uczuć, które zdają się wyprowadzać — nie noszą na sobie przypisków konsularnych. Niemniej przeto Rossi, w przedmowie do tegoż tomu ściśle określił chronologię napisów niedatowanych, ustanowiwszy prawidła tak dalece jasne, że obecnie, jak powszechnie wiedzą uczeni, oznaczenie, jakie teksty epigraficzne do którego peryodu w Kościele pierwotnym należą, stało się rzeczą łatwą. Służy ku temu porównanie różnic powstałych przy redagowaniu napisów; wiemy więc naprzykład, czy

ta lub inna epigrafia, znaleziona w tej lub innej katakumbie, sięga czasów poprzedzających stulecie III-cie, lub też późniejszych; czy została ułożona, gdy prześladowanie było w pełni rozwoju, lub też w chwilach wytchnienia i t. d.

Rossi wywarł na naukę wpływ znakomity, i nietylko na swych uczniów bezpośrednich, lecz i na resztę Europy, a nawet na Amerykę. Z trudnością wyliczyli byśmy wszystkie prace, podjęte pod jego kierownictwem przez uczniów i współpracowników; wspomnimy jedynie o studiach Armelliniego nad cmentarzem św. Agnieszki i Stevensona nad kilkoma katakumbami poza granicą przedmieści rzymskich. Prace nad dalszem rozpoznawaniem szczegółów w katakumbach, prowadzą się dalej w kierunku wskazanym przez mistrza, dostarczając rezultatów nadzwyczajnych. Z nazwiskami nieodżałowanych Armelliniego i Stevensona, a dalej Gattiego, Marucchiego, Monsignora Wilperta, z którymi wiążą się zabiegi około cmentarzysk św. Hermesa, św. Felicyty, św. Piotra i Marcellina, św. Cyryaka, św. Domicylli i Priscylli. W samym Rzymie, O. Germano odnalazł przed kilku laty już nie katakumby ale mieszkania chrześcijan współczesnych Julianowi Apostacie, uświęcone wspomnieniami męczeństwa. Echem, które towarzyszy rozgłosowi o tych zdobyczach, jest opis wielkich katakumb syceylijskich, dokonany z drobiazgowością iście niemiecką przez Führera, pod tytułem „Sicilia sotteranea cristiana“.

Afryka, nie dostarcza katakumb, za to daje t. zw. „areae“ pod odkrytem niebem, napisy o męczeństwach miejscowych, mozaikowane grobowce chrześcijańskie, wreszcie w ciągu trzech pierwszych stuleci, jakie nastąpiły po zaniechaniu prześladowań, obszerne bazyliki, w których czasami prawidłowość architektury klasycznej ożywia się do tego stopnia, iż uważać ją można jako zapowiedź, właściwej stylowi romańskiemu fantazyi swobodnej. W ojczyźnie łaciny kościelnej, — gdyż rzymski Kościół pierwotny więcej używał języka greckiego; — w ziemi, którą może najwięcej zniszczyły prześladowania, a która w stuleciach następnych posiadała najwięcej biskupów i świętyń chrześcijańskich, w ziemi, gdzie

więcej, niż gdziekolwiek bądź miały miejsce w tymże okresie nieporozumienia religijne, archeologia rzeczy świętych, ma przed sobą glebę prawie niewyczerpaną. Jeden z najczynniejszych badaczy tej gleby uprzywilejowanej, powiedział te słowa: „Państwo chrześcijańskie tyle tu nabudowało, a Kościół tyle pracy położył, że sam Rzym nie zawiera więcej dzieł starożytnych, a nigdzie lepiej, jak w Afryce, nie dają się badać pierwsze czasy chrześcijaństwa“. Tacy misjonarze Wiary, jak O. Delattre, posłowie wiedzy jak Tissot, Heron de Villefosse, Cognat, La Blanchère, Gsell, Toutain, stowarzyszenia miejscowe, wreszcie oficerowie francuscy, którzy na widok zwalisk przeszłości ujrżeli się powołanymi do zajęć archeologicznych, — wszyscy się im poświęcają z jednakowym zapałem.

Aczkolwiek cała Francya nosi ślady panowania rzymian, wszelako żniwo starożytności chrześcijańskich jest tu znacznie uboższe, i nie wszędzie jednakowe. Uwydatnia to mapa, dołączona do wielkiego wydawnictwa Edmunda Le Blant, dotycząca napisów chrześcijańskich w Gallii, gdzie chrześcijanizm pierwotny przeważnie się uwydatnia pod postacią epigrafii. Niemniej znajdujemy tu inne jeszcze pomniki z tychże czasów, rzeźbione w IV-em i V-em stuleciach grobowce, które ze względu na treść i sposób wyobrażenia, oraz na wybór symbolów, są dalszym ciągiem tradycyi rzymskiej, pomimo pewnych różnic miejscowych. Prowansalskie naprzykład, zaliczyć można do rzymskich, wówczas gdy grobowce południowo-zachodniej Francyi, pod pewnym względem są całkiem oryginalne. Nie widać tego wprawdzie z napisów, które bez względu na różnice chronologiczne, naśladują odmiany form i symbolizm zauważony w Rzymie przez Rossiego. Przeważnie więc były one układane pod wpływem łacińskim, chociaż pewna treść epigraficzna, pewien napis grecki Pektoriusza w Autun zdradza pochodzenie wschodnie. Wpływy ewangeliczne, które tu zawitały bezpośrednio z Azji przez morze Śródziemne i Rodan, stają się widocznymi, wobec porównania napisu gallicko-greckiego, wyjaśnionego po raz pierwszy w r. 1839 przez O. Pitra. Napis ten niejakiemu Albercyusza, zapewne

chrześcijański, został znaleziony lat temu kilka we Frygii, przez Ramsaya. Otóż podobieństwo pewnych rysunków francuskich, ich stylu i myśli do tego frygijskiego okazu, jest widoczne każdemu oku patrzącemu bez uprzedzeń. Dzięki więc archeologii, jesteśmy w posiadaniu nowego dowodu tej łatwości, z jaką pojęcia w czasach starożytnych, przebywały morza całe, a co więcej, posługiwały się nimi, by dotrzeć najbardziej odległych strumieni. Fakta te okażą się jeszcze wybitniej, skoro się pojawi ów „Corpus“ napisów grecko-chrześcijańskich, zapowiedziany przez dyrektora szkoły francuskiej w Atenach.

* * *

Widzieliśmy stosunek archeologii do dziejów, widzieliśmy jakie światło rzuca na nie. Stuleciu ubiegłemu przypadło w udziale wykazać jej stosunek do nauk przyrodniczych, do tego świata o granicach nieokreślonych, w pomroku, gdzie geologia, paleontologia i antropologia wyszukują najdawniejsze ślady człowieka. Żadna nauka nie była jeszcze wystawiona na takie wpływy zewnętrzne, na prądy po za obrębem wiedzy krążące, jak ona. Określenie dowolne, z celem cofnięcia po za granice wszelkiego prawdopodobieństwa starodawności rodu człowieczego, hipotezy snute by wynaleźć przodka obcego, fakta źle badane, a wiedzące do klasyfikacyj dorywczych i wyników niepowiązanych z założeniami, wszystko wreszcie, co dzięki poglądom odszczepieńczym i teoryom z góry postawionym wypacza bezinteresowność poszukiwań — tyle przeszkód starożytnicy znaleźli na swej drodze. Zmusiło to ich, aby stać się jednocześnie antropologami i archeologami. Przeciwwstawianą fantazyom p. de Mortillet, archeologię przeddziejową wzbogaciły zaszczytne, a ostrożne i na pewnych podstawach oparte, prace pp. de Nadaillac'a, Fergurssona, Bertranda, de Baye'a, Arcelin'a, Hamard'a i wielu innych, istotnie uczonych. Nieprzyjaciele ci uogólnień przedwczesnych, w nagłówku każdego z dzieł swoich, mogliby położyć napis, użyty przez jednego z nich: „res, non verba“.

Odczasu, gdy w roku 1734 Mahudel, członek akademii napisów, określił pewne kamyki, przechowywane w gabinetach pod nazwą strzałek piorunowych, jako narzędzia wyrobu ludzkiego, wiedza uczyniła ogromne postępy i dziś nikt ich nie poczytuje, jako spadłe z nieba. Na razie zaczęto je przypisywać Gallom, lecz w pierwszej połowie XIX-go stulecia, uczeni duńscy Thomsen i Warsae zaprzeczyli temu. Zdaniem ich, czasy użytku wyłącznego tych narzędzi krzemiennych, stanowiły w rozwoju ludzkości okres odrębny, a znacznie wcześniejszy od tego okresu dziejowego, w którym występują Celtowie. Wszakże publiczność, a nawet uczeni, długo nie dawali wiary, gdy Bouchér de Perthes zawiadamiał, że się trafiają liczne krzemienie ręcznie obrabiane, wespół z kośćmi trawożer-nych przedpotopowych, zachowane w piaskach tak zw. okresu czwartorzędowego doliny Sommy. Dopiero, gdy tenże Perthes w r. 1860, zbadawszy jaskiniowe nawarstwienie kostne z okresów geologicznych, poprzedzających nas, dowiódł współlśnienia człowieka z gatunkami obecnie już zaginionymi, cała prawda stała się widoczną.

Obecnie, jeżeli t. zw. człowiek trzeciorzędowy jest uznany za bajkę, to studia nad przedhistorycznym, czyli współczesnym okresowi czwartorzędowemu, należą do tych, któremi się archeologia najbardziej zajmuje. Tu jednak najłatwiejszą bywa przesada, najtrudnijszem — oparcie się zbyt- nym skłonnościom ku systematyzacyi. Stąd powstały liczne omyłki, które, zostały już sprostowane w znacznej mierze przez fakta pozytywne.

* * *

Troglodyci, pozostawili miejsca swych ognisk i ślady jedzenia w jaskiniach; mieszkańcy osad nawodnych, odnalezionych po raz pierwszy w roku 1853 przez Kellera, nieznanymi a tajemniczymi budowniczymi — owych megalitów, menhirów, dolmenów i kromlełów, napotykanym w miejscach rozmaitych, a rozrzuconym od Atlantyku do Ura-

lu, od granic państwa Rosyjskiego aż do oceanu Spokojnego, od stepów syberyjskich do równin Hindostanu; — wszyscy oni nie mieli tej, graniczącej ze zwierzęcością, dzikości, której obrazy wstrętne a fantazyjne rysowano niejednokrotnie. Siegając do czasów najdawniejszych, gdy człowiek nie tylko nie znał jeszcze użytku kruszców, ale i kamienia wygładzić nie potrafił, cechowała go zawsze pomysłowość, zastanowienie, pochopność do postępu. Środkami nader prostymi osiągał on skutki, które, bez względu, że były skromne, każą jednak przypuszczać znaczny nakład sił umysłowych. Umie on bowiem wykonywać krzemienne, okrzesywane narzędzia do budownictwa i także broń do wojny, polowania i rybołówstwa; lepi garnki, wypalając je przy ogniu, lub pod działaniem promieni słonecznych; lubi ozdoby i ma poczucie piękna. Jest nawet artystą: kość mamuta lub renifera, znaleziona w jaskini, gdzie mieszkał, zdobioną bywa rysunkiem ręki pewnej, sylwetkami zwierząt, ryb, nawet postaci ludzkich, wykonanych czasem jednym tylko sztrychem z doskonałym uchwyceniem wzorów. Wreszcie, człowiek ten żywi cześć dla umarłych, jak tego dowodzą sposoby ułożenia szkieletów w grobowiskach i przedmioty w około nich zgromadzone. A skoro tak, posiada on i poczucie religijne, gdyż cześć dla umarłych jest wynikiem pojęć, chociażby tylko mglistych, o życiu przyszłym, o wierze w bóstwo.

Takimi wydają się być pierwsi mieszkańcy Europy, od czasów czwartorzędowego okresu, aż do tych, gdy się rozwinął dzisiejszy okres geologiczny. Jest to chwila, w której azyatyccy przedstawiciele daleko wyższej cywilizacyi, drogą emigracyi i handlu nauczyli tubylców europejskich używać kruszców. Takim samym, jak europejczyk ukazuje się również i amerykański przeddziejowy, doskonale opisany przez p. de Nadaillac'a.

Okres kamienia prędzej uważać należy za stan cywilizacyi aniżeli za okres chronologiczny; u jednych trwa on dłużej, u innych krócej. I tak: przodkowie francuscy przebywali jeszcze okres kamienia, gdy Niniwa i Memfis błyszczały już w pełni; w zamian za to w początkach

stulecia XIX-go pewne wyspy australskie znajdowały się jeszcze w takimże okresie. Stopniowo, naprzód bronz, następnie żelazo, zaczynają się ukazywać; pod dolmenami i na miejscach palafitów, czyli osad nawodnych znajdujemy już bronzowe, obok krzemiennych przyrządy i broń. Lecz jak tu ustanowić jednakowy podział na okresy, skoro się widzi, że nietylko miasta historyczne, w swych początkach współczesnych jutrzence cywilizacji greckiej — studyowane np. przez Schliemanna Troja, Myceny lub Tyrynt — nie posiadały żadnego przedmiotu z żelaza, posiadając jednakże wyroby artystyczne garncarstwa i ozdoby złote, ale że wprowadzenie żelaza do Danii i Szwecji nastąpiło prawdopodobnie dopiero w drugim stuleciu ery naszej. „Ludzkość jest dawniejsza od historii, a podania, chronologii nie zna“ trafnie powiedział Salomon Reinach, opisując muzeum w St.-Germain, tak bogate w przedmioty, wydobyte z pokładów napływowych i jaskiń. Lecz w czasach przedhistorycznych, podaniowych, kiedy ta chronologia jest tak bardzo niepewną, ludzkość jednak działa, ludzkość ta sama przez wszystkie czasy i pod każdym niebem, ta pracująca, walcząca wśród postępów i wynalazków, ta ludzkość, która stale myśli i ubóstwia.

* * *

Szlachetna wiedza archeologii zasłużyła się przed historią, a skądinąd ją wyprzedziła, nietylko dlatego że pokazała, jakim był człowiek pierwotny, ale że faktami stwierdziła domniemania historyków i poetów. A ci ostatni wraz z Lukrecyuszem widzieli w pierwszych naszych przodkach mieszkańców „*nemora cavosque montes*“, lub wraz z Owidyuszem nauczali, że tym tubylcom lasów dziewiczych i jaskiń głębokich, Bóg dał taką samą „kość wspaniałą“, jak i innym ludziom, taką samą postawę prostopadłą, oczy wzniesione ku gwiazdom, a myśl zdolną sięgnąć aż do nieba. Archeologia zrobiła więcej, gdyż dopełniła wiedzę naszą o takich okresach, które obfitują w literaturę historyczną, odsłaniając,

bardziej aniżeli ta ostatnia, głębie ducha i życie narodów. Zapewne, Egipcyan starożytnych znano już do pewnego stopnia przed rozpoczęciem stulecia XIX-go. Genialny wzrok Bossueta, sięgnął do nich po przez opowieści Herodota i Diodora, po przez niepewne wieści Manethona lub nieliczne sprawozdania podróżników. To też nakreślił on wizerunek wiekopomny tego ludu „poważnego“, na którego spokój i powagę oddziaływała ciepłota strefy zawsze jednostajna. Wszystko, co otaczało egipcyanina, zarówno cele, jak dzieła skończone, było zakrojone na wielką skalę, kraj zaś jego „z ziemskich najpiękniejszy, najobfitszy w dary przyrody, najwięcej oddany sztuce, bogatszy, dogodniejszy i najbardziej ozdobiony, za staraniem i szczodrobliwością monarchów“, przodował innym krajom. Wielki duch Bossueta, który odgadywał wszystko, przewidział z oddali zdobycze archeologii egipskiej i znaczenie Francji w tej mierze. „Obecnie, mówi on, gdy imię króla naszego rozbrzmiewa w krajach najmniej znanych, gdy monarcha ten opiekuje się poszukiwaniami w ziemiach odległych, badaniem natury i sztuką — czyby nie należało zwrócić nasze zaciekawienie ku przedmiotom zachowanym w pustyniach Thebaidy, a wzbogacić budownictwo wynalazkami egipskimi?“ Wszelako Bossuet nie przewidywał, że archeologia niezadowolni się odkryciem pomników, że wyczyta pisma, odnajdzie języki i dzięki temu, nietylko odtworzy kronikę Egiptu, lecz będzie czytać w umyśle, pozna wierzenia, sympaty i marzenia tych dusz, które ongi zamieszkiwały w dzisiajszych mumiach.

A jednak, głos jakiś wewnętrzny uprzedza nas, że wiedza najbardziej przenikliwa ma swe granice i że, jakby powiedział Bossuet, jest zawsze „ograniczoną z którejś strony“. Po zbadaniu tylu tekstów egipskich, tak wielkiej i częstokroć wspaniałej doniosłości, uczeni nasi zmuszeni są przyznać, że podstawy religii egipskiej usuwają się przed ich wzrokiem. Czy ta religia była monoteistyczna, zanim się gubić zaczęła w labiryncie dziwacznych kultów, które wywoływały werwę żartobliwą Klemensa Aleksandryjskiego i tylu Ojców Kościoła, czy też na odwrót,

podnosiła się stopniowo od fetysyzmu ludowego do jednobóstwa rozumowanego, wykładanego przez kapłanów wtajemniczonych, czy wreszcie może, jeśli był taki postęp, miała pojęcie o Bogu całkiem od natury różnym, i wolną była od wszelkiego panteizmu? Pytania te niewyjaśnione dowodzą, że archeologia, przy całym znawstwie pomników i tekstów, nie zawsze bywa w możności uchylić zasłoniętą myśl starożytną.

Jeżeli tak jest z Egiptem, którego budowy pozostały, z Egiptem, o którym historycy starożytni nie całkowicie milczeli, to cóż powiedzieć o krajach takich, jak Assyrya lub Chaldea, gdzie brak już nawet i zwalisk, lub o Judei, Persyi i Indyach, które nie miały ksiąg świętych i gdzie archeologia musiała jednocześnie szukać pomników i tworzyć historię? Niemniej przeto udało się jej i tu dotrzeć do celu z pewną dokładnością. Zarówno jak w Egipcie, wyszły na jaw stosunki zachodzące pomiędzy pomnikami lub napisami, a opowieściami biblijnymi. Pokazało się, że niektóre z tych ostatnich, przy porównaniu z tekstami babilońskimi, mają z nimi wspólne źródło tradycji. Archeologia mogła nawet czasami sięgnąć do głębin ducha assyryjskiego po przez religię urzędową, pełną przesądów i grozy; przekonała się więc o jego wzlotach ku nieznanemu Bogu, o wierze w życie przyszłe, o poczuciu grzechu i odczytała na tablicach, zapisanych znakami stożkowatymi, prawdziwe psalmy pokutne¹⁾. Jeżeli od tych krajów, pełnych tajemniczości, zwrócimy się teraz do stron klasycznych, których literatura i historia liczy setki tomów zupełnie dla nas zrozumiałych, to przyznamy, że tu doniosłość znaczenia archeologii jest mniejsza. Dopełnia ona bowiem już tylko naszą bardzo dokładną znajomość cywilizacji

¹⁾ Od siebie dodamy tu, że nie wszystko co było pisane znakami konicznymi uważać należy za assyryjskie. Pisowni tej, dla swego własnego języka, używał lud «Chaldi» zamieszkały w pobliżu morza Czarnego, którego pojęcia i religia wydają się być całkiem odmienne od assyryjskich. Tak samo, w Polsce np. używano liter gotyckich, pisząc po polsku.

(Przyp. tóm.)

nam pokrewnej, badaniem zwalisk, wykopalisk, posągów, małych ceramicznych pozostałości, szkła, gliptyki i numizmatyki. Wszakże, w dziedzinie urządzeń państwowych przysparza i tu archeologia wciąż nowych danych: bez napisów niebyśmy nie wiedzieli o tym dodatkowym okresie wychowawczym młodzieży greckiej, by ją przygotować do życia militarnego i politycznego, który nazywano „ephebią“. Historię okresu tego, na podstawie tekstów epigraficznych, odtworzyli dokładnie Dumont i Collignon.

Niemniej ważnemi są usługi archeologii w tem, co nam dało możność poznać dokładnie ducha Rzymian. Zdawałoby się, że już przed nami znano go dobrze, a jednak pewne cechy ducha tego pozostałyby dla nas tajemnicą, gdyby do wyjaśnień historyków, poetów i filozofów, archeologia nie dorzucała własnych zwierzeń. Rzymianie lubowali się w stylu lapidarnym tak dalece, że ich obecni prawnukowie do tej pory celują w układaniu napisów. Za czasów potęgi ich państwa, liczba napisów na marmurach rosła z nadzwyczajną szybkością. Tych, którzy zajmowali stanowiska wysokie wychwalano w epitafiach, opisując całkowite ich życie. Jeżeli kamień, postawiony na grobie człowieka kondycyi niższej, a stanowiska mniej związanego z historią, opiewał czyny skromniejsze, to wzamian ryto na nim szczegóły częstokroć ciekawe, a tem naiwniej lub rzewniej wypowiedziane, im mniej są piśmiennymi redaktorami napisów. „*Corpus inscriptionum*“ stał się więc już niezbędnym źródłem dla dopełnienia historii rzymskiej. Ktoś słusznie zauważył, że „autorowie klasyczni niepomyśleli nigdy o zostawieniu przyszłym pokoleniom objaśnień o urządzeniach administracyjnych, religijnych i wojskowych, lub szczegółów o życiu społecznym w czasach, kiedy pisali swe dzieła. Stało się dla tej prostej przyczyny, że ich współcześni byli z tem wszystkim dokładnie oszeregowani. W zamian, wrodzone uczucie przywiązania, lub miłość własna spowodowały, że się objaśnienia tego rodzaju przechowały za pośrednictwem nagrobków i nie jeden kamień grobowy niechący zapełnia lukę, zostawioną przez Swetoniusza lub Taeyta. Co więcej! napisy stają się mścicielami dziejopisów za pa-

radoksy, w których się czasami lubowali sceptycy naszych czasów. Może sobie czytelnik przypomni, jak świeżo zaprzeczano autentyczności „Annalów“ i „Historyi“ Tacyta, gdy pewien śmiały krytyk upatrywał w nich wymysły fałszerzów renesansowych. Zanim to twierdzenie, na niczem nieoparte, zostało wygłoszone, twórca epigrafii nowożytnej, dostojny Borghesi, wykazał w jaki sposób napisy i medale — zapewne fałszerzom nieznane — objaśniają i potwierdzają przy braku innych źródeł informacyjnych, ustępy z „Annalów“ i „Historyi“, i pouczają o magistraturze, osobach pojedynczych, instytucjach, które w nich wzmiankowano. Z innej znowu strony, studia dokładne nad epitafiami wykazały, że te ostatnie odzwierciedlają prawdopodobnie istotne uczucia rodzinne Rzymian, ukazując nam rodzinę rzymską w świetle stosunków serdecznych, aczkolwiek czasami dowodząc i wątpliwości węzłów rodzinnych. W ten sposób, kładąc ogłędnie na stronę pochwały przesadne, udzielane zmarłym, możemy sprostować nadmierny pesymizm takiego Seneki lub Juvenala. Możebnem jest, że napisy te nie będą w stanie wykazać uczuć religijnych u pogan rzymskich tak dokładnie, jakby się tego na razie można było spodziewać, niemniej dają one obraz ewolucji religijnej w pewnych chwilach dziejowych, której byśmy nie zauważyli, zadawaniając się tylko niewielką liczbą tekstów autorskich. W ten sposób archeologia zdaje sprawę z tego ześrodkowania, które nastąpiło w III-em i IV-em stuleciach w świecie pogańskim, zbierającym siły, by odeprzeć propagandę chrześcijańską. Wówczas to, kult bogów wschodnich, a zwłaszcza Mithry rozpowszechnia się coraz bardziej aż do chwili gdy zaniedbany przez masy ludowe, zachowuje prawo obywatelstwa wśród ostatnich przedstawicieli arystokracji pogańskiej. Dla tego to widzimy, jak jej członkowie przybierają egzotyczne tytuły kapłańskie, jakie czynią starania, by posiadać tajemnice kultów, jak się oddają na wzgórzu watykańskiem, wstrętnym ceremoniom taurabolu i jak, w kaplicach poświęconych Mithrze, zawiązują opozycję religijną i polityczną. Gdyby nie figury na pomnikach, a zwłaszcza

napisy, niebyśmy prawie nie wiedzieli o tym rozdziale końcowym dziejów pogaństwa rzymskiego.

Nie mam potrzeby wracać do wskazówek innego rodzaju, które archeologia dać może historii wewnętrznej lub zewnętrznej chrystyanizmu. Malowidła w katakumbach nie są wprawdzie katechizmem obrazowym, lecz dają świadectwo niezawodne starożytności najważniejszych dogmatów chrześcijańskich. Porównane z dziełami Ojców Kościoła, dla których służyć mogą jako ilustracye, komentowane nawzajem przez te ostatnie, dowodzą one, jak dalece jednolitą była myśl chrześcijańska. To samo, co zawierają dzieła naukowe, odnajdujemy i w symbolicznych wyrażeniach, rzeźbionych na sarkofagach przez artystów chrześcijańskich. Wyraźniej jeszcze od twierdzeń dogmatycznych pierwotnego Kościoła, w napisach poświęconych męczennikom, a nawet zwyczajnym chrześcijanom społeczeństwa rzymskiego, czytamy o hierarchii, obyczajach wiernych, o ich poglądach na takie społeczne kwestye ówczesne jak, praca lub niewolnictwo. Obserwator uważny przekona się o tem łatwo przeszedłszy się po galeryach watykańskich, zawierających zabytki kamienne, a zwłaszcza po lateraneńskiem muzeum chrześcijańskiem, uporządkowanem z podziwu godną metodą przez Rossiego.

Przypomnijmy, z jakim lekceważeniem starożytnicy XV-go i XVI-go stulecia wyrzucali ze swych zbiorów i ksiąg te nieocenione teksty, a o władnie nami uczucie zadowolenia i dumy, że obecnie widzimy je na honorowem miejscu. Uczeni bezstronni zgadzają się na jedno, że teksty te stanowią obecnie najważniejszy dział epigrafii, gdyż zaspakają ją ciekawość, wzbudzoną przez fakta historyczne. Są one zarazem świadectwem żywym, a zasadniczem. Być może, jest to chwila najwłaściwsza, byśmy wraz z Ewangelią powiedzieli, że kamień najcenniejszy odrzucili pierwsi budowniczowie, ci zaś którzy budowę kończyli, użyli go do wzniesienia jej łuków. Zresztą pozostanie to sławą stulecia, że ono zrehabilitowało, jeden po drugim, rozmaite okresy sztuki chrześcijańskiej, bądź dla tego, aby wykazać jej głębokie znaczenie, jej grunt sięgający do samego serca

dogmatu i moralności, bądź też, by ją umieścić w świetle istotnego piękna.

Nie zbyt to dawne czasy, gdy sądy powierzchowne w czambuł potępiały sztuką byzantyjską, nie uwzględniając ni czasów, ni szkoły. Upatrywały w niej one tylko szereg formułek stałych, czczych, a beztreściowych. Archeologowie terazniejsi, jak tego dowodzą studia p. p. Bayeta i Linasa, dochodzą do przekonania, że przeciwnie to wszystko, co było oryginalnem w byzantyjskim okresie sztuki chrześcijańskiej, to co przeżyło upadek państwa Zachodniego, a dosięgło najwyższego szczytu rozwoju w stuleciu VI-em, to co zachwiało się w stuleciu VII-em pod wysiłkiem obrazoburców, następnie, w stuleciach IX-em i X-em—odrodziło się, by połączyć w jedną całość wspaniałości Wschodu z wielkim stylem starożytnym, ożywionym powagą i uczuciem myśli chrześcijańskiej. By to ujawnić wystarczyło starannie rozklasyfikować, a następnie zbadać z miłością i szacunkiem różne okazy sztuki ówczesnej, zaczawszy od mozaik kościelnych aż do dyptyków z kości słoniowej i miniatur rękopiśmiennych.

Jeszcze mniej sprawiedliwym wyrokiem uległy wieki średnie, gdy je Odrodzenie zapoznało, a wiek XVII-ty całkowicie rozumieć przestał. Do rozumów najbardziej subtelnych, do dusz najczulszych na wzruszenia szlachetne, nie przemawiały one wcale. La Bruyère mówi o „porządku gotyckim, wprowadzanym przez barbarzyństwo do pałaców i świątyń“. Fénelon tak dalece nie rozumie „architektury naszych starych kościołów gotyckimi zwanych“, że się posuwa do twierdzenia, jakoby nie tam nie było logicznego w rysunku i przeciwstawia „próżne wyrafinowanie (*vain raffinement*), prostocie greckiej“. Ma się rozumieć, że stulecie następne zachowało się jeszcze powierzchowniej i pogardliwiej w tej mierze. Słusznie więc powiada Taine, że gdy sądy La Bruyéra i Fénelona były wynikiem nadużycia klasycyzmu, Wolterowi dyktowała je nienawiść do chrystyanizmu. Wieki średnie stały się jednoznaczniakiem dziwaczności w sztuce, płytkości myśli i barbarzyństwa instytutcyj. Ażeby wśród współczesnych wywołać

zdanie sprawiedliwsze, trzeba było stworzyć ten polot, które duszy ludzkiej dał Chateaubriand, trzeba było podniesienia się studyów historycznych pod wpływem Guizota, Thierry'ego i Micheleta, a co więcej, być może, tego ruchu archeologicznego, do którego hasło dali ludzie żyjący w okresie 1830 r. Z początku górowała tam wyobraźnia i uczucie: mamy więc „Notre-Dame de Paris“ Wiktora Hugo, słyszymy wspaniałe nawoływania Montalemberta przeciw wandalizmowi, czytamy książki Rio o sztuce chrześcijańskiej. Z kolei, same rządy zaczynają brać udział w tym ruchu i oto pieczę nad pomnikami historycznymi powierzają takim, jak Vitet lub Mérimée. Lecz wkrótce bierze tu kierownictwo wiedza, wiedza czysta Viollet-le-Duc'a lub Quicherat'a, żywa, odśrodkowująca, owiana duchem poprawy przez takich pracowników jak Arcisse de Caumont lub Dideron. Wynikiem tych usiłowań połączonych jest świetna rehabilitacja starożytności narodowych, a jeśli odnowicielom nauk historycznych należy się za nią wdzięczność, to w zamian działalność ich w tej mierze byłaby mniej doniosłą, gdyby z pomocą nie pośpieszyła archeologia. Kierowana nie samem tylko uczuciem, lecz wiodąca umysły drogą rozbioru coraz to subtelniejszego, a szczegółowszego, wskazała ona gdzie logiczne piękno gmachów stawianych przez ojców naszych i — po swojemu — rzuciła jasne światło na głębię ich ducha. Obecnie, gdy w nich widzimy nietylko znakomitych budowniczych, lecz i skończonych inżynierów, rękodzielników pierwszorzędných, przyznajemy zarazem, że posiadali zuchwałość zdumiewającą. Żadna tajemnica rzemiosła nie była im obca, znajomość techniki dorównywała natchnieniu sztuki i Wiary, a zatem społeczeństwo, wśród którego ojcowie ci żyli, „barbarzyńskim“ nie było; przeciwnie, przenikała je siła polotu umysłowego i gotowość do wszelkiego postępu. Jeśli zaś, jak to się rzekło wyżej, wydają się nazbyt oryginalni nawet archeologom, to w zamian posiadali dość wiedzy, by zostać twórcami. Co do nas, przeciwnie: jesteśmy więcej uczeni, bardziej archeologowie, niż twórcy samoistni. Pocieszajmy się jednak, pomnąc, że

postępy archeologii w stuleciu ubiegłym wpłynęły na sprawiedliwą ocenę pracy ojców naszych, a zmuszając do pokochania ich, uczyniły bardziej zrozumiałym ów stary, katolicki świat.

Paweł Allard.

Spolszczył

Ksawery Chamiec.

KONIEC SERII I-ej.

